



KRZYSZTOF BORUN

MAKEDONE ZIEŁONE LUDZIKI



KRZYSZTOF BORUŃ

Małe zielone ludziki tom I

Aby rozpocząć lekturę, kliknij na taki przycisk TM, który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym LITERATURA.NET.PL kliknij na logo poniżej.



Tom 1

2

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

3

CZĘŚĆ I ZIELONY PŁOMIEŃ

4

1.

23 listopada, Monachium, szesnaście godzin przed akcją... Właśnie otrzymałam wiadomość od „Małego”, że wszystko gra i mogę lecieć.

Jestem w Muzeum Valentina w Bramie Izarskiej. Kręcone schody prowadzące w górę do maleńkiego lokalu pełnego staroci. Po drodze mija się różne zabawne osobliwości wychodzące ze ścian. Na przykład nogi murarza, który z pośpiechu sam się zamurował... Rzecz w tym, iż można zostawić tam wiadomość, nie budząc żadnych podejrzeń, i łatwo ją odczytać, nie zwracając niczyjej uwagi. To jeden z naszych sposobów przekazywania informacji. Kod barwny – odpowiednio rozmieszczone skrawki kolorowych nitek lub papierki po cukierkach. Z systemem korygującym w razie przypadkowych przekłamań. Tym właśnie sposobem „Mały” potwierdził przylot Magnusena do Maroka i przekazał mi sygnał rozpoczęcia akcji.

Na schodach nikogo nie spotkałam, wątpię też, aby ktoś mnie śledził. Nawet zresztą gdyby szedł cały czas obok mnie, nie znając kodu, nie mógłby nic dostrzec. Niezły system łączności, wprowadzony przez Martina z przeznaczeniem na szczególne

okazje, gdy kontakt bezpośredni staje się zbyt ryzykowny.

20 listopada „Mały” zarządził pogotowie bojowe i przerwanie wszelkich bezpośrednich kontaktów. Mój udział w akcji został ustalony już przed moim wyjazdem do Londynu. Pół roku wcześniej przeszłam zresztą specjalne przeszkolenie dywersyjne. Moim instruktorem był „Pers”, którego Martin mianował szefem grup uderzeniowych Zielonego Płomienia.

Od 21 listopada oczekiwałam na sygnał, prowadząc „normalne” studenckie życie. Punktami kontaktowymi były: 21 listopada – „wnętrze kopalni” w Muzeum Niemieckim, następnego dnia – wejście do ogrodu botanicznego na Menzinger Strasse i wreszcie dziś – Brama Izarska. Czwartym punktem – na 24 listopada – miał być pewien klub jazzowy na Schwabingu, ale to już nie będzie potrzebne. Na schodach „Valentin-Musäum” znalazłam to na co czekałam: „Szczer w domu”, „Wejście drugie”. Oznacza to: „Magnusen przyleciał do Casablanki”, „Akcję realizować według scenariusza drugiego”.

Po powrocie do domu, zgodnie z instrukcją, muszę spreparować z wycinków gazetowych anonim do siebie: „Jeśli chcesz uratować dra Martina Barleya bądź sama 24 listopada w Casablance, w hotelu „Bellerive”. Przyjaciel”. Chodzi o uzasadnienie wobec policji mego wyjazdu, gdyby doszło do wpadki. Następnie mam zamówić telefonicznie bilet lotniczy i przygotować się do drogi. Scenariusz nr 2 wyznacza jako miejsce spotkania z „Persem” w Casablance, katedrę Sacre Coeur, skąd już niedaleko do „Alconu”. Ma to nastąpić około godziny jedenastej czasu miejscowego i do tego momentu nie powinnam się z nikim kontaktować. Tylko w sytuacji wyjątkowej mogę przekazać „Małemu” informacje przez Bramę Izarską i sygnał z budki telefonicznej.

Teraz jeszcze, zgodnie z instrukcją, po odczytaniu komunikatu i zostawieniu „śladu”, że odebrałam informację, muszę wejść do winiarni na szczycie, aby napić się kawy. Ma to usprawiedliwić moją obecność w Bramie Izarskiej, gdybym była śledzona.

Na górze sporo gości – żaden stolik nie jest wolny, ale przy niektórych pozostało parę miejsc. Po lewej stronie od wejścia, przy drugim czy może trzecim stole, siedzi samotnie przy lampce wina jakiś nieznany mi mężczyzna około czterdziestki o ciemnych, z lekka siwiejących włosach i ogorzałej twarzy. Z wyglądu południowiec i to raczej Arab niż Włoch. Rozglądam się po salce, a on podnosi na mnie wzrok, i – jakby rozpoznając kogoś znajomego – kłania się z uśmiechem, a potem zapraszającym gestem wskazuje mi wolne miejsce naprze-

ciw siebie. Jestem pewna, że widzę go po raz pierwszy. Myślę, że najlepiej zignorować faceta. Wyraźnie próbuje „przygadać sobie babkę”. Ale przychodzi mi do głowy, że przygodny towarzysz, jeśli nie będzie zbyt natrętny, może się tu przydać, gdyż samotna dziewczyna zwraca większą uwagę niż w towarzystwie. Dziękuję więc za zaproszenie uśmiechem i siadam przy jego stoliku.

–Pani pozwoli... Zamówię coś do picia. Może wino? Mają tu świetne wina. Czego się pani napije?

Mówi po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem. Wpatruje się we mnie dość natrętnie i jestem niemal pewna, że wino uderzyło mu do głowy. Muszę go ochłodzić.

–Tylko kawy. Żadnego alkoholu! – staram się zachować dystans.

–Pani nie jest Niemką ani Angielką, prawda? – pyta patrząc mi w oczy.

–Czy to ważne?

–Nieważne – przytakuje niezrażony. – Pani wybaczy... Proszę dwie kawy! – woła po niemiecku w stronę bufetu. Potem znów przenosi wzrok na mnie i uśmiechając się, wyciąga do mnie rękę. – Pani pozwoli...

Ujmuje moją dłoń i pociąga ku sobie. Chcę wyrwać rękę, lecz przytrzymuje ją za palce, delikatnie, choć stanowczo.

–Co pan... – nie kończę, uświadamiając sobie, że wszelkie nieprzemyślane reakcje z mojej strony mogą doprowadzić do nieobliczalnych następstw.

Na szczęście jest to nieporozumienie.

–Niech się pani nie obawia – mówi nieznajomy, śmiejąc się. – Chciałbym obejrzeć pani dłoń. To takie moje hobby...

Nie puszcza mojej ręki i obraca otwartą dłonią do góry. Jednocześnie patrzy mi z uporem w oczy i nadal się uśmiecha.

–Pan jest chiromantą?

–Niezupełnie... – spogląda na moją dłoń i twarz mu poważnieje. Przymyka powieki i trwa tak dłuższą chwilę w całkowitym bezruchu. Potem nagle puszcza rękę i sięga po papierosy. Nie częstując mnie, zapala w milczeniu.

–I cóż pan wyczytał z mojej ręki? – pytam niezbyt pewnie.

Patrzy na mnie z powagą.

–Chce pani naprawdę wiedzieć? Przecież pani nie wierzy wróżbom. Prawda?

Trochę mnie zaskakuje tym stwierdzeniem.

–Rzeczywiście, nie wierzę. Ale dać sobie powróżyć i zobaczyć co z tego wyjdzie, to może być zabawne...

–Czy na pewno? – pyta jakby z przyganą. – Bywają w życiu człowieka takie sytuacje, że wiele by dał, aby poznać przyszłość i gotów wierzyć w najbardziej bzdurną przepowiednię. Wbrew rozsądkowi! Na przykład: żołnierz przed bitwą. Albo gdy komuś bliskiemu zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo.

Czuję się nieswojo. Czyżby coś wiedział?... „Mały” ostrzegwał, że mogę być śledzona. Przecież dlatego zachowaliśmy tak daleko idące środki ostrożności. Ale jeśli nawet ten facet coś wie, dlaczego próbuje mi to dać do zrozumienia? A może jestem przewrażliwiona. Może to rzeczywiście chiromanta-amator, a te jego gadki to nic więcej tylko klasyczna metoda sondażu psychologicznego? Powinam więc skierować go na fałszywy trop.

–Mnie, mam nadzieję, zagraża co najwyżej oblanie kolokwium – mówię chyba dość naturalnym tonem. – Jeśli potrafi pan wywróżyć jakie otrzymam pytania, gotowam uwierzyć, że ma pan zdolności jasnowidza.

Wzmianka o kolokwium odpowiada prawdzie: za dwa dni mam zdawać. Oczywiście wiem już, że nic z tego nie będzie.

„Chiromanta” nie spuszcza ze mnie wzroku, jeszcze bardziej się nachmurzył, a potem zaczyna „strzelać”:

–Myślę, że nie będzie pani tego egzaminu zdawała. Czeka panią podróż, daleka podróż. Chyba gdzieś na południe, może Ameryka Południowa albo Afryka. I nie wiem, czy pani wróci do Monachium... To nie będzie bezpieczna podróż...

Siedzę przed nim spięta i czujna, choć staram się nie okazywać tego zewnątrz. Z każdym słowem tego człowieka wzrasta we mnie niepokój. Jestem już niemal pewna, że ktoś musiał zdradzić.

Ale trzeba udawać dalej, że się nic nie rozumie. Śmieję się więc i mówię:

–Fantastyczne! Świetna zabawa. Lubi pan straszyć, ale to na mnie nie działa. Nie trafił pan!

On na to z powagą:

–Ja nie straszę. Ja tylko ostrzegam. W najbliższych dniach grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo... Źródłem tego niebezpieczeństwa mogą stać się również ci, których pani uważa za przyjaciół. A niektórzy z tych, których pani uzna za wrogów mogą owo niebezpieczeństwo od pani odsunąć.

Czuję, że teraz powinnam zareagować ostrzej.

–Czy nie za daleko posuwa się pan w tych żartach? Co mi pan sugeruje?!

–Ja nie żartuję. Mówię poważnie.

–I wszystkie te bzdury wyczytał pan z mojej ręki?

–Powiedzmy...

Daje mi do zrozumienia, że powinnam być bardziej domyślna. Rzecz jasna, udaję nadal, że to do mnie nie dociera.

–Słowem, pozostaje mi czekać na spełnienie się tego, co mi wyroki losu wypisały na dłoni...

Patrzy na mnie z wyrzutem.

–Tego nie powiedziałem. To są tylko ostrzeżenia.

Ale ja jestem uparta:

–Czyli radzi pan siedzieć w domu, nigdzie nie wyjeżdżać, zwłaszcza na południe,

zerwać wszelkie kontakty z kolegami, przyjaciółmi i zabiegać o względy wrogów, a może moja przyszłość nie będzie tak czarna...

Jakby nie dostrzegł ironii.

–Tego też nie powiedziałem. Tu nie chodzi o bierność czy zmianę podjętych już decyzji. To co pani zamierza, niech pani robi. Ja daję tylko dodatkowe wskazówki.

Zastanawiam się do czego on właściwie zmierza.

–Nic z tego nie rozumiem – mówię tym razem dość szczerze. – Radzi mi pan, abym została w Europie czy też mam wyjechać do Ameryki Południowej lub Afryki? Czy po to, aby się pańska wróżba sprawdziła? Przecież widzi pan moją przyszłość w ciemnych barwach.

–Niezupełnie. Wszystko powinno się dobrze skończyć. Jeśli będzie pani rozsądna...

A więc jednak... Chodzi mu z pewnością o współpracę.

–Co mi pan więc proponuje? – próbuję zagrać va banque.

Bierze mnie za rękę, nachyla się i mówi ściszone głosem:

–Trzymać się człowieka, który drogi nie widzi, ale rzadko błądzi.

Pytam go, jak mam to rozumieć, ale nie chce mi nic więcej powiedzieć.

–Kaźde podane przeze mnie bardziej dokładne wyjaśnienie zmniejsza szansę potwierdzenia się wróżb – dodaje po chwili. I zaczyna wygłaszać coś w rodzaju prelekcji – jakąś dość zawiłą „teorię” podświadomego przeciwdziałania konkretnym zdarzeniom, które potrafimy z góry przewidzieć.

Wydaje mi się mętna i słucham „jednym uchem”. Jestem w tej chwili myślami daleko, przy Martinie. Już wkrótce miną dwa lata jak poznałam go u Collinsa na Schwabingu. Było to w noc sylwestrową, w trzy miesiące po moim przyjeździe do Monachium. Wydał mi się wtedy strasznie zasadniczy i nudny, ale szybko zrozumiałam, że maskuje w ten sposób nieśmia-

łość i nieobycie towarzyskie. Miał wygląd typowego naukowca, nie widzącego świata poza własną specjalnością – jeśli w ogóle można tu mówić o jakiejś typowości. Był stypendystą Fundacji Piltza i asystentem Weisenhoffera. Mnie – raczkującej studentce filozofii – bardzo imponowała znajomość z asystentem laureata Nobla. I nie tylko imponowała: przy bliższym poznaniu okazało się, że nie jest on ani nudny, ani ślepy na to co się dzieje dookoła i bynajmniej nie obojętny na uroki płci odmiennej. Byłam wręcz zaskoczona rozległością jego zainteresowań, jak się zresztą okazało, nader szybko ulegającym zmianom. Nie chodziło tu o brak wytrwałości czy wręcz lenistwo. W niektórych sprawach wykazywał zadziwiającą wytrwałość, cierpliwość i upór. Częste zmiany zainteresowań wynikały z nadmiaru inwencji. Nowe pomysły, nowe problemy, nowe przedsięwzięcia spychały na dalszy plan dotychczasowe. Jak się to mówi – niespokojna natura. Myślę, że można by nazwać to również pogonią za wielką przygodą. Chyba w niemałej mierze taką przygodą był dla niego nawet Zielony Płomień, a na pewno nieszczęsna wyprawa do Afryki.

Zanim Martin począł montować Płomień, działały już od kilkunastu lat w różnych krajach „zielone” organizacje – ruchy protestu przeciw niszczeniu naturalnego środowiska i groźbie skażeń radioaktywnych. Znana sprawa: petycje, demonstracje, pikety przed zakładami przemysłowymi i terenami budowy elektrowni jądrowych. Pochody, wiece, ulotki, transparenty... „Reaktory atomowe = radioaktywna śmierć!”, „Szybkie neutrony to powolne samobójstwo!”, „Industrializacja, urbanizacja, motoryzacja, militaryzacja – czterech jeźdźców Apokalipsy!”, „Niewolniku techniki, przebudź się i zerwij kajdany!”, „Komu służy cywilizacja betonu i plastyku?”, „Żądamy zakazu...”, i tak dalej, i tak dalej...

Swego czasu te komitety i organizacje próbowały jednoczyć się i tworzyć coś w rodzaju partii opozycyjnych. W niektórych krajach udawało im się nawet wpływać na wyniki wyborów, osłabiając pozycje partii rządzących, ale poważniejszej, samodzielnej roli nigdy nie odegrały, a ich akcje doprowadziły tylko do lepszego maskowania swych celów przez wielkie korporacje i polityków z nimi związanych. Martin bardzo krytycznie odnosił się do tego legalnego ruchu i twierdził, iż nieświadomie, a w pewnych przypadkach nawet świadomie toruje drogę do władzy partiom prawicowym i nic poza tym nie zdołała. Z potęgami przemysłowymi, finansowymi i militarnymi nie ma po co pertraktować czy politycznie współzawodniczyć. Można je zmusić do ustępstw i podważyć ich władzę tylko uderzając z ukrycia w najczulsze miejsca – w to, co stanowi o ich sile. Tak właśnie pojmował rolę Zielonego Płomienia.

Dojrzało to w nim przez lata. Rodowód jest dość konkretny i sięga drugiej połowy lat sześćdziesiątych. Martin rozpoczął wtedy studia, a było to na uniwersytecie w

Berkeley... Wiadomo co się tam działo... A edukacja i perswazja metodami pałki policyjnej przedziwne przynosi owoce. Martin mówił mi, że nieźle mu się dostało, zwłaszcza w słynnej „bitwie o park”. A już tam wtedy mówiono wiele o konieczności powstrzymania procesu zatrutowania przyrody i likwidacji „cywilizacji betonu i plastyku”. „Nasz stosunek do natury będzie określać rozsądek i poczucie piękna, a nie dążenie do zysku!”... Martin pamiętał to hasło jeszcze po dwudziestu latach.

Zielony Płomień to oczywiście zupełnie inna epoka, ale w Martinie z pewnością coś z tamtych studenckich czasów pozostało. Dlatego chyba przynajmniej w pierwszej fazie rozwoju organizacji, szukał oparcia w środowiskach studenckich i próbował oddziaływać na masowe akcje podejmowane przez ruchy protestu – legalne lub półlegalne.

Gdy zaczynałam wchodzić w te sprawy, rzecz jasna, nie wiedziałam nic o złożonej, wielostopniowej strukturze Płomienia. Miałam nawet później trochę pretensji do Martina, że mi nie mówił wszystkiego, chociaż już między nami sprawy zaszły bardzo daleko. Ale później doszłam do wniosku, że miał rację i w jego sytuacji ja też bym tak postąpiła.

W tym czasie budował dopiero sieć organizacyjną, i to w skali międzynarodowej. Dużo też dyskutowaliśmy na temat użyteczności różnych środków i metod walki. Nie były to tylko

rozważania teoretyczne, choć początkowo tak myślałam. Szczególnie zażarte spory toczyły się wokół projektu stworzenia „pirackiej” rozgłośni, która pełniłaby jednocześnie funkcję propagandową i przekaźnika szyfrowanych rozkazów. Ostatecznie zrezygnowano – z uwagi na koszty i przejście do głębokiej konspiracji z różnymi stopniami wtajemniczenia i wyspecjalizowanymi oddziałami „bojowymi”. Wkraczaliśmy w nową fazę...

Pierwszoplanowym zadaniem było precyzyjne przygotowanie akcji dywersyjnych. Dywersyjnych, a nie terrorystycznych! Zielony Płomień nie jest organizacją terrorystyczną, a przynajmniej w tym czasie nie był. Martin jest zdecydowanie przeciwny terrorowi. W tych sprawach ma własne poglądy i nikt go nie potrafi przekonać. Nieraz dochodziło do kłótni między nim a „Małym”. Jak długo kierował organizacją, granica między dywersją a terrorem nie była nigdy przekraczana. Myślę, że wiązało się to z jakimiś przykrymi doświadczeniami z lat siedemdziesiątych. Nigdy nie chciał mówić na ten temat, ale przecież nie jest tajemnicą, że z „Małym” wiąże go coś więcej niż przyjaźń... Co robił „mały” w latach siedemdziesiątych – nie wiem, ale jego prawa ręka – „Pers”, czyli Toszi Izumo – to „weteran” japońskiej Czerwonej Armii i nie ulega wątpliwości, że Martin swego czasu był w bliskich kontaktach z ugrupowaniami anarchistycznymi. Potem z nimi zerwał i poszedł własną drogą, ale nie wszystkie nici się urwały. Ci jego dawni towarzysze odegrali też istotną rolę przy tworzeniu światowej siatki Płomienia.

Nie wiem czy to można uznać za błąd. To już nie jest zabawa w zbuntowanych. Akcje dywersyjne, jeśli mają stać się rzeczywiście skuteczną bronią, wymagają udziału fachowców wysokiej klasy, ludzi z bogatym doświadczeniem. Tacy dawni terroryści jak „Mały” i „Pers” są potrzebni. Martin potrafił ich zresztą trzymać krótko, o żadnych „samodzielnymi inicjatywach” nie było mowy.

Był to chyba najpiękniejszy okres w moim życiu. Żyłam jakby w transie. Wszystko co działo się wokół mnie i w czym bezpośrednio uczestniczyłam przypominało pasjonujący film, wciągający całkowicie w akcję i wprawiający w gorączkowe podniecenie. Może zresztą to, że tak właśnie to odczuwałam, wynikało w dużej mierze stąd, iż po prostu – byłam wówczas wariacko zakochana i to uczucie było w pełni odwzajemnione.

Martin, Zielony Płomień i uniwersytet – był to wówczas cały mój świat. Ciekawe, że i na studiach miałam zupełnie dobre wyniki. Było w tym z pewnością trochę chęci naśladowania Martina, który potrafił znaleźć na wszystko czas, ale nie tylko. Po prostu – takie były reguły gry.

W tym czasie Martin zmusił mnie do pogodzenia się z matką. W zimie pojechaliśmy

do Anglii i przedstawiłam Martina rodzicom. Była nawet mowa o ślubie, „oczywiście” jak skończę studia, a Martin zostanie profesorem. Odpowiadało to zresztą w pewnym stopniu naszym planom. Martin pracował nadal z Weisenhofferem i pisał pracę o habitatach, a jednocześnie zajmował się sprawą „Ekosu”, montował siatkę informacyjną i przygotowywał plany pierwszych akcji „perswazyjnych”. Dopiero kiedy otrzymał od Vittoria wiadomość o tym, co dzieje się na pograniczu Patope, Matavi i Dusklądu – wszystko inne przestało być ważne.

Chciałam z nim lecieć do Afryki, ale się nie zgodził, rzekomo dlatego, iż to fatalny klimatycznie okres. Mówił, że jestem niezbędną w ośrodku monachijskim i że wróci pod koniec lipca. Gdy go aresztowali myślałam początkowo, że zwariuję. Biegałam codziennie do Weisenhoffera z pretensjami, że nic nie robi, choć to była nieprawda, gdyż interweniował gdzie tylko mógł. To ja również przeforsowałam decyzję powierzenia „Małemu” kierownictwa Płomienia, choć wiedziałam czym to grozi. Byłam pewna, że nie będzie się wahał. Chodzi przecież o życie Martina. To sprawa zasadnicza. Jego powrót rozwiąże wszystkie problemy. Jeśli postanowiliśmy złamać zasadę tak kategorycznie przestrzeganą przez Martina – jest to konieczność usprawiedliwiona sytuacją. Z jego ostatnich depech wysłanych tuż przed aresztowaniem, wynikało, że jest na tropie jakiejś wielkiej afery czy spisku, którego ujawnienie może wpłynąć w sposób zasadniczy na dalszą działalność Płomienia. Wiadomości były

oczywiście szyfrowane i nie zawierały żadnych konkretnych informacji, poza tą, że mikrofilmy przywiezie Vittorio. Niestety, został on również aresztowany, prawdopodobnie na lotnisku w Inuto.

Początkowo wydawało się, że wszelki ślad po nich zaginie, jak to już zdarzyło się pewnemu dziennikarzowi francuskiemu, który zbyt krytycznie pisał o rządach Numy. Potem nagle zapowiedziano proces. Rzecz jasna, nikt z nas nie wierzył w to, by Martin i Vittorio przygotowywali zamach na „marszałka”, ale gdy ogłoszono wyrok skazujący ich na śmierć, nie ulegało wątpliwości, że sytuacja jest bardzo poważna. Martin był przecież obywatelem amerykańskim i musiały istnieć nie byle jakie powody jeśli, mimo apelu Weisenhoffera i interwencji ambasadora USA, doszło do procesu i takiego wyroku. Czekanie na wynik jakiejś zakulisowej gry nie ma sensu. Trzeba uderzyć w tych, na których Numie najbardziej zależy. A więc – w „Alcon”.

To pomysł „Małego”. W rachubę wchodził tylko Magnusen. To mnie udało się zdobyć w Londynie plan jego wyjazdów. Gdy przeczytałam, iż 24 listopada ma odwiedzić filię „Alco-nu” w Casablance – byłam pewna, że to dar losu. „Mały”, co prawda, wątpił w wiarygodność oficjalnego programu, ale natychmiast wysłał „Persa” do Maroka dla rozpoznania terenu i przygotowania akcji. W Rabacie Toszi ma jakichś bliskich sobie ludzi, chyba dawnych członków którejś z ekstremistycznych organizacji palestyńskich, co może bardzo ułatwić zadanie.

I oto informacje okazały się ściśle: Magnusen przyleciał do Maroka. Wszystko gra!

Ale kim jest ten „Chiromanta”? Czy spotkanie było przypadkowe? Zachowuje się tak, jakby wiedział dokąd i po co leczę... Jeśli jest z policji to dziwny z niego policjant. Czego naprawdę ode mnie chce?

–Chyba panią nudzę... – nieznajomy przerywa swój „wykład” widząc, że nie słucham, ale nie wydaje się być obrażony.

–Zamyśliłam się...

–Rozumiem.

Patrzę na zegarek. Robi się późno – powinnam już wracać do domu.

–Muszę już iść – mówię wstając. – Bardzo panu dziękuję za towarzystwo i wróżby. Chociaż, jeśli dobrze pamiętam, za wróżby się nie dziękuję.

–Tak, ale to już nie ma znaczenia... – patrzy mi z powagą w oczy. – Ja również wychodzę. Pani pozwoli, że panią odwiozę. Mam tu wóz.

–Dziękuję, wolę się trochę przejść.

Gdy jesteśmy już na ulicy, jeszcze raz ponawia propozycję. Odmawiam grzecznie, lecz stanowczo. Nie mogę sobie pozwolić na żadne ryzyko.

–Pani się mnie boi – oświadcza z żalem. – Myśli pani, że jestem agentem policji lub IAT. Pani się myli. W przyszłości przekona się pani, że miałem najuczciwsze intencje... Zresztą... chyba się jeszcze spotkamy.

Nie wiem co odrzec.

–Kim pan właściwie jest?

Właśnie dochodzimy do parkingu. Widzę, że patrzy na mnie i zastanawia się, co odpowiedzieć. Wreszcie mówi:

–Jestem dziennikarzem i wydawcą. Przepraszam, że się nie przedstawiłem. Nazywam się Oriento. Hans Oriento. Do widzenia!

Wsiada do wozu i odjeżdża, a ja idę w kierunku stacji metro. Nie mam, niestety żadnych możliwości przekazania „Małemu” relacji z tego dziwnego spotkania. Pozostał mi tylko To-szi, ale to mogę zrobić dopiero jutro, tuż przed akcją.

Filia „Alconu” w Casablance mieści się w nowym, wzniesionym na początku lat osiemdziesiątych wieżowcu w dzielnicy handlowej na południe od Starej Medyny. Od katedry – niespełna kilometr. Z lotniska przyjechałam taksówką do placu Mohammeda V i trochę klucząc docieram do Sacre Coeur piechotą. W pobliżu kościoła, na parkingu stoją dwa autobusy wycieczkowe i terenowe combi przedsiębiorstwa poszukiwań geologicznych związanego z „Alconem”. Na schodach przed wejściem robią sobie pamiątkowe zdjęcia młode Japonki, które prawdopodobnie odłączyły się od grupy zwiedzającej katedrę, zaliczaną do wybitnych osiągnięć architektury XX wieku.

Toszi, tak jak było ustalone, czeka na mnie w ławce – w drugiej prawej nawie. Przybył tu na kilka minut przede mną. Zauważyłam go od razu po wejściu do kościoła, ale dla niepoznaki kręcę się za turystami, udając, iż należę do wycieczki. Zobaczył mnie i widzę, że daje mi dyskretne znaki, abym usiadła obok niego.

Odłączam się od grupy, podchodzę, siadam, i myślę czy nie powiedzieć mu od razu o Oriento. Ale zanim zdołałam się odezwać Toszi już szepcze:

–Wychodzimy razem. Wsiadamy do żółtego combi ze znakiem firmowym „Alconu” i ruszamy.

Wstaję, idę ku wyjściu. Toszi za mną. Nikt na nas nie zwraca uwagi. Po chwili siedzimy już w wozie.

–Powinnaś się przebrać, ale pozostało niewiele czasu. Bierzesz więc tylko płaszcz i torbę. Tam leżą – Toszi pokazuje za siebie w głąb samochodu i włącza silnik. – Jesteśmy geologami z Midelt. W torbie masz dokumenty. Mamy przekazać Magnusenowi pewne poufne informacje oraz próbki. On już wie o tym i czeka na nas.

W czasie kilkuminutowej jazdy Toszi przekazuje mi w skrócie niezbędne dodatkowe wiadomości. Odegranie roli geologów to pomysł „wtyczki” wprowadzonej do „Alconu” przed rokiem. Z opanowaniem stanowiska poszukiwawczego pod Midelt przez naszych ludzi nie było trudności. Dyrekcja filii otrzymała wiadomość od kierownika grupy badawczej, że wysła „zaufanych pracowników” w niezwykle ważnej sprawie. Nie było żadnych podstaw, aby podejrzewać, że to podstęp, gdyż rzeczywiście oczekiwano na wyniki wstępnych wierceń. Sprzyjającą okolicznością jest również to, że w ekipie tej pracowała młoda kobieta, trochę do mnie podobna. Gorzej z Toszim, ale nie ma rady – muszą wystarczyć ciemne okulary. Liczymy zresztą przede wszystkim na szybkość działania i zaskoczenie.

Ruch w centrum miasta duży, jak zwykle tuż przed południową przerwą. Zajeżdżamy przed wejście dla personelu. Ja idę pierwsza, za mną Toszi z pojemnikiem. Mijając portiera i strażnika mówię, że jesteśmy z Midelt i zostawiam im kluczyki od samochodu, prosząc aby polecili komuś odstawić wóz na służbowy parking, gdyż z polecenia naczelnego dyrektora filii mamy niezwłocznie zameldować się w jego gabinecie. Nikt nas nie legitymuje ani nie zatrzymuje. Gdy wchodzimy do windy widzę z daleka, że strażnik telefonuje. Jeśli dzwoni do sekretarki lub dyrektorskiego „goryla” to i lepiej – nie będzie trzeba nic tłumaczyć. Wątpię, aby coś zauważył – a jeżeli nawet by tak było – to już za późno...

Jesteśmy na osiemnastym piętrze. W obszernym hallu przy stoliku dwóch mężczyzn o wyglądzie bokserów – podnosi się na nasz widok:

–Panna Peterson?

–Tak, to ja. A to inżynier Ugarte – wskazuję na „Persa”.

–Ma mi pani przekazać list od pana Williamsa i czekać na dalsze dyspozycje – mówi młodszy z facetów.

Tego nie było w scenariuszu. O żadnym liście Toszi nie wspominał. Czuję nieprzyjemny ucisk w okolicach żołądka, ale odpowiadam spokojnie z pewnością siebie, ścisząc głos dla podkreślenia poufności misji:

–To niemożliwe. Wiadomość mam przekazać ustnie i to bezpośrednio panu prezesowi. Przywieźliśmy też próbki.

–Dobra jest. Proszę poczekać.

Cerber znika za drzwiami, prowadzącymi do sekretariatu dyrektora filii. Czekamy w napięciu, chociaż drugi z mężczyzn zdaje się zachowywać obojętnie. Wreszcie drzwi się otwierają.

–Możecie wejść – facet niedbałym gestem wskazuje nam drogę.

Przy biurku jędzowata blondyna. Rozmawia z jakimś mężczyzną przez interkom, patrząc na nas. Czujnie śledzę mimikę – może zna prawdziwą pannę Peterson? Ale i ona nic nie podejrzewa. Po chwili wstaje i otwiera duże, obite skórą drzwi.

Przestronny, nowoczesny gabinet. Przez szklaną ścianę za biurkiem widać Starą Medinę, a za nią na horyzoncie nabrzeża portowe i ciemnoszary Atlantyk. Na lewo przy niskim stoliku, zastawionym trunkami, siedzą w głębokich fotelach nie dwie lecz cztery osoby – trzech mężczyzn i młoda kobieta. Rozpoznaję tylko Magnusena: „Mały” pokazał mi kilka jego zdjęć.

–Cóż to za rewelacje nam pani przywozi? – mówi z kurtuazyjnym uśmiechem tęgi szpakowaty mężczyzna, wstając z fotela. Nagle nieruchomieje. Wie już, że nie jestem panną Peterson.

–Raczej niespodziankę... – odpowiadam, sięgając do torby po pistolet. Słyszę za sobą szcęk otwieranej klapy pojemnika.

–Kim pani jest? – grubas patrzy na pistolet z przerażeniem.

–Tylko spokojnie, Wein – przejmuje inicjatywę Toszi. – Niech pan siada! I żadnych sztuczek! Wszyscy ręce na głowę!

Dyrektor Wein opada na fotel i unosi ręce. Również Magnusen i dziewczyna wykonują posłusznie polecenie. Tylko siedzący między nimi mężczyzna w ciemnych okularach pozostaje nieruchomy jak posąg.

–A ty co? Głuchy? – woła ze złością Toszi, wskazując na mężczyznę.

–On nie widzi – odzywa się dziewczyna, nad podziw spokojnie, ale nietrudno dostrzec, że czujnie obserwuje mnie i „Persa”.

–Powiedziałem: wszyscy! – mówi twardo Toszi. – A więc i on! Ręce na głowę! No już!

Niewidomy unosi wolno ręce. Twarz skupiona, raczej artysty niż biznesmena.

„Pers” podchodzi do Magnusena, rozpiną mu marynarkę, wyjmując portfel i nie otwierając rzuca na stół. W miejsce portfela wsuwa mu do kieszeni płaskie, plastikowe pudełko wyjęte przed chwilą z pojemnika.

–Mały prezent dla prezesa „Alconu”! – „wyjaśnia” z uśmiechem. Satysfakcja z jaką wpatruje się w pobladałą twarz Magnusena, trochę mnie niepokoi.

–Muszę wyjaśnić kilka kwestii – podejmuje po chwili Toszi – aby nie było niepotrzebnych złudzeń. Jesteśmy członkami organizacji, której cele są ważniejsze niż nasze czy wasze życie. Jesteście zakładnikami i czy wyjdziecie z tego cało zależy od spełnienia naszych żądań. Mam nadzieję, że wykażecie dość rozsądku i ułatwicie nam wykonanie naszego zadania. Wszelka akcja przeciwko nam musi nieuchronnie skończyć się śmiercią wszystkich tu obecnych. Aby nie było nieporozumień wiedzcie, że nie ma sposobu uniknięcia takiej właśnie konsekwencji zaatakowania nas. Oto nadajnik radiowy – unosi teatralnym gestem w górę aparat i wyciąga antenę teleskopową. – Sygnał wysłany z tego nadajnika spowoduje wybuch ła-

dunku, który umieściłem w twojej kieszeni, Magnusen. Jest tam zaledwie dwieście gramów trotylu, ale o tak skierowanym skumulowanym działaniu, że wystarczy aby ci urwało głowę. A głowa prezesa „Alconu” jest cenna, prawda? – „Pers” robi krótką pauzę dla spotęgowania wrażenia. – Ale to nie wszystko. Ten sam sygnał wywoła eksplozję ładunku, który umieściłem w pojemniku na próbki geologiczne. W tym, który stoi tu obok mnie. A jest tam trochę więcej, bo sześć kilogramów TNT i to w mocnej, przeciwpancernej skorupie... I jeszcze jeden ważny szczegół: wysłanie sygnału powodującego wybuch następuje nie przez naciśnięcie przycisku lecz jego zwolnienie. Kolejność czynności jest następująca: trzymam w lewej dłoni nadajnik – Toszi przybiera ton instruktora na obowiązkowych, nudnych ćwiczeniach. – Teraz uwaga! Środkowy palec lewej ręki kładę na czerwonym guziku, naciskam do oporu i utrzymuję w tym położeniu. Teraz kciukiem prawej ręki przesuwam dźwigienkę przełącznika i włączam nadajnik. Inaczej mówiąc: odbezpieczam układ inicjujący radio-zapalnika!

Nigdy jeszcze nie widziałam „Persa” w takim stanie, ale też nie było podobnej sytuacji. Coraz bardziej nabieram przekonania, że nie jest w pełni normalny. Nie ulega wątpliwości, iż podnieca go i bawi potęgowanie strachu. Inna sprawa, że jest to metoda skuteczna. Przynajmniej w stosunku do Magnusena i dyrektora filii. Na Magnusena wziął się zresztą szczególnie. Myślę, że jest w tym coś z kompleksu. Magnusen wysoki, barczysty, wysportowany, pozujący na arystokratę, Toszi mały, niepozorny, o zniszczonych dłoniach mechanika i zmęczonych, zaczerwienionych chorobliwie oczach.

Niepotrzebnie przejmuję się „Persem”. Wszystko toczy się zgodnie z planem. Toszi tłumaczy teraz Magnusenowi, że z uwagi na jego bezpieczeństwo nie należy na razie ujawniać faktu, iż jest zakładnikiem. Policja marokańska może okazać się zbyt gorliwa i próbować unieszkodliwić nas z pomocą strzelców wyborowych, co dałoby jednoznaczny rezultat... Od nieboszczyka trudno wymagać, aby nie zwalniał przycisku, zaś tłumaczenie wszystkim jak działa bomba nie leży w naszym interesie.

Na rozkaz „Persa” dyrektor łączy się z sekretarką i przekazuje jej „polecenia prezesa”: zawiadomić lotnisko, aby niezwłocznie przygotowano do odlotu prywatny samolot Magnusena, którym przyleciał z Anglii, poinformować władze lokalne oraz ambasadę Republiki Patope w Rabacie, że prezes „Alconu” i towarzyszące mu osoby odlatują o czternastej do Inuto w ważnej, nie cierpiącej zwłoki sprawie, przekazać osobistej ochronie prezesa rozkaz, aby nie wpuszczała nikogo do gabinetu dyrektora przez najbliższe pół godziny i przygotowała dwa samochody przed głównym wejściem dla przejazdu na lotnisko. Bagażu z hotelu nie trzeba zabierać, gdyż prezes powróci do Casablanki jeszcze tego samego dnia, prawdopodobnie późnym wieczorem.

Te pół godziny oczekiwania na spełnienie „poleceń prezesa” wypełnia przede wszystkim „maglowanie” Magnusena na temat polityki „Alconu” w Patope i zobowiązań „marszałka” Numy wobec koncernu... Żadnych rewelacji, raczej potwierdzenie tego, co już wiemy. Oczywiście Magnusen próbuje nam wmawiać, że „Alcon” tylko pomaga republice wydźwignąć się z zacofania i umocnić jej pozycję, co jest szczególnie ważne z uwagi na sąsiedztwo Dusklan-du – „białej” republiki uzbrojonej po zęby, jednak nie może zaprzeczyć, iż „marszałek” zawdzięcza utrzymanie się przy władzy przede wszystkim „Alconowi”, zaś „Alcon” swą pozycję w Patope – krwawemu „marszałkowi”.

Toszi ani jednym słowem nie wspomina o celu uprowadzenia, sprawie Martina czy choćby tylko o zagadkowych wydarzeniach w Patope i Dusklandzie. Także Magnusen wyraźnie unika wszelkich wzmianek na temat aktualnej sytuacji w tych krajach, choćby tylko w takim stopniu, w jakim informowała o tym prasa światowa. A przecież według tych doniesień „złote jabłko” Patope – zagłębienie miedziowe w Tobo i dusklandzkie kopalnie uranu u podnóża Gór Żółtych nie pracują od kilku miesięcy. Ich teren uznano podobno za skażony, zaś górnicy wraz z rodzinami uciekli na terytorium opanowane przez partyzantów Magogo. Widać prezes „Alconu” czeka aż Toszi pierwszy „puści farbę”, ale „Pers” nie ma zamiaru odsłaniać kart

przedwcześnie, gdyż w razie niepowodzenia akcji już w tej wstępnej fazie, nim rozpoczniemy pertraktacje z Numą, możemy pogorszyć sytuację Martina i Vittoria, nic nie zyskując. „Przesłuchiwanie” Magnusena jest więc nie tyle próbą wysondowania co się dzieje w Patope i Du-sklandzie, co tworzenia wrażenia, iż reprezentujemy jakieś tajne ugrupowanie politycznych przeciwników „marszałka”.

Najbardziej kłopotliwe dla Magnusena są pytania dotyczące policji politycznej i pacyfikacji. Twierdzi, że starał się niejednokrotnie wpłynąć na Numę, by nie stosował tak brutalnych metod i stopniowo wprowadzał bardziej demokratyczne formy rządów. Na to Toszi blefuje, że posiadamy dokładną listę doradców i instruktorów opłacanych nie tylko przez „marszałka” ale i przez „Alcon”. Prezes patrzy rozpaczliwie na swego niewidomego towarzysza niedoli i niezbyt lojalnie próbuje się nim zasłonić:

–Niech pan, doktorze, im wytłumaczy, że obarczanie mnie i „Alconu” odpowiedzialnością za wszystko, co działo się i dzieje w Patope jest niedorzecznością!

Toszi nie ma jednak zamiaru dać się wodzić za nos.

–Przesłuchuję ciebie, Magnusen, a nie twojego adwokata. Zrozumiałeś?! – przerywa ostro. – Panem doktorem zajmiemy się później.

Czy niewidomy jest rzeczywiście doradcą prawnym prezesa „Alconu”, czy też może to tylko retoryczny zwrot? Z zachowania się „Persa” trudno wywnioskować czy wie kim jest ten człowiek. Według przyjętego scenariusza porwać mieliśmy tylko Magnusena. Kiedy jednak weszliśmy do gabinetu dyrektora Weina, Toszi nie wydawał się zaskoczony, tak jak ja, obecnością tam dwóch „niezaplanowanych” osób. Ale przecież nie wiedział, iż mężczyzna jest niewidomy. Pytać go jednak w tej chwili o to nie mogę.

Chociaż Toszi nie zdążył uzgodnić ze mną przyjętej taktyki, domyślam się w ogólnych zarysach do czego zmierza i pozostawiam inicjatywę w jego rękach. Niepokoją mnie zbyt brutalne, a nawet nieco psychopatyczne jego reakcje, ale ciągle jeszcze mam nadzieję, że to tylko przyjęta świadomie metoda straszenia naszych jeńców, a przede wszystkim Magnusena. Prawdę mówiąc, i ja jestem przygotowana na to, że muszę grać rolę kobiety bez skrupułów, fanatyczki nie wahającej się przed zbrodnią i okrucieństwem – nie wiem jednak czy w decydującym momencie potrafię przełamać wszystkie opory moralne i „zmienić skórę”.

Nie mogę się też pozbyć „złych przeczuć” – że sekretarka coś zauważyła, że jesteśmy podsłuchiwani, a może nawet obserwują nas przez ukrytą kamerę

telewizyjną i za drzwiami czekają już „goryle” Magnusena i policjanci marokańscy. A przecież wiem, że jeśli idzie o bomby Toszi nie blefuje.

Gdy odzywa się brzęczyk interkomu i sekretarka melduje o wykonaniu poleceń, jestem niemal pewna, że „coś musi się stać”. Ale jakoś nic się nie dzieje – wszystko przebiega zgodnie z instrukcją „Persa”, zaś Magnusen i Wein grają wyznaczone im role bez zarzutu.

Z gabinetu pierwszy wychodzi Magnusen w towarzystwie „Persa”, który trzyma w ręku emiter i zachowuje się tak, jakby oczekiwał wiadomości przez radiotelefon. Za nimi idzie niewidomy doktor prowadzony przez swą towarzyszkę. Na końcu – ja z dyrektorem, który pomaga mi nieść pojemnik. Oczywiście pistolet schowałam do torby.

Wszystko to wygląda zupełnie naturalnie, i z zachowania się sekretarki, spotkanych w windzie pracowników, portierów i strażników wynika, że niczego nie podejrzewają. Dyrektor poinformował zresztą sekretarkę, że odwozi tylko prezesa na lotnisko i zaraz wraca.

W pierwszym samochodzie jedzie Toszi z Magnusenem i dwóch „goryli” z obstawy prezesa. Drugi samochód prowadzi sam Wein. Ja obok niego z pojemnikiem. Na tylnym siedzeniu doktor z dziewczyną.

Startujemy parę minut po czternastej, a więc nadal niemal zgodnie z planem. Władze są uprzedzone o odlocie prezesa „Alconu” z „towarzyszącymi mu osobami” i niezbędne formalności załatwiają sprawnie, bez żadnych kontroli celnych i indagacji. Słyszę wówczas po raz pierwszy nazwisko tajemniczego ślepcy: Tomasz Quinta – doktor nauk społecznych z Uni-

wersytetu Columbia. Dziewczyna nazywa się Helena Parker i jest jego sekretarką. Nazwisko „Quinta” nic mi nie mówi – dopiero Toszi, już w samolocie, przypomina wywiad opublikowany w „US News and World Report” pół roku temu...

Kabina pasażerska samolotu urządzona jak salon w luksusowym pociągu. Siadamy w wygodnych fotelach, Toszi przy drzwiach do kabiny pilota. Z „gorylami” Magnusena mamy początkowo trochę kłopotu. Zaraz po starcie mówię im jak się mają sprawy i każę oddać broń, ale widocznie traktują ostrzeżenie jako blef, bo kierują pistolety w naszą stronę myśląc, że nas tym przestraszą. Na szczęście Magnusen szybko interweniuje i nie dochodzi do awantury, która musiałaby zakończyć się katastrofą. Broni jednak nie oddają, rozumując niegłupio, że odbieranie jej siłą byłoby dla nas zbyt ryzykowne. Ostatecznie staje na tym, iż chowają pistolety i siadają naprzeciw mnie. Aż do lądowania w Inuto zachowują się zupełnie spokojnie.

Inna sprawa, że robię wszystko, aby ich zniechęcić do wszelkich prób utrudniania nam akcji. Jediną drogą jest oczywiście wykazanie naszej całkowitej determinacji i korzystam z każdej okazji, aby im o tym przypomnieć. Kiedy Toszi z Magnusenem idą do kabiny pilota i zostają sama z tymi drabami, Quintą i jego sekretarką, stawiam sobie na kolanach pojemnik z bombą i mówię:

–Powinniście się modlić, aby się szybko dogadali i Numa nie robił trudności...

–To ty się módl, mała – odszczekuje starszy z „goryli” – bo nie masz szans wyjść z tego cało! Ten twój żółtek...

–Zamknij się! – przerywam mu tym samym tonem. – To co tu mam w tym garnku wystarczy na wszystkich. Ostrzegam!

–Przed czym? Czego właściwie od nas chcecie? – pyta sekretarka Quinty. W głosie jej nie wyczuwam jednak strachu, raczej chęć sprowokowania dyskusji.

–Od was tylko posłuszeństwa, wykonywania poleceń, żadnej gry na zwłokę – wyjaśniam spokojnie ale twardo.

–O co wam właściwie chodzi? Chcecie porwać czy może zabić prezydenta Numę?

Widzę jak niewidomy odnajduje po omacku rękę dziewczyny i ściska jej dłoń. Czyżby dawał jej jakiś znak? Zastanawiam się jak zareagować. Pytanie można zignorować, ale taki podejrzaný ruch może nas wiele kosztować.

–Ręce przy sobie! – podnoszę głos ostrzegawczo. Niewidomy cofa rękę, ale

dziewczyna przytrzymuje ją prowokacyjnie.

–To nieludzkie – mówi, patrząc na mnie z wyrzutem. – Przecież pani wie, że doktor Qu-inta nie widzi.

–Powiedziałaam: ręce przy sobie! Tylko bez kawałów!

–A co mi pani zrobi jeśli nie posłucham? – dziewczyna próbuje sprowokować awanturę, albo chce sprawdzić na co mnie stać.

Nic nie odpowiadam. Wyjmuję z torby pistolet i mierzę w jej nogi.

Chwila napiętego oczekiwania i Quinta gwałtownie wrywa rękę z dłoni dziewczyny. Czy on rzeczywiście jest ślepy? Zastanawiam się jak by to sprawdzić, ale na razie nic mi do głowy nie przychodzi. Nikt się nie odzywa. Tylko przez uchylone drzwi kabiny pilota dobiegają urywki rozmowy prowadzonej przez radio. „Goryle” czujnie śledzą każdy mój ruch. Zdaję sobie sprawę, że nie wolno mi przeciągać struny.

–Martin Barley musi być uratowany, prawda? – odzywa się niespodziewanie Quinta. Po raz pierwszy słyszę jego głos. Jest przyjemny, niski, o nieco śpiewnym brzmieniu.

Ale teraz myślę przede wszystkim o tym, jak trafnie odgadł moje myśli. A w ogóle skąd wie, że chodzi o Martina? Przecież ani ja, ani Toszi nie wymieniliśmy dotychczas ani razu jego nazwiska. Zdaję sobie sprawę, że milczenie może być potraktowane jako potwierdzenie słów Quinty, ale czuję zupełną pustkę w głowie.

Na szczęście wraca Toszi z Magnusenem, wskazuje prezesowi miejsce obok ślepcy i siada

przy mnie. Wreszcie mamy trochę czasu na ocenę sytuacji i uzgodnienie dalszej taktyki. Za czterdzieści minut będziemy nad lotniskiem w Inuto i do tego czasu Wein musi zakończyć pertraktacje z „marszałkiem”.

Wein pozostał na lotnisku w Casablance, aby odegrać rolę mediatora i nie dopuścić do prób odbicia zakładników przez wojsko czy policję. Jest on dostatecznie zorientowany, że nie blefujemy i gotowi jesteśmy spełnić groźbę, a zarazem niewiele może pomóc policji swymi spostrzeżeniami. Magnusen zobowiązał go zresztą do zrobienia wszystkiego co może uratować mu życie, gdy zaś dowiedział się, że chodzi tylko o uwolnienie Martina i Vittoria nie zaś o jakieś zasadnicze zmiany polityczne w Patope, powiedział, że „nie powinno być trudności” i wyraził gotowość poinstruowania Weina przez radio jak ma przekonać Numę, aby spełnił nasze żądanie. Oczywiście Toszi nie jest aż tak naiwny, aby pozwolić Magnusenowi na swobodną rozmowę z Weinem, niemniej pewna forma „współpracy” bardziej sprzyja szybkiemu dogadaniu się niż najbardziej kategoryczne ultimatum.

Nasze żądania nie są wygórowane: Martin i Vittorio wolni, helikopter do naszej dyspozycji, zapas paliwa na pięćset kilometrów, dwa miliony dolarów okupu od „Alconu”. Toszi proponował jeszcze broń i żywność dla partyzantów Magogo, ale dał się przekonać, iż może to niepotrzebnie skomplikować pertraktacje z „marszałkiem”.

Czekając na wiadomość od Weina mogę wreszcie porozmawiać z „Persem” o niewidomym doktorze. Gdy mu powiedziałam, że Quinta wie, po co lecimy do Patope, wcale się nie zdziwił.

–To niebezpieczny facet – szepcze mi nad uchem. – Oblatany jak rzadko kto w tym, co kręcą różni macherzy od polityki. Spec od analizy systemowej i teorii gier. Istny komputer. „Ślepy komputer”. Tak go niektórzy nazywają. Ale tylko głupcy. Musisz go szczególnie pilnować. Podstępny, bardzo sprytny gad. Nikt właściwie nie wie co naprawdę myśli. Ale faktem jest, że służy takim jak Magnusen. I że swego czasu pracował dla IAT, jako doradca. Przypomnij sobie: pół roku temu w „US News”. Wywiad na temat współczesnych organizacji mafijnych. Pamiętasz?

Przypomniałam sobie. Martin podejrzewał wówczas, że ktoś z naszych kapuje... Teraz nabieram pewności, że miał rację.

–Obawiam się, że zdążył nas już rozgryźć – mówię ściszym głosem. – A poza tym coś mi się zdaje, że on nie jest ślepy.

–Jest. Tego jestem pewien – zaprzecza Toszi. – A jeśli wie za dużo, to i tak nie na wiele mu się to przyda. To dla nas większa zdobycz niż Magnusen i już jej z rąk nie wypuścimy.

Znów w głosie „Persa” pojawia się nieprzyjemny ton jakiejś chorobliwej satysfakcji. A poza tym nie lubię jak ktoś za mnie myśli.

–Quinta zamiast Magnusena?... To nonsens.

–Nie zamiast, lecz także – wyjaśnia Toszi.

–Jeśli rzeczywiście jest niewidomy mogą być z nim kłopoty. Zwłaszcza w górach – nie kryję swych wątpliwości.

–Można go załatwić zaraz po wylądowaniu. Partyzanci Magogo nie bawią się z takimi. A może wolisz od razu w Inuto na lotnisku. Można ich zostawić z pojemnikiem, a potem z powietrza zdetonować ładunek... Ja się nie upieram – mówi Toszi pojednawczym tonem, ale w jego oczach dostrzegam złe błyski.

–Oszalałeś? – zaczynam ostrzej. To jedyny sposób, aby mu uświadomić, że nie ma mowy o żadnej samowoli. – Jeszcze nam tylko brakuje trupów. Wyobrażam sobie tytuły w gazetach: „Ohydny mord na niewinnym bezbronny kalece i jego opiekunce” ... Dopiero by ci Martin podziękował!

Toszi patrzy mi w oczy zimno.

–Nie ma niewinnych! To sobie zapamiętaj! A ten doktorek to jeden z najgroźniejszych naszych wrogów. Nie mam zamiaru ustąpić.

–Martin rozstrzygnie – oświadczam kategorycznym tonem. Toszi spuszcza oczy.

–Martin? – mówi z zakłopotaniem. – Nie chciałem cię martwić... ale... w Rabacie przekazano mi gryps od Vittoria. Z Martinem nie jest dobrze, i to nie tylko pod względem fizycznym...

Boję się pytać o szczegóły, a Toszi dobrze wie, co czuję.

–Rozumiesz więc, że nie ma powodu aby się z nimi cackać! – podnosi nagle głos tak, że chyba wszyscy go słyszą.

Nie wiem co chce przez to osiągnąć. Jeśli ma to jeszcze raz zaznaczyć naszą determinację, to nie jest to najfortunniejsze, bo ujawnia rozbieżności między mną a Toszim. Ale nim zdążyłam zwrócić mu na to uwagę już znów bierze się za Magnusena, żądając wydania broni maszynowej, wożonej przez osobistą obstawę prezesa. Magnusen trochę kręci, chyba raczej dla zasady, aby nie stracić twarzy przed „gorylami”, ale gdy Toszi każe mu zdjąć buty, natychmiast mięknie i wskazuje schowek.

Dlaczego buty? Może chodzi o jakąś wschodnią torturę, a może po prostu chwyt psychologiczny, zresztą bardzo skuteczny, bo Magnusen może domyślać się nie wiem czego. Gdyby odmówił? No cóż, w takich sytuacjach scenariusz przewiduje strzelanie po nogach, ale wątpię aby do tego doszło.

W schowku znajdujemy tylko dwa pistolety maszynowe, amunicję i granaty z gazem łzawiącym czy obojętniającym. Jeden automat bierze Toszi i odbezpieczony przewiesza sobie przez prawe ramię, drugi – ja. Amunicję i granaty chowam do torby. Faceci z obstawy muszą czuć się bardzo głupio, lecz aż do lądowania żaden nie otwiera ust.

Wbrew optymistycznym zapewnieniom Magnusena są komplikacje. Myślę, że nie jest to wina Weina, który robi co może, aby zapewnić bezpieczeństwo prezesowi koncernu, ale ma kłopoty z Numą, który zasłania się konwencją o zwalczaniu terroryzmu. Oficjalnie zakomunikował, że nie zgadza się na lądowanie ani też nie ma zamiaru spełniać naszych żądań, gdyż – jakkolwiek życie prezesa „Alconu” jest bardzo cenne i należy uczynić wszystko aby je uratować – każdy sukces rozzuchwała terrorystów i jego następstwem będzie nieuchronnie nowa fala zamachów. Wein twierdzi jednak, że pryncypialność „marszałka” jest przede wszystkim na pokaz i stanowi to punkt wyjścia do przetargów, a nie ostatnie słowo. Rzecz w tym, iż wypuszczenie więźniów i to już skazanych przez sąd, godzi w prestiż Numy, który gotów jest iść na ustępstwa tylko za określone korzyści i zobowiązania ze strony „Alconu”.

Toszi nie podziela mojej wiary w szczerłość Weina. Mówi mu otwarcie, że nie lubi farbowanych lisów i nie radzi opowiadać bajeczek o złym dyktatorze i dobrym koncernie. Żadne przetargi nie wchodzą w rachubę. Za piętnaście minut lądujemy w Inuto, w ostateczności bez zezwolenia, i jeśli dojdzie do katastrofy stanie się jasne komu i dlaczego zależało na śmierci prezesa Magnusena i doktora Quinty. Zielona Międzynarodówka dysponuje materiałami zdobytymi przez Martina Barleya i w dwanaście godzin po naszej śmierci będą udostępnione prasie.

Oczywiście, że Toszi blefuje. Martinowi nie udało się przekazać żadnej konkretniejszej informacji. Ale oni nie są tego pewni.

Zielona Międzynarodówka? Rzecz jasna chodzi o różne organizacje i ruchy protestu przeciw zagrożeniu ekologicznemu. Były próby powołania międzynarodowego zrzeszenia, ale niezbyt udane. „Międzynarodówka” jest tu raczej pojęciem umownym. Nie ogłaszamy, że to akcja Zielonego Płomienia, nie tylko dlatego, że według koncepcji Martina ma to być organizacja głęboko zakonspirowana, ale przede wszystkim dlatego, że jego uwolnienie metodami terrorystycznymi jest sprzeczne z zasadniczym programem „Płomienia”. To akcja nietypowa i firmowanie jej przez Zielony Płomień spowodowałoby mylną interpretację tego do czego zmierzamy.

Muszę przyznać, że taktyka stosowana przez „Persa” jest skuteczna. Gdy wchodzimy w strefę lotniska pilot łączy się z wieżą kontrolną i otrzymuje zezwolenie na lądowanie. Nie ulega wątpliwości, że Wein jest w stałym kontakcie z Numą i natychmiast przekazał mu wyniki rozmowy z Toszim.

Lądowanie przebiega bez żadnych niespodzianek, z tym iż Toszi kieruje kołowaniem, aby ustawić maszynę jak najdalej od budynku portu lotniczego oraz wszelkich innych budynków i samolotów. W ten sposób otacza nas w promieniu około dwóch kilometrów wolna przestrzeń, wykluczająca niespodziewany atak. Zaraz też odzywa się ponownie Wein. W imieniu Numy proponuje „ze względów humanitarnych” nie tylko „ułaskawienie” i „amnestionowanie” skazanych, ale „nawet” przewiezienie Martina do Szwajcarii lub innego wyznaczonego przez nas kraju i umieszczenie w szpitalu psychiatrycznym, gdyż stan jego wymaga opieki lekarskiej, której my nie możemy mu zapewnić. Vittorio, którego stan nie budzi obaw, może być nam przekazany natychmiast po przywiezieniu go na lotnisko, co zajmie około godziny. W tym czasie będzie dostarczony śmigłowiec. Są, niestety, trudności z wypłaceniem żądanej sumy, gdyż dziś jest święto państwowe i wszystkie banki w Patope są zamknięte. W tej sytuacji pieniądze ma przywieźć specjalny kurier z Casablanki, ale to wymaga czasu.

Oczywiście przyjęcie propozycji umieszczenia Martina w szpitalu nie wchodzi w rachubę. Nietrudno się domyślić, o co tu chodzi – kontakt Martina z nami jest dla kogoś bardzo niebezpieczny. Toszi odpowiada Weinowi, że daje pół godziny na spełnienie wszystkich naszych żądań. Po tym terminie, jeśli nie odlecimy z uwolnionymi więźniami i okupem, będziemy zmuszeni sięgnąć do środków ostatecznych – kolejnego rozstrzeliwania zakładników, w piętnastominutowych odstępach czasu. Treść tej rozmowy, przeprowadzonej z kabiny nawigacyjnej przy zamkniętych drzwiach, znam tylko z relacji „Persa” i jestem pewna, że chce po prostu postraszyć Weina, aby nie próbował sztuczek i popędził Numę.

Przez dwadzieścia minut po rozmowie z Weinem nic się nie dzieje. Na lotnisku – żadnego ruchu. Jestem coraz bardziej niespokojna i nie potrafię tego ukryć. Toszi odwrotnie – w chwilach szczególnego napięcia staje się lodowato zimny i przerażająco spokojny. W tym czasie dochodzi między nami do pierwszego spięcia.

Sytuacja nasza jest znacznie trudniejsza niż w powietrzu. Trzeba przecież nie tylko pilnować zakładników, ale i obserwować teren lotniska, a pole widzenia z wnętrza samolotu nie jest pełne. Toszi przekazuje mi treść pertraktacji z Weinem w przejściu do kabiny pilota i poleca, abym dyżurowała przy radiu. Stąd jest dobry widok na znaczną część lotniska i jego budynki. Po kwadransie Toszi zagląda do kabiny i podaje mi puszkę soku przyniesioną z bufetu. Dostrzegł od razu, że jestem zdenerwowana, bo mówi, abym się wzięła w garść, gdyż trzeba rozbroić facetów z obstawy Magnusena. Pytam co zrobimy, jeśli Wein nie dotrzyma wyznaczonego terminu.

–Udowodnimy, że nie rzucamy słów na wiatr... – odpowiada nie wprost, ale nie trudno się domyślić, co chce przez to powiedzieć. – Pozostawiam ci wolny wybór, z tym że Quinta i Magnusen nie wchodzi na razie w rachubę. Będą potrzebni do końca. A jeśli chodzi o pozostałą czwórkę, to jeśli masz jakieś moralne wątpliwości, możesz ustalić kolejność drogą losowania...

Wiem, że nie żartuje i myślę, że chce mnie w ten sposób wypróbować. Oświadczam, iż się do tego nie nadaję, że nie potrafię zabić nawet kury, a w ogóle nie widzę sensu takiej zbrodni, która obróci przeciw nam całą opinię światową i zdyskredytuje organizację. Ale Toszi nawet nie próbuje dyskutować.

–To bardzo źle, że nie rozumiesz o co tu idzie... – mówi zimno. – A na agitację nie ma teraz czasu. Odmawiasz? Trudno, znajdę kogoś, kto cię zastąpi.

Chyba kpi, lecz z twarzy jego nic nie mogę wyczytać. Gdy wraca do „salonu”, idę za nim i stoję w drzwiach. Widzę, że podchodzi do siedzącego pod przeciwległą ścianą Magnusena, chwilę przygląda mu się w milczeniu, potem zdejmuje z ramienia automat i pyta:

–Magnusen, znasz tę broń? Byłeś przecież oficerem w Wietnamie... Umiesz strzelać, prawda?

–Umiem – jąka niepewnie Magnusen.

–To dobrze – stwierdza Toszi i... podaje mu pistolet. Będziesz moim „gorylem”. Strzelaj do każdego, kto mnie spróbuje zaatakować. Od tego zależy przecież twoje życie. Nie zapominaj co ja mam w ręce, a ty w kieszeni...

Teraz rozumiem do czego zmierza Toszi i muszę przyznać, że patrzę na niego jednocześnie z podziwem i zgrozą. Stoję nadal w drzwiach kabiny pilota, tak iż mogę widzieć teren lotniska od strony budynków dworca, a jednocześnie wewnątrz „salonu”.

Toszi podchodzi teraz do „ochroniarzy” i unosi znacząco rękę z nadajnikiem.

–No, chłopcy, oddajcie broń! Inaczej wasz szef będzie zmuszony puścić serię. I to nie po nogach. Prawda, Magnusen?

–Zróbcie, co on każe – potwierdza prezes z tłumionym lękiem.

Starszy z facetów wyjmuje pistolet i rzuca na podłogę pod nogi „Persa”. Młodszy jakby się wahał, lecz przynaglony przez Magnusena z niechęcią idzie w jego ślady.

Toszi poleca mi zebrać pistolety i wrócić na punkt obserwacyjny w drzwiach kabiny nawigacyjnej. Potem każe pilotowi opuścić schodki i wychodzi z Magnusenem na zewnątrz, aby mieć w polu widzenia cały teren wokół samolotu.

Na dwie minuty przed wyznaczonym terminem znów odzywa się Wein. Oświadcza, że dla przyspieszenia operacji Martin i Vittorio będą przywiezieni helikopterem – tym samym, którym mamy odlecieć. Śmigłowiec z Vittorio jest już w drodze do więziennego szpitala, skąd ma być zabrany Martin. Powiadamiam o tym „Persa” sugerując, aby przedłużył nieco wyznaczony termin.

–Dwanaście minut i ani chwili dłużej – odpowiada krótko, a potem dodaje: – Do twojej wiadomości: musimy wystartować najpóźniej na godzinę przed zmrokiem. A zmrok zapada tu wcześnie...

Powiadamiam Weina o dwunastominutowej prolongacie. Próbuje mnie przekonywać, że termin jest nierealny, ale się wyłączam. Taktyka „Persa” jest chyba słuszna. Oczywiście, spełnienie groźby nie powinno wchodzić w rachubę, jednak pójdzie na zbyt daleko idące ustępstwa rozzuchwali przeciwnika. W nocy może nastąpić atak, któremu nie będziemy umieli zapobiec, a skończyć się on musi śmiercią wszystkich i to bezsensowną, bo nie uratujemy Martina i Vittoria. Z drugiej strony wszystko wskazuje, że „Alcon” i Numa grają na zwłokę, a w tym czasie IAT przygotowuje atak. To dla oddziałów specjalnych IAT gratka, bo dawno nie mieli okazji do akcji. Próbują też z pewnością rozgryźć zasadę działania radioza-palnika, ale z tym trudniejsza sprawa: jeśli nawet zidentyfikowali sygnał ciągły i nie trudno go imitować, skąd mogą wiedzieć, czy eksplozję powoduje przerwanie sygnału, zmodulowanie, czy drugi dodatkowy sygnał. Oczywiście mogą próbować zniszczyć nadajnik, lecz jeśli strzał będzie niecelny?

Patrzę na zegarek: termin już mija, a radio milczy. Grają na zwłokę, aby nas zmusić do odsłonięcia kart. Chcą sprawdzić, czy gotowi jesteśmy spełnić groźbę. Próba skalkulowana na zimno: zabiją czy nie zabiją?...

Nie chcę wierzyć, aby Toszi był zdecydowany z zimną krwią zabić człowieka, a tym bardziej zmusić Magnusena do zbrodni. Z pewnością chodzi o jakieś przemyślnie zagranie, którego nie może ujawnić przed czasem nawet przede mną abym się nie zdradziła.

W otwartych drzwiach przedsionka pojawia się Magnusen.

–Mills, chodź tu na dół. On coś od ciebie chce... – mówi do starszego z „goryli”. Ten wstaje z fotela z ociąganiem, widać nie czuje się pewnie, ale idzie za Magnusenem. Słyszymy jak schodzą po stopniach na płytę. W samolocie panuje całkowita cisza.

Kroki oddalają się. Toszi coś mówi rozkazującym tonem, ale nie mogę zrozumieć słów. Wszyscy nasłuchują z niepokojem. Nagle Toszi krzyczy: „Strzelaj!”, słychać głos Magnu-sena, potem znów rozkazujący wrzask „Persa” i krótka seria z pistoletu maszynowego.

Następuje cisza. Czas płynie a nikt się nie porusza, ani nie mówi słowa. Tylko palce dziewczyny ściskają nerwowo dłoń niewidomego.

Ta cisza mnie przeraża. Nie wiem, co dzieje się na płycie, a przecież wystarczy odwrócić się, wejść do kabiny pilota i spojrzeć w dół... Ale tego uczynić mi w tej chwili nie wolno. Muszę stać tu w drzwiach z odbezpieczonym pistoletem maszynowym i czekać aż wróci To-szi z Magnusenem... Bo przecież rozsądek mówi, że nie ma innej możliwości. Tak mija kolejne piętnaście minut...

Wreszcie znów słyszę zbliżające się kroki, skrzypią schodki i w drzwiach pojawia się Magnusen. Jest śmiertelnie blady. Patrzy chwilę na mnie jakby mnie pierwszy raz zobaczył, a w oczach jego dostrzegam strach.

–Co z Millsem? – pyta „ochroniarz”.

–Uciekł – odpowiada z trudem Magnusen i patrzy nadal na mnie.

–Magnusen! – słyszę głos „Persa” z przedsiionka. – Co się tak grzebiesz? Dawaj tu tego młodego „gliniarza”. Albo dziewczynę doktorka, jeśli wolisz.

Po głosie i doborze słów poznaję, że ogarnęła go znów niebezpieczna euforia.

–Niech pan siada! – mówię rozkazująco do Magnusena. – A ty – zwracam się do młodego „ochroniarza” – ręce na głowę i do wyjścia!

Niedwuznacznym gestem kieruję lufę automatu w jego pierś. Magnusen z wyraźną ulgą opada na fotel.

–Co tu się dzieje? – w drzwiach „salonu” pojawia się Toszi.

–Zdaje mi się, że twojemu „osobistemu gorylowi” wysiada serce – mówię starając się nadać głosowi jak najbardziej zdecydowany ton. – Musisz się nim zająć i

przypilnować reszty towarzystwa. Ja się zajmę tym młodym! No, jazda! – popycham „goryla” ku wyjściu.

Toszi patrzy na mnie z uwagą. Jego euforia znika – jest znów lodowato spokojny.

–Przemyślałaś? – pyta bezbarwnym tonem.

–Przemyślałam – potwierdzam patrząc mu w oczy.

–No, to już! Pamiętaj o Martinie! – dorzuca za mną.

Schodzimy po schodach na płytę. Pod skrzydłem leży Mills, twarzą ku ziemi, w kałuży krwi. A więc nie mogę mieć już żadnej wątpliwości.

–Niech pani strzela – mówi z nienawiścią „goryl” i opuszcza ręce.

–Nie tutaj! Naprzód, w kierunku dworca! – rozkazuję podniesionym głosem, tak aby To-szi mnie słyszał. – Ręce na głowę! Żadnych sztuczek! – wciskam silniej lufę w jego plecy.

Sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Facet zdaje sobie sprawę, że czeka go ten sam los co Millsa i jeden mój nieopatrzny ruch, a rzuci się na mnie. To dobrze wyszkolony zawodowiec... Muszę jednak ryzykować. Na szczęście, czując automat za plecami, wykonuje na razie moje polecenia, czekając na okazję.

Wychodzimy na otwartą przestrzeń przed samolotem. Jestem pewna, że Toszi obserwuje mnie z kabiny pilota. Odeszliśmy już dość daleko od wejścia i wątpię aby mógł słyszeć mój głos.

–Niech pan idzie dalej naprzód – mówię dość wyraźnym szeptem. – Kiedy zacznę strzelać niech pan padnie i udaje zabitego. Trzeba to zrobić bardzo naturalnie, bo nas obserwują.

Zwalniam kroku, tak aby odsunąć lufę od pleców „ochroniarza”, a jednocześnie zasłonić je od strony samolotu. Toszi nie może przecież dostrzec, że strzały są niecelne.

Puszczam serię tuż pod pachą „goryla”, tak iż pociski szarpią brzegi jego marynarki. „Ochroniarz” podskakuje, wygina się gwałtownie i pada na wznak, niczym zawodowy aktor. Parę i sekund jeszcze się porusza, potem zamiera. Stoję nad nim przez chwilę, jakby się wahając co robić dalej, wreszcie zwracam się w kierunku samolotu. Za szybą kabiny pilota To-szi. Macha do mnie ręką, wskazując na niebo.

Ogłuszona wystrzałami, teraz dopiero słyszę warkot helikoptera, nadlatującego od strony miasta. Ukrywam się pod kadłubem czekając na dalszy bieg wydarzeń – może to być przecież śmigłowiec z komandosami.

Helikopter zniża lot, okrąża samolot w niewielkiej odległości. Jest to nieduży aerobus ze znakami firmowymi „Alconu”. Maszynę pilotuje młody Murzyn, obok niego to chyba Vitto-rio. Spotkałam go tylko raz, w ubiegłym roku w Rzymie, ale zapamiętałam dobrze jego twarz. Bardzo się zmienił.

Helikopter siada w odległości dwudziestu metrów od samolotu, od strony schodków. Podbiegam do maszyny – jestem bardzo niespokojna o Martina. Jest – oddycham z ulgą. Martin siedzi w głębi przedziału pasażerskiego i patrzy w zamyśleniu przed siebie. Jest bardzo blady i chyba opuchnięty na twarzy.

Pilot rozsuwa ścianę z pleksiglasu i opuszcza schodki, a Vittorio wyskakuje na ziemię. Wciskam mu w rękę automat i już jestem przy Martinie. Teraz wiem, że to nie jest zamyślenie. Martin mnie nie dostrzega. Siedzi nieruchomo, jak manekin. Prawa ręka w gipsie, lewa dłoń zabandażowana.

–Martin! To ja, Agni!

Stoję na wprost niego, a on patrzy na mnie, czy może gdzieś poza mnie i tylko nieznacznie porusza wargami, jakby chciał coś powiedzieć.

Dotykam delikatnie palcami jego policzka, gładzę go po włosach. Zupełnie nie reaguje na tę pieszczotę. On chyba w ogóle nie wie gdzie się znajduje. Czuję, że gdyby w tej chwili był w naszych rękach Numa pożałowałby, że jeszcze żyje...

–Coście z nim zrobili! – przyskakuję do Murzyna.

Patrzy na mnie z niepokojem, ale i współczuciem.

–Ja nic nie wiem. Ja pracuję w „Alconie”...

W tej chwili w drzwiach samolotu pojawia się Magnusen, obładowany puszkami i butelkami zabranymi z bufetu. Wyskakuję z helikoptera i podbiegam do schodków,

wyciągając z torby pistolet.

– Zapłacisz za to, Magnusen! – kieruję broń w jego brzuch, ale idący za nim Toszi natychmiast zasłania go sobą.

– Spokojnie, „Andy”! – rzuca ostrzegawczo. – Podzielam twój gniew, ale on nam jeszcze będzie potrzebny.

– Nie widziałeś, co oni zrobili z Martinem!

– Nietrudno się domyślić... – Toszi jest znów przerażająco spokojny, a ja wiem, co to oznacza.

Z samolotu wychodzi Quinta prowadzony przez sekretarkę i pilot z pojemnikiem-bombą. Za nimi Vittorio z pistoletem maszynowym. Toszi podchodzi do mnie i mówi.

– Pieniądze w drodze, ale już dłużej czekać nie możemy. Za godzinę zapadnie zmrok i mogą nas wykołować. Poza tym lot w nocy w górach może być niebezpieczny. O okup i to większy będziemy się zresztą jeszcze targować. Zabieramy ze sobą Magnusena i Quintę. W zasadzie wystarczy Magnusen, aby nas nie zaatakowano w powietrzu, ale Quinta to facet za którego zapłaci okup nie tylko „Alcon”. Pilota samolotu zwalniamy, niech wiedzą, że potrafimy być wspaniałomyślni. Jeśli chodzi o dziewczynę to pozostawiam twojemu uznaniu: być może warto ją zabrać, ze względu na Martina. Jest nie tylko sekretarką ślepego, ale i pielęgniarką. To zresztą chyba coś więcej niż pielęgniarka, bo sama prosiła, aby ich nie rozdzielać.

Podchodzę do dziewczyny:

–Chodź, zobacz co twoi przyjaciele potrafią zrobić z człowiekiem! – pociągam ją w kierunku helikoptera. Idzie za mną bez oporu, nie wypuściła jednak ręki ślepcy, tak iż po chwili wszyscy troje jesteśmy we wnętrzu aerobusu.

Dziewczyna bada rękę Martina, przygląda się gałkom ocznym, sprawdza odruchy.

–Typowe objawy katatonii – orzeka niezbyt pewnie.

–Czy nie sądzisz Ellen, że to może być chwilowe działanie jakichś środków? – odzywa się milczący dotąd Quinta.

–Niewykluczone – zgadza się dziewczyna. – Trzeba poczekać.

–Czy widać jakieś zewnętrzne obrażenia?

–Chyba złamanie prawej ręki i uszkodzenie palców lewej.

Przez twarz niewidomego przebiega skurcz. Wydaje się wstrząśnięty.

–Martin Barley jest dla pani kimś bardzo bliskim, prawda? Przepraszam, że pytam...
– mówi do mnie łagodnie. – Poznałem kiedyś doktora Barleya i bardzo go cenię.

Ale Toszi, który już ulokował Magnusena na przednim siedzeniu z pojemnikiem na kolanach, i stoi teraz w przejściu instruując pilota helikoptera, „gasi” Quintę z miejsca:

–Zamknij się, lisie. Wiemy, że interesowałeś się Barleyem i dlaczego!

Vittorio zasuwa drzwi i zajmuje miejsce obok pilota.

–Startuj! – mówi Toszi do Murzyna i siada obok Magnusena. – Gdzie mieszczą się wasze zakłady chemiczne, tu w Inuto? – zagaduje prezesa jakby od niechcienia, lecz w głosie jego wyczuwam nowy przyływ euforii.

–Na północ od centrum, tam gdzie... – Magnusen urywa w pół zdania.

–To po drodze – stwierdza Toszi z satysfakcją i zwraca się do pilota: – No, chłopcze, wiesz z pewnością gdzie zakłady „Alconu”. Chcielibyśmy je zobaczyć z bliska. Dla prezesa koncernu to szczególna okazja, być może ostatnia...

Silnik nabrał już pełnej mocy i wznosimy się w powietrze.

W dole dostrzegam sylwetkę człowieka idącego od samolotu w stronę innej sylwetki

ludzkiej, leżącej na płycie...

Przelatujemy nad miastem – nowoczesnym centrum i rozległymi dzielnicami peryferyjnymi, zabudowanymi bezładnie parterowymi domkami czy wręcz szałasami. Po paru minutach jesteśmy nad zakładami „Alconu”. Długie hale, wieże chłodnicze, ogromne zbiorniki, płatanina rur – ponury obraz cywilizacji XX wieku.

Toszi każe zatrzymać maszynę nad największym ze zbiorników.

–Ciężko ci pewnie, prezesie? – zwraca się do Magnusena. – Chętnie pozbyłbyś się tego ciężaru. Proszę bardzo. Możesz to wyrzucić. Zaraz, na mój znak. I nie wolno ci się spóźnić, bo wszyscy wylecimy w powietrze. Vittorio, odsuń trochę drzwi, żeby prezes się nie trudził. A ty, chłopcze, natychmiast poderwiesz maszynę i w nogi... No, już! Otwieraj! A ty rzucaj! No, już!

Wszystko to przebiega tak szybko, w takim tempie padają rozkazy, że nikt nie zdołał nawet się zastanowić czy wręcz zawahać.

Gwałtowne poderwanie maszyny, jasny błysk gdzieś w dole, potem potężne szarpnięcie...

Słup dymu widzimy jeszcze chyba wtedy, gdy jesteśmy już z dziesięć kilometrów za miastem.

Toszi każe mi wyjąć z torby mapę i pokazać pilotowi gdzie ma lecieć i wylądować. Chłopak bystry, chętny do współpracy, dobrze wyszkolony i świetnie zna teren. Ale gdy wskazuję mu kotlinę Timu w Górach Żółtych patrzy na mnie z lękiem i zaczyna się jąkać, że „to zły plan” i on nas tam nie dowiezie. Mówię, że mapa jest dobra, a dowieźć nas musi, bo nie ma innego wyjścia. Wtedy prostuje, że nie chodziło mu o mapę, lecz o trasę lotu.

–Tedy człowiek nie przejdzie, a ptak nie przeleci... – zakreśla palcem szeroki krąg, biegnący szczytami Gór Żółtych poprzez górne partie Doliny Martwych Kamieni i dalej przez granicę z Dusklandem, aż po Cameo, do którego podobno dotarł Martin.

–Ale my przelecimy. Jestem pewna, że twój „marszałek” nawet nie będzie próbował nas zatrzymać – próbuję wytłumaczyć chłopakowi, lecz on cały czas kręci przecząco głową i żadne argumenty do niego nie docierają. Toszi ma tego dość i poczyną grozić pilotowi, że mu „łeb rozwali” jeśli zmieni kurs i wyląduje gdziekolwiek poza wyznaczonym terenem.

Okazuje się jednak, iż Murzyn wcale nie jest strachliwy i niewiele się przejmuje groźbami. Mówi, że nazywa się Patryk Lumumba Mathubo, a dla przyjaciół Pat Lu, i nie boi się śmierci. Jest z plemienia Magogo i chętnie by dostał się do swoich. Co więcej, ma w kotlinie Timu narzeczoną. Rzecz jednak w tym, iż poprzez „niewidzialny krąg” otaczający kotlinę nikt przelecieć ani przejść nie może, a ci którzy próbowali – zginęli. Dlaczego tak się dzieje, on wie, ale z białymi nie będzie o tym rozmawiał, bo „ciągną za słowa, a potem robią z człowieka nieuka i idiotę”.

Oczywiście domyślamy się od razu, że chodzi tu o zagadkową „skażoną strefę”, ale nie spodziewaliśmy się, że przeszkoda jest aż tak poważna. Należy wy badać dokładniej Patryka, co wie na ten temat i muszę przyznać, że Toszi robi to nad podziw umiejętnie. Ułatwia mu sytuację fakt, że nie jest białym, co nie omieszkał podkreślić w rozmowie z Patrykiem. Od tej też chwili chłopak poczyną go tytułować „szefem”.

To, co mówi pilot, nie jest wcale pocieszające. Zdaniem czarnych mieszkańców Patope Kotlinę Timu otacza krąg opanowany przez duchy, które w ten sposób chronią plemię Mago-go przed żandarmami marszałka Numy i komandosami dusklandzkich rasistów. Duchy te wstępują w ciało ludzkie a także niektórych zwierząt i ptaków. Nikt im nie potrafi się oprzeć, ale szczególnie groźne są dla białych. Człowieka ogarnia śmiertelny strach, wszystko się wokół zmienia, pojawiają się przerażające zjawy. Każdy człowiek czy zwierzę ucieka z tego świata demonów, a już o prowadzeniu samolotu czy śmigłowca w ogóle nie ma mowy, bo duchy nie tylko mają zmysły, ale także zmieniają wskazania przyrządów pokładowych.

–Halucynacje, to jasne – stwierdza Toszi. – Ale damy sobie z tym radę. Przelecimy niebezpieczny obszar z pomocą pilota automatycznego, a w razie gdyby ktoś z nas dostał szalu mamy rozpylacz z gazem obezwładniającym.

–Nie wiem, szefie, czy to się uda. – Patryk jest nadal zatroskany. – Słyszałem, że byli tacy co próbowali z auto-pilotem i też zginęli.

–Kto ci to mówił?

–Koledzy z bazy transportowej.

–Mogły to być celowo rozpuszczane plotki. Trzeba spróbować, nie mamy innego wyjścia. W razie ostrzejszych objawów zawrócimy. A może uda się przeskoczyć górą, na dużej wysokości? Jaki jest pułap tej maszyny?

–Mówiono, że tego nie da się przeskoczyć, że to się jakoś zamyka od góry...

–Panno Radej! – słyszę za sobą głos Ellen. W pierwszej chwili zupełnie nie uświadamiam sobie, że zostałam zdekonspirowana, tak bez reszty opanowała mnie obawa, że coś złego dzieje się z Martinem. Ale stan Martina nie uległ zmianie. To Quinta chce ze mną porozmawiać, a ściślej – prosi abym skłoniła „Persa” do rozważenia z nim „pewnych nowych aspektów sytuacji”.

Toszi nadspodziewanie bez oporów przyjmuje ofertę rozmowy, jakby nawet czekał na nią.

–Zdaje się doktorek zaczyna się bać i gotów jest puścić farbę... – komentuje wiadomość i przysiada się do Quinty. – No, o co chodzi doktorze? – pyta bynajmniej nie zaczepnym tonem.

–Słyszałem waszą rozmowę z pilotem – rozpoczyna Quinta. – Mam „niestety” bardzo dobry słuch. To cecha ślepców. Otóż chce pan przebić się przez Vortex P (pierwszy raz słyszę ten termin) z pomocą autopilota. Nie radzę, gdyż istnieją dowody, że na tym obszarze występują nie tylko zaburzenia psychiczne, ale i silne, choć krótkotrwałe zakłócenia w funkcjonowaniu układów elektronicznych. Co prawda, autopilotem kieruje urządzenie mechaniczne – żyroskopy, ale przecież układ sterowania oparty jest na przekaźnikach elektronicznych.

–Jaki mam dowód, że pan nie blefuje?

–Proszę lecieć skrajem strefy i obserwować przyrządy. Ale to nie wszystko. Domyślam się na jakiej zasadzie działa zapalnik pańskiej bomby. Jest ona dobrze zabezpieczona przed

obcą niepożądaną ingerencją, przypadkowymi sygnałami, czy zakłóceniami. Inaczej jest z nadajnikiem: do realizacji programu wystarczy, aby pan zdjął palec z przycisku.

–Przy przekroczeniu pierścienia mogę wyłączyć nadajnik – zgadza się Toszi. – O tym sam pomyślałem.

–To nie wystarczy – podejmuje Quinta, tonem egzaminatora, ale Toszi pozostaje nadal niewzruszenie spokojny. – Już na skraju strefy mogą wystąpić zmiany w działaniu układu elektronicznego. Czy jest pan pewny, że nie może nastąpić niezamierzone wysłanie sygnału odpalenia ładunku? Bardzo niewiele wiemy jeszcze o składowych fizycznych Vortexu P! Chyba się rozumiemy? I jeszcze jedno: jeśli zdecydujecie się jednak forsować strefę, niech pan zbierze wszelką broń, łącznie z pańskim nadajnikiem, i to wszystko gdzieś zamknie, a jeszcze lepiej rozmontuje. I nie ufa nawet sobie. Były już wypadki strzelania w stanie obłądu do własnych kolegów... A nas może pan kazać związać.

„Nie widzi drogi, ale rzadko błądzi” – przypominają mi się słowa tajemniczego człowieka spotkanego w Bramie Izarskiej. Czyżby odnosiły się one do doktora Quinty? A może ci dwaj ludzie działają wspólnie dla IAT lub jakiejś innej tajnej instytucji? Może znali nasze plany i z góry wiedzieli obaj jak potoczą się wydarzenia? Quinta zna przecież moje nazwisko... Ale czy to możliwe, aby reżyseria zdarzeń sięgała aż tak daleko? Poczynam żałować, że nie spytałam dotąd „Persa”, czy zna faceta o nazwisku Oriento i nie opowiedziałam mu o dziwnej rozmowie w przededniu odlotu do Casablanki. Ale tempo wydarzeń było tak szybkie, tak mało było chwil na rozmowę w cztery oczy, że zapomniałam zupełnie o tym, bądź co bądź marginesowym incydencie.

Tymczasem Toszi, nie odpowiadając na sugestie Quinty, wstaje z fotela i wraca na miejsce obok pilota, zasuwając drzwi do przedziału pasażerskiego. Przez szybę widzę, że naradza się z Vittorio, a potem wyjaśnia coś na mapie Patrykowi. Helikopter zmienia nieco kurs.

Quinta jest niespokojny i szuka ręki Ellen.

–Miejmy nadzieję, że wyłączył nadajnik... – mówi cicho.

–Co by pan zrobił na naszym miejscu? – pytam może trochę naiwnie. – Przecież jedyne miejsce gdzie Barley może być bezpieczny to Kotlina Timu...

–Tak pani sądzi? – zawieszają głos. – Powiem pani, co bym zrobił na waszym miejscu. Chociaż wątpię abyście z tego skorzystali, gdyż macie prawo podejrzewać, że chcę was wyprowadzić w pole – podejmuje po chwili. – Istnieje możliwość przedostania się

na teren opanowany przez partyzantów Magogo od strony Dusklądu. Tam również występują zaburzenia psychiczne, halucynacje i lęk. Ale o nieco mniejszym nasileniu niż od strony południowej. Tędy próbował przejść doktor Barley. To chyba wiecie?

–Wiem. I tam go aresztowano!

–Pani jest w błędzie. Aresztowano go w hotelu w Inuto, już po powrocie z Dusklądu. Otóż na waszym miejscu próbowałbym o zmroku przelecieć granicę i wylądować w rezerwacie małp człekokształtnych. Stamtąd już niedaleko do Cameo. Oczywiście jest niebezpieczeństwo ataku ze strony oddziałów pogranicznych czy komandosów dusklandzkich, ale jeśli nie macie wyboru...

Wstaję, aby powiedzieć o tym „Persowi”, ale w tej chwili silnik helikoptera poczyna się gwałtownie krztusić i tracić moc.

Lecimy na wysokości około stu metrów nad dość płaskim terenem, porośłym kolczastymi krzewami i spragnioną wody trawą. W zasięgu wzroku nie widać żadnych osiedli ludzkich. W dali na horyzoncie wznoszą się Góry Żółte.

Silnik zamiera. Aerobus opada teraz w dół dość łagodnie dzięki autorotacji.

–Co ty wyprawiasz?! Włączaj rozrusznik! – wrzask „Persa” przerywa chwilową ciszę.

Ale mimo wysiłków pilota silnik nie chce już zaskoczyć. Helikopter „siada” ciężko w buszu. Rotor błyska jeszcze chwilę w ukośnych promieniach słońca i staje.

4.

Noc zapada szybko i Pat Lu niewiele może zdziałać, choć jak wynika z jego poczynań, jest zdolnym mechanikiem. Nie ulega wątpliwości, że awaria nie może być spowodowana oddziaływaniem vortexu, gdyż od wylotu Doliny Martwych Kamieni, skąd z naszej strony prowadzi najkrótsza droga w Góry Żółte, dzieli nas jeszcze co najmniej dwadzieścia kilometrów. Szybko zresztą pilot wykrywa przyczynę zatrzymania się silnika. Stary sposób: cukier w paliwie, z tym iż nie wsypano go bezpośrednio do zbiornika, lecz w kapsułkach z tworzywa sztucznego rozpuszczającego się w benzynie. Resztki ich znajduje Patryk w filtrze.

Z relacji pilota wynika, że paliwo po raz ostatni uzupełniano na terenie wojskowego więzienia, pod nadzorem żandarmów Numy, gdy oczekiwano na Martina. Oskarżamy więc „marszałka” przez radio o sabotaż i żądamy przysłania natychmiast nowego helikoptera, grożąc w razie odmowy lub zbyt długiej zwłoki egzekucją Magnusena.

Niestety, ani port lotniczy w Inuto, ani baza transportowa „Alconu” nie odpowiadają, chociaż Toszi twierdzi, iż nadajnik działa prawidłowo. Nie odbieramy też żadnych rozmów radiowych i wygląda na to, że zarządzono całkowitą ciszę na falach krótkich. Tylko rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne w Patope i Dusklandzie nadają swój zwykły program, nie podając jednak żadnych wiadomości na nasz temat. Dopiero w dzienniku wieczornym radio i telewizja w Patope ogłaszają lakoniczny, jednobrzmiący komunikat o uprowadzeniu prezesa „Alco-nu” przez „terrorystów japońskich”, lądowaniu ich na lotnisku w Inuto i odlocie „prawdopodobnie do któregoś z sąsiednich krajów” oraz o „incydentach”, w wyniku których doszło do eksplozji w zakładach „Alconu”. O uwolnieniu Martina i Vittoria, ani też o porwaniu Quinty nie ma ani słowa.

Wiadomości przekazane przez rozgłośnie dusklandzką są obszerniejsze, chociaż również niezbyt ściśle. I tu spiker mówi o „terrorystach japońskich”, prawdopodobnie byłych członkach „Czerwonej Armii”, ale przedstawia skrótowo przebieg pertraktacji o uwolnienie Martina Barleya i jego towarzysza, a jako zakładników wymienia również Quintę i jego sekretarkę. Jest też wzmianka o „sprzecznych doniesieniach” na temat „mordu dokonanego na członkach ochrony osobistej prezesa koncernu”. Oddycham z ulgą, że nie będę musiała teraz, w tej napiętej sytuacji tłumaczyć „Persowi”, dlaczego go oszukałam.

Wiele uwagi poświęca spiker dusklandzki „atakowi” na zakłady chemiczne „Alconu”. Zrzucenie bomby z helikoptera uznano za początek nowej fali aktów terroru, domagając się usankcjonowania prawa do „obrony własności prywatnej i narodowej” co w rozumieniu rozgłośni ma oznaczać zakaz przelotu samolotów i

helikopterów nad prywatnymi i państwowymi terenami, z prawem strącania intruzów bez uprzedzenia. Liczby ofiar eksplozji nie podano, ograniczając się do ogólnikowego stwierdzenia, że „są ranni i zabici”.

Czekam na dalszy rozwój wydarzeń z coraz większym niepokojem. O dziewiątej zmieniam Vittoria, patrolującego teren wokół helikoptera. Noc jest ciemna, bezksiężycowa i zaczyna robić się chłodno. Ciemny płaszcz otrzymany od „Persa” jeszcze w Casablance nie tylko świetnie maskuje, ale i chroni przed zimnem. Zarzucam kaptur na głowę i kryję się wśród wysokich krzewów, bardziej obawiając się ukąszeń owadów i węży niż ataku komandosów. O tym, że busz tętni własnym nocnym życiem, sygnalizują dochodzące zewsząd dźwięki – bzykania, cykania, brzęczenia, a nawet chroboty – potęgowane ciszą. Od aerobusu dobiegają mnie niewy-

raźne odgłosy rozmowy i nadawanych komunikatów radiowych. Wszystkie światła są wyłączone, ale jarząca się skala aparatury radiowej wypełnia wnętrze helikoptera bladą poświatą.

Czas biegnie wolno. Wyczerpanie nerwowe po tak ciężkim dniu daje coraz wyraźniej znać o sobie. Staram się nie zasnąć na stojąco i systematycznie przemierzam niewielki odcinek między dwiema gęstszymi kępami zarośli, pozwalając sobie tylko na krótkie postoje. Widocznie jednak moja odporność na zmęczenie jest dość ograniczona, bo w czasie takich postojów raz po raz łapię się na tym, że zasypiam.

Około północy zjawia się Toszi. Myślałam, że przyszedł mnie zmienić, ale oświadcza, że nie może odejść od radia i muszę jeszcze wytrwać, bo Vittorio zasnął dopiero godzinę temu i nie chce go już teraz budzić. Potem robi się jakiś sztywniejszy i mówi, że przyszedł właściwie po to, aby „usłyszeć co ja mam do powiedzenia”.

Przypuszczam, że chodzi mu o to czy czegoś nie zauważyłam, więc mówię, że na razie spokój, no i że może byłoby lepiej zakryć czymś skalę, bo poświata jest widoczna. Wysłuchał, przytaknął i pyta dalej:

–Czy to już wszystko co masz mi do powiedzenia?

Przychodzi mi do głowy, iż mogę teraz zapytać go o „jasnowidza” z Monachium.

–Czy wiesz coś o takim facecie, który nazywa się Oriento?

Nie widzę w ciemnościach jego twarzy, ale czuję, że go zaskoczyłam pytaniem.

–Oriento? – powtarza i jakby się zawahał. – Mówisz o tym wydawcy? Geszefciarz – stwierdza lekceważąco. – Zbił majątek na tumanieniu ludzi. Brukowe sensacje, pseudonaukowe cuda, media, duchy, UFO, zielone ludziki... Trochę maniak, chyba nieszkodliwy – łagodni w końcu opinię.

–Poznałam go wczoraj w Monachium. Mówił dziwne rzeczy...

–Nie przywiązuj do tego wagi. Lubi zgrywać się na Cagliostro...

–Ale on mówił coś, co by świadczyło, że wie dokąd i po co lecę...

–To złudzenie. Bzdura. Facet ciągnął cię umiejętnie za język, nic poza tym. Nie przejmuj się!

Toszi wyraźnie stara się zbagatelizować sprawę i nie chce podejmować tematu.

Milczę zastanawiając się, jakie są tego przyczyny.

–Chciałbym usłyszeć od ciebie wyjaśnienie w innej sprawie – podejmuje nagle zimnym tonem. – BBC podało dość wierną relację z wydarzeń na lotnisku w Inuto... – urywa wyczekująco.

Wydaje mi się, że spływa na mnie fala gorąca.

–Nie mogłam inaczej – odpowiadam szczerze. – Musisz zrozumieć.

–Co mam zrozumieć? Że podstępnie wyprowadziłaś mnie w pole? Do tego spiskując z Magnusenem. I to dla „gliniarza”, który z zimną krwią rozwaliby ci łeb, gdyby tylko mógł. To facet z IAT, pracował tam zanim przyszedł do „Alconu”.

–Ostatecznie, nic się nie stało. Byli pewni, że go zabiłam. Powinieneś mnie pochwalić, że osiągnęłam cel nie mnożąc trupów! – przechodzę do ataku.

Chwyta mnie za łokieć i ściska aż do bólu.

–Nic nie rozumiesz albo udajesz, że nie rozumiesz! Moralność drobnomieszczan... Wydaje im się, że życie ludzkie to najwyższe dobro. „Nie zabijaj”, „kochaj bliźniego swego...” i temu podobne bzdury. Stąd krok tylko do uznania za najwyższe dobro życia spokojnego, beztroskiego, dostatniego... bez celu, bez idei... Życia dla którego ochrony wolno nawet zdradzać i spiskować z wrogami. A potem lamentują i przeżywają stresy, gdy się okazuje, że owo życie spokojne to życie niewolnika, którego w każdej chwili może zdeptać czy postawić pod mur taki Numa czy Magnusen. Ale nie czas teraz na wykłady. Nie w tym zresztą rzecz, iż nie zabiłaś, ale że mnie oszukałaś. To oznacza zdradę!

–Dlaczego zaraz zdradę? – oponuję z oburzeniem.

–Zdradę zasady jaką jest jedność naszego działania. Fakt, iż nie mogę mieć do ciebie zaufania, że możesz w każdej decydującej chwili zawieść, zdradzić, dogadać się z wrogiem,

może mieć dla naszej akcji katastrofalne skutki. Jeśli mogłaś popełnić zradę dla „gliny”, to na co byłabyś gotowa gdyby szło o uratowanie życia twojemu Martinowi...

–Nie mieszaj w to Martina – ogarnia mnie gniew. – Pozujesz na Katona, a w istocie chodzi o to, że ci nie powiedziałam? Że nie zapytałam o zgodę? A gdybyś się nie zgodził?

Toszi milczy. Czy uświadomił sobie, że przeholował? Gniew mój ustępuje i przychodzi refleksja, że i Toszi ma trochę racji. Nie powinnam ukrywać przed nim tego, co zrobiłam. Zresztą chciałam mu wszystko wyjaśnić, ale właśnie pojawił się helikopter i były ważniejsze sprawy.

–Muszę ci powiedzieć... – rozpoczynam pojednawczo, ale on nie pozwala mi dokończyć.

–Ciszej... – ściska mi dłoń nasłuchując.

Teraz i ja słyszę daleki warkot silnika, początkowo ledwo dosłyszalny, potem coraz wyraźniejszy; zbliża się, to znów oddala. W pobliżu miejsca naszego lądowania krąży helikopter.

–Spróbuję połączyć się z nimi – oznajmia Toszi. – Ty połóż się w trawie i w razie gdyby wylądowali, i chcieli odbić Magnusena, weźmiesz ich od tyłu. Tylko się już nie cackaj! A do tamtej sprawy jeszcze wrócimy!

Podbiega do aerobusu, a ja zostaję sama. Wchodzę jeszcze z dziesięć metrów w głąb buszu i kładę się w płytkim zagłębieniu, odbezpieczając broń.

Helikopter krąży nadal, a jego warkot staje się coraz głośniejszy. Niewątpliwie zatacza koła wokół nas.

Po dwóch, trzech minutach takiego krążenia przelatuje tuż obok miejsca, gdzie stoi aero-bus, tak iż widzę wyraźnie jego ciemny, nie oświetlony kadłub, przemykający nad krzewami. Ale zamiast wylądować, wznosi się w górę i prostym kursem odlatuje na południe. Jego warkot oddala się szybko i wkrótce milknie.

Zaraz też wraca Toszi, prowadząc ze sobą Vittoria i Magnusena.

–To był zwiad – oświadcza krótko. – Mamy niewiele czasu na podjęcie decyzji. Należy liczyć się z atakiem, ale możliwe też jest, iż próbują nas „zmiękczyć” do dalszych pertraktacji, które podejmą rano lub nawet dopiero po południu, gdy już będziemy wyczerpani upałem. Z pozoru najlepszym wyjściem byłoby ruszenie w

kierunku gór, ale do świtu nie przejdziemy więcej niż połowę drogi, a w dzień na odsłoniętym terenie mogą nas wystrzelać jak kaczki. Czekać w helikopterze na rozwój wydarzeń jest też wielce ryzykowne, gdyż skończy się to oblężeniem i próbą zmuszenia nas do kapitulacji po wyczerpaniu się naszych niewielkich zasobów wody. Za pozostaniem na miejscu przemawia tylko to, że jak się zrobi widno, spróbuję przestroić niektóre obwody w nadajniku i nawiązać łączność z partyzantami. Trzecia możliwość jest połączona z największym niebezpieczeństwem, ale w razie powodzenia rozwiąże najistotniejszy problem: transport. Jest to zresztą nie mój pomysł a Vittoria i on ci powie resztę. A ja się trochę przejdę. Chodź, Magnusen!

Zostaję z Vittorioem, a Toszi i „jego osobisty goryl” znikają w ciemnościach.

–Plan jest w zasadzie prosty: podzielimy się na trzy grupy, ukryte wśród traw i krzewów – poczyna mi tłumaczyć Vittorio. – Trzy stanowiska ogniowe wzajemnie się wspierające, rozstawione wokół aerobusu, ale w takiej odległości, żeby można było mieć pewność, że tamci wylądują w tym trójkącie. Rozumiesz? Mamy dwa peemy, trzy gnaty i parę granatów. To wystarczy, jeśli uda się tych drabów zaskoczyć. Aerobus będzie oświetlony, można nawet rozpalić ognisko. Jeśli zaatakują w nocy, to taka iluminacja przyciąga wzrok i oślepia. Rozumiesz? – urywa na chwilę i znów nie czekając odpowiedzi ciągnie dalej: – W aerobusie, albo jeszcze lepiej przed nim, przy ognisku będzie siedział Magnusen i to tak aby był dobrze widoczny. I będzie dawał znaki lądującym, że jest sam, że myśmy odeszli na północ. Oczywiście, aby dali się na to nabrać trzeba zostawić dobrze widoczne ślady „na trasie”, w odległości kilometra lub dwóch. Rozumiesz? Toszi właśnie poszedł rozrzucić te „ślady”. Zabrał twoją torbę i puszki po sokach.

–Więc już zdecydowaliście beze mnie – jestem nieco urażona, ale Vittorio nie zwraca uwagi na mój ton.

–Czasu jest niewiele i trzeba działać szybko. Gorzej gdyby przyleciało kilka helikopterów. To też trzeba brać pod uwagę. Ale gdyby się nam udało opanować choć jedną maszynę, myślę, że wyjdziemy z tego cało. Wątpię, aby nas ostrzelowali, bo przecież będziemy mieć nadal w ręku Magnusena a przynajmniej Quintę z tą jego dziewczyną. Rozumiesz?

Coś mnie zaniepokoiło w tym sformułowaniu.

–Dlaczego mówisz „przynajmniej Quintę”?

–Toszi liczy się z tym, że będzie musiał poświęcić Magnusena. Oczywiście w ostateczności, gdyby próbowali go odbić...

–Rozumiem. Nie podoba mi się to. A w ogóle plan jest chyba zbyt wariacki, przynajmniej w tej wersji.

–Czy widzisz inny sposób? – pyta Vittorio chłodno.

–Nie widzę. I to jest najgorsze.

Czasu rzeczywiście jest mało i przystępujemy niezwłocznie do przygotowywania zamaskowanych „stanowisk ogniowych”, co w ciemnościach wcale nie należy do zadań łatwych. Moja kryjówka wymaga przy tym szczególnych nakładów pracy, gdyż tu właśnie ulokowani mają być Martin i Quinta, pod opieką Ellen. To stanowisko jest najbardziej oddalone od aero-busu, a otwierać ogień mam tylko w ostateczności. Na prawo w odległości pięćdziesięciu metrów mam Vittoria z pistoletem maszynowym i dwoma granatami, na lewo – na wprost wejścia do aerobusu – „Persa” i Patryka, uzbrojonych tylko w broń krótką i granaty.

Ze sprowadzeniem Martina nie ma trudności. Chociaż porusza się nadal jak automat, daje się prowadzić bez oporu i – jak mogłam zaobserwować – reaguje na niektóre silniejsze bodźce, zwłaszcza mechaniczne. Muszę przyznać, że Ellen zajęła się nim bardzo troskliwie, okrywając jakimś pledem, zabranym przezornie z samolotu jeszcze w Inuto.

Okolo drugiej w nocy nasze przygotowania dobiegają końca. Żaden helikopter nie pojawił się w tym czasie, radio milczy nadal. Pat Lu rozpala ognisko, do którego od czasu do czasu siedzący na stopniach aerobusu Magnusen dorzuca gałęzie przygotowane na zapas. Płomień nie jest zbyt intensywny i od mojej strony zasłania go kadłub śmigłowca. Przezroczysta czasza kabiny pilota i wielkie srebrzyste łopatki wirnika chwilami zdaje się ogarniać płomień, to znów spowija je obłok tańczących w powietrzu iskierek. Staram się obserwować grę świateł i wsłuchiwać w dochodzący z

oddali trzask płonących gałęzi – aby nie zasnąć. Ale po okresie nerwowego podniecenia, towarzyszącego przygotowywaniu zasadzki, ogarnia mnie nowa fala zmęczenia i senności.

Choć na chwilę móc się zdrzemnąć... Gdyby tej dziewczynie, która leży przy mnie można było zaufać... Słyszę jej spokojny oddech. Jakże jej zazdroszczę, że może, że ma prawo spać. Quinta też śpi. Zdaje się, że zasnął nawet Martin. Może jutro odzyska przytomność...

Budzę się raptownie. Gdzieś w górze za plecami, a zaraz potem niemal tuż nade mną, terkoce silnik helikoptera. Unoszę głowę szukając po omacku automatu, który czuwając trzymałam na kolanach. Broni nie ma. Chyba zsunęła się w trawę. Nachylam się, aby ją odnaleźć i w tej chwili czuję między łopatkami nacisk jakiegoś twardego przedmiotu.

–Spokojnie, dziecinko – słyszę nad głową ściszony szept. – Rączki na szyję i ani słowa.

Głos jest męski, akcent amerykański, chyba gdzieś z południa. Wykonuję posłusznie polecenie. W szarzącym mroku dostrzegam na ziemi okrytego pledem Martina. Dziewczyna i niewidomy doktor zniknęli.

–Połóż się twarzą do ziemi! – słyszę znów szept, a bolesne pchnięcie w plecy przewraca mnie w trawę. Terkot helikoptera jakby się oddalał.

Jakieś ręce z wprawą przetrząsają kieszenie mego płaszcza, obmacują džinsy, znajdując ukryty za pasem pistolet. Ktoś mnie chwyta za przeguby dłoni i skuwa z tyłu ręce kajdankami. Potem przewraca na wznak i zakleja plastikową taśmą usta.

–Bob, możesz ją zabrać! – dobiega mnie ten sam męski głos, ale już gdzieś z boku.
– Ja zajmę się Barleyem.

Cień wysokiego mężczyzny pojawia się nade mną.

–Wstań! – rozkazuje młody głos. – Nie! Poczekaj! – zmienia decyzję.

Znów nadlatuje helikopter. „Cień” kuca obok mnie.

Unoszę z trudem głowę i widzę oświetloną blaskiem bijącym z ogniska wojskową maszynę, wiszącą w powietrzu nad miejscem lądowania aerobusu. Helikopter opada wolno w dół świecąc reflektorem po ziemi. Co dzieje się przed aerobusem? Czy czeka tam nadal „na wabia” Magnusen? Tego nie mogę dostrzec z pozycji leżącej.

Helikopter znika za krzakami, ale rotor pracuje nadal. Tylko terkot silnika zmienił ton. Chyba wylądowali.

–Chodź! – słyszę nad uchem rozkaz. – Tylko cicho!

Mężczyzna pomaga mi wstać. Młody, ciemnowłosy, przystojny facet, z pewnością nie jest Murzynem. Jego kombinezon nie przypomina wojskowego czy policyjnego munduru, a raczej strój myśliwego w tropiku.

–Chodź! Głowę niżej! No, prędzej! – popycha mnie w kierunku gęstszej kępy krzewów.

Próbuję stawiać opór, lecz widzę, że wyciąga zza pasa maczetę, jakby gotów był poderżnąć mi gardło. Nie ma sensu ryzykować. W tej samej chwili wokół aerobusu rozpętuje się piekło. Kule świszczą nad naszymi głowami. Nie można dłużej pozostawać na otwartej przestrzeni. Na szczęście mój „opiekun” stara się mnie wyprowadzić poza teren obstrzału. Jak się zresztą wkrótce okazuje, maczeta służy, zgodnie ze swym przeznaczeniem, do torowania drogi wśród kolczastych krzewów.

Strzelanina jakby nieco słabnie. Początkowo słyszę wyraźnie trzy pistolety maszynowe, potem dwa z nich milkną, a trzeci strzela tylko krótkimi seriami, zaś chyba w odpowiedzi, dobiegają pojedyncze wystrzały z broni krótkiej. Wreszcie i one ustają. Jeszcze tylko przytłumiony huk, prawdopodobnie pękającego granatu z gazem, i następuje cisza.

Znów nadlatuje helikopter. Leci nisko nad buszem, od strony południowej, w kierunku terenu walki. Jest już dość widno i na burcie dostrzegam emblemat nosorożca i znaki „Sił Powietrznych Wolnej Republiki Patope”.

Wchodzimy właśnie w kolejny obszar porosły gęściej kolczastymi krzewami. Jestem pewna, że cofniemy się na otwartą przestrzeń i mężczyzna zasygnalizuje naszą

obecność, lecz się myślę. Wręcz odwrotnie: wpycha mnie w zarośla tak gwałtownie, że ostre kolce boleśnie drapią mi twarz. Mój „opiekun” wydaje się tym zatroskany. Ogląda zadrapania, wyjmując plastikową torebkę i wilgotnym tamponem przeciera skaleczone miejsca, a potem nasuwa mi na głowę kaptur, aby uchronić choć w pewnym stopniu twarz przed ostrymi gałęziami. Zdejmuje mi też wreszcie plastikowy knebel, przykazując jednak całkowite milczenie.

Przedzieranie się przez krzaki zajmuje sporo czasu, tak że przebyliśmy nie więcej niż kilkaset metrów. Teren jest falisty, pozbawiony niemal zupełnie jakichś charakterystycznych punktów orientacyjnych.

Idziemy stale w tym samym kierunku, jak wynika z położenia wschodzącego słońca. Mężczyzna zdaje się nie posiadać broni palnej. Widzę, iż w obu uszach ma mikrosluchawki, połączone z jakimś przyrządem na piersiach. Radiotelefon? Chyba nie. Ze słuchawek dobiegają mnie tylko rytmiczne trzaski. Myślę, że z tym przyrządem mają coś wspólnego dziwne „ćwiczenia gimnastyczne” mojego „opiekuna”. Co pewien czas zatrzymuje się i dokonuje obrotów tułowiem, w lewo i w prawo, po czym rusza pewnie naprzód, bez wahań czy błędzenia.

W ciągu kilkunastu minut wyjaśnia się co jest celem naszej wędrówki. W wysokiej trawie czeka na nas Quinta, Ellen i wysoki brodaty mężczyzna, ubrany podobnie jak mój „opiekun”. Obok niego nieduży plecak turystyczny.

–Co z Maksem? – pyta brodacz.

–Myślę, że da sobie radę – odpowiada mój „opiekun”. – Ale na wszelki wypadek wyjdę mu naprzeciw.

Ellen podchodzi do mnie i zrzuca mi z głowy kaptur. Czy chce się odegrać? Nie dostrzegam jednak w jej oczach jakiejś szczególnej satysfakcji, a raczej coś w rodzaju współczucia. Ogląda fachowo zadrapania i stwierdza:

–W porządku. Nie powinno być śladów! – I ścisząc głos pyta: – Co z Barleyem?

–Nie wiem. Bardzo się o niego boję. Co oni z nim zrobią? Niech go pani ratuje!

Patrzy na mnie w milczeniu, potem wraca do Quinty i ujmuje go za rękę, chyba aby zbadać puls.

W tym czasie młody mężczyzna, który mnie przyprowadził odchodzi i zostajemy w czwórce. Gdyby nie skute ręce, miałabym znaczne szanse...

Brodacz widocznie myśli to samo, gdyż podchodzi do mnie, sprawdza kajdanki i każe mi usiąść w trawie. Potem sięga do plecaka i wyjmuje jakiś aparat z mikrosluchawką, którą wkłada sobie do ucha. Aparat różni się nieco od tego, który widziałam u mego poprzedniego „opiekuna”.

–Co zrobiliście z doktorem Barleyem? – pytam go wprost.

–Cisza! – gestem wskazuje na mikrosluchawkę. Nie wiem nawet czy zrozumiał o co pytam.

Jakby na przekór nakazowi brodacza powietrzem wstrząsa niedaleka eksplozja. Znów słyszę terkot helikoptera. Maszyna zbliża się, przelatuje gdzieś niedaleko, oddala się i terkot cichnie.

Brodacz przysłania oczy, aby nie raziło go słońce i patrzy ponad kolczaste zarośla, gdzie przed chwilą zniknął jego towarzysz. Jest wyraźnie zaniepokojony. Patrę oczywiście i ja w tym kierunku, ale widzę tylko czyste niebo. Nie! – zza krzaków wypełza obłok ciemnego, gęstniejącego dymu. To musi być tam, gdzie pół godziny temu zamilkły ostatnie strzały. Czy śmigłowiec zaatakował, czy może Toszi jeszcze żyje i spowodował eksplozję swojej „kieszonkowej” bomby?

Terkot helikoptera umilkł całkowicie. Brodacz jest jakby spokojniejszy. Poczyna znów nasłuchiwać sygnałów płynących ze sluchawki. Quinta i Ellen naradzają się szeptem i niestety żadne ich słowo nie dociera do mnie. Odczuwam coraz większy niepokój o Martina. O siebie jestem już spokojna – pogodziłam się z myślą, że czeka mnie śledztwo, proces i więzienie. Na szczęście ci, którzy mnie schwytali nie są ludźmi „marszałka” Numy i działają na tym terenie nielegalnie. Najprawdopodobniej są to komandosi Dusklądu, przetrzuceni potajemnie przez granicę. Chodzi, rzecz

jasna, o ujęcie mnie żywcem. Chyba nie będą znęcać się nad białą dziewczyną. Oni może nie, ale później? Czy mogę mieć jakieś złudzenia? Śledztwo nie będzie przyjemne i należy się obawiać, że spróbują ze mnie wydusić wszystko, co wiem o Zielonym Płomieniu. Czy będę w stanie znieść tortury? Najpewniej zresztą zastosują jakieś środki łamiące wolę i zmuszą do mówienia. Jedyne wyjście to samobójstwo, ale w obecnej sytuacji jest to niemożliwe. Może właśnie dlatego mnie skuto, dlatego oczyszczono zadrapania, obawiając się, aby kolczaste krzaki nie spowodowały zatrucia...

Takie niewesołe myśli opanowują mnie bez reszty w czasie długiego, trwającego chyba ponad godzinę oczekiwania na powrót towarzyszy brodacza. Słońce wznosi się coraz wyżej, mimo wczesnej pory upał zaczyna dawać się we znaki. Czas wlecze się, wokół nas nic się nie dzieje. Raz tylko dobiega nas odległy terkot śmigłowca, który zdaje się znów krążyć nad miejscem wybuchu. Wkrótce jednak odlatuje gdzieś na północny wschód. Brodacz reaguje na ten dźwięk bez paniki, raczej jakby z pewnym zdziwieniem.

Jestem w okropnym nastroju, nie wierząc już aby Martin, Toszi czy Vittorio mogli się uratować. Nie chce mi się żyć i powtarzam sobie, że przy najbliższej dogodnej okazji muszę skończyć ze sobą. I w takiej właśnie chwili najbardziej ponurych refleksji spostrzegam wracających trzech mężczyzn, a jednym z nich jest... Martin.

Nie zwracając uwagi na brodacza wstaję z ziemi i biegnę im naprzeciw. Ale widok Martina mrozi mnie zupełnie. Podarte, poszarpane ubranie, rozpruty gips na prawej ręce, podrapana aż do krwi, posiniaczona twarz, usta zakneblowane plastrem. Żyje jednak, a to najważniejsze!

Martina prowadzi ten sam młody mężczyzna, który mnie tu przyprowadził. Podtrzymuje go, starając się chronić jego pokaleczone ręce, i to nieco studzi mój początkowy gniew na „brutali”. Drugi mężczyzna – starszy znacznie – ma przewieszony przez ramię automat, w ręce maczetę, za pasem pistolet gazowy.

–Dlaczego kneblujecie mu usta? – zagradzam im drogę. – To okrutne! Przecież on jest chory!

Są wyraźnie zaskoczeni moim atakiem.

–Spokojnie, dziecinko – jeży się mężczyzna z pistoletem, ale zaraz jakby stropiony nieco dodaje: – Zabieg przykry, ale konieczny. Stał się zbyt rozmowny.

–Odzyskał przytomność? – pytam z nadzieją i nie czekając odpowiedzi stoję przed Bar-leyem. – Martin! – krzyczę, zaglądając mu w oczy.

Patrzy na mnie jakby z lękiem.

–Nie powiedziałem, że jest zdrowy na umyśle – stwierdza mężczyzna z pistoletem. – Przeciwnie: plecie coś od rzeczy. I nie daje się uciszyć. Rozumiesz więc, dziecinko, że nie mogłem się cackać.

Podchodzi do nas Ellen.

–Trzeba jak najszybciej zdjąć mu knebel! – oświadcza autorytatywnym tonem. – Tego rodzaju metody mogą się odbić ujemnie na jego stanie.

Mężczyzna waha się.

–Jak tam sytuacja? – zwraca się do brodacza.

–Na razie spokój. Myślę, Maks, że trzeba już ruszyć. Najwyższy czas.

–Dobrze – mężczyzna nazwany Maksem zastanawia się chwilę. – Może mu pani zdjąć ten plaster – mówi do Ellen. – I zrobimy tak: niech go prowadzi ta dziewczyna, jeśli tak się o niego martwi. Pani poprowadzi doktora Quintę. Musimy się, niestety, jak najszybciej wynieść z tego terenu. No chodź tu, drapieżny kotku – kiwa na mnie. – Odwróć się plecami!

Wykonuję posłusznie polecenie. Zdejmuje kajdanki z mojej lewej ręki, zaś prawą przykuwa do lewej ręki Martina.

–Nie myśl, że jestem taki głupi, dziecinko – komentuje.

Tymczasem Ellen zerwała już taśmę kneblującą usta Martina i otrzymanym od brodacza tamponem przemywa mu twarz. Reaguje na pieczenie, co chyba jest dobrym znakiem. Zachowuje się zresztą inaczej niż wczoraj – choć nie zdaje sobie sprawy gdzie się znajduje, objawy otępienia kataleptycznego ustąpiły. Wbrew też obawom Maksa nie przejawia skłonności do gwałtowniejszych czy hałaśliwszych reakcji emocjonalnych. Może zresztą moja obecność działa na niego uspokajająco? Chwilami wydaje mi się, że mnie rozpoznaje, a przynajmniej mój widok budzi w nim jakieś niejasne wspomnienia o kojącym wpływie. Mówi, co prawda, nieustannie do siebie, a raczej bełkoce i niewiele mogę z tego zrozumieć, lecz nie podnosi głosu i tylko bardzo rzadko wydaje słabe okrzyki. Wśród wyłowionych z tego bełkotu pojedynczych słów czy strzępów zdań najczęściej powtarzają się jakieś liczby, prawdopodobnie wyniki pomiarów, a także niezrozumiałe dla mnie terminy techniczne i nazwy geograficzne z terenu Patope i Dusklandu, wśród nich – jezioro Pattona i miasto Cameo. Zwraca się czasami z jakimiś niezrozumiałymi pytaniami czy pretensjami do kogoś, kogo tytułuje majorem, mówi coś o jakichś „nocnych karłach” czy gnomach, których „nie chciał skrzywdzić”. Ani razu jednak nie wspomina mego imienia, ani też nikogo z Zielonego Płomienia lub czegokolwiek, co dotyczyłoby bezpośrednio naszej organizacji.

Oglądam rozpruty gips. Uszkodzenie nie jest z pewnością przypadkowe. Pocięta i połamana jest przede wszystkim zewnętrzna warstwa. Widać też wyraźnie prostokątne wgłębienie, z którego wydobyto jakiś ukryty w stwardniałych bandażach przedmiot.

–Co to mogło być? – pytam Ellen, która na moją prośbę bada w jakim stanie jest prawa ręka Martina.

–„Pluskwa” – odpowiada krótko.

–To znaczy mikronadajnik?

–Oczywiście. Stąd tak łatwo nas namierzili. A jeśli idzie o rękę, to myślę, że gips można w ogóle zdjąć. Chyba nie ma złamania.

Usunięcie jednak zestalonych bandaży bez odpowiednich narzędzi okazuje się zabiegiem zbyt bolesnym dla Martina. Nie mamy zresztą czasu, gdyż Maks ponagla do dalszego pochodu.

Tuż przed wyruszeniem w drogę brodacznycy wydobywa z plecaka dużą żółtą butlę i daje każdemu do wypicia po kubku słonawego bezbarwnego płynu. Zawiera on chyba jakieś środki zmniejszające pragnienie i uodparniające na upał, gdyż przez następne dwie godziny posuwamy się naprzód bez odpoczynku nie odczuwając większego zmęczenia.

Na czele grupy idzie brodacznycy, za nim Quinta z Ellen, dalej ja z Martinem, na końcu Maks i najmłodszy z „komandosów” – Bob. Początkowo droga wiedzie wśród kolczastych krzewów, których gęściejsze kępy staramy się wyminąć, co nie zawsze jest łatwe. Po dwóch czy trzech kilometrach wydostajemy się na szczęście na trawiasty, z rzadka tylko porosły krzakami obszar, przypominający trochę sawannę, choć pozbawiony większych drzew. Tu można już iść znacznie szybciej.

Miejsce pierwszego, dłuższego odpoczynku oddalone jest od terenu walki co najmniej pięć kilometrów. Zatrzymujemy się nad brzegiem wyschniętego potoku. Brodacznycy i Bob ustawiają w trawie coś w rodzaju namiotu chroniącego przed coraz bardziej palącym słońcem. Maks, który jest chyba dowódcą grupy, postanawia, że prześpiemy upał i w dalszą drogę ruszymy dopiero przed wieczorem. Otrzymujemy nową porcję słonawego napoju i po kostce prasowanych owoców. Brodacznycy bada, czy nie ma na terenie otaczającym obozowisko jakichś jadowitych węży i skorpionów. Ellen wytargowała od niego świeży bandaż dla Martina, bo dotychczasowy jest bardzo brudny i podarty przy przedzieraniu się przez krzaki. Okazuje się przy tym, że bandaż na lewej ręce założono nie z uwagi na rzeczywiste potrzeby, lecz aby ukryć ślady tortur jakim był poddany Martin i to chyba wkrótce po aresztowaniu. Obawiam się, że gips na prawej ręce kryje podobne obrażenia.

Opieka nad Martinem jest trudnym zadaniem... Każda czynność budzi we mnie naturalny sprzeciw i wstręt. Nie wiem jakbym sobie poradziła bez Ellen. To jednak zawodowa pielęgniarka.

Nad brzegiem wyschniętego potoku pozostajemy blisko siedem godzin. Większość tego czasu przesypiam, wyczerpana upałem i przeżyciami nocnymi. Oczywiście w mojej sytuacji nie jest to sen spokojny, przynoszący wypoczynek i odprężenie. Napięcie potęgowane najgorszymi przewidywaniami dotyczącymi moich i Martina

losów, ból głowy i swędzenie po ukąszeniach owadów, sprawiają, że śpiąc nerwowo, płytko, często budzę się na każdy szept, trzask czy gwałtowniejszy ruch. Martin, co prawda, śpi, ale jęczy i bełkoce coś nieustannie. Gdy się wreszcie uspokaja, na domiar wszystkiego Bob budzi brodacza, aby zastąpił go na warcie. Mam nadzieję, że chłopak jest bardzo zmęczony po tak ciężkiej nocy i szybko zaśnie, a tymczasem długo, chyba z godzinę, szepce coś, przykrywszy sobie głowę białą płachtą. Zaczęłam się nawet obawiać, czy nie cierpi na jakieś zaburzenia psychiczne, spowodowane upałem, bo chwilami głos mu się zmienia jak aktorowi w czasie dramatycznej kwestii, choć treść słów, docierających do mnie w niezrozumiałych strzępach zdań nie uzasadnia dziwnej intonacji. Wydaje mi się, że są to chorobliwe majaczenia, być może związane z jakimiś przeżyciami na safari w rezerwacie nosorożców, bo o tym zwierzęciu najczęściej mówi.

5.

W dalszą drogę wyruszamy późnym popołudniem. Jeszcze jest bardzo gorąco, ale słońce nie praży już tak niemiłosiernie. Idziemy stale na północo-wschód i według tego co pamiętałam z mapy zbliżamy się nie tylko do gór, ale i granicy z Dusklandem. Zdaje się to potwierdzać moje wcześniejsze przypuszczenia, iż trzej mężczyźni to komandosi lub agenci „białej” republiki. Może na to wskazywać również fakt, że nawet Quincie nie udało się pociągnąć ich za język, czyimi są wysłannikami i dokąd nas prowadzą.

Po zapadnięciu zmroku tempo marszu znacznie się zmniejsza, zwłaszcza, że warunki terenowe ulegają pogorszeniu. Droga staje się coraz trudniejsza, nierówna, kamienista, roślinność jeszcze bardziej pustynna. Największy kłopot mamy teraz z Quintą, który ciągle się potyka i tylko ramię Ellen chroni go przed upadkiem. Za to Martin zachowuje się nadspodziewanie dzielnie. Nie odzyskał co prawda pełnej świadomości i nadal żyje w świecie urojonym, jednak utrwalone podczas częstych wypraw w Alpy odruchy ułatwiają mu marsz i chyba nawet wędrówka w coraz bardziej górzystym terenie budzi jakieś wspomnienia poprawiające samopoczucie. Niemniej, z uwagi na Quintę, Maks musi zarządzać coraz częstsze odpoczynki, tak iż do podnóża Gór Żółtych docieramy dopiero po siedmiu godzinach, bardzo już wyczerpani marszem.

Tu po raz pierwszy Maki włącza radiotelefon, wydobyty z przepastnego plecaka brodacza. Widać już nie obawia się namiaru helikopterów „marszałka” Numy. Rozmawia krótko, informując o wykonaniu zadania „z nadwyżką”, z której „szef” będzie chyba zadowolony. Zastanawiam się o kogo tu chodzi: o Martina, o mnie, czy o Quintę? Z zachowania się „komandosów” w czasie drogi trudno coś wywnioskować. Jednego jestem pewna – najbliższe godziny zadecydują o moim losie i jeśli istnieje jeszcze jakaś szansa ucieczki, muszę ją wykorzystać teraz.

Oczywiście, nawet jeśli nie byłabym skuta z Martinem, nie mogłabym go zostawić. W rachubę wchodzi tylko ucieczka z nim razem i rzecz jasna, przedostanie się poprzez „pierścień duchów” do partyzantów Magogo. Jediną drogą do osiągnięcia tego celu jest zdobycie broni i sterroryzowanie „opiekunów”, a to wymaga pewnej swobody ruchów.

Osiągnięcie pierwszego celu okazuje się wcale proste. Nacieram pierścieniem kajdanków opasany nim przegub tak, aby skóra stała się czerwona i proszę Maksa, aby mi „zmienił rękę”, bo sobie otarłam. Jest w dobrym humorze i sprawdziwszy latarką czy mówię prawdę, przekłada pierścień na lewą rękę. Nie zorientował się, że w ten sposób wędrówka kamienistą doliną, do której wylotu dotarliśmy, jest w

praktyce niemożliwa. Czekałam teraz tylko na rozkaz dalszego marszu, aby wykazać mu to naocznie.

Kolejność w kolumnie jest ta sama jak poprzednio, mam więc za sobą tylko Maksa i Boba. Przy pierwszej kamienistej przeszkodzie staję bezradna – o wspinaczce czy skokach nie ma mowy. Maks poleca Bobiemu, aby poszedł dalej, a sam nie zatrzymując kolumny i świecąc sobie latarką uwalnia rękę... Martina. Zdaję sobie sprawę, że nie mam chwili do stracenia, że za chwilę Maks przykuje moją rękę do swojej. Dlatego przełożył automat na lewe ramię. Ale nie o tę broń chodzi mi w tej chwili. Walki wręcz też nie mogę ryzykować, bo chociaż Toszi ćwiczył ze mną džudo i karate, obawiam się, że ten stary może być nieźle wyszkolony.

Odwracam się twarzą w stronę Maksa, jak gdyby chcąc mu ułatwić założenie sobie pierścienia kajdanek, i błyskawicznym ruchem wrywam mu zza pasa pistolet gazowy. Nim jednak zdołałam odbezpieczyć zawór, wycelować i nacisnąć spust silnym ciosem w szyję Maks zwala mnie z nóg i kopnięciem wytrąca pistolet.

–I po co ci to, dziecinko? – mówi z wyrzutem, jak ojciec karcący córkę. Nachyla się i podnosi z ziemi upuszczoną latarkę, potem świecąc odnajduje pistolet i zatyka sobie za pas. Zdaje się nie zwracać na mnie uwagi, jakby prowokując do ucieczki czy ataku. A może po prostu wie, że jestem oszołomiona ciosem i nie zdobędę się już na żaden akt rozpaczy.

–No, wstawaj! – rozkazuje wreszcie, świecąc mi w oczy latarką.

Podnoszę się z ziemi. Mięśnie szyi i karku przeszywa ostry ból. Maks zatrzaskuje kajdanki, ale tym razem z przodu, tak abym mogła pomagać sobie rękami przy wdrapywaniu się na skały.

–Naprzód, dziecinko! – popycha mnie lekko w plecy. – I nie oglądaj się za siebie! – dodaje, widząc, że szukam wzrokiem Martina.

Droga wznosi się teraz dość stromo w górę i raz po raz trzeba wspinać się na progi skalne. Idziemy korytem wyschniętego potoku i wkrótce spotykamy czekającego na nas Boba. Maks każe mu zająć się Martinem, a sam idzie nadal na końcu pochodu nie spuszczając ze mnie oka.

W kamienistej dolinie jest jeszcze ciemniej niż na otwartej przestrzeni i wszyscy trzej nasi „opiekunowie” oświetlają sobie i nam drogę latarkami. Widocznie czują się tu już zupełnie bezpiecznie, a teren znają znakomicie. Maks na każdym krótkim postoju łączy się ze swoim „szefem”, który widać niecierpliwi się naszą powolną wspinaczką.

Zaczyna świtać, gdy docieramy do rozległej polany. Stąd można już dostrzec główny masyw skalny, spod którego wypływa strumień żłobiący dolinę. Ponad nami – wysoki, stromy próg i piętrzące się piargi. Wyobrażam sobie ile trudu wymagać będzie ich pokonanie. Brodacz prowadzi nas jednak w lewo, w kierunku małej dolinki ukrytej za skałami. Stoi tam jakiś człowiek i daje znaki latarką.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów i stajemy u wejścia do groty. W jej wnętrzu pali się światło.

–Witam serdecznie pana doktora. Ogromnie się cieszę, że mogę pana gościć, jak się to mówi, w moich progach – słyszę męski głos. – Bardzo mi miło pana poznać.

Wiele o panu słyszałem!

Głos wydaje mi się znajomy. Quinta i Ellen już weszli do groty.

–Szanowna pani, panie doktorze – dobiega mnie z głębi groty znów ten sam znajomy głos. – Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem Oriento. Hans Oriento.

Zaskoczenie jest całkowite. Od naszego spotkania w Monachium upłynęło zaledwie dwa i pół dnia... Skąd się wziął ten człowiek w sercu Afryki, w jakiejś pieczarze w górach? I, jeśli on jest szefem tych trzech ludzi, musiał tu już być najpóźniej w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak się ze mną pożegnał.

–I ja o panu wiele słyszałem i chciałem pana poznać – słyszę głos Quinty. – Nie spodziewałem się jednak, że spotkamy się w tak zaskakujących okolicznościach...

–Po prostu, uznałem za swój obowiązek pospieszyć panu, doktorze, z pomocą. Wiedziałem, że panu zagraża niebezpieczeństwo, i to być może, śmiertelne. Powiedziało mi o tym radio, ale nie tylko... – zawiesza głos. – Byłem stosunkowo niedaleko, miałem pod ręką ludzi odważnych, inteligentnych. Czy pan na moim miejscu postąpiłby inaczej? Ale państwo wybaczą, że opuszczę ich na chwilę. Muszę załatwić jeszcze kilka pilnych spraw. Państwo łaskawie się rozgoszczą. Mamy tu warunki trochę spartańskie, ale nie pozbawione całkowicie zdobyczy cywilizacyjnych. Może się państwo czegoś napiją?... A może chcecie wziąć prysznic przed śniadaniem? Droga była na pewno męcząca... Bardzo przepraszam... Za chwilę wrócę.

W przedsionku groty czeka Bob z Martinem, mnie zatrzymuje Maks przed wejściem. Jest już widno i dobrze widzę, co dzieje się w przedsionku.

Oriento podchodzi do Martina. Ubrany jest w taki sam kombinezon jak jego współpracownicy i w stroju tym wydaje mi się młodszy niż wówczas w Monachium. Patrzę na jego twarz, gdy tak stoi w milczeniu przed Martinem i nie ulega wątpliwości, że jest wstrząśnięty jego widokiem. Dopiero po dłuższej chwili odwraca się i podchodząc do Boba mówi cicho:

–Umyć go, dać mu świeżą bieliznę, ubranie, nakarmić i pilnować jak oka w głowie!

Wychodzi przed grotę i zbliża się do mnie i Maksa.

–Witam panią! My się chyba znamy? Cóż za miła niespodzianka! – woła takim tonem, jak gdyby spotkał mnie przypadkowo na ulicy. Twarz jego wypełnia kurtuazyjny uśmiech.

–Nie dla każdego miła – odpowiadam ze złością.

Oriento patrzy na moje skute ręce i marszczy brwi.

–Co to za metody?! – fuka na Maksa. – Zdejmuj zaraz to świństwo!

Maks się waha.

–Szefie, wolnego. To drapieżna kotka... Już mieliśmy kłopoty. Ja bym jej nie ufał...

–Zdejmuj! – rozkazuje Oriento. – Ja pani ufam – zwraca się do mnie. – Prawda, że już teraz nie będzie z panią kłopotów?

–To tylko zależy od pana – odbijam piłeczkę.

Maks z ociąganiem zdejmuje mi kajdanki i chowa do kieszeni.

–Jest pani wolna – mówi Oriento, ale zaraz dodaje: – Nie radzę jednak zbyt oddalać się od naszego obozu. To okolica niebezpieczna... Zwłaszcza dla pięknych drapieżnych kotek...

–Pan wiedział wtedy, w Monachium... – gram w otwarte karty.

–Stamtąd się znamy? – udaje zaskoczenie. – Teraz sobie przypominam. Brama Izarska, prawda? O czym miałem wiedzieć?...

–Niech pan nie udaje... Pan wiedział kim jestem i co planujemy. Chiromanta-amator – dorzucam z ironią.

Patrzy na mnie z troską.

–Rzadko pamiętam, co wróżę. Zwłaszcza jeśli traktuję to jako zabawę towarzyską. Czasami jednak i z takich wróżb coś się sprawdza. Przynajmniej tak twierdzą ci, którym próbuję przepowiadać przyszłość. Nie chcę przez to powiedzieć, że wystarczy czytać z dłoni... Może to intuicja, przeczucie...

–Pan kpi!

Nie reaguje na zaczepkę.

–Nie wszystko możemy od razu wytłumaczyć... – mówi patrząc mi w oczy z powagą.

–Co chce pan z nami zrobić? – zmieniam temat.

–To znaczy z kim?

–Oczywiście ze mną i doktorem Barleyem.

Waha się. Chwilę patrzy na mnie w zamyśleniu, potem oświadcza:

–No cóż, będę szczery. Jeśli idzie o panią, to nie wiem. Skomplikowany problem prawny, jeśli nie powiedzieć – moralny. Nie wiem, jak z tego wybrnę i nie chcę nic z góry przyrzekać. Jeśli zaś chodzi o Barleya, to nie poczuwam się do obowiązku szanowania postanowień sądu w Inuto, zaś to co zrobiono z doktorem, uważam za zbrodnię.

–Ufam panu – mówię może trochę na wyrost.

CZĘŚĆ II FILOZOFIA KONTAKTU

1.

Grota jest długa, o rozgałęziających się korytarzach i licznych komorach, z których cztery, znajdujące się mniej więcej na jednym poziomie adaptował dla swych potrzeb Oriento. Najbliżej wejścia, za kilkunastometrowym „przedsionkiem” w suchej i dobrze wentylowanej komorze znajdują się prycze ze śpiworami, stół turystyczny ze składanymi krzesłami i aparatura do łączności radiowej. Stąd można przejść do komory, w której zainstalowano prysznic i inne urządzenia sanitarne. Również z komory mieszkalnej prowadzi droga do dwóch komór połączonych amfiladowo, gdzie mieszczą się: magazyn z kuchenką elektryczną i warsztat-laboratorium. Wewnętrzna instalacja elektryczna zasilana jest z przenośnego generatora o napędzie benzynowym, ukrytego wśród skał w pobliżu wejścia do groty. Zauważyłam, iż wszystkie urządzenia i sprzęty nie są zupełnie nowe, lecz musiały być używane co najmniej kilka miesięcy. Widać Oriento bywał tu również przed naszym spotkaniem w Monachium.

Jakim celom służy ta baza, czy zainstalowana została legalnie, za zgodą Numy, czy nielegalnie – trudno dociec, choć mogę dość swobodnie poruszać się we wnętrzu groty. W warsz-tacie-laboratorium montuje się jakąś aparaturę elektroniczną i to dość chałupniczymi metodami, a na półkach spostrzegłam kilka klatek ze zwierzętami doświadczalnymi, jakieś słoje z koloniami glonów czy bakterii, kilkanaście doniczek i skrzynek z nieznanymi mi roślinami. Na indagacje współpracowników Oriento jest za wcześnie – czuję wyraźną rezerwę i nieufność. Nie ulega też wątpliwości, że jestem pod stałą acz dyskretną obserwacją.

Moje włóczenie się po korytarzach i komorach groty nie jest zresztą podyktowane jakąś gwałtowną potrzebą rozwiązania jej zagadki. Po prostu, nie mam co zrobić z czasem oczekiwania na zwolnienie łazienki i zapowiedziane wspólne śniadanie, zaś Oriento, widać dumny ze swej „bazy naukowej”, zachęca mnie i Ellen do jej zwiedzenia. Jest to ponadto sposób na choć chwilowe rozproszenie senności, która coraz bardziej mnie ogarnia.

Po kąpieli pod prysznicem zmęczenie oczywiście w znacznej mierze ustępuje i przy stole, zwłaszcza na początku śniadania, czuję się niemal wypoczęta. Po raz pierwszy też od dwóch dni mogę w pełni zaspokoić głód i pragnienie. Myślę, że Oriento to rozumie i nie ma mi za złe, że nie czekam, aż zakończy wstępną prezentację i zachowuję się w sposób daleki od tego, jaki obowiązuje na oficjalnych przyjęciach.

–Państwo, co prawda, już zdążyli się poznać, ale w okolicznościach nie sprzyjających wymianie nazwisk i tytułów... – rozpoczyna gospodarz, rozsądziwszy nas przy stole. – Pozwólcie więc, że uczynię to teraz, przynajmniej w stosunku do moich współpracowników. Inżynier Istvan Berg – mruga do brodacza – pracuje ze mną już od ośmiu lat. Specjalność: bioelektronika. Znany badacz zjawisk paranormalnych. Wspólnie napisaliśmy cztery książki. Obecnie także główny i jedyny mechanik i radiotechnik „bazy naukowej Oriento 3”. Z kolei ten młody człowiek – wskazuje na Boba – to nie kto inny tylko sam Robert Goldstein, słynne medium jasnowidzące i telekinetyczne, były kapral piechoty morskiej, a jakby na przekór jego duchowym uzdolnieniom, świetny intendent i kucharz naszej wyprawy. I wreszcie nasz niezawodny szef od spraw bezpieczeństwa ekspedycji, były mistrz karate stanu Georgia i były sierżant policji stanowej, Maks Vogel. Z takimi ludźmi można wiele zdziałać!

–Rodzi się nowa książka... – mówi Quinta domyślnie. – Na temat?... – zawiesza głos.

–Może to państwa zdziwi, ale niełatwo mi na to pytanie odpowiedzieć. – Wydaje mi się, że gospodarz próbuje zastosować prymitywny unik, ale to chyba raczej metoda epatowania słuchaczy. – Oczywiście chodzi o dziwne zjawiska występujące w tych okolicach, a w szczególności w górnych partiach doliny, w której teraz się znajdujemy. Państwo wiedzą, co mam na myśli? Pisano już na ten temat, ale relacje prasowe są na ogół sprzeczne i bałamutne. A to, co mówią tubylcy, nie może być oczywiście traktowane serio. Niemniej „coś w tym jest”. Pomyślałem sobie, że warto spróbować. Najpierw mały rekonesans... Okazało się, że to sprawa poważna, poważniejsza niż można było sądzić z relacji prasowych. Przede wszystkim, aby dojść prawdy, trzeba w to zaangażować odpowiednie środki i siły ludzkie. A jednocześnie nie można być zależnym od nikogo. Pan to najlepiej rozumie, panie doktorze...

Patrzę na Quintę. Słucha uważnie, kiwając głową.

–Teraz wiem, już wiem, że było warto – ciągnie Oriento – że być może to nie tylko największa przygoda mego życia. Oczywiście, że książka, którą tu piszemy stanie się bestsellerem dziesięciolecia, a może stulecia. Ale to nie jest najważniejsze. Chodzi o coś więcej: czuję, że tu zdołam odnaleźć klucz do największych zagadek naszych czasów!

–Jak to rozumieć? – dziwi się Quinta.

–Może to państwo uznają za ideę fixe, ale tak jak Einstein marzył, aby wszystkie zjawiska fizyczne opisać z pomocą jednej formuły matematycznej, tak ja chciałbym odkryć tę jedną, wspólną przyczynę fenomenów, których współczesna nauka wyjaśnić nie potrafi. Bo byłem pewny, przeczuwałem, że są to tylko różne przejawy tych samych sił. Inaczej mówiąc, należy stworzyć „zjednoczoną teorię zjawisk paranormalnych”. Ale nie potrafiłem przez całe lata, mimo penetrowania terenów nierzadko całkowicie dziewiczych, nietkniętych przez uczonych, zdobyć przekonujących dowodów, że mam rację, że istnieje jeden, wspólny klucz... I dopiero tu, w tych górach...

–Co pan nazywa zjawiskami paranormalnymi? – wtrąca Quinta, ale nie sądzę, aby to była tylko chęć naukowego uściślenia wywodów gospodarza.

–W zasadzie to co stanowi przedmiot zainteresowania parapsychologii.

–Czyli „matematyką jest to, czym zajmują się matematycy”...

Oriento uśmiecha się nieznacznie.

–Można to i tak określić, gdyż nie widzę powodu, aby stwarzać sztuczne bariery i hamować postęp poznawczy od dawna nieaktualnymi definicjami.

–Na przykład?

–Na przykład, że jest to dziedzina zjawisk nie mieszczących się w prawidłowościach badanych przez psychologię i fizjologię, albo że chodzi tu o właściwości „nadpsychiczne”... Nie mówiąc już o rzekomej pseudonaukowości badań nad zjawiskami paranormalnymi.

–Ale nie wątpi pan w realność telepatii, jasnowidztwa, telekinezy?

–Oczywiście, że nie wątpię, chociaż może nieco inaczej ją pojmuję niż wielu moich poprzedników – odpowiada Oriento z odcieniem wyższości.

Czuję, że Quinta szykuje się do „skoku” i nie mylę się.

–A więc VP jest dla pana vortexem Psi?

Oriento patrzy na ślepcę z uwagą.

–Mam podstawy, aby tak sądzić – mówi takim tonem jakby zdradzał tajemnicę najwyższej wagi. – I chociaż nie dysponuję laboratoriami tak bogato wyposażonymi jak laboratoria „Al-conu”, ani tak utytułowaną ekipą ekspertów jak pułkownik Chameau, ale mam za to w swoim zespole Boba Goldsteina, którego stany i odczucia mówią mi więcej niż najczulsze przyrządy. A jeśli chodzi o bioelektronikę to inżyniera Berga nie oddałbym za dziesięciu najlepszych speców Chameau.

–Ale chyba nie wszystko, co dzieje się na obszarze Vortexu P, można zaliczyć do fenomenów parapsychologicznych? – sonduje Quinta, ale Oriento zdaje się nie rozumieć, co ma na myśli politolog.

–Jeśli idzie o zjawiska nie mieszczące się w kręgu wyobrażeń o realnym świecie współczesnym, jak to się mówi, normalnego, przeciętnego obywatela cywilizowanego kraju to obawiam się, że nie byłoby łatwo dokonać selekcji... Wachlarz obserwowanych przez nas fenomenów jest bardzo szeroki, niemal nieograniczony, sięgający daleko poza tradycyjne domeny parapsychologii, spirytyzmu czy magii.

–To znaczy?

–Na przykład... – gospodarz zawahał się, ale chyba tylko dla wywarcia większego wrażenia. – Na przykład... – spotkanie n-tego stopnia.

–A więc według pana VP jest dziełem kosmitów? – w głosie Quinty wyczuwam ironię.

–Tego nie powiedziałem. Jeszcze za wcześnie na ostateczne wnioski – stwierdza Oriento z powagą. – Ale ja tu ględzę, a państwo nie jedzą! – zmienia nagle ton powracając do roli gospodarza. Czyżby rozmowa poczynąła wkraczać na niebezpieczne tory?

Uwaga Oriento, oczywiście, nie odnosiła się do mnie, gdyż mimo pasjonującego tematu, nie potrafię się oprzeć potrzebie zaspokojenia głodu. Quinta jednak dopiero teraz sięga do talerza, na którym Ellen przygotowała mu kanapki. Postanawiam wykorzystać chwilowe milczenie i pociągnąć gospodarza za język w sprawie, która dla mnie ma szczególną wagę.

–Ile jest prawdy w tym, co opowiadają tubylcy? – rozpoczynam ostrożnie, aby się nie zorientował do czego zmierzam. – Ten „niewidzialny krąg” pełen demonów, sprowadzających na każdego białego szaleństwo, to z pewnością bzdura, ale chyba te bajki mają jakieś konkretne przyczyny?

Oriento patrzy na mnie z uwagą.

–Nie jest to aż taka bzdura, jak pani myśli – stwierdza, wyraźnie zadowolony, że podjęłam ten temat. – Zależy co się rozumie pod pojęciem demonów. A jeśli idzie o podatność białych, to z tego, co wiemy, jest ona rzeczywiście większa przynajmniej w sensie statystycznym. I wcale mnie to nie dziwi...

–Ale przecież, jeśli dobrze zrozumiałam, panowie tam byli i prowadzili badania...

–Byliśmy – potwierdza Oriento. – Ściślej: byłem ja i Bob. Ale mnie, a tym bardziej Bobowi daleko do średniej statystycznej – uśmiecha się z wyższością. – Niestety, Istvan, a zwłaszcza Maks mieli już duże kłopoty i mogą zachować pełną sprawność

umysłową tylko na skraju anomalii. A w ogóle nieprzygotowanym nie radzę zapuszczać się nawet tam gdzie rozstawił swe przyrządy inżynier Berg! – spogląda na mnie znacząco. – Oddziaływanie pola podlega znacznym wahaniom, a w niektórych sytuacjach nawet chwilowy jego wzrost może być groźny w skutkach.

Zastanawiam się, czy ostrzega przed rzeczywistym niebezpieczeństwem, czy może tylko próbuje mnie przestraszyć. W dochodzeniu prawdy wyręcza mnie jednak Quinta, zresztą z zupełnie innych powodów.

–Czy te zmiany mają przebieg cykliczny? I czy w ogóle są mierzalne? O ile mi wiadomo żadnych geofizycznych anomalii nie zaobserwowano.

–Widać źle mierzono – tym razem w głosie Oriento wyczuwam drwinę. – A ściślej: mierzono nie to co trzeba...

–To znaczy?

–Jedni liczą demony, drudzy – fotony. Moim zdaniem jednak obie metody są diabła warte. A jeśli idzie o cykliczność, to przecież sam pan, doktorze, kiedyś napisał, że brak jej to rezultat... naszej niewiedzy.

–Pamięta pan w jakim to było kontekście?

–Bardzo dobrze. Dotyczyło przejawów ujemnych sprzężeń zwrotnych w wielkich systemach. „Wstęp do automatyki społecznej”, rozdział chyba drugi...

–Ale miał pan odpowiedzieć na pytanie doktora – wtrącam się znów do rozmowy.

–Właśnie, odpowiedziałem – mówi Oriento z lekkim rozbawieniem. – Myślę, że doktor Quinta nie ma mi za złe, że nie przytaczam konkretnych danych. Jeśli to pana interesuje, in-

żynier Berg zapozna pana z metodami pomiarów, jakie tu stosujemy i osiągniętymi wynikami liczbowymi. Ale na to trzeba czasu, którego w tak małym zespole badawczym mamy niewiele, więc chyba dopiero wieczorem, po kolacji, inżynier będzie mógł panu służyć. Państwo rozumieją: dwa dni przerwy to dużo...

–Rozumiem – Quinta potakująco kiwa głową, ale brzmi to dość dwuznacznie. Zaraz zresztą Oriento puszcza farbę.

–Nic zresztą straconego, jeśli pan doktor się nie spieszy i zechce przyjąć moją propozycję. Byłbym bowiem niezmiernie rad, gdyby pan pozostał przez pewien czas w naszej stacji badawczej. Nie będę ukrywał, że korzystając z okazji chciałbym zasięgnąć pańskiej opinii w paru sprawach.

Quinta je w milczeniu, wyraźnie nie kwapiąc się z odpowiedzią.

–Oczywiście nie idzie tu o parapsychologię, a ściślej: nie tylko o zjawiska paranormalne – podejmuje gospodarz. – W większości są to problemy z pogranicza nauk należących do pańskiej specjalności, doktorze, a także, można rzec, ogólnofilozoficzne... W każdym razie nie jest to rozmowa na godzinę czy dwie. A jestem pewien, że bez pana pomocy mogę nie ustrzec się przed fatalnymi błędami. I to nie tylko w książce...

–Czy zawiadomił pan już władze o naszym uwolnieniu? – pyta Ellen.

Oriento patrzy na nią uważnie.

–Jeśli ma pani na myśli tutejsze władze, to na razie wolę się nie spieszyć – stwierdza przenosząc wzrok na Quintę. – Przemawiają za tym różne względy. Komunikat radiowy mogą odebrać nie tylko w Inuto i nie tylko ludzie Numy czy „Alconu”... W ogóle unikamy używania nadajników większej mocy, bo chociaż działamy legalnie, jest to bądź co bądź teren operacji militarnych i nie chcemy, aby każdy kto dysponuje odpowiednim sprzętem mógł zlokalizować naszą stację.

–Czyżby działali tu partyzanci Magogo? – pytam z nadzieją, ale Oriento kręci przecząco głową.

–Muszę panią rozczarować. W ciągu czterech miesięcy naszego pobytu w tej dolinie nie spotkaliśmy żadnej grupy tubylców, która próbowałaby przejść przez pierścień w tutejszym rejonie. Jeśli możemy się tu kogoś obawiać to nie partyzantów... Jeśli zaś chodzi o zawiadomienie władz, to powiem szczerze – przesądziłbym w ten sposób wbrew sumieniu sprawę, która budzi obecnie mój szczególny niepokój. Idzie mi o los doktora Barleya. Krótko mówiąc: czy to się panu, doktorze, podoba czy nie podoba,

jestem zdecydowany nie dopuścić, aby wpadł ponownie w ręce marszałka!

–Zgadzam się z panem – przytakuje Quinta, a ja oddycham z ulgą.

–O ile dobrze rozumiem – wtrąca Ellen – chciałby go pan przerzucić potajemnie gdzieś do Europy czy Ameryki? Z naszej strony może być pan pewny pełnej dyskrecji.

–Przerzut nie jest sprawą prostą... – odpowiada Oriento. – Aby przygotować szlak, trzeba co najmniej tygodnia. Oczywiście, w dalszej perspektywie, Europa czy Ameryka byłyby jak najbardziej wskazane. Ale na razie chyba ta grotka to najbezpieczniejsza kryjówka. Rzecz jasna pod warunkiem, że nikt nie będzie wiedział o naszej akcji w buszu, w miejscu przymusowego lądowania helikoptera z zakładnikami.

Quinta przerywa jedzenie i słucha z uwagą wywodów gospodarza.

–Czy nie obawia się pan jednak, że mogą tu trafić? – pyta Ellen – I czy ukrywanie faktu, że zostaliśmy uratowani nie będzie później dla pana kłopotliwe?

–Bywają czasem tropy prowadzące na manowce... – stwierdza Oriento sentencjonalnie i uśmiecha się nieznacznie. – Musicie państwo wiedzieć, iż nie tylko moi chłopcy działali w buszu tamtej nocy. A jeśli idzie o pretensje, jakie mogą mieć do mnie tutejsze władze, to nie wiadomo, czy za tydzień będą się w ogóle interesować doktorem Barleyem...

–Myśli pan, że sprawa przyschnie? „Marszałek” jest uparty i pamiętliwy! – zauważa Ellen.

Oriento znów się uśmiecha.

–Któż może wiedzieć, co będzie za tydzień z „marszałkiem”...

–Spodziewa się pan czegoś? – pyta Quinta.

–Może... – powiada gospodarz z tajemniczą miną.

–To znaczy?

Oriento w milczeniu patrzy w twarz niewidomego.

–Rozumiem, że nie może pan ujawniać pewnych faktów przed czasem... – podejmuje Quinta. – Ale wydawało mi się przez moment, iż chciał pan nam coś ważnego powiedzieć.

–Ależ nie mam nic do ukrywania! – zastrzega się Oriento. – Zastanawiałem się tylko, czy nie potraktujecie mnie jak wariata czy mitomana. Idzie o to, że czekając na was zabawiałem się obliczaniem horarnego horoskopu Numy na okres najbliższych dwóch tygodni. I mogę państwu powiedzieć, że aspekty w tym czasie są dla niego wręcz fatalne. Zwłaszcza pierwsze dni grudnia mogą przynieść szereg zmian o katastrofalnych następstwach i to chyba nie tylko dla Numy.

–I pan wierzy, że to się sprawdzi? – pytam, nie ukrywając rozczarowania.

–To nie jest dla mnie kwestia wiary – odpowiada z lekką urazą. – Ja obserwuję, badam i opisuję. Znam wszystkie argumenty wytaczane przeciw astrologii. Więcej: rozum nakazuje mi je podzielać. Gdyby chodziło tylko o mechaniczne przetwarzanie danych, o proste wyliczenia na pewno tego rodzaju przepowiednie nie zasługiwałyby na uwagę. Ale ważna jest również interpretacja wyliczeń, a tu już wkraczamy w sferę nie tylko wiedzy, ale także, a może przede wszystkim intuicji, w sferę zjawisk paranormalnych, zdolności jasnowidczych, pre-kognicji. Ale to mi nie wystarcza. Próbuję sprawdzić czy horoskop wykazuje zbieżność z wynikami innych eksperymentów z zakresu spostrzegania pozazmysłowego na dany temat. Kiedy więc obliczony przeze mnie horoskop „marszałka” sugerował bardzo niekorzystną dla niego interpretację, przeprowadziłem dodatkowo dwa doświadczenia: pierwsze metodą transu autohipnotycznego ze stymulacją kartami Taor i zapisem magnetofonowym, drugie w czasie seansów telepatycznych z Bobem. W obu przypadkach wyniki są w sposób znaczący zbieżne z horoskopem.

–Czy może pan nam powiedzieć na czym polegały te doświadczenia? – pyta Quinta.
– Jestem laikiem w tej dziedzinie. Mówił pan o jakichś kartach. Czy to coś w rodzaju

kart do badań statystycznych?

–Same eksperymenty nie mają nic wspólnego z dawnymi badaniami statystycznymi. Oczywiście wyniki można i trzeba oceniać metodami rachunku prawdopodobieństwa, ale nie to jest najważniejsze. Karty Taor są mojego pomysłu, oparłem je częściowo na kartach taroka, stąd pierwsza sylaba. Rozkład kart przypomina sposób stosowany w tradycyjnej kartemancji, ale nie wyklucza też metody intuicyjnej kompozycji.

–To znaczy, pan po prostu wróży z kart...

–Nie tak „po prostu”, jak pan, doktorze, myśli – zastrzega Oriento z tłumioną urazą. – Karty są tu tylko stymulatorem gnozi, ułatwiają wejście w trans i układ ich odgrywa rolę zaledwie kanwy, czy raczej szkieletu sytuacyjnego, na którym podświadomość buduje strukturę wizji przyszłych zdarzeń. Patrząc na karty mówię to, co w danej chwili przywołują mi na myśl. Mogę nawet w ten sposób zadawać pytania i znajdować odpowiedzi jak gdyby intuicyjnie. Jest to więc swoście ukierunkowany, a jednocześnie swobodny bieg skojarzeń, bliższy temu co zwykliśmy nazywać jasnowidzeniem niż stawianiem kabały. W ten właśnie sposób wokół karty symbolizującej Numę rozwinął się cały złożony układ elementów, z których moja podświadomość ukształtowała w transie autohipnotycznym konkretną wizję śmiertelnego niebezpieczeństwa wiszącego nad „marszałkiem” i jego ministrami.

–W ten sposób powtarza pan to, co już odczytał z horoskopu – zauważa Quinta z pewnym już zniecierpliwieniem. Odnalazł po omacku stojący przed nim kubek z herbatą i uniósł go do ust. – Tego nie można uznać za próbę kontrolną. Gdzie tu jasnowidztwo? – pyta między jednym a drugim łykiem.

–I tu się pan myli, doktorze! – wola gospodarz z przejęciem. – Układ kart określa jednoznacznie kierunek zdarzeń, ich dodatnie czy ujemne znaczenie. A wyboru kart dokonuje się nieświadomie, a nawet losowo. Podświadomość podsuwa w transie interpretacje przede wszystkim szczegółów dostrzeżonych w układzie kart. Te szczegóły jeśli idzie o Numę były inne, znacznie bogatsze niż w horoskopie. I one właśnie, a nie ogólny schemat, znalazły potwierdzenie w trzecim doświadczeniu, w którym już nie tylko ja brałem udział, ale i Bob. Rzecz w tym, iż raz na dzień, o określonej godzinie, nawiązujemy kontakt telepatyczny i każdy z nas zapisuje na taśmie wszystkie swe doznania i myśli. Potem Istvan jako osoba postronna porównuje zapisy i szuka zbieżności. Ścisłej: dokonuje tego komputer w oparciu o specjalny program opracowany przez zespół wybitnych psychologów i matematyków. Myślę, że może to pana zainteresować, doktorze. Otóż musicie państwo wiedzieć, że takich seansów nie zaniechaliśmy również w czasie wyprawy po was. Konkretnie: było ich dwa, w tym jeden przeprowadzony właśnie w tym czasie, gdy eksperymentowałem z kartami Taor. Bob miał wówczas wizję czterech mężczyzn na tarasie jakiejś wysokiej budowli, omawiających szczegóły przygotowanego polowania z podziałem funkcji między dyskutantów, potem wizję czarnego nosorożca, schwytanego w zarzuconą z góry sieć, wreszcie ćwiartowania wielkiej dzikiej świni ze szramą nad okiem, taką samą jaką ma „marszałek” Numa. Symbolika jak najbardziej przejrzysta jeśli zważyć, że Republika Patope ma nosorożca w herbie. A nie powiedziałem państwu, że u mnie w kartach występowało czterech króli wrogich Numie, sieć, odwrócone koło szczęścia i śmierć. Nie potrzeba komputera, aby stwierdzić zadziwiającą zbieżność.

–Więc pana zdaniem los „marszałka” został przypieczętowany – mówi Quinta odstawiając kubek. – I chciałby pan, abyśmy tu poczekali na spełnienie się przepowiedni?

–Myślę, że dojdzie co najmniej do próby przewrotu – stwierdza gospodarz z powagą. – Nie twierdzą, że musi się udać, że „marszałek” zginie. Zginąć mogą jego przeciwnicy. Tego ani karty, ani gwiazdy nie przesądzą. Ale pewien jestem, że śmierć jest blisko Numy i jeśli ktoś potrafiłby określić jej prawdopodobieństwo, to byłoby ono chyba bliskie 0,9.

–Ciekawe... – uśmiecha się doktor. – Gdybyż tą metodą można było stawiać prognozy polityczne.

–To jest prognoza polityczna! – stwierdza Oriento z błyskiem w oczach.

Quinta chce coś odpowiedzieć, lecz Ellen ujmuje go za rękę, podając kolejną kanapkę.

–Szalenie interesujące – mówi przymilnie do gospodarza. – A czy mnie mógłby pan powróżzyć?

–Tak bardzo interesuje panią przyszłość?

–Ogromnie. Ale chyba nie jestem tu wyjątkiem? Każdy chce wiedzieć, co go czeka.

–Nie wiem. Spotykałem ludzi, którzy nie chcieli, aby im wróżono. Najczęściej nie dlatego, aby lekceważyli przepowiednie lub godziło to w ich materialistyczne przekonania. Myślę, że odwrotnie – zbyt serio traktowali wróżby. Niektórzy uważali je za wyrocznię i bali się, że potwierdzenie przepowiedni umocni ich w przekonaniu, iż nieubłagana konieczność określa bieg zdarzeń, a więc i ich losy. Ale byli i tacy, którzy lękali się, że znając wróżbę, mimowolnie poddadzą się sugestii, jaką wróżba zawiera.

–A pana zdaniem?... Przeznaczenie czy sugestia?

Oriento uśmiecha się z pobłażaniem.

–Moim zdaniem, tak jedno jak i drugie jest w istocie niedopuszczalnym uproszczeniem, wręcz wulgaryzacją problemu. Fatum to determinizm dla prostaczków. Sugestia – quasi wyjaśnienie ślizgające się po powierzchni bardzo złożonych zjawisk... Dla mnie, znać przyszłość znaczy panować nad nią, znaczy móc ją zmieniać, kształtować! Wiem, że tego rodzaju sformułowanie brzmi absurdalnie, że jest zaprzeczeniem sensu wróżbiarstwa. Idzie mi jednak nie o terminologię, lecz o fakty, o empirię. Wszystko to zresztą mieści się właśnie w tym, co nazywam „zjednoczoną teorią zjawisk paranormalnych”. Ale nie o niej teraz mowa. Idzie o to,

iż rzeczywista przepowiednia to nic innego jak ukazanie najprawdopodobniejszej konsekwencji działania czynników, o których istnieniu i sprzężeniach wie tylko nasza podświadomość. Otóż twierdzą, że odpowiednia wiedza i ćwiczenia pozwalają wykorzystać tę informację do zwiększenia lub zmniejszenia, zależnie od naszej woli, owego prawdopodobieństwa. A tym samym pozwalają wpłynąć na to, czy wróżba się sprawdzi czy nie sprawdzi.

–No to niech mi pan jak najszybciej wróży i powie jak mam pokierować swymi losami – woła z zapalem Ellen. – Gdzie ma pan te karty?!

–Mnie w Monachium wróżył pan z ręki – wtrącam nieopatrznie. Oriento spogląda na mnie, a w jego oczach dostrzegam niepokój.

–W Monachium? – dziwi się Ellen, przenosząc błyskawicznie wzrok na gospodarza.

–Zdarzają się czasem niezwykle przypadki – mówi Oriento z uśmiechem. – Państwo pewno podejrzewają Bóg wie co, a w rzeczywistości był to zupełny zbieg okoliczności. Trzy dni temu, w kawiarni, nie było wolnych miejsc, tylko przy moim stoliku. Pani nie pogardziła moim towarzystwem. I tak od słowa do słowa...

–Niech się pan nie tłumaczy! – Ellen grozi mu palcem. – Wiemy dobrze, że jesteście w zмовie i nie omieszkamy donieść gdzie trzeba...

Żart nie jest na miejscu i mrozi atmosferę. Dłuższą chwilę panuje milczenie. Oriento patrzy na Ellen i uśmiech nie schodzi z jego twarzy.

–Niech pani da rękę – mówi wstając i podchodząc do dziewczyny. Ujmuje delikatnie jej dłoń i rozkłada palce. Brwi jego ściągają się.

Ellen śledzi jego ruchy z wyraźnym napięciem.

–Co pan zobaczył? – pyta cicho.

Oriento nie odpowiada. Przymknął oczy i trwa tak nieruchomo, a ja zastanawiam się, czy rzeczywiście wszedł w trans czy też tylko chce wywołać większe wrażenie na Ellen. Wszystko to trwa niedługo – może ze dwie, trzy minuty, potem otwiera oczy, puszcza jej rękę i wraca na swoje miejsce.

–Jest pani odważną i mądrą dziewczyną – rozpoczyna z powagą. – Nie chcę ukrywać, że okres pełen burz i niebezpieczeństw dla pani jeszcze nie minął. W ogóle życie pani nie przebiega tak bezkonfliktowo jak postronnym obserwatorom może się wydawać. Ma pani do spełnienia ważne zadanie, które nie zawsze potrafi pani godzić

z własnymi uczuciami i dążeniami, ale jak dotąd szczęśliwie unika pani groźnych powikłań. Nie tu jednak kryje się największe niebezpieczeństwo, lecz w tym, co można by nazwać pomyłkami losu.

–Czy nie może pan określić dokładniej, co mi zagraża?

Oriento jakby się zawahał. Wściekła jestem na niego, gdyż nie mam wątpliwości, że specjalnie tak formułuje wróżbę, aby zaniepokoić dziewczynę i odegrać się za niestosowny żart. Jest to tym łatwiejsze, że w obecnej sytuacji losu naszego nikt nie może uznać za pewny i wcale nie potrzeba o tym czytać z ręki. Jeśli zaś chodzi o zdolności jasnowidcze gospodarza, ostatnie wydarzenia rozproszyły wszelkie moje złudzenia. Oriento już w Monachium musiał wiedzieć kim jestem i jakie są moje zamierzenia, a być może nawet on właśnie pokrzyżował plany Zielonego Płomienia. To, co powiedział Ellen, jest tak enigmatyczne, mętne i wieloznaczne, tak niewiele mówi nawet w porównaniu z tym, co usłyszałam od niego w Bramie Izarskiej, że jestem pewna, iż plecie co mu ślina na język przyniesie.

–Czarna dama i brunet wieczorową porą – wtrącam zgryźliwie. – Chyba pani rozumie, że to żarty?

Oriento spogląda na mnie ze zdziwieniem.

–Ja nie żartowałem – mówi jakby się usprawiedliwiał. – A i to co pani powiedziała, o tym brunecie, czarnej damie i wieczorze może okazać się bliskie prawdy...

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem.

–Nie rozumiem... Przecież żartowałam – jąkam niepewnie.

–Jesteśmy w pobliżu vortexu i dzieją się tu czasem dziwne rzeczy... A jeśli idzie o to, co wyczytałem z ręki panny Ellen, to mogę tylko powiedzieć, żeby się strzegła czarnego koloru... ciemności, może księżycy w nowiu... Nic nie wiem... nie rozumiem... ale niebezpieczeństwo ma coś wspólnego z czernią.

–Ale ja żartowałam! – upieram się, czując, że próbuje mnie wciągnąć w jakąś niezbyt jasną dla mnie grę.

–Oczywiście. Ale to nie ma znaczenia. W każdym razie odradzam udział w jakichkolwiek nocnych wyprawach – zwraca się do Ellen. – Przynajmniej w najbliższych dniach, a najlepiej do pierwszej kwadry. Spróbuję zresztą jeszcze obliczyć horoskop...

Gra staje się dla mnie jasna: Oriento przeprowadza w nocy jakieś „eksperymenty”, których Ellen nie powinna być świadkiem, ja zaś swoim żartem podsunęłam mu pomysł „ostrzeżenia” dziewczyny. Pewne jest przecież, że cała ta „parapsychologiczna” ekspedycja to kamuflaż jakiejś ściśle tajnej działalności wywiadowczej, wojskowej czy politycznej.

Dla kogo pracuje Oriento i co w istocie robi? Dlaczego uwolnił tylko Quintę a nie Magnu-sena? I czy rzeczywiście go uwolnił, a nie uprowadził? Do czego jest mu potrzebny okaleczony i chory psychicznie Martin? – bo przecież „gadka”, że kieruje się względami humanitarnymi to bajeczka dla grzecznych dzieci. Dlaczego przywiózł tu mnie, narażając się na ewentualny konflikt z prawem, a nie pozostawił w buszu lub po prostu kazał zlikwidować? Co wreszcie miało znaczyć monachijskie „ostrzeżenie”? Pytania można mnożyć, ale na odpowiedź, choćby w formie hipotezy, brakuje elementów.

Zdaję sobie sprawę, że powinnam koniecznie, dopóki mam względną swobodę ruchu, zorientować się, co knuje Oriento, a przede wszystkim dobrze poznać okoliczny teren, a może nawet sporządzić szkic. Czuję się jednak straszliwie zmęczona i ogarnia mnie coraz większa senność, tak iż wszelkie próby wyjaśnienia sytuacji trzeba odłożyć.

Na szczęście śniadanie dobiega końca. Martin śpi nadal i nie ma żadnych przeszkód, aby wreszcie trochę zasnąć.

2.

Spałam długo, blisko siedem godzin, co może niebezpiecznie ograniczyć czas na rozpoznawcze spacer. Obudziła mnie przyciszona rozmowa, prowadzona jakby tuż obok mnie, co – jak się szybko zorientowałam – zawdzięczam właściwościom akustycznym groty.

W pierwszej chwili nie wiem, gdzie się znajduję. Przyćmione światło, głosy Oriento i Quinty dochodzące nie wiadomo skąd, tykanie jakiejś aparatury odbite echem od skalnego stropu budzą skojarzenie z bajkowym snem czy filmem.

Treść rozmowy jest zresztą również „nie z tej ziemi”. Oriento próbuje przekonać Quintę o słuszności jakiejś strasznie wariackiej, jak mi się wydaje, własnej hipotezy, dotyczącej kontaktów, ba – chyba wręcz powszechnej symbiozy między cywilizacjami kosmicznymi. Twierdzi, że dowody tego można jakoby znaleźć na każdym kroku, jeśli tylko umie się je dostrzec. Myślę początkowo, że ma na myśli UFO, ale okazuje się, że jest to bardziej zawiła sprawa.

Otóż według Oriento Wszechświat stanowi jedność nie tylko w sensie materialnym, ale i duchowym. Traktuje zresztą ten podział na ducha i materię jedynie jako obraz pozorny, spowodowany ograniczonością ludzkiej wyobraźni, której pole działania wyznacza z kolei ograniczoność naszych zmysłów i umysłu. Owa jedność Wszechświata rozumiana jest przez Oriento w sposób, jak mi się wydaje, dosłowny. Chodzi o to, że cała materia, wszystkie materialne struktury, począwszy od najelementarniejszych cząstek, a skończywszy na supercywilizacjach galaktycznych, pozostają ze sobą w związku, przy czym im wyższy jest stopień „uduchowienia”, „upsychicznienia” materii, tym większa jest, według Oriento, zdolność oddziaływania tej materii na Wszechświat. Rozróżnienie zaś co jest skutkiem, a co przyczyną nie ma sensu.

Quinta mówi mu, że to panteizm, ale Oriento widać jest zdecydowanym ateistą, bo traktuje to jako zarzut. Próbuje więc udowodniać, że jego „teoria” nie jest żadną odmianą neopanteizmu, skłaniając się raczej do panpsychizmu w stylu La Mettriego. Argumenty zresztą nie są wcale naiwne, chociaż nie przekonują Quinty. Oriento odwołuje się przede wszystkim do swojej tezy o rozwoju duchowym Wszechświata, przyjmując, że „na początku” upsychicznie-nie materii było bliskie zeru, a cóż to za Bóg pozbawiony atrybutów wieczności i mądrości. Na to Quinta, że w historii religii nie brakowało mitów mówiących o narodzinach bogów z chaosu, a wieczność i niezmienność jest tylko przymiotem Boga w niektórych wykładniach teologicznych.

Oriento argumentuje, iż jego teoria jest oparta na „naukowych” podstawach i nie

ma nic wspólnego z religią, gdyż właściwości „psychiczne” Wszechświata pojmuję nie spirytualistycznie, lecz materialistycznie, jako efekt samoorganizacji materii. Wyższość duchowa to dla niego wyższy stopień zorganizowania.

Na tym gruncie Quinta czuje się jak w swoim żywiole i poczyną natychmiast „maglować” gospodarza o definicję pojęcia organizacji i kryteria stopni zorganizowania. Robi to początkowo dość agresywnie i jestem niemal pewna, że dojdzie do kłótni, ale wkrótce okazuje się, iż jest to swoista metoda „dochodzenia do prawdy”, a może raczej ścisłości naukowej, którą Oriento wyraźnie ceni. Chociaż więc definicje proponowane przez niego nie zadowolają Qu-inty, szybko się dogadują. Widać, że doktora bawi, a nawet podnieca fakt, że pomaga w for-

mułowaniu hipotezy, której bynajmniej nie podziela, zaś gospodarz przyjmuje uwagi uczonego z wyraźnym przejęciem i szacunkiem, traktując dyskusję jak konsultację z fachowcem najwyższej klasy. Pierwszy raz mogę obserwować tych dwóch tak różnych, a zarazem, pod pewnymi względami, tak podobnych ludzi, w swobodnej, pozbawionej ukrytych intencji rozmowie i muszę przyznać, że zachowanie się ich, a zwłaszcza Quinty, jest dla mnie przyjemnym zaskoczeniem.

Wiążąc wyższość duchową z wyższym stopniem zorganizowania Oriento mówi, że ma na myśli nie tyle samo skomplikowanie struktury, co jej zdolność do działania w różnych zmienionych warunkach. Kryterium wyższości duchowej jest więc, rzecz można, empiryczne, praktyczne. Wyżej zorganizowana materia to taka, która skuteczniej, sprawniej, szybciej, z mniejszym nakładem energii, mniejszymi stratami i zakłóceniami w środowisku przystosowuje się do zmienionych warunków, odnajduje równowagę w razie jej zachwiania, słowem: rozwiązuje problemy. Myślę, że nie ma w tym właściwie niczego odkrywczego. Wiadomo, że zdolność rozwiązywania nowych problemów i skutecznego działania w zmieniających się warunkach to nic innego jak inteligencja, której wysokie wskaźniki przyjęło się od dawna uznawać za dowód wyższości intelektualnej czy wręcz duchowej, jeśli uwzględnić napędową rolę uczuć, popędów i motywacji. Nie mówiąc już o tym, że szczeble ewolucji organizmów to szczeble wzrostu złożoności struktur, a więc organizacji.

Zwariowanym, jak mi się wydaje i chyba oryginalnym pomysłem Oriento jest „prawo powszechnego psychooddziaływania” sformułowane na podobieństwo prawa powszechnego ciężenia. Jego punktem wyjścia jest twierdzenie, że wszelkie struktury materialne wpływają na siebie wzajemnie w stopniu proporcjonalnym do ich „potencjału” duchowego, zaś odwrotnie proporcjonalnym do kwadratu odległości. Wygląda to na zupełną bzdurę, ale Quinta, czy to nie chcąc urazić gospodarza, czy może rzeczywiście potrafi doszukać się w jego „teorii” jakiegoś „racjonalnego jądra”, traktuje sprawę z pełną powagą, atakując „prawo powszechnego psychooddziaływania” z zupełnie innej niż się spodziewałam strony. Nie kwestionując z góry tez Oriento, próbuje przede wszystkim oczyścić terminologię z „naleciałości spirytualistycznych” i doprowadzić do sprecyzowania podstawowych pojęć. Okazuje się wówczas, że „potencjał duchowy” to w istocie nic innego jak zasób informacji i system ich przetwarzania, umożliwiających reakcje przystosowawcze czyli rozwiązywanie problemów, zaś „wpływ duchowy” polega na przekazywaniu informacji.

Jest to jednak dopiero wstępne oczyszczenie pola. Jak się bowiem okazuje Oriento chce być nie tylko Newtonem „psychooddziaływania”, ale i Einsteinem. Prosta „newtonowska” zależność wpływu od potencjału i odległości „dobrze opisuje fakty” tylko przy „niskich” potencjałach, jako tako przy „średnich” a „zawodzi” całkowicie

przy „bardzo wysokich”. Gospodarz rozumie to tak, że na przykład informacje o stanie materii nieożywionej są wypro-mieniowywane na wszystkie strony, zaś natężenie pola informacyjnego maleje do kwadratu odległości, czyli wraz ze wzrostem odległości coraz mniej informacji dociera do odbiornika. Łączność zależy jednak nie tylko od mocy nadajnika i odległości, ale i od czułości odbiornika, od jego przystosowania do sygnałów nadajnika. Im zaś odbiornik jest doskonalszy, bardziej uniwersalny, odbierający sygnały w większym zakresie od większej liczby nadajników, tym w większym stopniu rekompensuje straty spowodowane odległością. Jeśli zaś i nadajnik odznacza się wysokimi walorami jako źródło informacji, potrafi działać kierunkowo oraz dysponuje odpowiednią mocą, łączność może być i jest osiągnięta na ogromne odległości. Oriento ujął to nawet w pewnego rodzaju wzór matematyczny, w którym stopień zorganizowania materii wyraża się liczbą możliwych sprzężeń elementów, z których dany układ materialny jest zbudowany. A jak wiadomo liczba ta jest kwadratem liczby tych elementów. W ten sposób próbuje on „udowodnić”, że supercywilizacje są w stanie odbierać informacje i wywierać wpływ na materię w skali galaktycznej, a nawet całego Wszechświata. Co więcej twierdzi, iż po przekroczeniu określonego, wysokiego progu organizacji zdolność supercywi-

lizacji do penetracji bardzo odległej przestrzeni rośnie tak zadziwiająco szybko, że do matematycznego opisu występujących wówczas prawidłowości nie wystarczą już stworzone przez niego wzory i trudno nawet wyobrazić sobie jakie powinny być owe „nadpsychiczne” zależności.

Oriente zastrzega, że nigdy nie twierdził, że wszystko co dzieje się w naszym świecie podlega kontroli i sterowaniu przez jakąś supercywilizację czy wręcz „zespolone siły duchowe” Wszechświata. Ale nigdy też nie zaprzeczał takiej możliwości, i daje do zrozumienia, iż wydarzenia o wielkiej wadze „duchowej” zarówno podlegają oddziaływaniu, jak i oddziałują na Wszechświat. Nie ulega też wątpliwości, że takim „wydarzeniem” jest dla niego Vortex P i z badaniami tam prowadzonymi wiąże jakieś szczególne nadzieje. Wyraźnie jednak unika precyzowania, co ma na myśli, mówiąc o zdobytych przez jego zespół „dowodach” owych kosmicznych kontaktów.

Quinta nie nalega zresztą zbytnio na to, aby Oriente zapoznał go z konkretnymi wynikami badań, koncentrując się na krytyce podstawowych tez gospodarza. Przede wszystkim kwestionuje sposób oceny stopnia rozwoju cywilizacji, stwierdzając, że liczba elementów i możliwych sprzężeń między nimi nie może być tu wskaźnikiem, gdyż nic nie mówi jeszcze o strukturze systemu i jego funkcjonalności, o której decydują nie tylko określone sprzężenia, ale i brak połączeń między elementami. Zdaniem Quinty, takich podstawowych właściwości „inteligentnego” systemu, jak zdolność uczenia się, magazynowania i wykorzystywania wiedzy i doświadczenia w nowych nietypowych warunkach, nie można sprowadzić do prostych sprzężeń między elementami, zwłaszcza, że pojęcie „element” traktuje Oriente wieloznacznie. Może ono oznaczać zarówno powiązania między cząsteczkami czy nawet cząstkami elementarnymi w atomie, neuronami w mózgu, jak i poszczególnymi osobnikami w populacji.

Oriente nie daje za wygraną i twierdzi, że „wybór modelu zależy od tego jaki szczebel kontaktu nas w danej chwili interesuje”. Wydaje mi się to niezręcznym unikiem, ale o dziwo, Quinta bierze to za dobrą monetę. Mówi, że wszelkie zjawiska psychiczne można w zasadzie sprowadzić do fizjologicznych, fizjologiczne do biofizycznych i biochemicznych, a w końcu i chemię do fizyki czy wręcz oddziaływań elektromagnetycznych, lecz rozpatrywanie konkretnego procesu myślowego w kategoriach oddziaływań na poziomie molekularnym i submolekularnym byłoby niepotrzebnym komplikowaniem problemu. Po prostu – wygodniej jest przyjmować jako elementy układu inne podukłady o określonych właściwościach, nie wnikając w ich budowę.

Oriente, oczywiście, potwierdza, iż właśnie to miał na myśli – idzie jednak dalej,

próbując wywieść z tego wnioski, że oddziaływanie „duchowe” materii przebiega jednocześnie na wszystkich poziomach, tylko nasz umysł i narzędzia poznania nie są w stanie objąć całości. A jeśli tak jest, to tym więcej sprzężeń łączy wysoko zorganizowane struktury ze światem i su-percywilizacje lepiej nimi władają.

Wraca więc znowu sprawa kryteriów wyższości i już mi się wydaje, że obaj zgodzą się traktować je statystycznie. Ale właśnie wtedy rozpoczyna się najbardziej zażarta dyskusja. Okazuje się, że Quinta wszystko sprowadza do empirii i praktyki, zaś Oriento próbuje podważyć ich słuszność, twierdząc, że chociaż uznaje zasadę niesprzeczności, jest w posiadaniu dowodów, iż wszelkie obliczenia statystyczne są zawodne, a każde stwierdzenie faktu jest podważalne. Odnosi się to również, a może przede wszystkim do zjawisk paranormalnych, a do nich zalicza też „kontakt”.

Sądziłam, że w tej sytuacji Quinta – racjonalista i empiryk – powie, że nie ma o czym dyskutować, gdyż nawet żądanie przedstawienia owych „dowodów” traci sens, ale on pomija w ogóle tę kwestię i pyta po prostu, czy Oriento swoje stwierdzenie uznaje za absolutną prawdę czy za model, to znaczy opis rzeczywistości. Gdy gospodarz potwierdza, że jest to opis, doktor natychmiast oświadcza, że model taki należy traktować konsekwentnie również jako produkt niedoskonałości umysłu ludzkiego i rezultat ograniczonej wiedzy. Słowem, że stwier-

dzenie „cudów” jest tylko rezultatem naszej niewiedzy. Na to Oriento wyraża zgodę, ograniczając się do obrony tezy, iż owe „cuda” są, a przynajmniej mogą być przejawem supercywilizacyjnych kontaktów. Przeciw temu Quinta już nie oponuje, zastrzegając tylko, iż należy to traktować jako hipotezę roboczą.

Rozmowa poczyną teraz wkraczać na konkretniejszy teren. Wyływa przede wszystkim sprawa bariery czasu. Zdaniem Quinty, już przy przeciętnych odległościach międzygwiazdnych, trudno wyobrazić sobie zespolenie psychiczne istot o rytmice życia podobnej do ludzkiej, a sterowanie, gdy sygnały biegną miliony lat, w ogóle traci sens. Oriento zgadza się z tym zastrzeżeniem, twierdzi jednak, iż byłoby naiwnością i dowodem braku wyobraźni, gdyby sądzić, że supercywilizacje wykorzystują w łączności tylko znane nam nośniki informacji. Tak jak w okresie przed wynalezieniem telefonu i radia ktoś twierdziłby, że maksymalna prędkość przesyłania słów to prędkość dźwięku. Quinta prostuje, że sygnalizacja optyczna, a więc elektromagnetyczna znana była już w starożytności, ale Oriento natychmiast przechwytyje „piłeczkę” twierdząc, że i dziś w pewnych przypadkach można zaobserwować, a nawet wykorzystać praktycznie zjawisko przesyłania informacji za pośrednictwem nieznanym nam nośników i to z prędkością, zda się nieskończenie wielką.

Quinta odnosi się do tego bardzo sceptycznie, stwierdzając, iż nie słyszał o takich zjawiskach. Gospodarz mówi wówczas, że się temu nie dziwi, gdyż są to zjawiska bardzo trudne do zaobserwowania, wręcz niezauważalne w normalnych ziemskich warunkach, zaś przyrządy, choćby najdoskonalsze, jak dotąd spełniają tu tylko rolę pomocniczą. Jemu jednak, dzięki Bobowi i... Vortexowi P, udało się nie tylko być świadkiem tego rodzaju łączności, ale przeprowadzić doświadczenie dostarczające niezbitego dowodu, iż einsteinowska zasada o prędkości światła jako nieprzekraczalnej granicy przestaje w tym przypadku obowiązywać.

I tu zaczyna opowiadać jakąś niewiarygodną historię o „eksterioryzacji” Boba w okolicy Saturna i zakłóceniu pracy przyrządów zainstalowanych na sztucznym satelicie tej planety. Miało to nastąpić we wrześniu tego roku, dokładnie w rocznicę startu Sputnika I. Przeprowadzali wtedy z Bobem i Istvanem serię eksperymentów w górnych partiach Doliny Martwych Kamieni. Nastąpił wówczas niespodziewany wzrost oddziaływania vortexu w postaci jakichś charakterystycznych zmian potencjału elektrycznego czy przewodnictwa kultur bakteryjnych, a także krzywej elektroencefalograficznej u Boba. U Berga wystąpiły nawet skłonności do halucynacji i Oriento sam musiał zająć się obsługą przyrządów. Goldstein był w świetnej formie i powiedział, że gotów jest „eksterioryzować” w dowolne, wyznaczone przez Oriento miejsca. W tamtych dniach w prasie i radiu było sporo doniesień o zdjęciach pierścieni i satelitów Saturna przez „Huygensa 2” i Oriento

wpadł na pomysł, aby Bob tym razem spróbował „przenieść się tam duchem”, podobnie jak to przed laty robił słynny amerykański „eksteriorysta” Ingo Swan.

Bob w transie relacjonował swą kosmiczną „podróż”, zaś Oriento rejestrował na taśmie każde jego słowo, tak iż istnieje podobno pełna dokumentacja przebiegu doświadczenia. Przeprowadzono je późnym wieczorem, a Saturn był dobrze widoczny, wysoko nad szczytami gór.

Goldstein przez pierwsze kilka minut wpatrywał się w planetę, stopniowo wchodząc w trans, a potem przymknąwszy powieki począł mówić co widzi. Według tego co mówi Oriento, Bob miał wizję powolnego zbliżania się do planety, przy czym przez pierwsze dwadzieścia dwie minuty mówił tylko o rosnącej jasności obiektu, nie dostrzegając tarczy, a następnie przez niespełna półtorej minuty podawał coraz więcej szczegółów; wygląd plam i pasów na powierzchni globu, układu i struktury pierścieni, położenia księżyców Saturna, w szczególności Tytana, wokół którego krążył wówczas satelita badawczy „Huygens 2”. Oriento polecił Bobowi, aby zbliżył się do Tytana i odnalazł „Huygensa”, co jak twierdzi, okazało się początkowo zbyt trudne z uwagi na zbyt małe rozmiary obiektu w porównaniu z księżycem, większym przecież od naszego. Dopiero pod wpływem sugestii, iż Bob może „słyszeć” radiowe sygnały „Huygensa”, miał rzekomo określić pozycję satelity, dostrzec go i znaleźć się w jego pobliżu.

„Eksteriorysta” opisał ponoć bardzo wiernie wygląd zewnętrzny aparatury, a potem na polecenie Oriento próbował zakłócić jej działanie poprzez mechaniczne zachwianie równowagi stacji, co jakoby wywołało dostrzegalną reakcję silniczków stabilizujących. Druga próba telekinetycznego oddziaływania, polegająca na „zasłonięciu” obiektu kamery szerokokątnej nie była w pełni udana, choć rzekomo wyniki są znaczące, gdyż obraz zapisany wówczas na taśmie, a następnie przekazany na Ziemię jest bardzo zły, o jasnych nieregularnych plamach. Oriento miał w programie jeszcze dalsze próby, ale Goldstein był już bardzo zmęczony i „powrócił” na Ziemię.

Wszystko to traktuję oczywiście, jako dobry żart lub wytwór wyobraźni mitomana i sądzę, że to samo myśli Quinta, gdyż nawet nie próbuje wypytywać gospodarza o szczegóły. Oriento wyraźnie zdaje sobie z tego sprawę i stara się, jak tylko może, wyrzucić wrażenie na doktorze, iż wszystko, co słyszy to rzetelna prawda. Podaje dokładne godziny i minuty poszczególnych „czynności” Boba, twierdząc, iż w dokumentacji NASA, dotyczącej łączności „Huygensa 2” z Houston, można znaleźć pełne potwierdzenie wspomnianych zakłóceń. Zastrzega jednak, iż nie chodzi mu bynajmniej o wykazanie zdolności „eksterioryzacyjnych” i „telekinetycznych” Boba, w które nigdy nie wątpił, lecz o to, że sygnały o zakłóceniach dotarły do Houston osiemdziesiąt minut po relacji Goldsteina, co jest dowodem, iż w pewnych szczególnych warunkach informacje mogą być przesyłane z prędkością miliony, a może miliardy razy większą od prędkości światła. Jeśli zaś idzie o eksterioryzację to, zdaniem Oriento, szybkość pokonania przestrzeni nie zależy od odległości, lecz ograniczonego tempa pracy mózgu „eksteriory-sty”, który aby dostać się w określone miejsce, musi wyobrazić sobie drogę konieczną do przebycia.

Quinta, jak to jest w jego zwyczaju, nie oponuje, ani też nie spieszy się z wnioskami. Poczyna tylko wypytywać Oriento, w jakich warunkach przebiegał eksperyment, czy posiadali zdjęcia lub plany aparatury, czy Goldstein interesuje się astronomią, jakich używano chronometrów. W konkluzji zaś stwierdza, że szkoda, iż w doświadczeniu nie uczestniczył jakiś astronom-chronometrażysta i specjalista w zakresie budowy sztucznych satelitów, gdyż niestety trudno będzie zapobiec podejrzeniom, iż zapis magnetofonowy sporządzony został po zaznajomieniu się z dokumentacją NASA. Oriento nie przejmuje się tym zbytnio. Oświadcza, iż doświadczenie można powtórzyć, ale w tej chwili nie zależy mu na naukowym uznaniu jego odkrycia. A jeśli w przyszłości stanęłaby sprawa udokumentowania pierwszeństwa to ma on świadka, którego nazwisko na pewno liczy się w świecie naukowym.

–Świadkiem zaś tym jest nie kto inny jak sam doktor Quinta! – kończy Oriento z triumfem.

Quinta deklaruje, że jeśli zajdzie potrzeba, oczywiście, gotów jest potwierdzić, że Oriento opowiadał mu o przebiegu eksperymentu i jego wynikach. Żałuje jednak, iż nie był dotąd świadkiem żadnej „eksterioryzacji” i nie ma wyrobionego zdania na ten temat, tak aby mógł zająć jakieś konkretne stanowisko w tej sprawie. Wyraźnie daje do zrozumienia, że niezbyt dowierza temu co usłyszał. Ale gospodarz jakby tylko na to czekał:

–Był pan, doktorze, świadkiem, a ściślej: współuczestnikiem takiego doświadczenia – mówi ścisząc głos. – I może pan sam ocenić umiejętności Boba. Powiedziałem panu, gdyśmy się spotkali, że wysłałem moich chłopców państwu na ratunek, gdyż wiedziałem, iż zagraża wam śmiertelne niebezpieczeństwo. Dałem też do zrozumienia, że idzie tu o pewnego rodzaju zdolności jasnowidcze, nie podałem jednak żadnych szczegółów. Otóż teraz powiem panu jak to było: gdy się dowiedziałem o porwaniu was i lądowaniu w Inuto, prosiłem Boba, aby spróbował zobaczyć co się tam na lotnisku dzieje. Poszliśmy we dwóch w głąb doliny, aż za „martwe kamienie”... Bob „eksterioryzował” dwukrotnie, najpierw przez ponad godzinę, potem po dwugodzinnym odpoczynku jeszcze raz, na krótko, dla zlokalizowania miejsca waszego lądowania w buszu i zaraz ruszył w drogę. Mam zapis. Może pan przesłuchać i stwierdzić, czy to co mówił Bob odpowiadało prawdzie. A mówił różne dziwne i przerażające rze-

czy... Zwłaszcza na temat Magnusena i dowodzącego akcją Japończyka... Czy pan wie, że właśnie z jego strony zagrażało panu największe niebezpieczeństwo?

Quinta nic nie odpowiada. Przez chwilę panuje milczenie, potem zaskrzypiał fotel i znów słyszę głos Oriento:

–Przyniosę tę taśmę. Ciekaw jestem co pan na to powie.

Jego kroki oddalają się i cichną. I w tej chwili właśnie Martin poczyną miotać się na posłaniu, pojękiwać i bełkotać jakieś słowa bez związku. Czy w tej sytuacji mogę nadal udawać, że śpię?

Zrywam się z tapczana i wprost, w piżamie pożyczonej od Boba, nie ubierając się, podchodzę do Martina. Siedzi na tapczanie z podkurczonymi nogami tak, iż kolana dotykają brody, na próżno usiłując objąć je ramionami, z których lewe pozostaje jeszcze w bandażach. Rozbiegany wzrok zdaje się szukać na prześcieradle i odrzuconym kocu czegoś, co budzi w nim niewątpliwie paniczny strach. Chcę pogłodzić go po policzku, ale on cofa się gwałtownie, patrząc z przerażeniem na moją dłoń, jakby to była głowa jadowitego węża.

–Martin! To ja, Agni!

Podnosi głowę i chyba mnie rozpoznał, ale reakcja nie jest taka, jakiej oczekiwałam. Patrzy na mnie z lękiem. Nagle podrywa się z posłania.

–Agni! Uciekaj! Uciekaj! Nie, nie tu... Jeśli cię schwytają... To mordercy... sadyści... Uciekaj – bełkoce rozpaczliwie. – Gdzie jestem? – na chwilę jakby wraca mu przytomność. – Skąd ty tu?... Czy oni już nie przyjdą? – pyta niemal normalnym tonem, ale zaraz zaczyna znów bełkotać coraz bardziej bez związku. – Dlaczego?... Dyspozytornia... Dyspo... Dys... Nie wiem... Nigdy nie słyszałem. Kto?... Dlaczego ją tak męczycie? Ona... nic nie wie. To ja... Mrówki. Czerwone mrówki... Nie! Nie! Wszystko już powiedziałem... Nieprawda... Plac Livingstone’a... Pierwsza ulica... Trzeci za... Nie, nie! Vittorio... Gdzie Vittorio?... Ekos?... Nie wiem... Nic nie wiem! Nie znam... Nie znam pana... Mordercy! Coście z nią zrobili?

Jestem bezradna.

–Niech pani poszuka Ellen – słyszę za sobą głos Quinty. – Wyszła gdzieś z panem Goldsteinem. Chyba na zewnątrz. Oni tu mają różne środki. Również na uspokojenie.

Biegnę ku wyjściu. W przedsionku groty spotykam Maksa.

–Dokąd to dziecinko? – zastępuje mi drogę – W takim stroju? Gdzie ci się tak spieszy?

–Nie widział pan tu gdzieś panny Ellen? Doktor Barley znów czuje się gorzej – wyjaśniam krótko.

–Panna Ellen poszła na spacer z Bobem. Wracaj do chorego. Sam pójdę po nich.

Rzeczywiście powinnam jak najszybciej wrócić. Bełkot Martina może być niebezpieczny. Przecież już zaczął coś mówić o „Ekosie” i Vittorio, a Quinta słucha. Jeśli ten ślepy szczur wyciągnie z niego jakieś nazwiska i adresy...

„Ekos”... Co on może wiedzieć o „Ekosie”? To była dziwna sprawa, nie wyjaśniona do końca. Półtora roku temu... Brałam wówczas bardzo aktywny udział w tworzeniu sieci informatorów Zielonego Płomienia. Mieli sygnalizować wszelkie przypadki działań stanowiących zagrożenie ekologiczne. Otóż jeden z informatorów holenderskich, znany dziennikarz i działacz ruchu „Zielonych”, Peter More przekazał wiadomość, jak się początkowo wydawało niewiele znaczącą, o tym iż jakaś firma o nazwie „Ekos” rzuciła na rynek próbną serię klimatyzatorów domowych o „cudownym” działaniu. Są to „jonizatory autokompensacyjne”, jakoby zapobiegające wszelkim szkodliwym skutkom podziemnych czy kosmicznych pro-mieniowań oraz skażeń chemicznych i biologicznych, a także zmian ciśnienia atmosferycznego i burz magnetycznych. Oczywiście, różnego rodzaju kombinatory wszędzie szukają łatwych zysków i na ochronie środowiska i radiestezji nie raz już próbowano robić dobre interesy, ale More prosił, aby nie lekceważyć sprawy, gdyż stwierdził na sobie, iż jonizator „Eko-su” nie jest narzędziem ochrony, lecz źródłem zagrożenia ekologicznego. Niestety, na czym to zagrożenie polega, nie było zbyt jasne i gdyby nie to, że Martin znał i ceniał More’a, można

by podejrzewać, iż jest on wariatem. Twierdził bowiem, że klimatyzator, „działa” na niego „ubezwłasnowolniająco” i to „na zasadzie odwrotnej”. Gdy bowiem zainstalował i włączył aparat, nie czuł żadnej poprawy zdrowia czy lepszego samopoczucia i sądził, że jest to zwykłe oszustwo, kiedy jednak próbował wyłączyć aparaturę, natychmiast pojawiało się nieskonkretyzowane uczucie, że czegoś brakuje. Uczucie to przechodziło w nieznośny niepokój, a jednocześnie potęgowały się zwykłe dolegliwości, na które More cierpiał. Dolegliwości te nasilały się w godzinach wieczornych i nocnych, a zanikały rano, gdy More opuszczał dom, udając się do pracy. Informator twierdził, iż cykliczne momenty niepokoju utrzymywały się również, gdy przebywał poza własnym mieszkaniem, na przykład w podróży służbowej. Podobnych sensacji doznawała żona More’a, z tym iż u niej zanik dolegliwości występował w krótszych okresach, odpowiadających godzinom, w których zwykle dokonuje zakupów. Jeśli More’owie przebywali w domu, po włączeniu „klimatyzatora” dolegliwości natychmiast ustępowały.

More pytał, czy zgłosić zaobserwowane zjawisko ankieterowi „Ekosu”, który w przyszłym miesiącu ma go odwiedzić. Martin polecił mi wówczas odpisać, że nie widzi sensu trzymania tego w tajemnicy i prosimy tylko o poinformowanie nas jak na to zareagował ankieter, a także o dokładniejsze wywiadowanie się co to za firma produkuje i instaluje „jonizatory”. Po sześciu tygodniach nadeszła odpowiedź, że ankieter zachował się „normalnie”, a firma zabrała aparaturę do przeglądu i dotąd nie zwróciła. Na interwencję w przedstawicielstwie – oświadczono, że klient zgłaszający reklamacje może otrzymać zwrot wpłaconej zaliczki lub czekać na wynik ekspertyzy. Gdzie, w jakich zakładach „jonizatory” są produkowane, przedstawiciel nie wie, gdyż działa tylko na zlecenie. Na groźbę More’a, że – jeśli w ciągu paru dni nie otrzyma nowej lub dotychczasowej aparatury – wniesie sprawę o odszkodowanie, przedstawiciel zmiękł i przyrzekł załatwić wszystko po myśli klienta. „Klimatyzator” został zainstalowany już następnego dnia, ale jego działanie nie przyniosło wyraźnej poprawy samopoczucia More’a i jego żony. Dopiero po dwóch tygodniach dolegliwości zanikły, lecz jego zdaniem, nie miało na to żadnego wpływu włączenie czy wyłączenie „jonizatora”.

Wkrótce przyszedł jeszcze jeden list od More’a – bardzo krótki i lakoniczny. Donosił, że zdobył jeszcze dwa nazwiska i adresy ludzi, którzy skorzystali z usług „Ekosu” i prosi o przyjazd kogoś kompetentnego. Martin wysłał wówczas do Amsterdamu Vittoria i Carla, którzy wrócili po tygodniu, właściwie z pustymi rękami. Okazało się, że More i jego żona zginęli w katastrofie samochodowej. Nie udało się też odnaleźć przedstawiciela „Ekosu” – pod wskazanym w liście adresem poinformowano Vittoria, że przedsiębiorstwo instalujące klimatyzatory zostało zlikwidowane przed trzema tygodniami. Carl, który swego czasu zajmował się przemytem, miał kontakty ze światem przestępczym i próbował zasięgnąć języka,

lecz też niewiele się dowiedział. Przedstawiciel „Ekosu” prowadził jakieś podejrzone interesy, ale wydaje się, że więcej dokładał do nich niż zyskiwał. Był też „cynk”, nie wiadomo dokładnie skąd, aby nie interesować się zbyt tą firmą, bo można się narazić na duże przykrości. Niektórzy podejrzewali, że ma to coś wspólnego z handlem bronią, Bliskim Wschodem i Afryką, ale ci, którzy od dawna zajmowali się tym handlem twierdzili, że to nieprawda.

Udało się odnaleźć cztery osoby, którym „Ekos” zainstalował klimatyzatory. Wszystkie były zadowolone z urządzeń, sensacji żadnych nie doznawały i traktowały „jonizatory auto-kompensacyjne”, jako zwykle dość sprawne urządzenia klimatyzacyjne i nic więcej. Klimatyzatory te, zdaniem Vittoria, nie odznaczały się niczym szczególnym – regulacja automatyczna dotyczyła wilgotności i natężenia produkcji jonów. Tak więc, mimo dużego zaangażowania się naszych ludzi w sprawę „Ekosu” – nie została ona wyjaśniona do końca. Dlaczego właśnie ta sprawa przypominała się teraz Martinowi?

Wracam do komory sypialnej. Przy tapczanie Martina stoi Oriento. Obie jego ręce spoczywają na ramionach Barleya, który wydaje się spokojniejszy i z uniesioną głową wpatruje się w twarz gospodarza, jakby na coś czekając.

–Hans, to ty? – szepce dość wyraźnie. – Ty też tu jesteś? – w głosie jego znów pojawia się niepokój. – Ciebie też chcą zabić?

–Jesteś u mnie – mówi Oriento, również ścisząc głos. – Nie poznajesz? Dolina Martwych Kamieni... Jesteś wolny!

Martin wodzi wzrokiem po skałach.

–Martwe Kamienie... – powtarza i przez twarz jego przebiega grymas bólu. Przymyka na chwilę powieki, potem nagle je rozwiera i bełkotliwie pyta: – Tyś mnie zdradził, Hans?

–Nie zdradziłem cię – odpowiada z naciskiem gospodarz. – Wiesz, że to niemożliwe... Próbowano ci wmówić, ale ty przecież wiesz, że to nieprawda.

Martin patrzy z napięciem w oczy Oriento.

–Hans! Czy... czy tu... była Agni? – pyta z wysiłkiem.

–Jestem tu, przy tobie – staję obok Oriento.

Martin przenosi na mnie wzrok.

–Hans! – szepcze błagalnie. – Pilnuj jej! Nie pozwól. Ona musi żyć. Nie pozwól, aby ją torturowali? Niech ucieka... Można przejść... Ty wiesz... Cameo... Miałeś rację! Ekos... Ekos to klucz... Hans! Nie pozwól ich skrzywdzić! – ogarnia go coraz większe podniecenie. Chwilami wypowiada zdania zupełnie wyraźnie, a potem mowa jego przechodzi w bełkot.

–O kim mówisz? – pyta Oriento łagodnie.

–O kim mówisz... – powtarza jak echo. – Nie zabijaj ich, Hans! Nie wolno! Nie wiesz... Nic nie wiesz... Nie wiesz... kogo... zabijesz... Nie zabijaj... małych... zielonych... Nie wolno! Nie! Nie! Musisz... musisz ją uratować...

Znów poczyną bełkotać, a w jego oczach pojawia się obłądny lęk.

Oriento wyczekująco wpatruje się w Martina, usiłując wyłowić jakiś, tylko jemu zrozumiały, sens z bezładnego potoku słów. Jest to jednak coraz trudniejsze. Martin mamroce wyrazy bez logicznego związku, przechodząc na przemian to w stany depresji i lęku, to znów chorobliwego podniecenia a nawet euforii.

–Czy nie można mu jakoś pomóc? Rano dał mu pan jakieś środki uspokajające. Na

co pan czeka? – mówię z wyrzutem.

–Niech się pani nie denerwuje – odpowiada nie spuszczając wzroku z Martina. – Ja chcę mu pomóc. Powiem więcej: być może potrafię wyprowadzić go z tego stanu. Ale tu nie można się spieszyć. Jeszcze nie wszystko jest dla mnie jasne. Proszę o cierpliwość. Zastryk uspokajający czy usypiający nie rozwiązuje sprawy. A może pogorszyć sytuację. Proszę mi zaufać!

Właściwie w tym momencie powinnam wyjaśnić pewne zasadnicze kwestie do końca, ale obecność Quinty nakazuje ostrożność. Ograniczam się więc tylko do ogólnikowego stwierdzenia:

–Nie wiedziałam, że znał pan Martina...

Oriento jakby tylko czekał na tę uwagę.

–Doktor Barley przez sześć dni był tu naszym gościem. Przed wyprawą do Cameo prowadził badania w Dolinie Martwych Kamieni... – Oriento wyjaśnia to, co usłyszeliśmy od Martina w taki sposób, że wygląda na przypadkowo nawiązaną znajomość i przyjacielski kontakt dwóch badaczy. Mogłabym w to uwierzyć gdyby nie monachijskie wróżby...

–Niech pani zapyta inżyniera Berga czy jest gotów i poprosi go tutaj – rozkazuje Oriento, zanim zdołałam zastanowić się nad sposobem podjęcia tematu. – Jest w pracowni, druga komora na prawo.

3.

Berg siedzi przy małym podręcznym warsztacie, pochylony nad jakimś skomplikowanym schematem i przyrządami podłączonymi do dwóch sprzężonych ze sobą aparatów, z których jeden jest chyba walizkowym elektroencefalografem. Aparaty są ustawione na składanym stoliku, tuż przy zasłanej prześcieradłem kozetce. Nad nią, na wysięgnikach, umieszczono ażurowy hełm z elektrodami i dwie metalowe kule, kryjące chyba w sobie jakieś urządzenia. Wszystko to zainstalowano, gdy spałam; na pewno zwróciłoby moją uwagę rano, w czasie wałęsania się po pomieszczeniach groty.

Kiedy przekazuję Bergowi polecenie Orienta, nic nie odpowiada, kiwa tylko głową i nadal ślęczy nad schematem, od czasu do czasu manipulując przełącznikami i pokrętłami oraz kontrolując wyniki tych czynności na ekranach oscylografów. Dopiero po paru minutach przerywa czy może raczej kończy to zajęcie i nie wyłączając aparatury, wstaje, obrzuca jeszcze wzrokiem wewnątrz komory i mówi dając znak, abym szła pierwsza:

–Chodźmy!

–Czy od dawna zna pan doktora Barleya? – pytam, obserwując jak zareaguje. Ale z wyrazu jego twarzy trudno cokolwiek wyczytać.

–Prowadziliśmy tu wspólnie badania. Było to chyba na miesiąc przed jego aresztowaniem. Spotkałem go przy „martwych kamieniach” i sprowadziłem do naszej stacji badawczej. Tam, w głębi doliny widziałem go po raz pierwszy.

–Czy również po raz pierwszy zobaczył go wówczas pan Oriento?

Berg lekko się uśmiecha.

–Nie wiem. Niech pani spyta o to pana Hansa. Chodźmy już! – ponagla, i jakby się usprawiedliwiając, dodaje: – Nie wolno tracić czasu. Być może jest to szczególna okazja...

Martin leży na tapczanie z szeroko rozwartymi powiekami i rzeźbi coś niezrozumiale. Oriento stoi nad nim i obie dłonie trzyma nad jego twarzą, poruszając przed jego oczyma palcami tak, jak gdyby strzepywał z nich jakiś niewidoczny płyn czy proszek. Gdy nas dostrzega, ruchem głowy daje nam znaki, abyśmy czekali i nie odzywali się ani słowem.

–Martin! Ty mnie słyszysz i rozumiesz! – głos jego jest spokojny i władczy. – Za

chwilę każe ci wstać i pójdziesz za mną do laboratorium. Przygotuj się! Twoje mięśnie są sprawne, nic cię nie boli, nie odczuwasz już lęku! Jestem przy tobie i podam ci ramię, abyś mógł się na nim wesprzeć.

Oriente daje znak Bergowi, aby pomógł wstać Martinowi z pośłania.

–Teraz spuszczasz nogi z tapczana i wstajesz! – komenderuje dalej i po chwili Martin staje już na nogach. – A teraz chodź ze mną! – bierze chorego pod ramię i ruszają w głąb groty.

W przejściu przez magazyn do następnej komory wyprzedza ich Berg. I ja także, nie pytając o pozwolenie, idę za nimi. W komorze sypialnej pozostaje tylko Quinta.

Oriente układa Martina na kozetce pod metalowymi kulami, zaś Berg zakłada mu na głowę hełm z elektrodami, sprawdza przewody i zajmuje miejsce przy stoliku z aparaturą elektromedyczną. Oriente staje teraz w nogach Martina i znów wyciąga ręce, wykonując palcami falujące ruchy.

Kule poczynają jarzyć się jaskrawo, to znów przygasać.

–Martin! Patrz na moje ręce! – wprowadza dłonie w snop pulsującego światła. – Czujesz się lepiej, prawda?

–Lepiej... – potwierdza Martin bełkotliwie.

–Za chwilę poczujesz się jeszcze lepiej. Wszystko co cię dręczy i niepokoi przyblednie, stanie się dla ciebie nieważne, obojętne... Już teraz zacznasz odczuwać spokój, całkowity, wszechogarniający spokój... Jesteś odprężony, myśli twoje biegną swobodnie, nie lękasz się niczego. Możesz spokojnie myśleć o wszystkim, co wydarzyło się w twoim życiu. Na moje polecenie przypomnisz sobie to, o czym jeszcze przed chwilą chciałeś zapomnieć, a teraz jest już dla ciebie zupełnie obojętne...

Jakiś grymas pojawia się na ustach Martina – ni to uśmiech ni to bolesny skurcz. Oriento rzuca pytające spojrzenie w kierunku Berga. Ten kiwa głową, na co Oriento daje znak przyzwolenia. Światło poczyną teraz pulsować szybciej, a jednocześnie do moich uszu dociera ciche, lecz wyraźne brzęczenie, przypominające dźwięk towarzyszący lotowi wielkiej muchy.

Martin poczyną rzeźić. Wydaje mi się, że wymówił moje imię, więc podchodzę nieco bliżej kozetki, ale Oriento piorunuje mnie wzrokiem, nakazując ruchem głowy, abym opuściła pracownię. Oczywiście wykonuję polecenie, chociaż nie ufając „cudotwórcy”, nie mam zamiaru zrezygnować z dyskretnej obserwacji. Pozostaję więc w przejściu, śledząc zza załomu skalnego, co się dzieje w pracowni.

A zaczynają dziać się tam rzeczy niepokojące. Sugestie hipnotyczne, przekazywane przez Oriento, widać nie bardzo skutkują, bowiem Martin znów bełkoce coś rozpaczliwie, zaś kierowane przez Berga projektory i głośniki zmieniają nieustannie częstotliwość i natężenie sygnałów. Przypomina to jakiś zwariowany rockowy seans „światła i dźwięku”. Chwilami błyski i dudnienia stają się wręcz nie do zniesienia i poczynam obawiać się, czy owa „terapia”, przeprowadzana przez ludzi nieodpowiedzialnych, nie mających prawdopodobnie żadnego przygotowania w dziedzinie psychiatrii, nie pogorszy jeszcze stanu Martina. Jednocześnie zauważam z niepokojem, iż sama, patrząc na ręce Oriento i słuchając dziwnej „muzyki”, poczynam ulegać sugestii.

Martin umilkł, albo może głos jego przestał docierać do mojej świadomości. Słyszę za to wyraźnie każde słowo wypowiedane przez Oriento.

–...A więc jesteś już w Cameo... Jesteś spokojny i czujny... Idziesz przez miasto

nocą... Nie nocą?... Nad ranem?... A więc świta... Czy ulice są puste?... Dochodzisz do... Co cię tu niepokoi?... Jesteś spokojny...

I wtedy wydaje mi się, że ciało Martina poczyna z wolna unosić się w górę jak w czasie magicznych sztuczek cyrkowych z „lewitacją”, a ja widzę je z dołu poprzez dłonie Oriento. Tych dłoni jest cztery, może sześć i wszystkie falują w jednym rytmie. Nad nimi głowa Oriento, jakaś dziwnie przezroczysta...

Czuję silne szarpnięcie za ramię i odzyskuję przytomność. Za mną stoi Robert Goldstein, który bierze mnie pod ramię i prowadzi poprzez komorę sypialną, gdzie widzę Quintę i Ellen. Wychodzimy na zewnątrz groty.

–Ale z ciebie... – mówi Bob z wyrzutem. – Niewiele brakowało, a moglibyśmy mieć i z tobą kłopoty. To nie jest wcale bezpieczne, takie przyglądanie się. Mnie na przykład w ogóle nie wolno uczestniczyć w tego rodzaju eksperymentach. Może się skończyć atakiem padaczki. Wiem coś o tym... Czy Hans cię nie ostrzegł?

–Nic nie powiedział. Dał mi tylko znak, abym wyszła – odpowiadam, ale myślę w tej chwili o Martinie.

–Widać nie było okazji. Ale wiedz, dziewczyno, że tu poleceń trzeba słuchać! A w ogóle coś mi się wydaje, że jesteś dość podatna na sugestię.

–Bardzo mnie zaniepokoiłeś – mówię, nadal myśląc o Martinie. – Czy mu to nie zaszkodzi?

–Komu? – Bob wydaje się zaskoczony.

–Barleyowi. I czy w ogóle może mu to pomóc?

–Hans wie, co robi – stwierdza Bob z przekonaniem. – Wykluczone, aby zrobić coś, co mogłoby pogorszyć stan Barleya.

Uwaga jest zastanawiająca. Chyba kryje się za nią coś więcej niż wiara w umiejętności „cudotwórcy”.

–Wydawało mi się, że bardziej zależy mu na informacjach dotyczących Cameo, niż zdrowiu doktora Barleya – rzucam zaczepnie.

–Nic nie rozumiesz – bardziej się dziwi niż oburza. – Jeśli Hans pyta o Cameo, to po prostu szuka przyczyny. Tylko sięgając do źródła można uwolnić od lęków.

–To znaczy? – zaczynam domyślać się, co ma na myśli. – W Cameo?

–Może w Cameo, może w Inuto, może jeszcze gdzie indziej... A może i tam, i tam, choć inaczej... W każdym razie Hans jest przekonany, że zaburzenia mają podłoże psychosomatyczne a nie organiczne. Mówi, że to reakcja obronna.

–Nie widział go na lotnisku w Inuto...

Czarne oczy Boba wpatrują się we mnie z przejęciem.

–Ale ja go widziałem... – mówi cicho, jakby z zażenowaniem. I czeka na moją reakcję. Muszę oczywiście udawać, że nic nie rozumiem.

–Ty? Na lotnisku w Inuto?

–To nie tak, jak myślisz – podejmuje z wyraźną satysfakcją. – Słyszałaś, jak rano przy stole Hans mówił o mnie? Że potrafię „eksterioryzować”...

–To znaczy, że widziałeś nas duchem? – mówię lekceważącym tonem. To powinno go skłonić do zwierzeń.

–Wątpisz, że to możliwe? Zaraz ci udowodnię: widziałem, jak wysoki, barczysty facet... zabił...

–Mogła ci opowiedzieć Ellen...

–I że ty... nie zabiłaś...

–O tym mogłeś słyszeć przez radio. Albo po prostu macie dobry wywiad.

Ale Bob nie daje się wyprowadzić z równowagi.

–Jak ktoś chce, wszystko wytłumaczy tak, jak mu wygodnie – mówi z kwaśnym uśmiechem. – Ale może cię przekonam, gdy ci powiem, co czułaś widząc Barleya w helikopterze. Wydał ci się wtedy jakiś inny, obcy, i... patrzyłaś na niego jakby innymi oczami. Prawda?

Może być po prostu dobrym psychologiem.

–Więc twierdzisz, że widziałeś wówczas, w jakim stanie był Barley – zmieniam szybko kierunek rozmowy.

Goldstein uśmiecha się, ale natychmiast poważnieje.

–Wszystkie objawy, łącznie z katatonią, były wywołane sztucznie – stwierdza stanowczym tonem. – Trudno powiedzieć, czy to skutki stosowanych od dłuższego czasu środków, czy doraźny zabieg, tuż przed wydaniem go wam. Może chodziło o uniemożliwienie przekazania jakiegokolwiek informacji przed zaplanowaną likwidacją. Do wczorajszego ranka miało być przecieź po wszystkim... – urywa nagle, jakby sobie uświadomił, że mówi za wiele.

Ale mnie w tej chwili interesuje co innego.

–Więc twój szef twierdzi, że potrafi przywrócić Martinowi pełną świadomość? I do tego potrzebny mu ten „cyrk” światła i dźwięku, magnetyzm, hipnoza i tak dalej?...

–Czy ja mówiłem, iż Hans sprawi, że doktor Barley odzyska pełną świadomość? – zastrzega się Bob. – Tego nikt nie może wiedzieć. Może są jednak jakieś zmiany organiczne? On przeszedł wiele... Ale trzeba próbować. Tu, na skraju vortexu, dzieje się wiele dziwnych rzeczy. I możliwości też są inne. Ty się śmiejesz, ale ja to czuję. I mogę ci powiedzieć, że jak nie tu, to tam na pewno coś się uda zrobić. Ale ty do niego nie wrócisz...

–Na czym właściwie polegają te zabiegi? – nie podejmuje tematu.

–Myślałem, że rozumiesz. Chodzi o dotarcie do podświadomości. Ale opory są tu bardzo silne i sama hipnoza nie wystarcza. Z drugiej strony już sam fakt, że Hansowi udało się wprowadzić Barleya w stan hipnozy, świadczy najlepiej, iż nie jest z nim tak źle. Oczywiście Hans wykorzystał tu odpowiedni moment, ale on to właśnie potrafi... Potem trzeba doprowadzić do rozluźnienia barier, a jednocześnie tłumić wszelkie szkodliwe zaburzenia w układzie nerwowym, a zwłaszcza w korze. Do tego służy zestaw opracowany przez Istvana. Można śledzić zmiany i wpływać na przebieg oscylacji.

–Tymi błyskami i dźwiękami?

–Nie tylko. Do tego trzeba dodać sygnały elektromagnetyczne na częstotliwościach radiowych i w podczerwieni, infradźwięki i wibracje mechaniczne. Słowem: oddziaływanie kompleksowe. Rozumiesz? W ten sposób można pogłębić trans i otworzyć drogę do tego, co kryje pamięć nieświadoma. Z tego co słyszałem gdyśmy wychodzili wynikało, że Hans próbował wydobyć wspomnienia wydarzeń w Cameo i wprowadził Barleya w głębszy trans. A to już jest coś! Oczywiście, najtrudniej odnaleźć i pokonać zasadniczą przeszkodę, ale pierwszy krok jest najważniejszy. I nie masz się co z góry martwić o Barleya. Już Hans mu krzywdy nie robi. Pomyśl lepiej o sobie.

Bob bierze mnie za rękę i patrzy mi w oczy w milczeniu. W pierwszej chwili nie bardzo rozumiem, o co mu chodzi.

–Chcesz mnie zahipnotyzować? – próbuję zażartować.

–Chciałbym, ale chyba nie potrafię – odpowiada i uśmiecha się na wpół do siebie. Ścisła delikatnie moją rękę. – Czy Barley mówił ci, że jesteś bardzo ładna?

–Nie wygłupiaj się! – próbuję uwolnić rękę, ale on nie puszcza. Przypomina mi się Brama Izarska. – Czy chcesz mi powróżyć?

–Nie. Powiedz... dlaczego ty... i Barley? Przecież on chyba ze dwa razy starszy od ciebie...

–O dziesięć lat – prostuję nie wiadomo po co.

–To też za dużo!

–Nie twoja sprawa. Być może nie lubię nietaktownych szczeniaków.

–Jesteśmy chyba w równym wieku – śmieje się Bob i ja też wybucham śmiechem.

Czuję ogromne odprężenie i jestem za to wdzięczna temu chłopakowi, który wcale w tej chwili nie przypomina „jasnowidzącego medium”, lecz zwykłego kumpla z filozofii.

–Szkoda, że nie poznałam cię wcześniej! – mówię bez zastanowienia.

–Nic straconego...

Poważniejemy raptownie.

–Jestem tu dla niego – stwierdzam, siląc się na oschłość.

–Może tak, a może nie... Czy jesteś tego pewna? – pyta Bob i wiem, że nie żartuje.

Patrzę na wyschnięte koryto potoku, którego niższe partie poczyna już spowijać mrok i myślę o tym, co powiedział Bob. Jeszcze przed chwilą byłabym gotowa przysiąc, iż zdecydowałam się na udział w akcji, aby uratować Martina lub zginąć z nim razem. Miłość i obowiązek – na pewno tak, ale chyba niemałe znaczenie miało też coraz większe znużenie bezsilnym oczekiwaniem, chęć dokonania czegoś, co zmieni moje życie, może nawet tęsknota za wielką przygodą... Zawsze można znaleźć tysiące pretekstów, tysiąc argumentów za lub przeciw... Miłość... Czy możliwe, że była ona tak silna?... A dziś?

–Powiedz szczerze – podejmuje Bob, biorąc moją dłoń w obie ręce. – Przecież ty go już dziś nie kochasz, to już dla ciebie inny człowiek...

Ten chłopak zadziwiająco przechwytyuje myśli. Chociaż... niekoniecznie musi to być telepatia.

–Co ci przyszło do głowy? – mówię, aby pokryć zmieszanie. Jednocześnie uświadamiam sobie, że tam, na lotnisku w Inuto, gdy po raz pierwszy zobaczyłam Martina w tym stanie, już wówczas wydał mi się jakiś inny, obcy.

–Więc nie chcesz być ze mną szczerą – Bob patrzy mi w oczy z żalem, a ja spuszcza wzrok. – A mógłbym ci pomóc. Gdybyś tylko chciała...

Przysuwa swoją twarz do mojej twarzy i delikatnie muska wargami mój policzek. Odsuwam się gwałtownie, choć tak naprawdę sprawia mi to przyjemność.

–Jesteś podstępny, ohydny, lubieżny starcem! – próbuję się dąsać, lecz on się śmieje, a ja z nim razem. Znow się do mnie przysuwa i chce mnie objąć, ale gaszę jego zapędy, tym razem poważnie: – Nie! To wszystko nie jest tak proste, jak myślisz...

–Chyba masz rację – zgadza się nadspodziewanie szybko. – Teraz nie czas... – znów zdaje się czytać moje myśli. A może je narzuca? Może działa jeszcze wpływ aparatów Berga?

Tak czy inaczej, czuję trochę jakby żal do Boba, że tak łatwo zrezygnował... Ten chłopak podoba mi się, to pewne, i gdyby nie stan, w jakim znajduje się Martin, być może sprawy potoczyłyby się inaczej. Nie powinnam też chyba przesadzać i „gasić” go zbyt bezwzględnie. W mojej sytuacji, może być bardzo potrzebny i głupotą byłoby nie skorzystać z oferty pomocy. Nie wiem, wprawdzie, co Bob miał na myśli: moje bezpieczeństwo czy zobowiązania wobec Martina, lecz jest to dobry pretekst do pociągnięcia go za język.

–Powiedziałeś, że chcesz mi pomóc – rozpoczynam ostrożnie. – Czy jest to nadal aktualne?

–Jak najbardziej.

–To znaczy, jeśli dobrze zrozumiałam twoje ostatnie słowa, nie żądasz nic w zamian...

–Sprytna jesteś... – śmieje się Bob. – Prawdę mówiąc, jednak na coś liczę: na życzliwsze słowo, spojrzenie, a gdy już Barley wróci do zdrowia i pozbędziesz się skrupułów, może i na coś więcej...

–Zdajesz sobie chyba sprawę, że ani ja, ani Barley nie możemy tu zostać? Nie mam wcale ochoty wpaść w ręce żandarmów Numy... – zmieniam szybko temat.

–Tu nie przyjdą. Za bardzo boją się „demonów”. A jeśliby nawet przyszli, mamy niezły system alarmowy i zdążymy was ukryć. Z nami jesteś bezpieczna.

–Nie wiem... Przecież tu anomalia nie sięga.

–Kto powiedział, że nie sięga? Granica oddziaływania jest rozmazana. Ponadto vortex pulsuje. To już zauważył Barley, gdy był tu pierwszy raz. W okresach maksimów nasza baza z pewnością znajduje się w jego zasięgu, chociaż oddziaływanie jest tak słabe, że trudno zauważyć zmiany. Ale żandarmi Numy wolą nie ryzykować.

–A gdyby jednak zaryzykowali? W którym kierunku najlepiej uciekać? Co mi radzisz jako... przyjaciel? – pytam, patrząc mu prosto w oczy.

Chyba zrozumiał, o co mi chodzi.

–Najbezpieczniej w głębi doliny. Ale nie radzę iść dalej jak do „martwych kamieni”. Za progiem – wskazuje na ścianę skalną przegradzającą kilkadziesiąt metrów od nas wyschnięte koryto potoku – prowadzi dość wyraźna ścieżka aż do takiego, bardzo fajnego rumowiska skalnego. To są właśnie te „martwe kamienie”. Dalej nie radzę się zapuszczać.

–Dlaczego?

–Łatwo zablądzić, zwłaszcza, że pojawiają się omamy.

–A gdybyś... powiedzmy... czuwał nade mną. Choćby przez radio. Mógłbyś mi wypożyczyć to „radyjko” z mikrośluchawkami, które używałeś gdy mnie prowadziłeś poprzez busz. To przyrząd namiarowy, prawda?

–Niezupełnie...

–Ale coś w tym rodzaju – sonduję nadal.

Waha się chwilę.

–To „MW”, pamięć drogi, którą się przebyło... – mówi niechętnie.

–Jak to działa?

–Rejestruje „tło” terenu i każdą zmianę kierunku ruchu idącego. A potem, gdy się chce wrócić tą samą drogą, wystarczy przełączyć na sterowanie i dbać o to, aby sygnały w słuchawkach były zgodne w częstotliwości i fazie.

–Pożycz mi więc tę „zabawkę”, a będę bezpieczna i niezależna.

–Niestety, nie na terenie vortexu. Tam działanie wszelkich układów elektronicznych ulega zakłóceniom. Nie mówiąc już o tym, że trzeba sprawdzić jak reagujesz na pole. Niektórzy ludzie mają już dosyć vortexu po dziesięciu minutach...

–Ale inni, jak ty, Martin czy Oriento prowadziliście tam badania i eksperymenty, i nie jest to chyba tylko sprawa wrodzonej odporności.

–Jeśli idzie o mnie, to chyba raczej można tu mówić o swoistym „darze nieba”... – mówi z odcieniem wyższości.

–A Oriento?

–Wypróbował na sobie pewien system, z którego korzystał też Barley.

–Wiesz oczywiście, na czym to polega?

–Wiem...

–To bardzo trudne?

–Jak dla kogo. Nie każdy potrafi panować nad własnymi myślami. W chwilach krytycznych skupić uwagę na jednym wyobrażeniu. A o to właśnie chodzi. Ważne są też środki pomocnicze, zwłaszcza w pierwszych halucynogennych strefach. Mnie to wszystko nie było potrzebne! – stwierdza z dumą. – Ale nawet Hans miał początkowo kłopoty.

–Te środki pomocnicze to jakieś leki?

–Chcesz, abym ci zdradził tajemnicę, której i tak nie pojmiesz? – oświadcza patetycznie, lecz w oczach jego dostrzegam jakby kpinę.

–Pojmę! – potwierdzam w tym samym tonie.

–Nie wiem... Chodzi tu bowiem ni mniej ni więcej tylko o magiczne zaklęcie. Czy naprawdę chcesz je poznać i przyrzekasz, że nikomu go nie zdradzisz? – wpatruje się we mnie i jestem pewna, że kpi.

–Przyrzekam!

–Jest to słowo sanskryckie. Trzeba je powtarzać w myślach, a pierzchną wszystkie demony! Chcesz znać to magiczne słowo?

–Chcę!

–To słowo brzmi: „asmitamatra” – mówi cicho, uroczystym tonem i chyba naprawdę wszedł w tej chwili w rolę maga.

–Asmitamatra! – powtarzam, udając ogromne przejęcie, gdy w rzeczywistości czuję, że za chwilę wybuchnę śmiechem.

–Nigdy tego nie wymawiaj – stwierdza z powagą. – Powtarzaj w myślach i nie zapomnij!

–Tak, mój mistrzu!

Rzuca mi karcące spojrzenie.

–To wcale nie był żart – mówi z wyrzutem.

–Oczywiście... Powiedzmy, była to taka niewinna próba wykpienia się od odpowiedzi. Ale ja trzymam cię za słowo. Powiedziałeś, że chcesz mi pomóc. Liczę na ciebie, że mnie naprawdę nauczysz jak bezpiecznie przejść przez ten piekielny wir.

–Nauczę.

–A jeśli bym cię poprosiła, abyś mnie i Barleya przeprowadził przez góry?

–Dokąd?

–Powiedzmy... do Kotliny Timu.

–Za wiele wymagasz. To nie takie proste...

–Rozumiem – mówię z ironią.

–Nic nie rozumiesz! – wybuchą gniewem. – Wcale nie o to chodzi, że muszę i chcę być lojalny wobec Oriento – zdaje się znów czytać moje myśli. – Gdyby można było was prze-

prowadzić do Kotliny Timu, to byłoby najlepsze rozwiązanie i Hans pierwszy poszedłby na to. Ale wchodzić głęboko w vortex, a dostać się do kotliny, to zupełnie nie to samo. Tam nikt nie doszedł, nawet ja, czy Hans.

–Jeśli ten „nikt” nie pójdzie ze mną, gotowa jestem spróbować sama! – oświadczam, nadrabiając miną, chociaż tak naprawdę zaniepokoiła mnie ta wiadomość.

–Kto mówi, że nikt nie próbował? Próbował Hans, próbowałem i ja, dwa razy. A przecież, nie chwaląc się, dla mnie wchodzenie w vortex to żaden problem. Odwrotnie: to wielka przyjemność, to źródło nowej wielkiej energii duchowej, bez której czuję, że jestem niczym... Ale w najwyższych partiach doliny, pod granią Otaby, jakieś trzy kilometry przed przełęczą, zaczyna się obszar nie do przebycia. Człowiek ślepie i traci przytomność. Gdyby nie to, że przygotowani byliśmy do wspinaczki i wiązała nas długa lina, nie wiem jak by się to skończyło. Oślepiłem nagle, w ciągu kilku sekund. Szedłem przed Hansem ze trzydzieści metrów. Wołałem do niego, że dzieje się ze mną coś niedobrego i trzeba się szybko wycofać z tego obszaru. I tu mi się film urywa. Odzyskałem świadomość i zdolność widzenia dopiero po dwudziestu minutach, już kilkaset metrów od tego miejsca, do którego dotarłem. Okazało się, że Hans całą tę drogę prowadził mnie na linie, sam zresztą prawie ślepy, ale na szczęście przytomny. Gdyby nie ogromna siła duchowa Hansa, nie wiem jak by się to skończyło. Potem jeszcze próbowaliśmy dwa razy wejść w ten obszar, oczywiście, z zachowaniem maksymalnej ostrożności, a więc wycofując się już przy pierwszych objawach ślepienia. Hans próbował różnych zabiegów przygotowawczych i środków farmakologicznych, ale nic z tego nie wyszło. To jest chyba pas nie do przebycia.

–Czy dla twojego „eksterioryzującego” ducha również?

Nie wyczuł ironii albo udaje, że bierze pytanie za dobrą monetę.

–To co powiedziałaś nie jest wcale głupie. Muszę to sprawdzić, gdy pójdziemy w góry. Gdyby się okazało, że nie jestem w stanie eksterioryzować do Kotliny Timu, czy choćby na przełęcz, byłby to znak, że sobie nie życzą wizyt nawet „czwartego stopnia”, że to pas ochronny...

–Partyzantów z Kotliny Timu? To chyba niemożliwe.

Wpatruje się we mnie roziskrzonymi oczami.

–Oczywiście, że nie partyzantów... – w głosie jego pojawia się jakiś uroczysty ton.

–A więc o kim ty mówisz?

–O n i c h! – oświadcza z przejęciem. – Ja wiem, że oni tu są!

Nie ulega wątpliwości, że wierzy w to, co mówi.

–Skąd wiesz? – pytam zaczepnie.

–Jestem medium – odpowiada z powagą.

–Wiem... – znów czuję, że zacznę się śmiać.

–Nic nie wiesz – mówi z wyrzutem. – „Medium” znaczy „pośrednik”, środek przekazywania informacji. Jestem człowiekiem fizycznie normalnym, lecz o szczególnych właściwościach psychicznych. Jestem „pośrednikiem” między różnymi światami. Kiedyś wyobrażano sobie, że medium pośredniczy między naszym światem i światem pozagrobowym. Ale były to poglądy wielce naiwne, tak jak również naiwne jest tłumaczenie zdolności medialnych telepatią, paranormalną wrażliwością, wiedzą zawartą w podświadomości i nadzwyczaj bogatą wyobraźnią. Dziś wiemy, że w istocie jest to forma kontaktu psychicznego, lecz w skali ma-krokosmicznej. Jedyna droga łączności z supercywilizacjami.

–To teoria Hansa Oriento, prawda? – pytam, właściwie tylko po to, aby mu pokazać, że nie jestem całkowicie „zielona”.

–Jego i moja. W przyszłości będzie znana pod nazwą teorii Goldsteina-Oriento! – stwierdza z dumą.

–Więc ty jesteś w bezpośrednim kontakcie z kosmitami... – staram się wyrazić swój podziw, ale czuję, że brzmi to trochę jak złośliwy przytyk.

–Jestem, lecz nie tak, jak ci się zdaje. To nie jest żaden „kontakt trzeciego stopnia”. Jeśli ktoś chciałby tak klasyfikować, to chyba można by tu mówić o kontakcie czwartego, a może piątego stopnia.

–Czy mam przez to rozumieć, że „kontakt czwartego stopnia” to kontakt psychiczny, telepatyczny, czy raczej jakiś inny, bo zdaje się nie uznajesz telepatii?

–Uznaję, ale podobnie jak superwrażliwość, traktuję jako quasi-wyjaśnienie. „Kontakt czwartego stopnia” to przekaz informacji nie ograniczony przestrzenią ani czasem.

–A piąty? Czy może być więcej?

–Widzisz... – Bob patrzy na mnie z wahaniem. – Nie wiem, czy mam prawo o tym mówić... Nad tym Hans jeszcze pracuje. A klucz znajduje się w Vortexie P. Nasza teoria opiera się na trzech podstawowych tezach: o materialno-duchowej jedności Wszechświata, o względności ograniczeń przestrzenno-czasowych i wreszcie trzecia teza – o materializacji wyobrażeń. To właśnie mogłoby stanowić piąty stopień kontaktu. Hans jest przekonany, iż tak jest rzeczywiście, ale mamy jeszcze zbyt mało dowodów. Dlatego, proszę cię, zachowaj to na razie dla siebie.

Wśród tych ludzi nie może mnie już nic zadziwić.

–Ale macie już jakieś podstawy?... – pytam ostrożnie. – Co to w ogóle ma być ta „materializacja wyobrażeń”? Czyżby chodziło o tworzenie się jakiś widm, fantomów czy przenoszenie przedmiotów?...

–Widma i teleportacje mogą być również pewną formą materializacji wyobrażeń. Podobnie jak psychofotografia czy psychomodele w wosku. Ale nam chodzi o coś więcej: o możliwość przenoszenia się wyobraźnią i oddziaływania materialnego na wielkie odległości. To jest też przejawem kontaktu. I to wyższego stopnia. A że to możliwe, wiem z doświadczenia.

–To znaczy?

–Udało mi się zakłócić równowagę pewnego obiektu kosmicznego z odległości półtora miliarda kilometrów... – mówi szeptem, jakby zdradzał mi wielką tajemnicę. – Hans zdobył dowody...

–To dlaczego nie zmusiłeś Magnusena, aby chybił?

Tego Bob zupełnie się nie spodziewał. Jest wyraźnie wytrącony z równowagi i przez

chwilę nie jest w stanie wypowiedzieć słowa.

–Ty niczego nie rozumiesz. – odzywa się wreszcie, patrząc na mnie z wyrzutem. Wygląda w tym momencie jak mały, niesłusznie skarcony chłopak. – Myślisz, że ja mogę wszystko... A ja niewiele więcej wiem niż ty. Nawet Hans nie potrafi przewidzieć, kiedy uda się, a kiedy nie. To nie od nas zależy, lecz od Nich! Nam tylko czasem udaje się skorzystać z okazji.

Jest mi go żal. Stracił zupełnie niedawną pewność siebie i zaufanie we własną „potęgę ducha”. Chyba nie jest to gra.

–Ciągle mi nie wierzysz... Myślisz, że się zgrywam. A ja nie wiem jak cię przekonać – stwierdza z rezygnacją.

–Za bardzo się spieszysz i za wiele chciałbyś na raz – podejmuję z wyraźną aluzją. – Znamy się dopiero dwa dni, a okoliczności, w jakich cię poznałam, nie sprzyjały z pewnością zaufaniu... Jeśli zostanę tu dłużej i poznam cię lepiej, może również uwierzę w twoje zdolności.

–Chciałbym, abyś była świadkiem jakiegoś dużego doświadczenia – zaczyna znów się ożywiać. – Ale to nie prosta rzecz: nie wiadomo jeszcze jak reagujesz na vortex, a poza vor-texem twój sceptycyzm może wszystko popsuć. Każde medium traci swe właściwości we wrogim, nieufnym otoczeniu.

–Więc jednak, mój telepato, wiesz, że jestem twoim wrogiem – mówię ze śmiechem, a Bob również zaczyna się śmiać. Oczy mu błyskają, widać szykuje się do riposty, lecz w tej chwili przed grotę wychodzi inżynier Berg.

–Bierzcie się za kolację! – przywołuje nas, wskazując zachodzące słońce. –
Wszyscy są już głodni, a wy tu sobie flirtujecie...

Podchodzę do niego i pytam:

–Co z Martinem?

–Śpi. Za godzinę powinien się obudzić. Mam nadzieję, że zdążycie?

–Co z nim będzie?

–Zobaczymy.

–Ale czy udało się przywrócić mu pełną świadomość? – nie daję za wygraną.

–Miejmy nadzieję.

–To znaczy?

–Zobaczymy.

Istvan Berg nie należy do ludzi rozmownych, a do tego wyraźnie nie chce budzić przedwczesnych nadziei.

Pozostaje więc tylko czekać, aż upłynie zapowiedziana godzina.

Kolację, a właściwie obiad przygotowujemy w trójkę: ja, Bob i Ellen. Spiżarnia bazy jest bogato zaopatrzona zarówno w konserwowane produkty żywnościowe, jak i mrożone, zaś Bob wykazuje nie tylko talenty jasnowidcze, lecz i kucharskie. Jesteśmy zresztą wszyscy troje bardzo głodni i w czasie przygotowywania posiłku, nie żałujemy sobie, tak iż do wspólnego stołu siadamy już niemal najedzeni. Mój apetyt jest zresztą okazją do aluzyjnych przytyków Boba, iż to żywa ilustracja przysłowia, że zakochani żyją samą miłością. Jestem na niego wściekła za takie gadanie, a zwłaszcza przy Ellen, ale staram się tego nie okazywać.

To zresztą nieprawda, że nie martwię się o Martina. Jeśli staram się nie okazywać tego zewnętrznie, to po prostu dlatego, że zbyt często takie „manifestacje” urządzone są tylko na pokaz, zaś ja należę do ludzi przekornych. Oczywiście Bob gotów twierdzić, że ujawniam w ten sposób moje podświadome intencje, ale nawet

jeśli tak jest, nie widzę powodu, abym zmieniła swe poglądy.

Oriento nadal nie opuszcza pracowni, czuwając przy śpiącym Martinie. Proponuję, że go zastąpię, ale nie chce się zgodzić.

Jemy w milczeniu, rozmowa się nie klei. Wszyscy czekamy na wyniki psychoterapeutycznych zabiegów. Dopiero pod sam koniec kolacji z przejścia do pracowni poczynają dochodzić nas przytłumione głosy. Chcę tam pobiec, lecz Berg nakazuje, abym pozostała na miejscu. Czuję coraz większe podniecenie, gdyż obok głosu Oriento rozpoznaję głos Martina i to z każdą chwilą coraz wyraźniejszy, podobny do tego sprzed nieszczęsnej wyprawy do Afryki. Wkrótce zresztą Martin pojawia się we własnej osobie. Oriento prowadzi go pod rękę, a na twarzy „uzdrawiacza” maluje się duma i satysfakcja. Martin już od wejścia lustruje wzrokiem wszystkich obecnych i to z wyraźnym zainteresowaniem, ale jednocześnie bez jakiegokolwiek zaskoczenia. Tak jakby po prostu zasnął i spóźnił się na kolację.

Oriento podprowadza Martina do mnie i wycofuje się, siadając po drugiej stronie stołu.

Stoimy teraz naprzeciw siebie. Martin patrzy na mnie i uśmiecha się, niemal tak jak dawniej.

–Agni... Moja Agni! – mówi bardzo cicho. Potem robi krok ku mnie i jakby się wahał. Chcę przytulić się do niego, objąć go, pocałować, ale spoglądam ukradkiem na Boba i czuję jakiś głupi wstyd czy może zażenowanie. Biorę Martina za rękę i sadzam przy sobie.

–Na pewno jesteś głodny – trzępię językiem pospiesznie, chcąc pokryć zmieszanie.
– Co będziesz jadł? Bob robi świetne befsztyki... Ale może najpierw coś na zimno?

–Dobrze – kiwa głową, nie spuszczając ze mnie wzroku.

–Dla mnie też zrób befsztyk – mówi Oriento do Boba, a ja czuję coś w rodzaju ulgi, gdy Bob wstaje i rusza do kuchni. Ale na progu jeszcze się ogląda i mruga do mnie znacząco.

Podsuwam Martinowi talerz z wędlinami. Bierze ze stołu widelec i chwilę patrzy na swoje spuchnięte zsiniałe palce.

–Pomóc ci? – pytam.

–Dziękuję. Muszę sam sobie dawać radę – odpowiada wolno i uśmiecha się do mnie. Sięga widelcem do talerza i po kilku nieudanych próbach osiąga cel. Podaję mu chleb, nalewam wody do szklanki. Sam bierze jakieś pasty czy sosy w tubach, je powoli, z wysiłkiem opanowując niedowład palców, bardzo wyraźny u prawej,

szczególnie bestialsko okaleczonej ręki.

Oriento siedzi naprzeciw Martina i nieustannie go obserwuje, chyba nawet z pewnego rodzaju napięciem, co może świadczyć, że nie jest w pełni zadowolony z wyników swej terapii. Dla mnie też nie ulega wątpliwości, iż z Martinem nie wszystko jest jeszcze w porządku, choć i to, co osiągnął Oriento, można uznać za cud.

Stopniowo atmosfera przy stole poczyną się ożywiać. Co prawda, zarówno Martin jak i Oriento niewiele się odzywają w czasie jedzenia, a Quinta i Ellen przyjęli pozycję wyczekującą, ale gdy tylko wraca Bob z befsztykami, natychmiast poczyną męczyć Berga o szczegóły techniczne zabiegu. Rzecz jasna, niewiele potrafię wyłowić konkretnych wiadomości z potoku danych, dotyczących częstotliwości i modulacji różnego rodzaju sygnałów, zgodności czy niezgodności fal, jakichś interferencji i efektów magnetohydrodynamicznych czy wreszcie ich korelacji z falami alfa, beta i theta w różnych obszarach mózgu Martina. Z kilku uwag jednak jakie wtrąca Quinta, mogę wywnioskować, że nie jest to wszystko bynajmniej pozbawione sensu.

Wreszcie Oriento, a wkrótce i Martin kończą kolację. Bob proponuje wysłuchanie komunikatów radiowych. Jesteśmy wszyscy w komplecie, z wyjątkiem Maksa, który na krótko przed przebudzeniem się Martina, poszedł sprawdzić system ostrzegawczy. Z pozoru jest to zwykłe wieczorne spotkanie towarzyskie, ale z zachowania się gospodarza nietrudno wywnioskować, iż szykuje coś specjalnego. Jak już zdołałam zaobserwować Oriento uwielbia „teatralne” gesty i inscenizacje.

Po wysłuchaniu wieczornego dziennika BBC, z którego wynika, iż los prezesa „Alconu” i porwanych wraz z nim osób jest jak dotąd nieznan, Oriento wyłącza radio i pyta Martina, czy czuje się na tyle dobrze, aby mógł uczestniczyć w naradzie dotyczącej dalszych badań nad Vortexem P. Martin oświadcza, że nie czuje się zmęczony, a zresztą sprawa vortexu przesądza o jego udziale. Wygląda to trochę jak uzgodnione z góry, formalne pytanie, lecz prawdziwym zaskoczeniem jest dopiero następne, skierowane do wszystkich obecnych.

Oriento rozpoczyna od stwierdzenia, że udział w naradzie jest dobrowolny i jeśli ktoś nie chce w niej uczestniczyć, może przejść do innej komory, posłuchać radia, muzyki z taśm lub po prostu pójść spać. Zaznacza to dlatego, iż na naradzie będzie mowa o sprawach, które co prawda nie zobowiązują do zachowania tajemnicy, ale narażają posiadacza informacji na śmiertelne niebezpieczeństwo, o czym najlepiej świadczy przypadek doktora Barleya. Z uwagi na tę szczególną sytuację on, jako szef tej placówki badawczej, uważa za swój obowiązek, zapytać kolejno każdą z przebywających w bazie osób, czy mimo ostrzeżenia chce uczestniczyć w tym zebraniu.

W takim postawieniu sprawy jest coś z błazenady. Do czego zmierza Oriento

poszerzając krąg „wtajemniczonych”, których nie zobowiązuje do zachowania tajemnicy, ale straszy konsekwencjami jej posiadania? Dlaczego, jeśli ma chodzić rzeczywiście o sprawy najwyższej wagi, nie ograniczy tego kręgu do kilku wybranych osób? Takie postępowanie wydaje się absurdem, ale instynkt mówi mi, że kryje się za tym jakaś pułapka. Wskazówką może być reakcja Quinty – on na pewno domyśla się o co tu chodzi – ale w jego zachowaniu wyczuwam tylko powściągliwość i życzliwe zainteresowanie sceptyka. Wyraża, oczywiście, chęć uczestniczenia w naradzie i – co nie jest trudne do przewidzenia – to samo robi Ellen. Pytania zadane Bergowi i Goldsteinowi są rzecz jasna, formalnością.

Na końcu pyta mnie. Odpowiadam, że i tak jestem „spalona”, więc nie byłoby o czym mówić, gdyby nie wątpliwości jakie budzi cały „spektakl”. I tu wygarniam wszystko bez owijania w bawełnę: i o błazeńskim manipulowaniu rzekomymi tajemnicami, i o ukrytej gdzieś pułapce, i wreszcie o tym, że Martin zachowuje się chwilami jak aktor w źle reżyserowanym dramacie.

Ku memu zaskoczeniu Oriento wcale się nie obraża, ani też nie próbuje zlekceważyć moich zarzutów, lecz przyjmuje je tak, jakby stanowiły z góry zaplanowaną, niezbędną część

„spektaklu”. Zaczyna od tego, że jest wręcz zachwycony moją szczerością, która należy w dzisiejszych czasach do zjawisk nader rzadkich zarówno wśród starszego, jak młodego pokolenia.

Jestem pewna, że jest to retoryczny wstęp do miażdżącego ataku, ale się mylę. Oriento oświadcza, że ta szczerość wyrażania wątpliwości, na którą jego samego nie zawsze stać, odpowiada w pełni intencjom, jakimi się kierował, organizując obecny „spektakl”. Tu, jakby mimochodem, zaznacza iż wcale się nie wypiera, że swym wystąpieniom stara się nadawać formę trochę teatralną. Jego zdaniem bowiem każda rozmowa, dialog, dyskusja mogą i powinny być sztuką, tyle że nowoczesną, łączącą w sobie elementy programowości i improwizacji.

Jeśli idzie o jego rzeczywiste zamiary, jakimi się kieruje, dopuszczając wszystkich do udziału w dyskusji na temat Vortexu P, to są one prostą konsekwencją jego filozofii życiowej, realizowanej od lat w działalności pisarskiej i edytorskiej. Według niego, największą groźbą dla ludzkości jest tamowanie przepływu informacji, wszelkiego rodzaju zatajanie faktów, tajemnice wojskowe, naukowe, techniczne, polityczne. Można to oczywiście tłumaczyć, usprawiedliwiać na różne sposoby, ale w istocie to nic innego jak kamuflaż rzeczywistego celu, jakim jest manipulowanie ludźmi. Argumentuje się na przykład, że nie wolno dopuszczać do obiegu informacji fałszywych, szkodliwych społecznie, ale zdaniem Oriento nie jest wcale ważne, czy informacje są prawdziwe czy fałszywe, gdyż przy braku wszelkiej blokady selekcja dokona się sama. I tu wychodzi sztych z worka. Oriento twierdzi, że dlatego właśnie w swych książkach podaje wszelkie, najbardziej niewiarygodne informacje, zarówno sprawdzone, jak też nie sprawdzone i nie wartościuje ich, a co najwyżej przytacza lojalnie wszelkie argumenty za i przeciw. A jeśli ktoś mu mówi, że bałamuci czytelnika lub wręcz wprowadza w błąd, to on, Oriento, zgodnie ze swą filozofią życiową, wcale się tym nie przejmuje, gdyż są to albo głupcy albo dwulicowcy, którzy nie odważą się zaatakować rzeczywiście bałamutnych stwierdzeń „tak zwanych” autorytetów naukowych, religijnych czy politycznych.

Podobnie ma się sprawa z Vortexem P. Robi się wszystko, aby o nim nie mówiono, podaje się ćwierćprawdy, bagatelizuje, tępi plotki i wścibskich dziennikarzy. A jeśli ktoś wie rzeczywiście coś ważnego na ten temat, to należy szybko wycisnąć z niego ową prawdę i utajnić, a najlepiej, zanim zdoła ją dalej przekazać – zlikwidować, jak to próbowano zrobić z Barley-em. Dlatego on, Oriento, robi wszystko, aby poszerzyć krąg ludzi znających prawdę, jeszcze zanim zdoła ogłosić ją całemu światu. I dlatego cieszy się, że będzie ją znał tak ceniony w świecie uczonej jak doktor Quinta. A mnie jest wdzięczny, że pomogłam mu wyjaśnić jego intencje.

Po tej przemowie dodaje jeszcze, że jeśli idzie o Martina, to rzeczywiście musiał być

„trochę zaprogramowany” poprzez pewne sugestie pohipnotyczne, ale to wcale nie znaczy, iż nie jest on w pełni świadomy tego co mówi, zaś pamięć jego funkcjonuje znakomicie. Chodzi o zabezpieczenie przed nawrotem stanów lęku, czy po prostu zbyt silnymi reakcjami emocjonalnymi. Oczywiście, konieczna jest dalsza kuracja, niemniej najważniejszy, przełomowy krok został już dokonany.

Rzecz jasna, po tych – trzeba przyznać – imponujących pokazach elokwencji gospodarza mam nadal sporo wątpliwości, nie chcę już jednak przedłużać dyskusji nad kwestiami, bądź co bądź, ubocznymi. Jestem zresztą, podobnie jak Quinta i Ellen, ciekawa zapowiadanych rewelacji.

Wbrew moim obawom, gospodarz okazuje się świetnym przewodniczącym i widać z góry przygotował się do tej roli, bowiem po przejrzystym sformułowaniu wstępnych tez dyskusji, zabiera głos rzadko, najczęściej zadając lub odpowiadając na pytania. Wyraźnie też sili się na obiektywizm, unikając narzucania własnych poglądów.

Na wstępie proponuje rozpatrzenie problemu Vortexu kolejno w trzech aspektach: przyrodniczym, socjologicznym i politycznym. Tezy dotyczące przyrodniczego aspektu nie budzą większych kontrowersji. Określenie Vortexu P jako obszaru anomalii psychofizjologicznych,

wskazanie na nieskuteczność klasycznych, fizykalnych i geofizycznych metod i narzędzi pomiarowych, ostrożny optymizm w ocenie wyników badań przeprowadzonych metodami bio-fizycznymi i biochemicznymi, zwłaszcza na poziomie molekularnym i submolekularnym, jak też szereg spostrzeżeń dotyczących reakcji neurofizjologicznych u zwierząt i ludzi – Quinta, Barley i Berg uznają za trafne.

Duże zainteresowanie wzbudza sprawa struktury przestrzennej Vortexu. Oriento wysuwa hipotezę, że jest ona spiralna, przypominająca nieco cyklon, tylko znacznie mniejszych rozmiarów. Popiera go Martin, dodając, iż jego zdaniem natężenie i zróżnicowanie reakcji psychofizjologicznych zależnie od odległości „oka cyklonu” i położenia w ramionach spirali nie daje się opisać z pomocą modelu energetycznego. Proponuje też rozróżnianie co najmniej czterech stref P, charakteryzujących się odmiennością zaburzeń w postrzeganiu i motywacjach, a zwłaszcza w sferze popędów i emocji. Sposób, w jaki Martin mówi o tym wszystkim, do złudzenia przypomina jego zachowanie się w czasie wykładów uniwersyteckich i trudno uwierzyć, że jeszcze tego ranka był to człowiek na wpół obłąkany.

Prawdę mówiąc, ta część dyskusji, choć z pewnością dla mnie interesująca, gdyż zawierająca konkretne usystematyzowane informacje na temat zagadkowej anomalii, o której dotąd miałam dość mętne wyobrażenie, zdaje się nie zapowiadać niczego rewelacyjnego, co powinno być otoczone tajemnicą. Zaczynam nawet podejrzewać, iż ostrzeżenia, którymi nas raczył Oriento na wstępie, były tylko swoistą metodą tworzenia atmosfery sensacji. Ale już w następnej godzinie muszę całkowicie zmienić zdanie. Kluczowe znaczenie ma tu stwierdzenie faktu, iż zjawiska występujące na obszarze anomalii, zmieniają się cyklicznie. Zdaniem Martina częstotliwość tych zmian jest, co prawda, różna dla różnych doznań i czynności psychicznych, maleje ze wzrostem odległości od „oka cyklonu”, a co gorsza podlega wpływom jakichś nieznanych czynników – tak, iż obraz zjawiska jest bardzo złożony, niemniej wykrycie pewnych istotnych prawidłowości okazało się możliwe. To właśnie stanowiło głównie przedmiot badań prowadzonych przez Martina przed jego aresztowaniem z tym, iż na terenie Doliny Martwych Kamieni prowadził je także Oriento, Berg i Goldstein, zaś nad brzegami jeziora Pattona i w Cameo tylko sam Barley. Tam właśnie w opustoszałym mieście, udało mu się wejść głęboko w obszar Vortexu i wykryć szereg prawidłowości, lecz notatki z danymi ukrył w Cameo, gdyż obawiał się, aby nie wpadły w niepowołane ręce. Znajomość tych prawidłowości, umożliwiającą określenie gdzie i kiedy przypada maksimum i minimum oddziaływania Vortexu pozwoliła mu poruszać się po terenie anomalii stosunkowo bezpiecznie. Mógł bowiem unikać miejsc o większym nasileniu zaburzeń lub przygotować się odpowiednio do przeczekania „burzy”. Co więcej, stwierdził, iż w pewnym stopniu przyzwyczał się do życia w anomalii.

Wiadomość, iż można wejść głęboko w Vortex, jest dla mnie szczególnie ważna. Co prawda, z tego, co mówił mi Bob, a co potwierdzają relacje Oriento i Barleya wynika, że Dolina Martwych Kamieni jest bardzo trudna do przebycia, a stosunkowo najkorzystniejsze warunki występują w okolicach Cameo, niemniej fakt, iż Martin zna rytmikę zaburzeń może bardzo ułatwić sytuację.

Z zachowania się Martina wynika, że nie podziela on stanowiska Oriento, iż wszystkie odkrycia należy ujawniać. Na pytania Quinty, dotyczące zabezpieczenia się przed zaburzeniami psychicznymi a także konkretnych parametrów ich cykliczności, odpowiada dość ogólnikowo, uniemożliwiając praktyczne wykorzystanie danych. Jedyne konkretniejsze przykłady dotyczy halucynacji jakich doznał Martin w okolicach jeziora Pattona. Miał tam szczególnie koszmarne zwidy, które powtarzały się w cyklu siedmiogodzinnym i gdyby nie „trening” w Dolinie Martwych Kamieni oraz leki neuroleptyczne nie wytrzymałby tam nawet dwudziestu minut.

Quinta pyta z kolei, czy szczególne natężenie zaburzeń w pobliżu jeziora Pattona nie nasuwa podejrzeń, iż tam właśnie należy szukać czynników generujących pole P? Martin i tu nie

daje jasnej odpowiedzi. Mówi, że i on swego czasu myślał, iż tam będzie mógł znaleźć jakieś ukryte generatory promieniowania elektromagnetycznego lub infradźwięków, ale szybko doszedł do wniosku, że zbyt naiwnie traktował zagadnienie. Quinta próbuje dowiedzieć się, co Martin ma na myśli, lecz nie otrzymuje odpowiedzi.

Martin stwierdza, że anomalię należy traktować jako polityczno-militarną demonstrację siły, a może wręcz narzędzie szantażu, gdyż nie brak dowodów, iż jest ona efektem działania jakiejś nowej broni psychotropowej. To, co mówi, nie jest dla mnie zaskoczeniem. Przed aresztowaniem przekazał nam przecież wiadomość, że wpadł na trop jakiegoś spisku politycznego, w którym Vortex P odgrywa istotną rolę.

Chemiczne środki bojowe, powodujące zaburzenia psychiczne, znane są od dawna i mimo konwencji o zakazie broni chemicznej, stosowane czasem w operacjach militarnych i policyjnych. Wiadomo też, że broń falowa o działaniu psychotropowym budziła swego czasu żywe zainteresowanie w niektórych krajach, lecz Republika Patope, nie posiadająca odpowiedniej bazy technicznej, na pewno takiej broni nie produkuje. Nie wydaje się też, aby pogłoski na temat nowej broni, jaką Numa miał rzekomo użyć przeciw partyzantom Magogo gdy zakończy się pora deszczowa, można było traktować jako zapowiedź tego co nastąpiło 12 czerwca. Martinowi nie udało się stwierdzić, aby tego rodzaju operacja przeciw partyzantom była w Górach Żółtych przeprowadzona, zaś anomalia w niczym nie przypomina skutków działania dotąd stosowanych broni psychotropowych. Nie brak za to faktów wskazujących, iż pojawienie się Vortexu było zaskoczeniem dla Patope i Dusklandu, których rządy traktują atak za pomocą „broni VP” jako akt agresji ze strony wrogich im zewnętrznych sił.

Kto przeprowadza tę operację i czego żądają szantażyści, Martin nie zdążył stwierdzić. Nie udało mu się również zlokalizować ośrodka kierującego bezpośrednio operacją. W czasie śledztwa próbowano torturami zmusić Martina do przyznania się, że jest szpiegiem właśnie tego ośrodka i zdradzenia gdzie się on znajduje, co może wskazywać, że jego dręczyciele tego nie wiedzą. Najprościej byłoby przyjąć, iż działa tu jakaś potężna organizacja terrorystyczna, wyposażona w zupełnie nowe, nie stosowane dotychczas środki techniczne, ale nie ma na to żadnych dowodów.

Nie jest nadal sprawą jasną, o jaki rodzaj broni tu chodzi. Środki chemiczne czy bakteriologiczne, zdaniem Martina, nie wchodzi w rachubę. Jest to jak gdyby obszar skażenia radioaktywnego o cyklicznie zmieniającym się natężeniu, lecz w rzeczywistości wzmożonego promieniowania korpuskularnego nie stwierdzono. Również nie udało się zlokalizować jakichś źródeł wzmożonej emisji fal elektromagnetycznych. Sam Martin, w oparciu o obserwacje własnych reakcji

psychofizjologicznych, przypuszcza, że zaburzenia psychiczne występujące na terenie Vortexu są następstwem kompleksowych oddziaływań różnych czynników, wśród których istotną rolę odgrywają infradźwięki, lecz bez odpowiednich przyrządów nie był w stanie sprawdzić swej hipotezy.

Z kolei głos zabiera Bob, prezentując skrajnie odmienny pogląd na genezę Vortexu P. Jest to właściwie rozwinięcie tego, co mi już mówił przed kolacją. Twierdzi więc, że anomalia to swoista forma kontaktu z „supercywilizacjami”. Nie jest prawdą, że nie można zlokalizować „generatora” Vortexu, lecz ograniczanie się do fizykalnych, tradycyjnych metod badań prowadzi na manowce. Przyrządy fizyczne, rejestrujące bardzo słabe promieniowanie, muszą być sprzężone z „detektorem biologicznym”. Dzięki tego rodzaju badaniom, prowadzonym w górach przez Oriento, udało się stwierdzić, iż ów „generator” znajduje się nie pod ziemią, lecz gdzieś w górze, ponad Kotliną Timu. Wszystkie inne badania i próby tworzenia hipotez nie opartych na „zjednoczonej teorii zjawisk paranormalnych” skazane są na niepowodzenie. Również tylko w oparciu o tę teorię można prawidłowo zinterpretować odkrycia dokonane przez Martina.

Zdaniem Boba próby z nową bronią – nieważne: falową, chemiczną czy biologiczną – zwróciły uwagę, a może zaniepokoiły supercywilizację będącą aktualnie w kontakcie z nami i

spowodowały jej ingerencję, której celu nie potrafimy na razie dociec. Środki techniczne służące wytworzeniu anomalii przewyższają niewyobrażalnie nasz poziom wiedzy.

–Neandertalczykowi łatwiej byłoby pojąć jak działa bomba atomowa, niż nam zrozumieć „mechanizm” Vortexu P – kończy Bob z przejęciem.

Spodziewam się, że Quinta rozpocznie systematyczne „niszczenie” hipotezy Boba, a właściwie Oriento, bo to co referował z pewnością nie zrodziło się w jego głowie. Ale politolog nie podejmuje dyskusji. Również Ellen milczy. Nie chcąc więc sprawić Bobowi zawodu, pytam, czy supercywilizacja nie może zniżyć się do naszego poziomu i przekazać nam jakichś informacji. Odpowiada, że może i przekazuje, zaś szczególną funkcję „pośredników” spełniają prawdopodobnie tacy ludzie jak on, a ich paranormalne uzdolnienia są również rezultatem ingerencji supercywilizacji, słowem – że są to „ludzie” wybrani”.

Po mnie zabiera jeszcze głos Berg, jakby trochę polemizując z Bobem na temat użyteczności metod fizykalnych, lecz zgadzając się, iż wyniki badań są na ogół fałszywie interpretowane. Ciekawe, że Martin, jako reprezentant skrajnie przeciwstawnej hipotezy, nie odzywa się zupełnie w czasie całej tyrady Boba, ani też później, gdy ja i Berg wtrącamy swoje uwagi. Siedzi jakby przygaszony i zatroskany, tak iż poczynam się niepokoić. Ożywia się dopiero, gdy Oriento stwierdza „obiektywnie”, że dopiero dalsze badania mogą wykazać, która z hipotez jest bliższa prawdy i proponuje, aby Martin opowiedział nam szerzej o swej wyprawie do Cameo, gdyż to co dzieje się w tym mieście może rzucić wiele światła na omawiane tu kwestie.

Na teren Dusklandu Martin przedostał się nielegalnie, przechodząc granicę w pobliżu jeziora Pattona. Były to najtrudniejsze godziny w całej jego wyprawie, gromadził bowiem dopiero dane dotyczące cyklicznych zmian anomalii i nie spodziewał się tak wielkiego nasilenia koszarów. Co prawda, ze strony ludzi czy zwierząt nic mu tu nie groziło, gdyż wszystko co żywe i zdolne odczuwać lęk dawno opuściło te tereny, zaś patrole graniczne nie zapuszczały się w głąb Vortexu. Niemniej, mimo środków uspokajających i profilaktycznie zastosowanej przez Oriento sugestii hipnotycznej, niewiele brakowało, aby w panice, uciekając przed urojonymi potworami, nie stoczył się ze skał do jeziora. W powrotnej drodze – wracając tym samym szlakiem – nie miał już większych kłopotów, gdyż wybrał taki moment na przejście obok jeziora Pattona, w którym zaburzenia były bliskie minimum, a ponadto wiedział już jak przeciwdziałać skutkom zaburzeń świadomości. Podczas osiemnastodniowego pobytu w Ca-meo uległa też znacznemu osłabieniu jego wrażliwość na halucynogenne działanie anomalii.

Cameo przed 12 czerwca było dużym blisko czterystutysięcznym, nowoczesnym miastem – największym ośrodkiem przemysłowym Dusklandu. Metalurgia, przemysł maszynowy, chemia, elektronika, przetwórstwo spożywcze – odpowiadały w pełni standardowi światowemu. Zakłady Mortona produkowały nie tylko maszyny rolnicze, ale również pojazdy opancerzone i broń, a nawet pociski rakietowe dla świetnie wyćwiczonych i uzbrojonych ochotniczych sił „obrony i bezpieczeństwa narodowego” tej „białej twierdzy” na kontynencie afrykańskim. Stałymi mieszkańcami miasta o pełnych prawach obywatelskich, podobnie jak w całym Dusklandzie, była ludność biała. Z czarnej siły roboczej, dojeżdżającej z pobliskich, gęsto zaludnionych rejonów przygranicznych Patope i Matavi, korzystano tylko tam, gdzie nie opłacała się jeszcze szersza automatyzacja. Bogate zasoby uranu, urodzajna ziemia i polityka „kija i marchewki” w stosunku do sąsiadów zapewniały Dusklandowi względną stabilność pozycji, aż do czasu gdy partyzanci Magogo, działający w Górach Żółtych, poczęli szerzyć wrogą propagandę wśród czarnych górników z Patope dowożonych do kopalni w Dolinie Mkavo. Z „wywrotowcami” może by dano sobie radę, ale pojawił się vortex i powstała zupełnie nowa sytuacja.

Atak nastąpił 12 czerwca, tuż przed świtem, powodując zupełny chaos. W ciągu zaledwie trzech dni Cameo opustoszało, przy czym o jakiejś planowej ewakuacji w ogóle nie było mowy, gdyż w warunkach panicznego lęku i koszmarnych halucynacji, to znów – na przemian –

stanów mistycznej ekstazy i gwałtownych przyływów prymitywnych popędów, dochodziło do szaleńczych masowych ucieczek, bezsensownych reakcji i ekscesów. Nie udało się wywieźć z miasta ani żadnych towarów, ani nawet w wielu przypadkach pieniędzy, złota i kosztowności z banków i prywatnych sejfów. Halucynacje utrudniały w ogromnym stopniu prowadzenie pojazdów, tak iż znaczna liczba samochodów nie wydostała się z miasta. Wszyscy zresztą liczyli na to, że zaburzenia szybko ustąpią i będzie można wrócić. Wkrótce jednak okazało się, że anomalia nie ustępuje i nie można liczyć, iż ktoś będzie wykonywać jakieś polecenia w sposób planowy i rozsądny, gdy znajdzie się na terenie Cameo. Szczególnie dotkliwym ciosem dla dusklandzkich kół rządzących było całkowite odcięcie od zbrojowni Cameo. W magazynach zakładów Mortona pozostało sporo gotowego sprzętu, domniemani spiskowcy zaktywizowali bowiem vortex w bardzo niekorzystnym dla rządu momencie – tuż przed odbiorem większego zamówienia przez armię i policję.

O tym wszystkim Martin wiedział już przed wyprawą do miasta, gdyż po przejściu granicy blisko tydzień przebywał wśród uchodźców z Cameo, gromadząc informacje i próbując odnaleźć ludzi, z którymi Vittorio był w kontakcie w czasie pobytu w Dusklandzie. Nie było to łatwe. Co prawda, obozy uchodźców z mrowiem ludzi, często obcych sobie, pozbawionych mienia, pieniędzy, dokumentów były wymarzoną kryjówką. Ale odnalezienie określonych osób w tej masie i to bez zwracania na siebie uwagi okazało się nierealne. Na dodatek, w tym właśnie czasie poczęto otaczać wojskowym i policyjnym kordonem poszczególne obozy, tłumacząc ten krok niepokojącymi przypadkami zachorowań na coś, co przypominało żółtą febrę. Zdaniem Martina w rzeczywistości przypadków takich nie stwierdzono, a niebezpieczeństwo epidemii, jakkolwiek zawsze realne, w warunkach gdy duże skupiska ludzkie pozbawione są elementarnych możliwości zachowania higieny, zostało wyolbrzymione. Osiągnięto w ten sposób co najmniej trzy cele: uzasadniono prawnie zamknięcie Cameo i obozów przed penetracją dziennikarską, wprowadzono w błąd opinię publiczną, sugerując iż miasto i „pobliskie obszary” są to po prostu tereny objęte epidemią, zaś exodus ludności to konieczna „ewakuacja”, pozostawiono wreszcie furtkę dla ewentualnego wypłynięcia sprawy vortexu, stwierdzając w komunikatach, iż nie wyjaśniono jeszcze w pełni czy chodzi tu o nową, nieznaną jeszcze mutację wirusa żółtej febry czy też o jakąś inną chorobę.

Władze Duskslandu wyraźnie usiłują ukryć przed światem rzeczywistą sytuację, w jakiej znalazł się ich kraj. Trudno się temu dziwić, gdyż poważne osłabienie potencjału militarnego i gospodarczego „białej twierdzy”, może zachęcić niektóre kraje ościenne co najmniej do udzielenia szerszego poparcia partyzantom Magogo. Innego rodzaju fatalne skutki może mieć fakt, iż w zasięgu vortexu znalazły się największe kopalnie uranu w Dolinie Mkavo i elektrownia jądrowa w Nomo. Żadnych konkretnych informacji na ten temat nie udało się niestety Martinowi zebrać; chociaż

nie brakowało różnych, często sprzecznych plotek, nikogo z tamtych terenów w obozach nie spotkał. Co prawda z komunikatów radiowych zdaje się wynikać, że w zagłębiu panuje spokój, jednak wystarczy spojrzeć na mapę, aby dojść do innych wniosków. Doniesieniom władz dusklandzkich ufać nie należy, tym bardziej iż pozycja tego zagłębia na światowym rynku uranowym jest gwarancją trwałości „białej” republiki.

Wszystko to sugeruje, że czynniki rządzące Dusklandem nie wiedzą kto i w jaki sposób zaatakował ich kraj. Gdyby bowiem wiedziały, z pewnością podjęłyby natychmiast kontrakcję lub co najmniej interwencję dyplomatyczną w ONZ. Martin wyklucza też zdecydowanie, aby bronią VP dysponował którykolwiek z sąsiadów Dusklandu.

Nie wydaje mi się to aż tak oczywiste, jeśli brać pod uwagę rolę „Alconu” w Patope i Ma-tavi. Kiedy o tym mówię, Martin patrzy na mnie jakby z niepokojem i pośpiesznie wyjaśnia, iż rozważał i tę możliwość, ale potem doszedł do innego wniosku. Pytam go więc, czy chodzi mu o to, że Numa i „Alcon” mają również kłopoty z vortexem, ale jakoś nie chce podjąć tej kwestii. Ellen zauważa tu, iż jeśli kierować się starą kryminalistyczną metodą szukania motywów i ludzi czerpiących korzyści z powstałej sytuacji, to za najbardziej podejrzanych nale-

żałoby uznać partyzantów Magogo, gdyż vortex chroni ich przed atakiem ze strony Dusklądu czy Patope i żyją sobie spokojnie w „oku cyklonu”. Oczywiście, partyzanci Magogo sami nie wyprodukowali broni psychotropowej, ale można się domyślać czyja ręka za tym się kryje.

Zastanawiam się do czego Ellen zmierza. Kogo chce oskarżyć: wrogie „Alconowi” korporacje, kraje komunistyczne, islam, a może chodzi jej o Zielony Płomień? Chyba to co mówi to echo jakichś kombinacji politycznych „ślepego”...

Waham się czy nie zapytać ją wręcz, kogo przewiduje na ofiarnego kozła, gdy wyjdzie na jaw, co dzieje się w Cameo, ale Oriento, widocznie czując, iż szykuje się większe spięcie, przejmuje inicjatywę i rozładowuje dyplomatycznie atmosferę, kierując dyskusję na inny nieco tor. Pyta, skąd wiadomo, że vortex uratował partyzantkę Magogo, na co Ellen nie bardzo umie odpowiedzieć, ograniczając się do wyjaśnienia, że „tak się mówi”. Myślę, iż Oriento nie tyle bierze w obronę partyzantów, ile otwiera furtkę dla swej „teorii” o ingerencji kosmitów. Wskazuje na to fakt, że zaraz po tym włącza się do dyskusji Bob, dowodząc, że żadną tajną bronią i spiskiem nie można wytłumaczyć tego, co naprawdę dzieje się na obszarze vortexu.

–Mówi się tu ciągle o lękach, halucynacjach, agresywnych popędach... – stwierdza z nieukrywanym zawodem. – Tak jakby vortex to były tylko same negatywy, rozpętanie sił wrogich człowiekowi. A ja wiem co innego. Ludzie nie potrafią właściwie korzystać z tego co im jest dane. A może im być dane wiele. Wiem coś o tym! Wiedzą też Hans i Istvan. Mówi się tu: broń psychotropowa. A ja się pytam: co to za broń, która potęguje wrażliwość, wyzwala nowe paranormalne zdolności, pozwala materializować wyobrażenia na skalę nieznaną w parapsychologii? Ja bym sobie życzył na co dzień takiej broni!

Martin znów nie podejmuje tematu. Bob odczuwa to jako lekceważenie jego poglądów i coraz wyraźniej próbuje prowokować Martina, ale Oriento panuje nad sytuacją i oświadcza, że zbyt wiele kwestii wymaga jeszcze wyjaśnienia i ta część dyskusji siłą rzeczy musi pozostać bez ostatecznej konkluzji.

Martin zaczął wreszcie mówić o swej wyprawie do Cameo. Wbrew oczekiwaniom nie jest to opowieść pełna dramatycznego napięcia i zaskakujących sytuacji, lecz raczej dość suche i monotonne sprawozdanie. Mnie to zresztą nie zaskakuje – Martin nigdy nie przejawiał talentów gawędziarza, chociaż muszę przyznać, iż czuję się nieco zawiedziona.

Do Cameo wybrał się Martin z grupą cwaniaków – złodziei i alkoholików – dla których celem wyprawy miały być domy towarowe Steina i Fratersa w dzielnicy

wschodniej a zwłaszcza bogate zapasy trunków. Na czele grupy stał wielce podejrzany typ, mający jakieś zadziwiająco bliskie kontakty z wojskiem i policją, co bardzo ułatwiało wydostanie się z obozu. „Wypożyczył” on gdzieś nawet niezłą ciężarówkę i „zorganizował” przepustkę, podobno fałszywą. Zdaniem Martina dowództwo wojskowe patrzyło przez palce na takie eskapady, a nawet po cichu je popierało jako pewną formę penetracji vortexu. Próby bowiem wykorzystania w tym celu patroli wojskowych kończyły się z reguły niepowodzeniem, a nawet doszło do kilku tragicznych incydentów, gdy żołnierze pod wpływem koszmarnych zwiadów otwierali do siebie ogień. Nieliczni wracający z wypraw do Cameo byli zresztą poddawani szczegółowym badaniom i to nie tylko lekarskim.

Ciężarówkę prowadził Martin – był znakomitym kierowcą; w czasach studenckich zarabiał i w ten sposób. Wyruszyli późnym popołudniem, wielu bowiem uciekinierów twierdziło, że upał wzmaga halucynacje, co zresztą zgadzało się z obserwacją Martina. Ruchu na drodze do Cameo nie było prawie zupełnie – minęli zaledwie dwa wozy patrolowe, a strażę sprawdzające przepustkę patrzyły na nich jak na wariatów.

Dysponowali dość szczegółową mapą tej części kraju i planem Cameo. Jeszcze zresztą przed wjazdem w obszar vortexu, w zapadającym zmroku można było określić prawidłowy kierunek po łunie jaką dawały światła opustoszałego miasta. Te iluminacje można było wytłumaczyć tylko chyba tym, że reżim dusklandzki starał się ukryć przed światem, a ściślej – zwiadem powietrznym i kosmicznym, iż miasto jest całkowicie wyludnione, co podważałoby wersję epidemii.

Uczestnicy złodziejskiego wypadu, dla nabrania odwagi, tuż przed odjazdem niemal wszyscy „zaprawili” się nieźle alkoholem, ale na obszarze anomalii wywołało to wręcz odwrotny skutek – zwiększoną wrażliwość na jej oddziaływanie. W rezultacie już w obszarze brzegowym, gdzie vortex objawia się tylko gwałtownymi przyływami niepokoju i wzmożoną agresywnością, doszło do bójki na noże. Trzech jej uczestników zostało rannych, w tym jeden bardzo ciężko. Zmarł on wkrótce prawdopodobnie na skutek wewnętrznego krwotoku.

Według oceny Martina zaburzenia występują w Cameo w znacznie łagodniejszej postaci niż w górnych partiach Doliny Martwych Kamieni i nad brzegami jeziora Pattona, co wcale nie znaczy, że nie przygotowany odpowiednio człowiek potrafi je przetrzymać, zwłaszcza w okresie maksimów. Już zresztą na dalekich przedmieściach Cameo zaczęły się ucieczki, co świadczyło, że wjeżdżają w strefę lęku i halucynacji. Ten obszar Martin zalicza do strefy drugiej, bardzo niebezpiecznej. Jak wynikało z jego obserwacji, u ludzi pijanych występują tam objawy zbliżone do ostrego delirium. Sam Martin, wiedząc jak działa alkohol na podstawie doświadczeń przeprowadzonych jeszcze z Oriento w Dolinie Martwych Kamieni, oczywiście nie pił. Wspomina też o „mantrze” otrzymanej od Oriento, której powtarzanie, jego zdaniem, działa znakomicie, tak iż nawet nie potrzebował stosować leków neuroleptycznych. Czyżby chodziło o podobne „zaklęcie” jak to, które przekazał mi Bob?

Przedmieścia miasta są źle oświetlone, w miarę jednak jak zbliżać się do dzielnicy handlowej i centrum przybywa nie tylko lamp, ale i neonów reklamowych, pulsujących barwną feerią efektów świetlnych, co zdaniem Martina, bardzo sprzyja halucynogennemu oddziaływaniu anomalii. W rezultacie, do magazynów Steina i Fratersa dotarł z dwoma uczestnikami „skoku” – i to tylko dlatego, że obaj byli nieprzytomni: jeden już na początku „zalał się w trupa”, drugi – a był to właśnie ten facet, który organizował „skok” – dostał zbyt mocno w łeb od Martina, gdy w obłądnym strachu próbował zmusić go, aby zawrócił. Martin jeszcze przed wyprawą przestudiował dokładnie drogę na planie miasta, więc łatwo odnalazł magazyny. Zostawił wóz na ulicy i jeszcze tej samej nocy ruszył samotnie do centrum. Początkowo planował tylko krótki pobyt w mieście i dalszą penetrację terenu w kierunku Gór Żółtych, ale już w czasie pierwszej doby spędzonej w Cameo zaszło kilka wydarzeń, które go skłoniły do zmiany planów.

Idąc przez wymarłe miasto Martin starał się zachować pełną przytomność umysłu i zdolność obiektywnej oceny własnych doznań. Zdawał sobie sprawę, że uczucie niepokoju, strachu czy gniewu to przede wszystkim następstwo oddziaływania Vortexu P. Potrafił z tym walczyć, zaś głębiej wchodząc w wir wiedział, że będzie coraz bardziej narażony na różnego rodzaju omamy i halucynacje, a być może

również całkowicie zaskakujące zjawiska, na które i sugestie posthipnotyczne Hansa Oriento nie mogły go uodpornić. Toteż, kiedy minąwszy wielki dom towarowy przy placu Livingstone'a, odczuł wrażenie, iż ktoś czy coś za nim się skrada, potraktował to jako objaw głębszego wejścia w obszar halucynogeny. Co prawda, nieprzyjemne zwidy pojawiały się raz po raz już w ostatniej fazie prowadzenia ciężarówki i dlatego wolał ją zostawić i iść piechotą, lecz zniknęły one szybko.

Teraz jednak było inaczej: to nie żaden konkretny potwór, żaden monstrualnych rozmiarów pajak czy szczur, ani rozpuchnięta, gnijąca głowa topielca, której wspomnienie prześladowało go od dzieciństwa. To tylko cień – niewyraźny, daleki, kryjący się za załomem muru, w bramie, w podziemnym przejściu. Cień ten, chwilami jakby kilkuletniego dziecka, to znów młodego szympansa, nie budził w Martinie leku a tylko coś w rodzaju napięcia, związanego z niejasnością sytuacji, nietypowością zjawiska. Raz nawet zawrócił i podszedł do zakrętu, za którym zniknął cień, ale ulica była pusta. Gdy jednak ruszył dalej – fantom znów się pojawił.

To właśnie zjawisko, z którym nie spotkał się ani w Dolinie Martwych Kamieni, ani nad jeziorem Pattona, wymagało bezwzględnie wyjaśnienia, zwłaszcza, że od momentu pojawienia się „cienia” zanikły „typowe” halucynacje, co zdawało się świadczyć, iż zbliża się minimum lub wkroczył w nową strefę VP. Był jednak zbyt zmęczony, aby zawrócić do placu

Livingstone'a i stwierdzić czy omamy znów się pojawią. Postanowił więc znaleźć możliwie wygodne i bezpieczne miejsce, gdzie mógłby się przespać. Jego wybór padł na dwunastopiętrowy, nowoczesny hotel „Majestic”, położony niemal w samym centrum Cameo. Hall, sale restauracyjne i korytarze były oświetlone, działała klimatyzacja i windy, choć od dnia kataklizmu minęło blisko dwa tygodnie. W magazynach i chłodniach na zapleczu restauracji znalazł też sporo żywności zdatnej do użytku. Uznał więc, że hotel w pełni nadaje się na bazę.

Następnego dnia Martin dokładniej zbadał kuchnię i magazyny hotelowe a także najbliższe okolice. Natrafił między innymi na sklep z przyborami fotograficznymi, gdzie zaopatrzył się w aparat i filmy. Chociaż miasto wydawało się całkowicie opustoszałe i poza owadami, robactwem i roślinami gwałtownie się pniącymi, nie spotkał żadnej żywej istoty, nie mógł oprzeć się nadal wrażeniu, iż ktoś go obserwuje. Halucynacje, i to w bardzo łagodnej formie, występowały tylko około południa i szybko zanikały. Prawdopodobnie organizm jego począł się adaptować do warunków. Cykliczne działanie vortexu objawiało się przede wszystkim wzrostem bądź spadkiem nerwowego napięcia i niepokoju, których, niestety, nie potrafił przezwyciężyć do końca.

Wieczorem, gdy obserwował ulicę z okna, wydawało mu się, że znów dostrzega dwie dziecięce postaci. Gdy jednak wybiegł przed wejście – nikogo nie było. W zasadzie przyjmował, że są to omamy, niemniej chcąc się upewnić, począł obmyślać różnego rodzaju „pułapki”, w których rzeczywista istota żywa musiałaby pozostawić ślady. Skłoniło go do tego między innymi dziwne zachowanie się windy, która uciekła mu dwukrotnie sprzed nosa, jakby uruchomiona przez innego mieszkańca hotelu. Zbadanie dwunastu pięter z dziesiątkami pokoi i apartamentów było przedsięwzięciem nierealnym. Rozpylenie jednak mąki przed drzwiami wind na każdym piętrze czy przeciągnięcie nitki w ważniejszych przejściach na różnych wysokościach nie nastroczało szczególnych trudności.

Rezultat był zaskakujący: trzeciego ranka po założeniu „pułapek” stwierdził zerwanie nici w przejściu do kuchni, i to do wysokości 170 centymetrów, zaś przed wejściem do jednej z wind pozostały ślady męskich butów podobnych do tych, jakie sam nosił. Intruz nie był więc wytworem wyobraźni, ale nie był też ani dzieckiem, karłem czy małpą, lecz miał ten sam wzrost jak Martin. Oczywiście, pierwszym wnioskiem było, iż po hotelu spacerował sam, prawdopodobnie w lunatycznym transie, ale na własnych butach nie znalazł śladów rozsypanej mąki. Mógł, rzecz jasna, ulegać rozdwarzaniu osobowości i samemu zacierać po sobie ślady. Wszystko to jednak wymagało przeprowadzenia systematycznych, wielodniowych badań.

Wkrótce jednak cała sprawa uległa dalszym komplikacjom. Ślady znów się pojawiły,

były to jednak jakby trzy osoby o różnych rozmiarach obuwia, przy czym udało się Martinowi stwierdzić, iż przychodzą one do hotelu po żywność wtedy, gdy śpi lub znajduje się gdzieś daleko w mieście. Niemniej, w ciągu całych osiemnastu dni pobytu w Cameo nie udało mu się ani razu spotkać ich, czy choćby zobaczyć z daleka. Był jednak przekonany, że istoty te są ludźmi, którym na skutek jakichś nieznanых przyczyn udało się pozostać w mieście. Co prawda mógł przypuszczać, że wszystko jest wytworem jego chorego umysłu, ale uznał to za mało prawdopodobne.

Do innej kategorii zjawisk zdawały się należeć „śledzące” go w nocy po ulicach cienie. Tu długo był skłonny przypisywać im nierzeczywisty charakter. Nigdy nie widział ich w pełnym świetle, nawet tam gdzie zapalające się cyklicznie reklamy rozjaśniały ciemności, mógł je dostrzec tylko w momentach, gdy mrok ogarniał ulice. Nie pokazywały się zresztą nigdy na otwartej przestrzeni – wychylając się zza załamów ścian, z bram czy otwartych drzwi sklepów. W okolicach hotelu „Majestic” pojawiały się niemal co wieczór, ale spostrzegał je zawsze z daleka, a kiedy udało mu się znaleźć lornetkę, jakoś nie miał szczęścia przyjrzeć im się dokładniej, gdyż albo nie mógł ich odnaleźć, albo znikwały po paru sekundach. Wydawało mu

się jednak, iż dostrzega w mroku blade ludzkie twarze. Próbował też sfotografować te cienie na bardzo czułej błonie, ale niestety, nie wie czy coś z tego wyszło, gdyż film ten, nie wywołany zabrała policja.

Przypuszczenie, że są to halucynacje zdawały się potwierdzać wyniki badań nad cyklicznością zaburzeń psychicznych. W tej części miasta gdzie był „Majestic”, według obliczeń Martina, napięcie i niepokój osiągają maksimum co cztery i pół godziny. Otóż pojawienie się cieni przypadało z reguły tuż po owym maksimum.

Martin od pierwszego dnia prowadził systematyczne obserwacje i notatki dotyczące własnych reakcji, co stało się podstawą dla opracowania czegoś w rodzaju nomogramu, umożliwiającego określenie różnych oddziaływań anomalii w czasie i przestrzeni. W początkach drugiego tygodnia pobytu w Cameo uruchomił jeden z porzuconych samochodów i począł nim jeździć już nie tylko po mieście, ale i poza przedmieścia. Ogółem zrobił około tysiąca zdjęć. Pod koniec drugiego tygodnia rozpoczął wypady głębiej w vortex wzdłuż doliny rzeki Mkavo, wypływającej z Gór Żółtych. Odkrył tam trzecią strefę charakteryzującą się szczególnym pobudzeniem ośrodków zawiadujących popędami oraz czwartą, w której występują objawy padaczkowe, utrata przytomności, a także rozdwojenie osobowości, przypominające zaawansowaną schizofrenię. Do zaburzeń tych nie był przygotowany i „mantra” też zawodziła. Do trzeciej strefy wrócił więc tylko raz na krótko, zaś w czwartą nie próbował już ponownie się zapuszczać. Są to jednak tak intrygujące zjawiska, że postanowił sobie, iż wróci do Cameo raz jeszcze, i to w większej, odpowiednio przygotowanej grupie.

W samym mieście pozostał jeszcze tydzień, pracując nad nomogramem i penetrując niektóre ważniejsze obiekty oraz robiąc zdjęcia. Między innymi stwierdził, iż więźniowie uwolnili się sami z więzienia, rozbijając drzwi cel, że na posterunkach policji pozostała broń, zaś w bankach nie zabezpieczone pieniądze. Trupów było niewiele, przeważnie ofiary wypadków i kilku pacjentów szpitala – pozostawionych przez personel. Jednocześnie odnalazł wiele śladów wskazujących, że poza nim jeszcze jacyś ludzie przebywają, czy raczej ukrywają się w Cameo. Ślady te w kilku przypadkach wiodły wyraźnie ku stacjom metra.

Martin długo się wahał, nim zdecydował się na wyprawę pod ziemię. Przedstawiając nam związane z nią wydarzenie chyba najciekawsze z całej relacji, jest wyraźnie wytracony z równowagi. Podkreśla też parę razy, iż samotna wędrówka w tunelach metra była głupotą i ryzykowną brawurą.

Ku zdziwieniu Martina na peronach panował półmrok. Włączone były tylko światła awaryjne. Pociągi były, oczywiście, unieruchomione, światła sygnalizacyjne

wyłączone. Na peronach i w wagonach ani żywej duszy.

Martin poszedł w głąb ciemnego tunelu i nie zapalając latarki ukrył się w niszy, gdzie tory się rozchodziły. Był uzbrojony – wziął ze sobą pistolet maszynowy z posterunku policji. Postanowił pozostać w ukryciu aż do północy, licząc, że jeśli był śledzony, tajemniczy mieszkańcy miasta, zaniepokojeni jego zniknięciem, będą próbowali go odnaleźć, a tym samym się ujawnią. Przewidywania okazały się słuszne. Po dwóch godzinach oczekiwania usłyszał cichy odgłos kroków i to kilku ludzi. Szli oni tunelem od strony stacji, w całkowitym milczeniu, zatrzymując się raz po raz, jakby sprawdzając teren przed sobą.

W tunelu było prawie zupełnie ciemno, tylko słaba poświata lamp awaryjnych na peronie rozpraszała trochę mrok. Grupa minęła rozwidlenie i weszła w tunel, w którym ukrywał się Martin. Gdy byli w odległości paru metrów, dostrzegł ich cienie. Przygotował aparat do zdjęć i zapalił latarkę. Mimo iż zdołał się już oswoić z różnymi niezwykłymi fantomami, tym razem był tak zaskoczony, iż całkowicie stracił głowę i zapomniał o zrobieniu zdjęcia. W jego kierunku szły cztery dziwne istoty przypominające ludzi, lecz o zielonych twarzach i wzroście około metra. Ubrane były w dziwaczne stroje – ni to kombinezony lotnicze, ni to w pancerze chitynowe ogromnych owadów. Patrzyli w światło latarki wielkimi jakby fosforyzującymi oczami i Martin czuł, że ogarnia go lęk, jakiego dotąd jeszcze w Cameo nie doznał.

Latarka, uderzona z góry czymś twardym, zgasła nagle i wypadła mu z ręki. Ogarnęła go ciemność. Rzucił się na oślep ku stacji, lecz potknął się o szynę i upadł na tor. Jakieś zimne i śliskie ręce usiłowały chwycić go za szyję, ale się wyrwał i skoczył na nogi, wymachując automatem w mroku jak pałką. Kilkakrotnie uderzył w jakieś ciało, usłyszał jęk i głuchy pomruk gniewu. Ktoś chwycił za pistolet, próbując mu go wyrwać a potem – Martin sam nie wiedział jak to się stało – seria z pistoletu rozświetliła ciemność. Poprzez huk wystrzałów dobiegł do jego uszu rozpaczliwy krzyk człowieka.

Począł uciekać tunelem do stacji, gubiąc pistolet i aparat fotograficzny. Do hotelu powrócił w stanie zupełnego załamania nerwowego. Następnego dnia opuścił Cameo i ruszył w drogę powrotną do Patope.

Ta część relacji budzi, rzecz jasna, szczególne zainteresowanie. Sypią się pytania, toczą się spory kim są „zieloni”, i w ogóle kto może przebywać na terenie vortexu. Quinta zastanawia się, czy nie mogły to być halucynacje. Martin wydaje się być przekonany o realności spotkania. Jego zdaniem nie można wykluczyć, iż są to dzieci, które znalazły się przypadkowo gdzieś bardzo blisko „generators VP” i uległy jakiejś fizycznej przemianie. Bob próbuje sugerować, że Martin widział „kosmitów”, wskazując na niewątpliwą zbieżność opisu z relacjami ludzi, którzy jakoby spotkali się oko w oko z załogami „latających spodków”. Wyraźnie liczy na poparcie swej tezy przez Oriento, lecz ten zachowuje się bardzo powściągliwie, chyba nie tylko z uwagi na przewodniczenie obradom.

Martin jest już wyraźnie zmęczony. Wspomnienie spotkania z „zielonymi” i zwinionej czy nie zwinionej strzelaniny wprowadziło go w stan nerwowości i wzrastającego przygnębienia. Oriento również to dostrzega, gdyż w pewnej chwili przerywa dyskusję, oświadcza, że jest późno i proponuje naradę wznowić następnego ranka, co Martin przyjmuje z ulgą.

Wychodzę z Martinem przed grotę. Noc jest ciepła, niebo pełne gwiazd. Siadamy na tym samym kamieniu, na którym po południu siedziałam z Bobem. Martin milczy, ja też jakoś nie mam zbytnej ochoty do rozmowy. Zastanawiam się, czy on podobnie jak ja, czuje, że coś się między nami zmieniło, że nie jest już tak jak dawniej, czy też po prostu stan jego tylko z pozoru wrócił do normy. Na podstawie tego co widziałam w laboratorium, jak też niektórych reakcji Martina w czasie narady, wreszcie i tego, co mówił o „przygotowaniu” go przez Oriento do nieszczęsnej wyprawy, mogę podejrzewać, iż działał on i działa teraz w pewnego rodzaju transie hipnotycznym. Nasuwa mi to pomysł poddania go próbie. Musi ona jednak wypaść jak najbardziej naturalnie.

Obejmuję go ramieniem i pytam:

–Czy cieszysz się, że jesteśmy znów razem? Bo ja bardzo.

–Dlaczego pytasz? – odpowiada chyba zupełnie naturalnie. Bierze mnie za rękę i unosi ją w górę, jakby chciał pocałować, ale nie kończy tego ruchu. – O czym myślisz? – pyta niespodziewanie, jak gdyby z niepokojem.

Ułatwia mi tym sytuację.

–Pomyślałam sobie, jak się to wszystko dziwnie złożyło... Powiedz mi, Martin, ty chyba tego Hansa Oriento znasz jeszcze ze Stanów?... Czy można mu ufać?

–Chyba tak... – odpowiada z wyraźnym wahaniem. Wynika z tego, że wpływ hipnozy jest ograniczony.

–Czy podejrzewasz, że cię... zdradził?

–Nie wiem... – mówi tym razem z wyraźną złością.

–Co się stało z filmami?

–Zabrała je policja w Inuto... – stwierdza głucho, jakimś obcym, zmienionym głosem i ściska kurczowo moją dłoń. – Słuchaj Agni – chrypi. – Powiem ci. Tobie jednej. Nie wszystko zabrali. Pięć rolek ukryłem. „Majestic”. 1105. Telewizor. Pamiętaj! Oni... – urywa nagle. Przez ciało jego przebiega drżenie.

–Co ci jest? – pytam zaniepokojona.

Chwyta się rękami za głowę i kryjąc twarz w kolanach rzezi jękliwie:

–Uciekaj, Agni. Nie daj się schwytać!... Lepsza śmierć. Pamiętaj, Cameo...

Jestem zrozpaczona. Widocznie stan Martina pozostawał jeszcze bardzo niestabilny, a ja nieopatrznie pytaniami wyzwoliłam to, co udało się stłumić. Poczynam gładzić go po głowie i jak mi się wydaje sprawia mu to ulgę.

–Wszystko będzie dobrze... Wyjedziemy stąd. Do Europy albo do Stanów. Już niedługo – staram się go uspokoić, ale skutek jest odwrotny.

–Nie, nie – unosi gwałtownie głowę. – Nie wierz im! Hans! Ja chcę... ja muszę tu zostać!... Że oni nie pozwolą?... Oni się nas boją Hans... Boją się, że my wiemy o „Ekosie” ... – podnosi coraz bardziej głos. – Myśleli, że się dowiedzą... Ale ja im nie powiedziałem... Mówili, że ty... Ale to przecież niemożliwe... To nie ma sensu... Pamiętaj o Agni!... Przyrzekłeś... Pamiętaj o Agni! – powtarza z nienaturalnym napięciem w głosie, wpatrując się z uporem w ciemność. Jeśli przestał tak nagle mnie rozpoznawać, musi być z nim rzeczywiście źle. Trzeba jak najszybciej sprowadzić Hansa Oriento.

Wstaję z kamienia i dopiero wtedy dostrzegam, że nie jesteśmy sami. Naprzeciw nas na innym kamieniu siedzi Oriento.

Czyżby Martin wiedział o jego obecności?

74

5.

Długo nie mogę zasnąć, choć tu w górach, a zwłaszcza w głębi groty klimat jest zupełnie znośny. Początkowo postanowiłam sobie, że nie zasnę, dopóki Martin nie wróci i sama nie przekonam się, jaki jest jego stan po terapii Oriento. Nabrałam bowiem podejrzeń, iż choroba psychiczna Martina ma swe źródło nie tylko w tym, iż przez wiele dni przebywał na obszarze anomalii, a później był poddany jakimś okrutnym torturom, ale również w owym „przygotowaniu” go do wyprawy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, iż Oriento wywiera hipnotyczny wpływ na Barleya, utrzymując go w pewnego rodzaju, niezbyt rzucającym się w oczy, transie, przed którym – jak można sądzić z ujawniającej się chwilami nieufności do „cudotwórcy” – próbuje się on bronić.

Około trzeciej wracają z laboratorium i kładą się spać Goldstein i Berg. Bob jest w złym humorze i mówi, że nie mam co czekać na Martina, bo będzie spał na kozetce w

pracowni, a czuwa nad nim „sam Hans”. Na moje pytanie, jaki jest stan Barleya, odpowiada krótko, że „świetny”, a gdy nadal próbuję dowiedzieć się czegoś bliższego, burczy niechętnie, żebym mu dała spać, bo jutro z rana ruszają do Martwych Kamieni. Mówię wówczas, aby mu do reszty popsuć humor, że bardzo się z tego cieszę, bo wreszcie będę mogła pogadać z Martinem bez „aniołów stróżów”, ale Bob tylko się ironicznie zaśmiał i po chwili już śpi.

A ja nie mogę. Przychodzą mi do głowy różne okropne myśli: że Martin popadł w jeszcze większy obłąd, albo też Oriento opanował jego psychikę do tego stopnia, że nie będę mogła skłonić Martina do opuszczenia groty, to znów, że celowo ułatwia się nam ucieczkę. Można przecież następnie zawiadomić żandarmów Numy, tak by schwytali nas poza terenem „naukowej bazy”. Wreszcie zasypiam, lecz przez całą noc mam koszmarne sny – jakieś ucieczki, pogonie, ciemne korytarze i przedzieranie się przez ciernisty busz. Treść majaków nie jest dla mnie jasna, wiem tylko, że szukam cały czas Martina i nie mogę go znaleźć, za to ciągle spotykam Quintę, który chyba nie jest ślepcem, a także Maksa z Ellen i bardzo się ich boję.

Budzę się dopiero około południa, a ściślej – budzi mnie Maks, oświadczając, że dość leniuchowania i że mam zająć się lunchem. Szybko myję się i ubieram, ale zamiast do „kuchni” idę najpierw do pracowni zobaczyć, co dzieje się z Martinem. W laboratorium jednak nikogo nie ma. W jadalni siedzi Quinta przy radiu – ze słuchawkami na uszach. W „kuchni” zastaję Ellen, zapędzoną widać również do „babskiej roboty” przez Maksa. Na moje pytanie gdzie Martin odpowiada, że poszedł w góry z Oriento, Bergiem i Goldsteinem. Teraz rozumiem, co znaczył śmiech Boba...

Lunch jemy we czwórkę. Ellen jest świetną kucharką i zjednała sobie tym bez reszty Maksa, który wyraźnie adoruje ją przy stole, nie zwracając większej uwagi na Quintę, a mnie traktując wręcz lekceważąco. Niewidomy doktor nie ma, tak jak i ja, ochoty do rozmowy. Je w milczeniu, chmurny i jakby wewnętrznie wzburzony, lecz stara się tego nie okazać. Myślę, że to zazdrość o Ellen albo, że się o coś poprzytkali, bo przez cały lunch zamienili zaledwie kilka słów. Po lunchu doktor znów siada przy radiu, zaś Ellen i ja bierzemy się za mycie naczyń i sprzątanie. Staram się od czasu do czasu zaglądać dyskretnie do „sypialni”, gdyż tak długie wysiadywanie Quinty przy aparaturze, umożliwiającej nie tylko odbiór, ale i nadawanie, poczyna mnie niepokoić. Niczego podejrzanego, co prawda, nie dostrzegam – doktor zdaje się drzemać ze słuchawkami na uszach – niemniej nie mogę mu przecież ufać. Toteż,

kiedy wynosząc śmieci, spotykam przed grotą Maksa, czyszczącego broń, dzielę się z nim swymi obawami, czy Quinta nie próbuje nawiązać łączności z kimś z zewnątrz. Maks zlekceważył jednak moje ostrzeżenie.

–Niech cię, dziecinko, o to głowa nie boli. Już profesor wie co robi – odpowiada, nie przerywając swej roboty.

Próbuję coś wywnioskować z zachowania się Ellen. Pytam ją, czy doktor usłyszał coś ciekawego przez radio. Odpowiada, że chyba nic szczególnego, bo na pewno by nas poinformował przy stole. Szybko też schodzi na inny temat, pytając od jak dawna znam Martina, czy był moim wykładowcą i jak sobie wyobrażam swoją przyszłość. Oczywiście, mówię tylko o tym, co zamykało się w ramach naszego legalnego życia, nic nie wspominając o Zielonym Płomieniu. Zresztą Ellen nie próbuje ruszać tego tematu. Nawet jeśli pyta o moją przyszłość, to nie sądzę, żeby chodziło jej o coś więcej, niż odwrócenie uwagi od Quinty. Czegóż zresztą może oczekiwać innego, niż paru zdawkowych zdań?...

Niewiele udaje mi się dowiedzieć na temat stanu Martina i jego udziału w wyprawie w góry. Gdy wychodzili Ellen jeszcze spała i o nagłej decyzji Oriento dowiedziała się od Quinty, z którym gospodarz zamienił parę słów przed wyruszeniem w drogę. Podobno Oriento powiedział Quincie, że z uwagi na „bardzo korzystne aspekty” musi przeprowadzić kilka eksperymentów na terenie vortexu, między innymi próbę doprowadzenia psychiki Barleya do pełnej normy. Żadnych szczegółów planowanej terapii ani też wyniku nocnych zabiegów Quinta nie zna. Na pewno więcej na ten temat mógłby powiedzieć Maks, ale nawet Ellen nie udaje się z niego niczego wyciągnąć albo po prostu kłamie, że nic jej nie powiedział.

Po zakończeniu porządków Ellen kładzie się na pryczy i wkrótce zasypia. Quinta ma słuchawki na uszach, więc jego możliwości orientacji, co się wokół dzieje, są ograniczone. Najlepsza okazja do zbadania najbliższego terenu.

Biorę z pracowni parę kartek papieru maszynowego, wkładam do jakiegoś atlasu botanicznego i wychodzę przed grotę. Maksa nigdzie nie widać. Siadam na brzegu jaru i sporządzam wstępny szkic sytuacyjny. Potem wdrapuję się na skalną półkę ponad grotą i koryguję szkic. Widok mam stąd jednak dość ograniczony i postanawiam poszukać drogi na próg przegradzający dolinę. Poczynam wspinać się po skałach omijając kępy jakichś kolczastych krzewów, przypominających akacje.

Niestety mój rekonesans szybko się kończy. Na dole pojawia się Maks, który nakazuje mi zejść ze skały, oświadczając, że „nie będzie mnie leczył jeśli sobie kark skręcę”. Gdy jestem już na dole zaczyna mnie w bardzo nieprzyjemny sposób

przesłuchiwać, co tu robię, po co włożę na skały i to z książką, którą nawet próbuje mi zabrać. Pokazuję mu, że to atlas botaniczny i mówię, że po prostu interesuję się roślinami, a chodzę gdzie chcę i nie może mi tego zabronić. Na to on, abym nie podskakiwała, bo „nie z takimi dawał sobie radę”, a teraz on tu zastępuje szefa i czy mi się to podoba czy nie podoba – nie wolno mi nawet na krótko wychodzić na zewnątrz bez jego zezwolenia.

Nie ma co dyskutować i wracam do groty. Nie mając co robić z czasem idę do pracowni i poczynam szperać w skrzyni z książkami. Są tam przeważnie fachowe słowniki encyklopedyczne, podręczniki i naukowe opracowania z psychologii, fizjologii, biologii molekularnej i medycyny, przede wszystkim tropikalnej, a także obszerny leksykon astrologiczny i „Świat odnaleziony” Hansa Oriento. Jak się okazuje, to ostatnie dzieło gospodarza poświęcone jest psychotronice, a jego podstawową treść tworzą rozmowy autora z „najwybitniejszymi badaczami zjawisk paranormalnych”. Postanawiam pogłębić swoją edukację w tym zakresie i biorę książkę do „sypialni”. Właśnie zabieram się do czytania, gdy zauważam wystającą zakładkę. Umieszczono ją w rozdziale zatytułowanym: „Ideoplastia – rzeczywistość czy złudzenie”. Ołówkiem zaznaczony jest na marginesie dłuższy cytat z jakiegoś „podstawowego” dzieła z końca XIX wieku. Moją uwagę zwraca jednak przede wszystkim sama zakładka – płaska plastikowa pochewka, taka sama jaką widziałam u... Tosziego. Miał w niej mapy Patope, Du-

sklandu i Matavi utrwalone metodą foto na cienkiej folii. I tu również ukryte są mapy, lecz bardziej szczegółowe – obejmujące tylko obszar Gór Żółtych.

Pamiętam, że w pracowni na stoliku, obok maszyny do pisania, leży lupa. Biorę ją i dokładnie przyglądam się Dolinie Martwych Kamieni. Jaskinia, w której się znajduję oznaczona jest czerwonym krzyżykiem, tuż niemal pod skalnym progiem, a dalej szlak wiodący w głąb doliny, nakreślony tym samym kolorowym mazakiem. I jeszcze cztery punkty – pierwszy około dwóch kilometrów od bazy, ostatni już wysoko w górach, w krętym wąwozie. Wąwóz ten prowadzi ku przełęczy, poza którą otwiera się Kotlina Timu, a więc – „oko cyklonu”.

Składam pospiesznie mapę i chowam do kieszeni na piersiach. Ellen śpi, Quinty nie potrzebuję się chyba obawiać. Otwierają się nowe możliwości działania.

Z zachowania się Quinty wynika, że dzieje się coś, co próbuje przede mną ukryć. A jeśli tak, to uzasadnione wydaje się przypuszczenie, iż to „coś” może zagrażać mnie i Martinowi. Odnalezienie mapy można w tej sytuacji uznać za niemal znak Opatrzności – bez mapy trudno byłoby w ogóle myśleć o ucieczce. Przejście przez obszar vortexu jest, oczywiście, połączone z dużym ryzykiem, ale jeśli trzeba wybierać między żandarmami Numy i koszmarami anomalii? Martin przebywał zresztą w vortexie przez ponad dwa tygodnie i stwierdził też obecność innych ludzi – a więc jakoś można się przedostać. Należy jednak zaopatrzyć się w jakieś środki uspokajające i wstępnie zbadać pierwsze odcinki szlaku.

Ellen nadal śpi, Quinta tkwi przy radiu, Maks znów gdzieś zniknął. Do laboratorium, gdzie powinno być sporo różnych leków, przechodzę niezauważona przez nikogo. Gdyby zresztą Maks mnie przyłapał, łatwo mogę się wytłumaczyć, iż boli mnie głowa i próbuję znaleźć jakiś proszek.

Dość szybko odnajduję to, czego szukam. Wracając, zatrzymuję się jeszcze w magazynie i biorę małą, podręczną latarkę, maczetę, a także dwie puszki z sokiem owocowym. Już mam wyjść z magazynu, gdy dostrzegam na półce znajome plastikowe pudełko z mikrośluchawkami. Obok karteczka z pospiesznie skreślonymi słowami: „Tylko w przypadku rzeczywistej konieczności i nie na terenie VP. Asmitamatra”.

Więc jednak Bob nie zapomniał o przyrzeczeniu...

Popołudnie jest upalne, ale klimat w górach łagodniejszy. Wychodzę przed grotę. Nigdzie Maksa nie widać. Schodzę na dno wyschniętego strumienia, włączam „pamięć drogi” i ruszam jarem w górę, czujnie rozglądając się wokoło. Wolałabym nie spotkać teraz Maksa, a ponadto – nie są to przecież Alpy... Co prawda, z tego co

mówili Patryk i Martin wynika, że zwierzęta, a zwłaszcza kręgowce o rozwiniętym centralnym układzie nerwowym, omijają z daleka teren vortexu, niemniej może być w tych spostrzeżeniach sporo przesady. A przecież nie mam żadnej broni poza maczetą, a moje przeszkolenie obronne nie obejmowało walki z drapieżnikami.

Do progu skalnego droga jest względnie łatwa. Dalej zaczyna się wspinaczka. Tu pomaga mi doświadczenie zdobyte w czasie wycieczek w Alpy i próg pokonuję w ciągu dwudziestu paru minut. Wkrótce zresztą odnajdę szlak, wytyczony i umocniony prawdopodobnie przez Oriento i jego chłopców.

Właściwie w tym miejscu powinnam zawrócić, gdyż podstawowy cel jaki przed sobą postawiłam – odnalezienie drogi ku przełęczy – został osiągnięty i gdybym spotkała Maksa, mój wypad mogę wytłumaczyć jako zwykły spacer. Ale odkrycie szlaku zaznaczonego na mapie podnieca mnie do tego stopnia, że – wbrew rozsądkowi – postanawiam dotrzeć do pierwszego czerwonego punktu, licząc trochę, iż spotkam tam Martina.

Droga okazuje się trudniejsza niż przewidywałam. Owe niespełna dwa kilometry według mapy, zajmują mi ponad półtorej godziny. Szlak prowadzi miejscami poprzez rumowiska o dziwnie spiętrzonych, pogruchotanych płytach skalnych przypominających zburzone trzęsieniem ziemi budowle. Czyżby stąd wzięła się nazwa tej doliny?

W jednym z takich rumowisk dostrzegam „schronisko”. Pod płaską, tworzącą jakby dach, płytą „stół” i „ława” ułożona z kamieni. Nad ławą jakby na półce długa skrzynia z jakimiś roślinami i kilka puszek czy może pojemników.

Siadam na ławie, aby chwilę odpocząć i napić się soku. Zastanawiam się co dalej robić. Nikogo tu nie ma, nie znalazłam też śladów czyjegokolwiek niedawnego pobytu. Widać Oriento z Martinem, Bobem i Bergiem ominęli to stanowisko i poszli dalej.

Rozkładam mapę i stwierdzam, iż do następnego stanowiska oznaczonego czerwonym punktem jest ponad cztery kilometry. Jeśli droga będzie równie trudna, zajmie mi to ponad trzy godziny, a w tym czasie zapadnie zmrok. Powinam więc zawrócić. Warto jednak zapamiętać kierunek w jakim biegnie szlak z tego miejsca. Wspinam się więc na blok skalny tworzący dach „schroniska” i staram się utrwalić w pamięci ważniejsze szczegóły topograficzne. Szlak zaznaczony na mapie prowadzi prawdopodobnie poprzez ciasne przejście utworzone w miejscu pęknięcia długiego, wyraźnie uwarstwionego bloku. Patrzę i nagle czuję wzrastające podniecenie, połączone z niepokojem. Między skałami widzę sylwetkę ludzką. Człowiek idzie pod górę, wolno, jest chyba zmęczony. Ubrany jest w tropikalny kombinezon o barwach ochronnych, taki sam jak nosili Maks, Bob i Istvan. To nie może być jednak Maks. Maks jest krępy, mały, trochę przygarbiony, a ten człowiek – wysoki i trzyma się prosto.

Mężczyzna znika na chwilę za skałą, aby pojawić się ponownie już wyżej. Zeskakuję z płyty i ruszam za nim, starając się na razie, zanim nie stwierdzą kto to, nie zdradzać swojej obecności. Po kilku minutach docieram do szczeliny w przełamany bloku, ale mężczyzna jest już znacznie wyżej. Widocznie droga dalej jest łatwiejsza albo zwiększył tempo. Wspinamy się teraz zakosami i coraz trudniej mi ukryć się wśród piargów. Ogarnia mnie coraz większy niepokój. Czas płynie. Czuję już zmęczenie, a odległość między nami nie maleje.

Zbliżamy się tak do rozległego siodła, oddzielającego rumowisko od południowo-zachodniego zbocza doliny, porośnięgo lasem. Jestem już bardzo zmęczona i muszę odpocząć. Na szczęście mężczyzna zatrzymuje się również i siada na kamieniu. Może to jedyna szansa, aby zbliżyć się do niego niepostrzeżenie, zanim wyjdziemy na otwartą przestrzeń? Idę więc dalej, próbując na skróty pokonać dzielącą nas różnicę wzniesień. Na kilka minut tracę mężczyznę z pola widzenia i oto nagle wylania się przede mną w odległości nie większej niż dwadzieścia metrów. Siedzi na kamieniu odwrócony do mnie plecami, potem nagle wstaje i zwraca się do mnie twarzą.

–Martin!

Ale on zdaje się nie słyszeć mojego okrzyku. Odwraca się i idzie dalej w kierunku siodła, a ja od tej strony nie mogę wspiąć się po śliskim zboczu pokrytym wyschniętą trawą.

–Martin! Martin! – wołam za nim rozpaczliwie i widzę, że znika z mego pola widzenia. Muszę wrócić z powrotem na kamienną ścieżkę. Goniąc resztkami sił, w morderczym tempie przebywam odcinek szlaku dzielący mnie od trawiastego siodła. Martin jest już daleko – minął punkt wzniesienia i idzie w kierunku lasu.

–Martin! – to już nie okrzyk, lecz błagalny szept. Nie wierzę, aby moje wołanie na cokolwiek się zdało.

Jakby na przekór temu Martin zatrzymuje się, odwraca ku mnie i macha ręką dając mi wyraźnie znaki, abym podeszła do niego. Wiem, że nie wolno mi zmarnować tej szansy – może to chwilowe odzyskanie świadomości? Zmuszam się do jeszcze jednego wysiłku i przyspieszam kroku. Oddycham gwałtownie, a przed oczami pojawia się chwilami mleczna mgła. Jestem już na szczycie wzniesienia, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Macham tylko do niego ręką. Martin coś woła...

To nie jest głos Martina... To nie jest w ogóle Martin. To Bob Goldstein wyciąga do mnie rękę. Widzę wyraźnie, jak ukazuje w uśmiechu swoje białe zęby. Jak mogłam go wziąć za Martina?

Dzieli nas już zaledwie kilka metrów. Bob mruga do mnie znacząco i pyta:

–Czy Barley mówił ci, że jesteś bardzo ładna? To jest właśnie piąty stopień kontaktu...

–Co ty pleciesz, Bob? – mówię do niego i słowa więzną mi w krtani. Potworny, przeżywany dotąd tylko w koszmarnych snach, lęk paraliżuje mięśnie.

Przede mną stoi doktor Quinta i wpatruje się we mnie pustymi oczodołami... Zaciskam powieki, lecz to jeszcze potęguje strach. Czuję, że widmo nadal stoi przede mną, a może nawet zbliża się, wyraźnie słyszę jego oddech, jest tuż tuż...

Oczywiście, nie wierzę w upiory. Wiem, że to halucynacja wywołana działaniem vortexu. Ale ta świadomość osłabia tylko irracjonalny składnik lęku, wzmagając jednocześnie uczucie śmiertelnego zagrożenia i przemożne pragnienie natychmiastowej ucieczki.

–Asmitamatra... asmitamatra... asmitamatra... – powtarzam rozpaczliwie w myślach.

Paraliż mięśni ustępuje nagle. Jak gdyby pod wpływem jakiegoś zewnętrznego impulsu odwracam się i poczynam biec w kierunku kamienia znaczącego drogę, którą tu przyszedłam. Przede mną tylko rumowiska skalne, lecz strach nie pozwala mi obejrzeć się za siebie. Staram się nie myśleć o tym, co widziałam przed chwilą, skupić całą uwagę na „zakłęciu” i szlaku, który muszę przejść szybko i bezpiecznie, co wcale nie jest sprawą łatwą. Ta konieczna koncentracja na czynności schodzenia tłumi nieco lęk, chociaż przez cały czas czuję, że ktoś idzie za mną. Przypominam sobie o pastylkach uspokajających. Biorę jedną, ale na razie nie czuję ulgi. Powtarzam sobie nieustannie, że obawa przed tym kimś czy raczej czymś, co zdaje się iść za mną, jest nieuzasadniona, że to tylko pobudzone polem anomalii ośrodki zawiadujące w mym mózgu emocjami płatają mi koszarne figle, ale nie potrafię się przemóc i zatrzymać na chwilę czy choćby tylko spojrzeć za siebie. Teraz rozumiem dlaczego wszyscy mieszkańcy Cameo opuścili swoje miasto.

–Asmitamatra... asmitamatra... – powtarzam mechanicznie.

Słońce chowa się już w dolinie, gdy mijam pierwsze stanowisko badawcze. Nad rumowiskiem bieleje wielka skalna płyta, lecz stół i ława toną już w mroku. Omijam z daleka „schronisko”, chociaż jestem niemal pewna, że nikogo tam nie ma. Wolę jednak tego nie sprawdzać. Co prawda, po przejściu szczeliny, w której po raz pierwszy dostrzegłam fantoma, odczuwam wyraźne odprężenie, jednak zapadający zmrok sprzyja grze wyobraźni. Nie wiem jak daleko sięga wpływ vortexu – Bob wspominał coś o oddziaływaniu obserwowanym w czasie maksimów na terenie bazy.

Samotna wędrówka przy świetle latarki nawet bez halucynacji nie należy do przyjemności. Otoczenie wygląda zupełnie inaczej niż za dnia i raz po raz muszę się cofać, aby odnaleźć zagubiony szlak.

„Pamięć drogi”! Jestem już chyba na granicy anomalii i mogę wykorzystać aparat, zawieszony u pasa. Świecąc latarką wyciągam mikrosluchawki, wciskam do uszu i ustawiam pokrętko w położeniu „powrót”. W słuchawkach rozlegają się rytmiczne trzaski, niestety o różnej częstotliwości, mimo iż obracam się na wszystkie strony. Czyżby występowały nadal zakłócenia? Ale po chwili częstotliwości poczynają się zmieniać i wyrównywać. Widać „komputerek” odnalazł miejsce, w którym się znajduję. Teraz wystarczy tylko tak się ustawić, aby nastąpiła zgodność fazy i wiem już, w jakim kierunku należy iść.

Jak dałabym sobie radę bez tego „kompasu”? Szlak biegnie teraz przez spiętrzone rumowiska. Nieustannie muszę szukać niemal po omacku oparcia dla nóg i rąk, wspinać się to znów schodzić na czworakach z pogruchotanych bloków skalnych. Jest już zupełnie ciemno i co kilkanaście metrów muszę się zatrzymać, aby określić prawidłowy kierunek.

Na szczęście, uczucie zagrożenia, widocznie pod wpływem pastylki, ustąpiło niemal zupełnie. Powróciło za to ze zdwojoną siłą zmęczenie. Odpoczywam teraz częściej, a nawet gaszę latarkę, aby przedwcześnie nie wyczerpać baterii.

Zegarek wskazuje kwadrans po jedenastej, gdy docieram wreszcie do skalnego progu nad grotą. Stąd droga biegnie już bardzo stromo w dół, lecz szlak jest wyraźnie wytyczony i umocniony. Chociaż noc jest bezksiężycowa, gwiazdy świecą bardzo jasno i jakby bliżej, tak iż w ich świetle, nawet bez pomocy latarki, potrafię zejść z progu. Zastanawiam się teraz, co

powiem Maksowi. Chyba najlepiej: że poszłam na spacer i zablądziłam. Trzeba jednak ukryć gdzieś latarkę i „pamięć drogi”, bo to by wskazywało, iż przewidywałam powrót nocą.

Po kilkunastu minutach jestem na dole. Latarkę i „pamięć drogi” chowam pod kamieniem na dnie wyschniętego potoku i idę w kierunku grotty. Teraz wystarczy wspiąć się po naturalnych stopniach wyłobionych erozją w ścianie jaru. Już dosięgam krawędzi i wdrapuję się na brzeg.

W tej chwili dostrzegam tuż przed sobą wielkie wojskowe buty i ciemną postać ludzką stojącą nieruchomo na brzegu wąwozu. Znów czuję nagły przyływ strachu. Czyją twarz będzie miało tym razem widmo? Chcę cofnąć się, zeskoczyć na dno jaru, lecz ręka „upiora” chwyta mnie brutalnie za ramiona i wyciąga na brzeg. Odruchowo sięgam do pasa po maczetę.

–Rzuć to „żelastwo”, dziecinko! – słyszę nad sobą gniewny szept Maksa. To z pewnością nie jest halucynacja. Czuję ogromną ulgę. Wstaję z ziemi.

–Przestraszył mnie pan – próbuję od razu „wyjaśnić” sprawę. – Poszłam się przejść i zablądziłam...

–Ciszej! – syczy mi nad uchem. – A bajeczki to możesz opowiadać, ale nie mnie... – wykręca mi ręce do tyłu, skuwa kajdankami i popycha naprzód.

Przed wejściem do grotty spotykamy Ellen. Ma na sobie mój czarny płaszcz z kapturem, przez ramię przewieszony automat.

–Niech pani tu poczeka, panno Parker – mówi Maks do Ellen ściszone głosem. – Pięć minut i będę z powrotem.

W przedsionku jest zupełnie ciemno, ale to tylko dlatego, że w przejściu wiszą dwie nie-przepuszczające światła kotary, których przedtem nie zauważyłam. Maks prowadzi mnie przez „sypialnię”. Światło jest przyćmione, a Quinta nadal tkwi przy radiu. Idziemy dalej – wąskim, dobrze mi znanym korytarzem przez „kuchnię” – do warsztatu Berga. Maks każe mi usiąść na składanym fotelu, który ustawił na środku komory, chwilę wpatruje się we mnie w milczeniu, potem mówi rozkazującym tonem:

–Teraz gadaj komu dawałaś sygnały?!

Pytanie jest dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Więc nie chodzi o wydanie mnie żandarmom „marszałka”? A więc o co?

–O czym pan mówi? Nie rozumiem – odpowiadam szczerze.

–Nie zgrywaj się, dziecinko. Obserwowałem cię przez lornetkę. Sygnalizowałaś z góry latarką. Co to za „goście”?

–Ja nie sygnalizowałam! Nic nie rozumiem. To jakieś nieporozumienie.

Maks uśmiecha się drwiąco.

–Bądź rozsądna, dziecinko. Widziałem jak błyskałaś latarką.

Zaczynam rozumieć o co Maksowi chodzi.

–Ja tylko oświetlałam sobie drogę – próbuję wyjaśnić nieporozumienie.

–No i gdzie masz tę latarkę? – pyta przymilnie.

–Zgubiłam, schodząc do jaru.

–Nie rób ze mnie idioty. Widziałem jak chowałaś pod kamieniem. I nie tylko latarkę...

Milczę, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

–O której godzinie opuściłaś bazę? – pada kolejne pytanie.

–Okolo szesnastej. Ale ja naprawdę tylko oświetlałam sobie drogę!

–Skąd wiedziałaś, że sieć alarmowa jest wyłączona?

Teraz już nic nie rozumiem.

–Jaka sieć?

Maks z zawodową wprawą uderza mnie w twarz.

–Dość żartów! Nie mam czasu na zabawę! Gadaj kto to? – zamierza się ponownie.

–Ja nic nie wiem – wołam rozpaczliwie, i w tej chwili słyszę za sobą głos Quinty:

–Panie Vogel. Niech pan nie zostawia samej panny Ellen. Oni się chyba zbliżają...

–A ta spryciara udaje – Maks daje wyraz swemu oburzeniu – że nic nie wie... Ja bym ją...

–Nie czas teraz na przesłuchania, panie Vogel – przerywa mu ślepiec. – Zresztą, jeśli uważa pan to za niezbędne, sam spróbuję ją przepytąć.

–Pan, profesorze? – mówi Maks z powątpiewaniem, ale natychmiast się reflektuje. – To niebezpieczna kotka. Już mówiłem szefowi, że z nią trzeba inaczej.

–Niech pan się nie obawia. Dam sobie radę. No, niech pan już idzie! – niecierpliwi się Quinta. – I niech pan tu przyśle na chwilę pannę Ellen.

Maks staje za mną, otwiera kajdanki i przykuwa z tyłu moje ręce do oparcia fotela.

–Pan tu idzie, profesorze – bierze Quintę za rękę i wodzi jego dłonią po moich ramionach, kajdankach i fotelu, aby pokazać, w jaki sposób jestem przykuta. – Tak będzie pewniej, bo nie wstanie. I kluczyk biorę z sobą, bo nigdy nic nie wiadomo. I niech pan, profesorze, uważa.

Zostajemy sami. Quinta zdaje się nasłuchiwać oddalających się kroków Maksa, a potem pyta przyjacielskim tonem:

–Gdzie się pani podziewała tak długo? Ellen niepokoiła się bardzo o panią...

–Właśnie to zauważyłam... – odpowiadam z ironią. Czuję jeszcze wyraźnie pieczenie policzka.

–Pani rzeczywiście nie wie, co się dzieje? – dziwi się ślepiec.

–A skąd mam wiedzieć? – pytam zaczepnie.

–Gdzie więc pani była przez blisko osiem godzin?

–Jeśli panu powiem, to i tak pan nie uwierzy... – mówię z rezygnacją.

–Może uwierzę...

–Żadna normalna dziewczyna nie popełniłaby takiego szaleństwa...

–Może nie jest pani normalna... – śmieje się Quinta.

–Byłam na terenie Vortexu P!

Doktor milczy, jakby czekając, co powiem dalej. Nagle uświadamiam sobie, że istnieje szansa przekonania tych ludzi, że mówię prawdę, jeśli nie dziś to za kilka dni, gdy wróci Oriento, Goldstein i Berg.

–Jest sposób, aby stwierdzić, że nie kłamię. Mogę szczegółowo opisać jak wygląda najbliższe stanowisko badawcze w tej dolinie. Jeśli Vogel był tam, to potwierdzi. Jeśli nie był – potwierdzi jego szef, gdy wróci. Zostawiłam tam zresztą puszkę soku, mogę określić dokładnie gdzie stoi. Mogę też opisać dalszą drogę, aż do trawiastego wzgórza pod lasem, ale są to już spostrzeżenia niezbyt pewne, bo rzeczywisty obraz mieszał się tam z halucynacjami.

Quinta słucha z uwagą, a z wyrazu jego twarzy mogę wywnioskować, że moja rzeczowa argumentacja trafia mu do przekonania. Jestem dumna z siebie, a zarazem trochę zaskoczona własnymi umiejętnościami.

–Poszła pani szukać doktora Barleya?

–Tak.

–Jak głęboko weszła pani na teren anomalii? – pyta Quinta już tonem naukowca zainteresowanego problemem.

–Trudno mi ocenić. Jeśli przyjąć jako wskaźnik uczucie zagrożenia i halucynacje to droga, jaką przebyłam w tym stanie, nie była chyba dłuższa niż cztery, pięć kilometrów.

–Czy halucynacje były wyraziste?

–Aż za bardzo...

–Tylko wzrokowe?

–Nie. Również słuchowe.

–I towarzyszyło im poczucie zagrożenia?

–Początkowo tylko zdziwienia, a nawet ciekawości. Później nagłe zaskoczenie i strach, nie do opanowania, zmuszający do ucieczki. Nie mogłam już iść dalej...

–Jaka była treść halucynacji? Co wzbudziło w pani największy lęk?

Ogarnia mnie uczucie, iż uczestniczę w jakiejś absurdalnej, makabrycznej komedii.

–Pan, panie doktorze!

–Nie rozumiem...

–Spotkałam tam Martina, Boba i... pana. I właśnie pan... To było przerażające. Pan na mnie patrzył, a nie miał oczu... – kończę może zbyt brutalnie.

Ale Quinta jest w tej chwili tylko uczonym badającym nieznaną zjawisko.

–Ciekawe... – mówi w zamyśleniu.

Teraz ja wykorzystuję zdobytą pozycję:

–Jeśli mi pan wierzy, to niech wreszcie mi pan powie o co oskarża mnie ten goryl.

Quinta jakby się ocknął.

–Pozostała jedna niejasna sprawa – mówi z powagą. – Dlaczego pani ukryła latarkę?

Nie mam już po co brnąć w kłamstwa. Mówię prawdę, a Quinta przyjmuje moje wyjaśnienie bez oporów, traktując – jak mi się wydaje – wątpliwość motywacji jako następstwo działania vortexu. Zastanawiam się nad tym, co przed chwilą powiedział o mojej „nienormalności”. A jeśli nie był to tylko żart?... I w ogóle czy, a jeśli tak, to w jakim stopniu moje postępowanie jest rzeczywiście moim, a nie „anomalią P”?

Quinta myśli chyba o tym samym, bo mówi:

–Wszyscy tu musimy siebie bacznie obserwować. I niech pani pamięta o tym, również rozmawiając z Voglem...

–Jak pan to w ogóle może nazywać rozmową?... – nie kryję swych uczuć. – Jestem w jego rękach i jeśli mi pan nie pomoże, nie chcę myśleć co mnie czeka. To prymitywny typ o sadystycznych skłonnościach.

–Nie sądzę – oponuje doktor. – To raczej profesjonalne nawyki. Przez wiele lat był policjantem. Ma też chyba jakieś zadawnione porachunki z „młodymi gniewnymi”... Ale nie jest bynajmniej tępy, a jako „ochroniarz” wręcz znakomity. Myślę zresztą, że sama pani przyzna, iż ma powody, aby pani nie ufać.

Do czego ten ślepiec zmierza? Dlaczego tak broni tego draba? Czy zresztą jest to aż tak dziwne? Toszi wspominał o jego powiązaniach z IAT. Na pewno ma też

kontakty z CIA... Nie ma sensu mu się narażać.

–Co tu się właściwie dzieje? – zmieniam temat i przystępuje do ataku. – Od rana coś przede mną ukrywacie. Macie do mnie jakieś pretensje, a ja nie wiem o co chodzi. Siedzę tu przykuta do tego fotela, nie wiem dlaczego. Pan, doktorze, niby mi wierzy, ale nie ma zamiaru kiwnąć palcem, aby szanowny pan Maks przestał mnie traktować jak galernika.

Atak odnosi skutek.

–Rozumiem pani zdenerwowanie i jak tylko przyjdzie Ellen, postaramy się panią uwolnić – Quinta niedwuznacznie stara się wykazać swą dobrą wolę. – Musi pani jednak i nas zrozumieć. Istniały uzasadnione podejrzenia, iż pani jest w kontakcie z „gośćmi”.

–Nic nie wiem o żadnych „gościach” i z nikim z zewnątrz się nie kontaktuję.

Kiwa głową potakująco.

–W moim przekonaniu: można pani wierzyć. Ale fakty zdawały się przemawiać przeciw pani. Penetracja terenu, sporządzanie szkiców, kradzież jakiegoś ważnego aparatu, zniknięcie na wiele godzin i do tego w sposób nie sygnalizowany przez sieć alarmową. Potem to nieszczęsne świecenie latarką i ukrycie jej w jarze...

–Nic nie wiem o żadnej sieci alarmowej.

–Ja też dowiedziałem się o niej dopiero po pani zniknięciu. Według tego, co mi powiedział Vogel sieć składa się z czujników rozmieszczonych wokół bazy. Pokrywają one obszar o promieniu kilkuset metrów, sygnalizując obecność ludzi i większych zwierząt, a także metalowych przedmiotów. Czujniki bio są podobno oryginalną konstrukcją inżyniera Berga i nie można ich oszukać. Zakłócenie sygnalizowane dźwiękiem widoczne jest na ekranie minio-scyloskopu, który nosi ze sobą Vogel. Gdy zauważyliśmy, że pani nie ma, początkowo przy-

puszczał, iż ukryła się pani gdzieś w głębi groty, później jednak, nie mogąc pani nigdzie znaleźć, doszedł do wniosku, że musiała pani wykorzystać chwilową przerwę w działaniu sieci. Powstała ona, gdy zmieniał układ rozszerzając zasięg sieci w kierunku wylotu doliny, kosztem osłony pod progiem skalnym. Stąd raczej nie należy spodziewać się ataku.

–Wcale o tym nie wiedziałam...

–Była to więc przypadkowa zbieżność w czasie. Ale policjanci w przypadki nie wierzą. Zwłaszcza, gdy inne elementy pasują do mozaiki. A sytuacja, w jakiej jesteśmy, nie tylko daje Voglowi prawo, ale i wymaga od niego daleko posuniętej podejrzliwości.

Mam już dość tego krążenia wokół istoty sprawy.

–To znaczy jaka sytuacja? Niech pan wreszcie powie o co tu chodzi! Po co ta zabawa? – mówię ze złością.

Quinta stoi przede mną z przekrzywioną na bok głową, jakby patrzył w inną stronę. Trudno cokolwiek wyczytać z jego twarzy.

–Zadam pani jedno pytanie – odzywa się po chwili. – Proszę na nie odpowiedzieć szczerze albo wcale nie odpowiadać. Czy mówi pani coś kryptonim „Marengo 88” lub pseudonimy: „Pers”, „Mały”, „Ludwik Filip”?

Pytanie jest perfidne. Jeśli nic nie odpowiem, Quinta może się Bóg wie czego domyślać i być może nieświadomie potwierdzą swój rzekomy kontakt z „gośćmi”. Jeśli skłamię, że nie znam „Małego” ani „Persa”, a doktorek wie, iż „Pers” to Toszi, nie mam co na niego liczyć i Vogel dobierze mi się do skóry. Coś chyba musi wiedzieć, bo przecież nie przypadkowo podał te pseudonimy. W moim interesie jest więc powiedzenie prawdy, ale głupio jakoś zdradzać pseudonimy towarzyszy.

–Kryptonim „Marengo 88” nic mi nie mówi. O Ludwiku Filipie wiem, że był królem i nic poza tym. „Pers”, „Mały” to dość często spotykane pseudonimy... – usiłuję wymigać się od jednoznacznej odpowiedzi. Ale czy to Quincie wystarczy?

Okazuje się, że wystarczyło. Jest wyraźnie zadowolony.

–Pani wybaczy, ale musiałem mieć pewność... – podejmuje z ożywieniem. – W godzinę po odejściu Oriento z Barleyem i Goldsteinem, jeszcze kiedy pani spała, Vogel odebrał sygnał, że dwóch ludzi uzbrojonych podeszło do bazy na odległość trzystu metrów, a potem wycofali się szybko, prawdopodobnie na widok naszych

gospodarzy na progu skalnym, bo wtedy właśnie tam się znajdowali. Ellen na polecenie Vogla zajęła się zaraz podsłuchem, penetrując zakresy, na których pracują zazwyczaj wojskowe i policyjne radiotelefony. Dość szybko zresztą udało nam się ich złapać i ja przejąłem nasłuch. Z odebranych rozmów zdaje się wynikać, że jest to niewielka, kilkusobowa grupa, działająca pod kryptonimem „Marengo 88”. Założyła ona obóz u wylotu Doliny Martwych Kamieni, jest dobrze zorientowana w położeniu naszej groty i czeka na zapadnięcie nocy. Ludzie ci posługują się pseudonimami: „Ludwik Filip”, „Juan”, „Fryc” i „Mały”. Grupa działa na terenie Patope nielegalnie, a pewne wypowiedzi mogą sugerować, iż są to ludzie bliscy partyzantom Magogo, prawdopodobnie druga grupa terrorystyczna przybyła z Europy w ślad za waszą. Są przekonani, że oprócz nas znajdują się w grocie również Magnusen i Japończyk. Vittorio podobno nie żyje. O pani mówią „dziewczyna Barleya”. Podejrzewają, iż jesteście więzieni przez Oriento, który na razie nie wydaje was „marszałkowi”, bo chce na tym zrobić dobry interes. Z tego, co słyszałem wynika, że traktują Oriento, jako szczególnie niebezpiecznego wroga.

Czuję jak cierpną mi ręce. Patrzę na Quintę i zastanawiam się, ile w tym co mówi jest prawdy. To, że Vittorio nie żyje, jest niestety możliwe. Ale jeśli „Mały” rzeczywiście przyleciał do Afryki i chce nas odbić, dlaczego działa tak jawnie? Co to za gadki przez radiotelefon, które każdy może podsłuchiwać? No i te niekonsekwencje z pseudonimami. Dlaczego mówią o mnie „dziewczyna Barleya” a nie „Andy”. „Ludwika Filipa”, „Juana” i „Fritza” mogą nie znać, ale dlaczego oni mówią o Toszim „Japończyk” a nie „Pers”? A może po prostu Quinta coś pokręcił. Przecież na początku powiedział „Pers” ...

–Jak nazywali Japończyka? – pytam, aby się upewnić.

–Mówili „Japończyk” – stwierdza Quinta i już wiem, że rozumie o co mi chodzi.

–I dlatego Vogel myślał, że jestem z nimi w zмовie?

–Miał prawo tak sądzić... – podejmuje doktor. – Chociaż... mnie się od początku wydawało, że coś tu nie gra. Dlaczego na przykład nie „Pers” i... „Andy”. A „Mały” to popularne przezwisko... Może to jednak nie Zielony Płomień? Może jakaś zaprzyjaźniona... a może konkurencyjna organizacja? I dlaczego tyle gadają? Co pani o tym sądzi? Może wspólnie dojdziemy do jakichś ciekawych wniosków?

Nie wiem co odpowiedzieć. Toszi miał rację, że to niebezpieczny facet, ale nawet on nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo niebezpieczny. Aż dziw bierze, że nie pozamykano nas zanim zdążyliśmy kiwnąć palcem...

–I jeszcze dwie informacje, które powinny panią zainteresować – ciągnie, nie czekając na moją odpowiedź. – Rozgłośnia BBC podała w dzienniku wieczornym, iż sześćdziesiąt kilometrów od granicy z Dusklandem, w pobliżu Baote, doszło do starcia między partyzantami a żandarmami Numy. Stąd w linii prostej dziesięć minut lotu helikopterem. Nie wiem, czy nie ma to czegoś wspólnego z aktywnością naszych „gości”?

–A druga wiadomość?

–Inżynier Berg nie poszedł do Martwych Kamieni. O świcie przyleciał po niego helikopter. Chyba z Inuto. Zresztą, o ile dobrze zrozumiałem, inżynier źle znosi oddziaływanie vor-texu... – w głosie Quinty wyczuwam ironię.

Coś mi się zdaje, że doktor chce zyskać moje zaufanie. Oczywiście trzeba z tego skorzystać. Na pewno wie sporo również o Hansie Oriento i ma chyba dość krytyczny stosunek do jego „działalności”. Muszę być, oczywiście, bardzo ostrożna, bo to „podstępny gad”, jak powiedział Toszi, i na pewno będzie próbował ciągnąć mnie za język. Może zresztą próbuje mnie sobie zjednać w obawie przed wizytą „gości”? Może liczy na moją protekcję? Bo jeśli to nawet jakaś „konkurencyjna” organizacja terrorystyczna, jeżeli popiera partyzantów Magogo, łatwo się z nimi dogadam. I doktor może to wiedzieć. Nie bardzo tylko rozumiem, dlaczego odsłonił karty, dając mi do zrozumienia, że orientuje się dobrze w sprawach Zielonego Płomienia... Za dobrze i to może być dla niego niebezpieczne. Chyba zdaje sobie z tego sprawę. Do czego więc zmierza?

–Czy Oriento mówił panu, po co wysyła Berga do Inuto? – podejmuję temat,

poruszony przez Quintę.

–Zrobić zakupy. Inaczej mówiąc: uzupełnić zaopatrzenie bazy. Miał też wysłać do Stanów jakiś maszynopis, chyba nowej książki Oriento.

–A tak naprawdę? Co pan o tym sądzi?

–Różne mogą być cele tej podróży... Niech pani sobie przypomni wróżby.

–Myśli pan, że Oriento kontaktuje się z Numą i „Alconem”, albo odwrotnie – z przeciwnikami „marszałka”?

–Może ze wszystkimi po trochu – śmieje się Quinta.

–Kim on jest naprawdę? Szarlatan? Gangster polityczny? Agent jakichś korporacji?

–Pani powinna wiedzieć lepiej niż ja...

Zastanawiam się co próbuje mi imputować. Być może właśnie do tego zmierzał.

–Co powinnam wiedzieć?

–Na przykład... skąd Zielony Płomień czerpie fundusze. Są to sumy niebagatelne, a w przyszłości będziecie potrzebowali znacznie większych środków. Wiem, że na banki nie napadacie, okupu jak dotąd nie wymuszaliście...

–O czym pan mówi?

–O finansach organizacji Zielony Płomień. Czy pani nigdy się nie zastanawiała, kto za to płaci?

Nie raz rozmawiałam na ten temat z Martinem, a także z „Małym”. To było jasne, że istnieje tajny międzynarodowy fundusz. Ale nie będę przecież rozprawiała na ten temat z Quin-tą. I do tego tak niedwuznaczna insynuacja...

–Chyba nie chce pan powiedzieć, że Oriento ma z tym coś wspólnego? – stawiam sprawę otwarcie.

–Niech pani spyta o to doktora Barleya...

Nie ulega wątpliwości, że Quinta nie blefuje. To by wyjaśniało wiele...

–Czy Bob, Maks i Berg wiedzą o tym?

–Wątpię, aby Vogel wiedział. I niech go pani nie pyta, bo nie uwierzy i pomyśli, że to prowokacja. Goldstein chyba trochę się domyśla, ale z pewnością zaprzeczy, gdyż to bardzo lojalny, oddany Oriencie współpracownik. Łatwiej dogada się pani z samym szefem...

Czy celowo użył tego zwrotu? Może chciał mi zasugerować, że nie Martin, lecz Hans Oriento kieruje organizacją? To przecież nonsens.

–Już teraz nic nie rozumiem. Niech pan mówi jaśniej! – próbuję dalej ciągnąć Quintę za język, lecz czuję, że ogarnia mnie coraz większy niepokój. – Taki człowiek jak Oriento?... To niemożliwe! Przecież Barley wierzy w to, co robi!

–Być może Oriento również...

Coraz bardziej cierpną mi ramiona. Próbuję zmienić choć trochę pozycję na fotelu, ale nie jest to możliwe. Ból mięśni i gorycz bezsilności potęgują moje rozdrażnienie.

–Do czego pan zmierza? Po co mi pan to mówi? Jeśli to prawda, jeśli pan, jeśli IAT wie o nas tak wiele, nawet to, czego ja nie wiem, to jakież jest sens bawić się w to wszystko i z naszej, i z waszej strony?

–Może jest sens... Zależy jak się na to patrzy.

–Ale gdy tylko spróbujemy realizować w praktyce nasz program, zaraz nas pozamykacie.

–Niekoniecznie. Zależy co konkretnie będziecie robić. Znam wasze plany dotyczące akcji dywersyjnych przeciw niszczycielom przyrody. Są tacy, co się tym bardzo interesują.

–Aby nic z tego nie wyszło... – mówię z ironią.

–Wręcz przeciwnie...

–Bo też niech pan mówi co chce: że to niezgodne z prawem, antypostępowe, anarchistyczne, lewackie, amoralne, czy Bóg wie jakie, ale ja jestem głęboko przekonana, że to jedyna droga uświadomienia ludzkości, iż nie może pozostać nadal bierna wobec zagrożeń cywilizacyjnych, że to, co chcemy zrobić odpowiada jej interesom! – ogarnia mnie zapal agitatora. Zapominam o drętwiących mięśniach i sytuacji, w jakiej się znajduję. Jestem pewna, że Martin byłby ze mnie dumny. – Nasza rola to wstrząsnąć ludzkością tak, aby się przebudziła!

Quinta słucha moich wywodów z kamiennym wyrazem twarzy.

–Ludzkość... Ludzkość... – odzywa się po chwili. – Niech pani nie mówi ludzkość, bo to nic nie znaczy. Ludzkość to również „Alcon”, Magnusen i Numa. A co odpowiada interesom „Alconu”? Może unieruchomienie konkurencyjnych zakładów chemicznych przez waszych chłopców... A może czasem nawet zrzucenie chałupniczej bomby na własne zakłady i uprowadzenie prezesa koncernu? Nie twierdzą, że tak było w tym przypadku, ale chcę tylko zwrócić pani uwagę na to, iż należy rozważyć i taką możliwość.

–Chce pan mi wmówić, że Martin pracuje dla „Alconu”? Pan jest naiwny jeśli myśli, że dam się na to nabrać! Żle pan trafił, panie doktorze! – daję w gniewie upust niechęci do tego człowieka, na pierwszy rzut oka budzącego sympatię i zaufanie, a tak zimnego i wyrachowanego w grze słownej.

Nawet teraz nie reaguje on na atak w sposób, który mogłabym przewidzieć.

–Tak to bywa, gdy się próbuje przeskakiwać etapy – mówi, uśmiechając się nieznacznie. – Sądziłem, że można prosto z mostu, a tymczasem rozpocząć trzeba od elementarnej edukacji. Od nauki czytania.

–Nie potrzebuję pańskich wykładów! – rzucam ze złością. – Pan sobie wyobraża...

–Cisza... – przerywa mi ślepiec, unosząc do góry dłoń. Od strony komory mieszkalnej dobiega do nas przytłumiony szum o wysokiej tonacji. Na pewno pochodzi z zewnątrz i nasila się powoli. Jakaś maszyna pojawiła się w dolinie i zbliża do naszej kryjówki.

Do szumu dołączają się pospieszne kroki i do pracowni wpada Ellen. Jest nadal w moim czarnym płaszczu – w ręku automat. Ten sam, który mi zabrał Maks jeszcze w buszu.

–Co tam się dzieje nowego? – pyta Quinta nad wyraz spokojnie.

Ellen oddycha nerwowo, jak po długim biegu, wreszcie mówi:

–Dwa lub trzy pojazdy. Prawdopodobnie wojskowe poduszkowce... Weszli od dołu w dolinę a teraz idą w górę korytem potoku...

Nie znać po Ellen strachu, co najwyżej zaniepokojenie.

–Czy była jakaś strzelanina u wylotu doliny? – pyta Quinta.

–Myślisz o tych z „Marengo”? Cisza zupełna. Chyba ich zdjęli bez walki, albo uciekli i gdzieś siedzą w ukryciu.

–Sprawdzałaś nasłuch?

–Całkowite milczenie... Nie bardzo wiemy z Maksem, co robić. Za kilka minut mogą tu już być.

Quinta zastanawia się chwilę.

–Jeśli to wojsko lub policja w żadnym przypadku nie wolno wam strzelać. Najlepiej w ogóle schować broń i zachowywać się tak, jakby to była normalna przyjacielska wizyta. Niech Vogel wyjdzie z latarką przed grotę, a ty zostań w przejściu i wyjdź dopiero gdy już będzie z nimi rozmawiał. Być może to jakiś patrol w związku z incydentami na granicy. I niech Vogel da ci klucz do kajdanek. Trzeba pannę Radej uwolnić, a może nawet gdzieś ukryć.

W tym momencie czuję ogromną wdzięczność dla Quinty. Chyba jednak źle osądziłam doktora.

–Nie wiem, czy Maks się zgodzi... – mówi z troską Ellen.

–Powiedz, że Oriento nigdy mu tego nie wybaczy!

Ellen odchodzi i znów zostajemy sami. Powinam coś powiedzieć, ale brak mi słów. Qu-inta milczy również, wsłuchując się w powoli narastający szum.

Odwracam z wysiłkiem głowę i patrzę w kierunku przejścia, w którym zniknęła Ellen. Czuję jak wzrasta we mnie niepokój. Jeśli Maks nie wyda klucza albo Ellen zapomni mu powiedzieć? W tej sytuacji wszystko możliwe. Perspektywa, że mogę się znaleźć w rękach żandarmów Numy napęła mnie grozą...

Szum przechodzi w potęgujący się świst. Można już odróżnić wyraźnie dwa oddzielne tony, o różnych wysokościach i prawdopodobnie oddaleniu. Pojazdy są już chyba bardzo blisko. A Ellen ciągle nie wraca...

Silniki zmieniają ton i odczuwam słaby powiew. To z pewnością sprężone rotorami powietrze uderzyło w wejście groty i wtargnęło aż tutaj. Oznacza to, że jedna z maszyn wzniosła się nad brzeg jaru. Świst przechodzi w głuchy szum. Silnik staje.

Grzechot serii z karabinu maszynowego miesza się nagle z zamierającym szumem rotoru. Potem krótka chwila ciszy, przyspieszony tupot i rozpaczliwy krzyk Ellen. I zaraz za tym jeszcze jedna seria, już bardzo bliska, odbita echem od skalnego stropu komory mieszkalnej.

Quinta stoi jak skamieniały. Mnie ogarnia uczucie całkowitej apatii. Byle się to wszystko jak najszybciej skończyło...

Znów słyhać kroki. Już nie patrzę ku przejściu. Jest mi wszystko jedno kto się tam pojawi. Przecież ci, na których mogłabym liczyć nie dysponują pancernymi poduszkowcami...

–Pan doktor Quinta, nieprawdaż? – słyszę za sobą męski głos. – A to z pewnością panna Parker?

Przede mną staje młody biały oficer w mundurze spadochroniarza i salutuje. Potem wyjmuje z bocznej kieszeni nożyce do przecinania drutu, staje za oparciem mego fotela i oto czuję, że mogę swobodnie poruszać rękami.

–Jesteście państwo wolni! – mówi oficer trochę sztucznie uroczystym tonem. – Czy był tu z państwem prezes „Alconu”, pan Ralf Magnusen?

Zaprzeczam ruchem głowy. Nie jestem jeszcze w stanie zebrać myśli. To samo przeżywa chyba Quinta, bo stoi nadal obok fotela zupełnie bez ruchu.

–Państwo pozwolą, już na nas czas – ponagla oficer, nie bardzo wiedząc, jak reagować na nasze milczenie.

Quinta jakby się ocknął. Błądzi ręką w okolicach fotela, aż natrafia na moje ramię.

–Chodźmy! – mówi jakimś obcym głosem i bierze mnie pod ramię.

W komorze sypialnej, odrzucone uderzeniem pocisków aż pod pryczę, martwe ciało Ellen. Rozszerzone strachem oczy zdają się na mnie patrzeć. Twarz nie naruszona, lecz poprzez poszarpany pociskami czarny płaszcz sączy się jeszcze krew.

Odwracam głowę. Drzę cała i Quinta musi to wyczuwać.

–Ona? – pyta szeptem. Czuję, że i jemu drży ręka.

–Nie żyje... – słyszę swój własny głos.

W przedsionku mija nas spadochroniarz z pistoletem maszynowym. U wylotu grotty oślepiające oko reflektora.

Tuż przy wejściu leżą zwłoki Maksa, twarzą do ziemi. Rozkrzyżowane ręce, palce jakby drapały skałę. W ogóle nie wyjmował pistoletu, który tkwi w kaburze. Obok ciała, rozbity pociskami oscyloskop sieci alarmowej.

Muszę uważać na Quintę, aby nie potknął się o zwłoki. Przed grotą wojskowy poduszkowiec o barwach ochronnych. Nie dostrzegam żadnych znaków. Obok pojazdu jeszcze dwóch „spadochroniarzy”. Cała załoga to biali. Na dnie jaru jeszcze jeden taki sam poduszkowiec.

–Proszę bardzo! – oficer otwiera wąż.

–Pomóż mi, Ellen – mówi Quinta i ściska mnie za łokieć. Robi mi się gorąco.

Pomagam niewidomemu wejść do pojazdu. Jeszcze jedno spojrzenie na zalane światłem skały. Dwóch spadochroniarzy wlecze za nogi ciało Maksa do wnętrza grotty.

Siadamy w głębi pojazdu na obitych sztuczną skórą fotelach. Oficer zapina nam pasy bezpieczeństwa i ochronne nauszники. Stąd, przez pancerną szybę nad pulpitem kierowcy, widać już tylko szary zarys skalnego progu nad grotą.

Żołnierze wracają i włącz zostaje zamknięty. Oficer siada obok kierowcy i rozkazuje włączyć silnik. Czujemy wzrastającą wibrację. Świst rotorów byłby z pewnością bez nauszników nie do zniesienia. O porozumiewaniu się z Quintą nie ma oczywiście mowy, słyszymy za to dobrze rozkazy oficera i meldunki podkomendnych.

Poduszkowiec unosi się nieznacznie w górę.

–Wolno do przodu. Stop! – komenderuje oficer.

Pojazd powoli zbliża się do jaskini i staje.

–Miotacz! Długi strumień w korytarz!

–Tak jest, długi strumień!

Reflektor gaśnie i w tej samej chwili spod kadłuba pojazdu wystrzela fontanna ognia. Widzę płomień osmalające skałę nad wejściem do groty.

–Dość!

Płomień raptownie gaśnie. Robi się prawie ciemno, tylko gdzieś z dołu wydobywają się kłęby dymu, rozświetlonego żarem.

–Zwrot 180 stopni i naprzód. Wracamy! Reflektor podczerwieni. Fritz, łączność z bazą!

–Tak jest, łączność z bazą!

Poduszkowiec obraca się jak karuzela, zatrzymuje i rusza w ciemność.

–Tu „Marengo 88”. Zadanie wykonane!

Czuję, jak palce Quinty ściskają mi dłoń...

CZĘŚĆ III GRY STRATEGICZNE

1.

Jeśli mierzyć upływ czasu liczbą przeżytych wrażeń – jest to chyba najdłuższa noc w moim życiu. Od zmierzchu pod Martwymi Kamieniami, aż po świt widziany z okna „białego pałacu” Knox-Benedict, wszystkie zdarzenia jakie spadają na mnie na podobieństwo lawiny, mają w sobie coś z bezsensownego awanturniczego filmu. Niestety, nie jestem ani biernym widzem, ani współtwórcą tego filmu mogącym wpływać na bieg rozgrywanej tam akcji, ani nawet aktorem, który wie czego chce reżyser. Czuję się jak człowiek porwany przez rwący potok, bezsilna wobec żywiołu, grożącego mi w każdej chwili rzuceniem o skały lub wciągnięciem w głębiny.

Okolo czwartej nad ranem poduszkowce docierają do polowego obozu wojskowego. Przez całą drogę dręczą mnie najczarniejsze przeczucia. Przecież jest wręcz nieprawdopodobne, aby nieporozumienie mogło utrzymać się dłużej niż do spotkania z władzami wojskowymi czy policyjnymi. Zastanawiam się dlaczego Quinta nie sprostował od razu pomyłki. Czyżby próbował mnie w ten sposób ratować? Wydaje się to zbyt piękne, aby było prawdziwe. Odpowiedzi należy chyba szukać w przebiegu wydarzeń tamtej tragicznej nocy.

Zamordowanie Maksa, który przecież, zgodnie z poleceniem doktora, nie próbował strzelać do przybyłych, traktując ich jako sojuszników, mogło być spowodowane jakimś jego nieopatrzonym ruchem. W warunkach akcji bojowej, i to skierowanej przeciw tak zdeterminowanemu przeciwnikowi jak terroryści, łatwo o takie tragiczne nieporozumienie. Ellen usłyszawszy strzały zaczęła uciekać. Mogła sądzić, że to jednak jakaś terrorystyczna grupa. Komandosi pobiegli za nią. Była w moim płaszczu, który mogli widzieć przed akcją na zdjęciach dokonanych teleobiektywem w Inuto, więc byli pewni, że to jestem ja. Quinta usłyszał strzały i krzyk Ellen, a potem zjawił się ten oficer i powiedział, że jesteśmy wolni... Nietrudno było domyślić się co zaszło. Ale Quinta natychmiast uświadomił sobie, czym grozi wyjaśnienie pomyłki w tym momencie. Zamiast pochwał i premii – oskarżenie o morderstwo i nieprzyjemne dochodzenie, a może nawet proces. Czy w tej sytuacji nie lepiej zlikwidować świadków, którzy przecież mogli zginąć z rąk terrorystów... Doktor nie tylko mnie, lecz przede wszystkim sobie uratował życie. Z chwilą zaś gdy będzie już bezpieczny z pewnością sprostuje pomyłkę.

To tylko odroczenie o parę godzin tego, co nieuchronnie nastąpi, a czego najbardziej się obawiam – oddania mnie w ręce oprawców Numy. To, że oficer i jego

podkomendni są białymi, nie pociesza mnie wcale. Biali najemnicy czarnych dyktatorów bywają bardziej bezwzględni i okrutni od tubylców. Jestem więc zdecydowana przy pierwszej nadarzącej się okazji spróbować ucieczki lub popełnić samobójstwo.

Fakt, iż nasi „wybawcy” posługiwali się kryptonimami i nieźle grali rolę terrorystów, pozwala przypuszczać, że jest to oddział specjalny, składający się z ludzi nie tylko dobrze wyszkolonych, lecz także zaprawionych w tego rodzaju akcjach. Jako najemnicy „marszałka”, orientowali się też z pewnością, kto zajmował grootę i to przecież za zezwoleniem władz. Dlaczego więc spalili bazę? Czy chodziło tylko o zatarcie śladów zbrodni? Podważałoby to tezę o tragicznym nieporozumieniu. Wątpliwości budzi również – po zastanowieniu – zachowanie się oficera. Zapytał tylko o Magnusena, nie wspomniał nic o Martinie, Oriento i Goldsteinie.

Prawdopodobnie wiedział, że poszli w góry, a być może nawet czekał na ten moment. Może to rzucić zupełnie inne światło na wydarzenia tej nocy.

Oczywiście, sama nie jestem w stanie rozstrzygnąć tych wątpliwości, a o porozumieniu z Quintą nie ma co marzyć. Nie wiemy nawet, dokąd nas wiozą. Pole widzenia z wnętrza pojazdu jest tak ograniczone, że nie mogę nawet w przybliżeniu określić położenia gwiazd. Jestem zresztą przez całą drogę pewna, że celem naszej podróży jest Inuto. Dopiero po opuszczeniu poduszki zacząłem podejrzewać, że coś tu nie gra...

Znajdujemy się na terenie jakiejś dużej zmotoryzowanej formacji, obozującej w warunkach polowych. Obszerny plac zamykają z dwóch stron szeregi namiotów, z trzeciej – ukryte wśród drzew sawanny wozy pancerne. Teren jest dobrze oświetlony, lecz ruch minimalny – widać trwa jeszcze w obozie cisza nocna. Tylko w głębi placu, przy helikopterze, kręci się kilku żołnierzy. Wszyscy biali, żadnego Afrykańczyka.

Wysiadamy. Z pobliskiego dużego namiotu, w którym już z daleka dostrzegam światło, wychodzi dwóch wojskowych wysokiej rangi. Towarzyszy im cywil – młody facet, ubrany tak, jakby przed chwilą opuścił oficjalne przyjęcie dyplomatyczne. Eskortujący nas oficer składa krótki raport i mężczyźni podchodzą do nas.

–Państwo pozwolą... – mówi starszy z oficerów, salutując. – Pułkownik Frank Maria Van de Valde, dowódca tutejszej jednostki!

–Pułkownik Raymond Pratt! – salutuje drugi z oficerów, należący chyba do innej formacji. – A to pan doktor Ludwik Swart, osobisty sekretarz pana prezesa Knoxa! – przedstawia cywila.

–Byliśmy bardzo o państwa niespokojni... Jak się państwo czujecie? – cywil pochyła się w ukłonie przede mną i przenosi z uwagą wzrok na doktora Quintę. – To musiały być straszne dni.

Quinta nie podejmuje tematu.

–Jest pan sekretarzem Herberta Knoxa? – pyta, lecz nie wyczuwam w jego głosie zdziwienia. – Czy ta akcja ratunkowa to jego inicjatywa? – dodaje, nie czekając na pierwsze pytanie.

Czuję, jak wzrasta we mnie niepokój. Za chwilę z pewnością zostanę zdemaskowana. W głowie rodzą mi się najbardziej wariackie pomysły zdobycia broni i ucieczki.

–Tak jest, pana prezesa Knoxa – skłania głowę doktor Swart. – Pan Knox kazał mi też przekazać państwu, iż jest niezmiernie rad, że może państwa gościć u siebie. Myślę, że nie ma też powodu, abyśmy się tu dłużej zatrzymywali. Pora jest już bardzo późna, a państwo po tych okropnych przeżyciach na pewno są bardzo zmęczeni.

–Co więc panowie proponują?

–Jeśli to państwu odpowiada, możemy zaraz odlecieć do Knox-Benedict. Pokoje dla państwa są już przygotowane. Helikopter czeka.

–Czy znaleźliście Magnusena? – Quinta zmienia nagle temat.

Chwila ciszy.

–Niestety... – odpowiada pułkownik Van de Velde spoglądając niepewnie na pułkownika Pratta.

–Spodziewaliśmy się, że jest razem z panem, doktorze – mówi Pratt chłodno.

–Rozumiem – kiwa głową Quinta. – Wobec tego... lećmy. Ellen, prowadź dziewczyno!

Na dźwięk tego imienia czuję nagły przyływ gorąca, a zaraz potem gwałtowne odprężenie. A więc „wyrok” został na pewien czas odroczone. Czyżby doktor chciał rzeczywiście ułatwić mi ucieczkę? Zresztą jeszcze w czasie ostatniej rozmowy z Ellen mówił, że trzeba mnie gdzieś ukryć.

Biorę niewidomego pod ramię i prowadzę do helikoptera. Ujmuje moją dłoń palcami i kilkakrotnie rytmicznie ściska. Czy chce w ten sposób dać mi do zrozumienia, że podejmujemy wspólnie ryzykowną grę?

Na odsuniętych drzwiach śmigłowca dostrzegam czerwono-żółtą „rycerską” tarczę ze stylizowaną literą „D”. A więc tak jak już się domyślałam – jesteśmy w Dusklandzie.

Lot trwa czterdzieści minut na dość wysokim pułapie, tak iż siedząc przy oknie mam w zasięgu wzroku szeroki obszar, aż po szarawy zarys Gór Żółtych. Sawanna pogrążona jest w mroku, ale tym lepiej uwidaczniają się oświetlone miasta, osiedla i ośrodki przemysłowe. Co prawda, obóz, z którego odlecieliśmy, szybko znika z pola widzenia, lecz z położenia gór i jeziora Pattona mogę się zorientować, że jednostka komandosów stacjonuje niedaleko granicy z Patope.

Przypominam sobie o mapie. Mam ją nadal w kieszonce na piersiach, ale, oczywiście, teraz nie mogę z niej korzystać.

Towarzyszają nam doktor Swart i pułkownik Pratt. Van de Valde pozostał w swej jednostce. Silnik pracuje głośno, co nie sprzyja towarzyskiej konwersacji. Quinta udaje, że drzemie i po paru próbach nawiązania rozmowy przez Swarta i Pratta, dość zresztą zdawkowej, dają nam spokój. Wkrótce też poczynam rozumieć dlaczego Quincie zależy na tych kilkudziesięciu minutach „drzemki”. Siedząc w fotelu tuż obok, bierze mnie znów za rękę. Z pozoru wygląda to jak pieszczotliwy uścisk dłoni. Niejednokrotnie, jak pamiętam, wymieniali go z Ellen, lecz wówczas byłam przekonana, że to po prostu wyraz czułości. Teraz wiem już co to naprawdę znaczy.

Znów czuję delikatne, rytmiczne dotknięcia. To z pewnością kod sygnałowy umożliwiający dyskretne porozumiewanie się, niedostrzegalne dla otoczenia. Oczywiście, jeśli chce ze mną nawiązać taką łączność, musi posługiwać się kodem, który znam. Na szczęście alfabet Morse’a wchodził w program szkolenia, które prowadził Toszi.

„Czy rozumiesz?” – ciąg sygnałów układa się w pytanie.

Teraz ja ściskam rytmicznie jego palce:

„Tak”.

„Czy znasz kogoś w Dusk?”

„Nie”.

„Ciebie znają?”

„Chyba nie. Kto to Knox?”

„Najbogatszy w Dusklandzie”.

„Dlaczego mnie nie wydałeś?” – chcę wyjaśnić to, co mnie najbardziej niepokoi.

„Potrzebuję twoich oczu”.

Krótko i jasno. Chyba mówi prawdę. Wynika z tego jednak, że im nie ufa. To daje mi szansę, a jednocześnie wyznacza płaszczyznę i granicę porozumienia. Dlaczego jednak podejmuje tak ryzykowną grę?

Quinta znów zaczyna sygnalizować. Zwraca mi uwagę, że zbyt nerwowo poruszam palcami i przy dobrym oświetleniu jakiś bystrzejszy obserwator może się zorientować, o co tu chodzi. Żałuje, że nie znam brajla, gdyż opracował oparty na nim podobny kod dotykowy, szybszy w przekazie i łatwiejszy do ukrycia niż Morse’a. Niestety zbyt mało jest czasu na naukę.

Kilka minut ćwiczeń, a potem Quinta zaczyna mi przekazywać skrótowy życiorys Ellen. Okazuje się, że była starsza ode mnie o cztery lata, jej ojciec pochodził z Georgii a dziadek matki, chyba z Meksyku. Urodziła się w Nowym Jorku. Studiowała medycynę, ale przerwała studia i została pielęgniarką. Mając 20 lat wyszła za mąż za Freda Parkera i po roku się rozwidła. Przed ślubem nazywała się Milling.

Pamięć ma Quinta zadziwiająco dobrą. Podaje nazwiska, imiona, nawet niektóre daty, nazwy uczelni i szpitali, w których Ellen pracowała i wyobraża sobie, że potrafię to wszystko od razu spamiętać. Poznał Ellen przed pięciu laty w klinice profesora Turnera. Profesor miał usunąć odłamek tkwiący gdzieś w głowie Quinty, ale w końcu zrezygnował z ryzykownej operacji. Próbuję dowiedzieć się gdzie i kiedy doktor został ranny i czy odłamek ten jest przyczyną utraty wzroku, lecz wtedy właśnie „budzi” nas pułkownik Pratt, oświadczając, że za chwilę wylądujemy. Dalsze przygotowywanie mnie do roli Ellen Parker musimy więc odłożyć na inną okazję.

Wiejska rezydencja Herberta Knoxa okazuje się wcale okazałą budowlą w stylu angielskiego neoklasycyzmu. Śmigłowiec siada na środku rozległego trawnika, naprzeciw podjazdu i „biały pałac” – jak z dumą określa rezydencję doktor Swart – prezentuje nam się w całej okazałości. Front pałacu jest dyskretnie oświetlony latarniami, ukrytymi wśród kolumn. Gdy schodzimy na trawnik w oknach parteru zapalają się światła, a na schody wychodzi mężczyzna w białym smokingu.

Myślę, że to sam Knox, ale jak informuje Swart, jest to majordomus Helly, który wyszedł nas powitać w imieniu nieobecnego gospodarza. Pan prezes Knox przybędzie dopiero jutro po południu, a do tego czasu panowie Helly i Swart są na nasze usługi. Wnioskuje z tego, że pułkownik Pratt jest również jak my gościem w tym domu.

Wchodzimy do pałacu. Przyjemny, orzeźwiający mikroklimat. Okazuje się też, iż rzeczywiście czeka już na nas apartament w północnym skrzydle, o dwóch oddzielnych sypialniach z łazienkami i wspólnym salonie, gdzie podadzą nam gorącą kolację.

Przy pożegnaniu, przed rozejściem się do swoich pokoi, Quinta pyta majordomusa, czy może połączyć się z Londynem. Pan Helly odpowiada, że oczywiście, że może to zrobić z własnego pokoju lub hallu, a doktor Swart podaje nam numer kierunkowy.

–Zadzwonimy do Willego – mówi do mnie Quinta, a ja udaję, że wiem o kogo chodzi.

–Czy nie za wcześnie? – patrzę na zegarek. – Jest dwadzieścia po piątej. Na pewno śpi...

–Taki telefon postawi go na nogi – śmieje się Quinta.

W salonie już czeka lokaj z kolacją. Jestem bardzo głodna i zaraz zabieram się do jedzenia, zwłaszcza, że potrawy są świeże, gorące i apetyczne. Jemy w milczeniu. Lokaj zręcznie pomaga niewidomemu tak, że nie potrzebuję się o niego troszczyć.

Wreszcie zostajemy sami. Oprowadzam Quintę po apartamencie, tak aby mógł zapamiętać, co gdzie się znajduje. Gospodarze okazują się bardzo zapobiegliwi – w łazienkach bogaty zestaw przyborów toaletowych, w szafie Quinty trzy garnitury, w mojej – sukienki. Koszule, bluzki, chusteczki, bielizna – widać mamy tu zostać dłużej...

Quinta nabiera orientacji bardzo szybko. Nasza rozmowa ogranicza się do moich objaśnień i dość ogólnikowych, niewiele znaczących uwag Quinty dotyczących nagłej zmiany naszego losu. Tom – bo tak się teraz, za przykładem Ellen, do niego

zwracam – trzyma mnie za rękę i raz po raz sygnalizuje. Twierdzi, że należy liczyć się z podsłuchem i musimy rozmawiać w taki sposób, by nie budzić żadnych podejrzeń.

Ustalamy następnie taką wersję ostatnich wydarzeń, która byłaby strawna dla „wyzwolicielei” i bezpieczna dla mnie. Quinta proponuje, aby wszystkie fakty, aż do momentu wyruszenia Orianta z Martinem i Bobem w góry, relacjonować zgodnie z prawdą, ale bardzo skrótowo, możliwie z pominięciem sprawy vortexu. Wydarzenia minionej nocy „wyjaśnimy” w ten sposób, że Maks był w zмовie z terrorystami i wspólnie z „dziewczyną Barleya” chciał im nas przekazać, jako zakładników, lecz na szczęście nie dopuścili do tego komandosi du-sklandzcy. Słowem: wszystko na opak.

„Zwiedzanie” dobiega końca i Quinta mówi, abym połączyła się z Londynem. Jesteśmy w jego pokoju. Telefon obok tapczana.

–Pamiętasz numer Willa? – pyta i z lekka się uśmiecha, i jednocześnie przekazuje mi sygnałami numer i wyjaśnia, że to mieszkanie znanego amerykańskiego dziennikarza.

–Oczywiście...

Siadam na tapczanie i podnoszę słuchawkę. Słyszę sygnał centrali i wystukuję numer kierunkowy. Cisza. Żadnego sygnału.

Odkładam słuchawkę, podnoszę – jest sygnał. Znów wystukuję numer i – cisza. Jeszcze dwa razy próbuję. Bez skutku.

–Nie mogę się połączyć – mówię głośno.

Quinta podchodzi do mnie. Oddaję mu słuchawkę. I jemu również nie udaje się osiągnąć połączenia.

Przechodzę do mojego pokoju. To samo. Za to bez trudności łączę się z pokojem Quinty.

–Spróbuj jeszcze z hallu – proponuje Quinta. – A jak się nie uda poszukaj kogoś i zapytaj. Może jeszcze nie śpią.

W hallu nikogo nie ma, światła wygaszone. Odnajduję w półmroku telefon i po omacku wystukuję numer kierunkowy. Nadal cisza.

Dochodzi szóstka. Stoję chwilę przy oknie, za którym wstaje już świt. Pałac otoczony jest parkiem. Wyłaniające się z szarego tła, jakieś rozłożyste drzewa przypominają dekoracje z romantycznej opery. Trudno mi uwierzyć, że jestem w Afryce.

Wracam do Quinty. Nie wydaje się być zdziwiony. Pytam, czy mam dalej kogoś szukać.

–Chyba nie ma sensu... – odpowiada, a ja rozumiem, co ma na myśli.

Odczuwam rosnący niepokój.

–Boję się... – mówię szeptem, siadając obok niego na tapczanie. Uświadamiam sobie, że zapomniałam o podsłuchu. Patrzę z niepokojem na Quintę, ale nie dostrzegam w jego twarzy dezaprobaty.

Szuka ręką mojej głowy i delikatnie poczyną gładzić mnie po włosach.

–Uspokój się – mówi łagodnie. – Jutro z pewnością się dodzwonimy.

Odsuwam głowę. Drażni mnie ta wyreżyserowana czułość.

Dłoń Quinty zawisa w powietrzu.

–Jesteś zmęczona... – stwierdza z żalem. W tej chwili jest chyba szczery. Wydaje mi się, że chce coś jeszcze dodać.

–Przygotuję ci kąpiel – mówię wstając. Jestem rzeczywiście zmęczona, a nie wiadomo co nas czeka jutro.

odpoczynek. Noc w buszu była męczarnią, nieustannym budzeniem się, a właściwie stanem z pogranicza snu i jawy. Gdy wreszcie sen nadszedł – przerwany został brutalnie. W górach, a zwłaszcza w grocie, było chłodniej i nie dokuczały owady, spałam jednak bardzo nerwowo i męczyły mnie koszmary. Tu przespałam noc, a ściślej – dzień, jak kamień i nie pamiętam nawet co mi się śniło. Myślę, że to efekt klimatyzacji, a także obronnej reakcji organizmu po nieustannych stresach.

Budzi mnie Quinta. Jest już ubrany i oznajmia, że za chwilę przyniosą... kolację. Zegarek wskazuje szóstą, oczywiście po południu. Spałam więc blisko dwanaście godzin.

Quinta mówi, że wstał około południa i próbował połączyć się z Londynem, ale nadal nie ma sygnału. Rozmawiał o tym ze Swartem, który przyznał, iż rzeczywiście są kłopoty z łącznością i nie mógł nawet połączyć się z Dusk. Swart twierdzi, że jest to uszkodzenie w centrali, ale pułkownik Pratt, który odleciał rano do stolicy, obiecał, że niezwłocznie przyśle techników. Na pytanie Quinty czy o uwolnieniu nas została poinformowana ambasada USA w Dusk, Swart odpowiedział, że chyba tak, lecz pewności nie ma z powodu braku połączenia ze stolicą. Dodał też, że jego zdaniem „sytuacja jest trochę delikatna” i że być może „dobrze się stało”, że jeszcze nie dostaliśmy połączenia z Londynem, gdyż warto byłoby wyjaśnić wcześniej „niektóre kwestie”, aby uniknąć powstania sprzecznych wersji wydarzeń. Tu Quinta zaznacza, może bardziej dla podsłuchiwczy niż dla mnie, że podziela wątpliwości Swarta i rzeczywiście nie bardzo wie, jak uzasadnić pojawienie się komandosów dusklandzkich na terytorium Patope, nie powodując interwencji dyplomatycznej. Pomyślałam, że jeszcze trudniej uzasadnić spalenie bazy Oriento i popełnienie mordy, lecz oczywiście nie mogę tego powiedzieć głośno.

Po kolacji Quinta proponuje, abyśmy się przeszli trochę wokół pałacu. Domyślam się, że nie chodzi mu tylko o spacer, lecz przede wszystkim, abym mogła przyjrzeć się najbliższemu otoczeniu.

Schodzimy na parter, ale frontowe drzwi są zamknięte. Okazuje się jednak, iż można wyjść przez taras, do którego prowadzi droga z hallu na pierwszym piętrze. Z obu stron tarasu biegną w dół szerokie marmurowe schody. Z boku dobiega cichy szmer fontann.

Słońce już zaszło i zapalają się latarnie. Pałac otoczony jest z trzech stron parkiem. Quinta pyta mnie, jak wygląda pałac, w jakim jest stylu i czy mi się podoba. Taka sobie, zwykła rozmowa... Quinta trzyma mnie pod ramię i delikatnie sygnalizuje palcami, że również tu, na zewnątrz gmachu trzeba liczyć się z podsłuchem.

Jest jeszcze ciepło. Wilgotność powietrza znacznie większa niż w górach. Zaskakuje całkowity brak wszelkich owadów, tak dokuczliwych w buszu.

Okrążamy pałac i wracamy na górę. W hallu spotykamy Helly'ego. Mówi, że szukał nas i chce przeprosić w imieniu gospodarza, iż nie może się on z nami dziś spotkać, ale pilne sprawy państwowe zatrzymują go w stolicy. Również Swart musiał polecieć do Dusk i wróci dopiero jutro. Niestety, awaria centrali telefonicznej okazała się poważniejsza niż przewidywano i nadal nie mamy połączenia, nawet z Dusk, za co majordomus bardzo przeprasza. Pyta też, czy chcielibyśmy skorzystać z basenu kąpielowego i usług pałacowego masażysty, a także bogatej płytki gospodarza.

Baseny są dwa – jeden w głębi parku, drugi w podziemiach pałacu. Jest już noc, więc wybieramy ten drugi. Wspaniale wyposażony w różne urządzenia sportowe i rozrywkowe, sztuczne fale i podwodny „rajski ogród”. Nie chce się w ogóle wychodzić z wody, zwłaszcza, że zmaltretowana upałem, potem i ukąszeniami owadów skóra, domaga się ożywczej kąpieli.

Do swoich pokoi wracamy około dziewiątej, trochę zmęczeni, lecz w pełni odrodzeni fizycznie. Quinta „zarządza” godzinny „milczący relaks” w półmroku. Siadamy obok siebie w fotelach, ustawionych przeze mnie w takim położeniu, aby ograniczyć do minimum możliwość obserwowania nas z ukrycia. Ściemniam światło. „Milczący relaks” ma oczywiście stworzyć warunki do przeprowadzania dyskretnie ćwiczeń sygnalizacji dotykowej i wymiany informacji. Chodzi przede wszystkim o wzbogacenie mojej wiedzy o Ellen Parker. Muszę wkuć „na blachę” jej życiorys.

Urodziła się 14 lipca 1962 roku w Nowym Jorku. Matka – Maria Juanita Peredo, półkrwi Indianka – zmarła gdy Ellen miała cztery lata. Trzy lata później ojciec – David Milling, porucznik lotnictwa – zginął w Wietnamie. Wychowała ją ciotka, mieszkająca w Bostonie. Ellen mając 20 lat wyszła za mąż za Freda Parkera, kolegę ze studiów medycznych. Przerwała naukę, urodziło się dziecko – dziewczynka – które, niestety zmarło, zaś Ellen rozwiodła się z Fredem. Obecnie jest on lekarzem gdzieś na Południu. Po ukończeniu szkoły pielęgniarstwa pracowała w szpitalu stanowym w Bostonie a potem w klinice profesora Turnera. Tam poznała jakiegoś inżyniera komputerowca, który ją namówił, aby ukończyła jakiś specjalny kurs sekretarski, pracując jednocześnie u Turnera. Miał się nawet z nią ożenić, ale później jakoś zniknął z horyzontu. Wkrótce potem poznała Quintę i została jego sekretarką-przewodniczką. W ciągu ośmiu lat sporo jeździła po świecie. Narady, konsultacje, naukowe sympozja i kongresy – politologia i cybernetyka społeczna. Paryż, Londyn, Bruksela, Haga, Frankfurt, Moskwa, Warszawa, Tokio... Za dużo jak na mnie.

Quinta twierdzi, że Ellen była świetną towarzyszką podróży i baczna obserwatorką wszystkiego co się działo dookoła. Jeśli w tym, co mi przekazuje, jest choć połowa prawdy, musiała to być dziewczyna rzeczywiście niezwykle uzdolniona. Miała podobno świetną pamięć, szybki refleks i nie byle jaką inteligencję. Bardzo dużo pracowała. Musiała wiele czytać i to trudnych opracowań, referować Quincie ich treść, robić notatki i konspekty. W tym czasie nauczyła się francuskiego i niemieckiego, a ostatnio zaczęła brać lekcje rosyjskiego. Próbowwała nawet uczyć się matematyki, ale z tym szło jej gorzej. Za namową Quinty postanowiła też kontynuować studia medyczne, lecz chodziło tu nie tyle o praktykę, co o podstawy teoretyczne i to w dziedzinach związanych z zainteresowaniami politologa. Myślę, że chyba należała do tego typu kobiet, które gotowe są poświęcić się bez reszty dla mężczyzny, którego kochają.

Oświadczam Quincie, że nie potrafię odegrać roli takiego fenomenu, nie mówiąc już o rzeczywistym zastąpieniu mu Ellen „na wszystkich odcinkach”... Nie mam genialnej pamięci, nie lubię się uczyć, nie znam francuskiego i rosyjskiego, a poza angielskim znam tylko niemiecki i trochę polski, bo jeździłam do Krakowa, do krewnych ojca. Nie znam Brukseli, Hagi, Tokio ani Moskwy.

„Milczący relaks” przeciąga się do dwóch godzin. Ustalamy prosty kod sygnałów ostrzegawczych. Potem trochę zwykłej, banalnej rozmowy dla podsłuchu i idziemy spać.

Budzę się około dziewiątej, w pełni wypoczęta. Nie bardzo pamiętam, co mi się śniło. Chyba jacyś Murzyni, biali komandos i pułkownik Pratt, który tuż przed przebudzeniem przemienił się w inżyniera Berga.

Proponuję Quincie pójście przed śniadaniem na basen, ale w końcu idę sama, gdyż doktor „przykleił się” do radia. Twierdzi, że musi się zorientować w sytuacji.

Przy śniadaniu przekazuje mi najnowsze nowiny. W Patope coś się dzieje. Według nie potwierdzonych jeszcze wiadomości wizyta prezydenta Matavi w tym kraju, do której przywiązywano dużą wagę polityczną, została w ostatniej chwili odwołana.

Quinta widział się już z doktorem Swartem i dowiedział się, że pułkownik Pratt przyleciał z Dusk w towarzystwie jakiegoś senatora i profesora. Mamy się z nimi spotkać o dwunastej, na parterze w cocktail-barze. Połączenie telefoniczne ze światem zewnętrznym ma być przywrócone lada chwila.

W barze, oprócz Swarta i Pratta jest jeszcze dwóch mężczyzn: profesor Henderson – wysoki, sztywny „Anglik” po czterdziestce i nieco młodszy od niego, przystojny blondyn tytułowany „senatorem”, który „zapomniał” się przedstawić. Myślałam, że to Knox, ale jak się okazuje przyjazd gospodarza uległ dalszej zwłoce i będzie mógł zobaczyć się z nami dopiero jutro.

W barze łagodne, przyćmione, „naturalne” światło, „europejska” temperatura, powietrze orzeźwiające. Swart, pełniący funkcję gospodarza, serwuje napoje chłodzące i trunki, od najpopularniejszych, aż po takie, jakich jeszcze nigdy nie próbowałam. Ale siedzący obok mnie Quinta ostrzega:

–Nie pij, Ellen! Wiesz, że ci szkodzi.

Widzę też, że sam pije bardzo umiarkowanie. W atmosferze nie ma zresztą nic ze spokojnego, południowego relaksu. Raczej zbiera się na burzę...

Na początku, jak zwykle w męskim gronie o zainteresowaniach politycznych, wymiana opinii na temat aktualnych wydarzeń.

–Nie wiem, czy pan doktor słyszał – mówi Swart – że dziś rano dokonano zamachu na marszałka Numę. Na szczęście nieudanego.

–Na szczęście? Czyżby pan był jego sympatykiem? – pyta Quinta.

–W pewnym sensie. A pan nie? – dziwi się Swart.

–Wolę estetyczniejsze formy sprawowania władzy...

–Ja też. Nie widzę jednak alternatywy. Czarni nie dojrzali jeszcze do demokracji.

–Być może... – wydaje mi się, że Quinta chciałby jeszcze coś dodać, lecz w końcu wraca do głównego tematu: – Czy są już znane bliższe okoliczności zamachu?

–Dość dobrze – odzywa się pułkownik Pratt. – Świadcami byli między innymi członkowie korpusu dyplomatycznego. Do Inuto miał dziś przybyć z oficjalną wizytą Tabote – prezydent Matavi. Numa jechał powitać go na lotnisko. Jechał swym opancerzonym mercedesem, z pełną obstawą. Za nim przedstawiciele rządu, korpus

dyplomatyczny, dziennikarze... Obstawa policyjna na całej trasie, tłum witających przeczesany, głównie kobiety i dzieci. Nie wiem czy pan, doktorze Quinta, orientuje się w topografii. Tuż za miastem skrzyżowanie dwupoziomowe, na lotnisko jedzie się górnym. W momencie gdy samochód marszałka znajduje się na środku wiaduktu, następują dwie eksplozje. U nasady filaru i pod jezdnią. Miny typu kumulacyjnego, produkcji domowej. Znalaziono trzecią pod drugim filarem; zawiódł zapalnik. A w ogóle zamachowcy pomylili się o ułamek sekundy. Wyrwa tuż za mercedesem. Podobno wóz podskoczył na półtora metra w górę, a wiadukt się wykrzywił, ale Numie nic się nie stało. Miał szczęście. Zginęło dwóch policjantów pod wiaduktem, jest też kilku rannych, między innymi motocykliści. To wiemy z bezpośrednich dyplomatycznych źródeł. Są też nie potwierdzone jeszcze wiadomości o nieudanym ataku na więzienie i jakichś zajściach w koszarach kadetów.

–Co z wizytą prezydenta Matavi?

–Odwołana. Samolot Tabote zawrócił z drogi. Był on zresztą pierwszym człowiekiem za granicą poinformowanym o zamachu.

–Schwymano kogoś z zamachowców?

–To trudne pytanie – pułkownik wzrusza ramionami. – Na miejscu zamachu nie schwytano nikogo. Właściwie, wyraziłem się nieściśle – prostuje natychmiast. – Aresztowano wszystkich policjantów i cywilnych agentów strzegących wiaduktu, którzy wyszli cało z eksplozji. Będą chyba rozstrzelani. Wątpię jednak, aby coś wiedzieli. Ładunki były świetnie zamaskowane. To fachowa, europejska robota.

–Sądzi pan, że to służby specjalne z zachodu lub wschodu? – pyta doktor Swart z niedowierzaniem.

–Wszystko możliwe, lecz jeśli potwierdzą się doniesienia na temat ataku na więzienie, prawdopodobniejszy wydaje się bardziej rozgałęziony spisek. Są wiadomości, że montowany jest sojusz partyzantów z lewicą i centrową opozycją, chyba nie bez udziału komunistycznych agentów. Wyraźnie też interesują się tym terenem różne organizacje mafijne. Sam zamach, moim zdaniem, może być robotą terrorystycznej międzynarodówki, która w ten sposób chciała sprowokować przewrót o bardzo niebezpiecznych konsekwencjach dla tego rejonu Afryki. Na szczęście, podziela tu w pełni opinię pana doktora Swarta, na szczęście zamach się nie udał i Numa zgniecie teraz twardą ręką wszelkie przejawy działalności wywrotowej i opozycyjnej. Wiadomo już, że w Inuto ogłoszono stan wyjątkowy i żandarmeria marszałka oczyszcza stolicę z elementów wrogich i podejrzanych. Myślę, że na tym się nie skończy i akcją pacyfikacyjną będzie objęty cały kraj.

Quinta słucha w skupieniu, z iście kamiennym wyrazem twarzy i zaczynam odczuwać do niego coś w rodzaju sympatii.

–Wspominał pan, pułkowniku, o partyzantach – włącza się do rozmowy senator. – Czy miał pan na myśli plemię Magogo?

–Tak. Lecz nie chodzi, oczywiście, o partyzantów ukrywających się w Kotlinie Timu. Nie ma dotychczas żadnych dowodów, by ktokolwiek przeszedł przez pierścień. Ostatnio były jednak sygnały, że tworzą się nowe niewielkie bandy operujące w buszu. Niewykluczone, iż właśnie z nimi udało się nawiązać kontakt Japończykowi i prezes Magnusen znajduje się w ich rękach. Myślę też, że jeszcze żyje, bo to dla nich jedyny sposób wymuszenia czegoś od marszałka Numy i „Alconu”. Ale chyba teraz dojdzie do rozstrzygnięć.

Wzmianka o Toszim i partyzantach wprowadza mnie w stan gwałtownego podniecenia. Z trudem tłumię nerwowe drżenie rąk. Quinta jakby to wyczuwał, bierze mnie za rękę i sygnalizuje:

„Spokojnie. Zapytaj czy zna osobiście Numę”.

Tymczasem Pratt kontynuuje swe rozważania:

–Sytuacja dojrzała do szybkich i radykalnych rozwiązań. Numa z pewnością ją wykorzysta dla umocnienia swojej pozycji. Nie chodzi tu tylko o partyzantów Magogo i międzynarodowych terrorystów, bo żandarmi marszałka nie są wcale gorsi, dysponują lotnictwem i bronią pancerną, a kierują nimi oficerowie wyszkoleni przez białych specjalistów. Łatwo też da sobie radę ze szczeniakami bawiącymi się w politykę. Znacznie groźniejsi dla Numy są jego bliscy współpracownicy, dawni koledzy. Niektórzy znali go gdy jeszcze był bossem związkowym i jechał na

czerwonym koniu... Tylko czekają by wskoczyć na jego miejsce. Marszałek to wie i z pewnością potrafi właściwie zdyskontować zamach.

–Czy pan go nie przecenia? Słyszałam, że to człowiek prymitywny, brutalny nie tylko w polityce, wyobrażający sobie, że wszyscy wokół to durnie, a on posiadał wszystkie rozumy. Czy zna go pan osobiście, panie pułkowniku? – wykonuję polecenie Quinty.

Pratt uśmiecha się z pobłażaniem.

–To gazetowy wizerunek. Numa nigdy nie miał dobrej prasy.

–Z wyjątkiem własnej... – dorzuca senator.

–Miałem okazję rozmawiać z Numą i to nie tylko na oficjalnych przyjęciach. Zaproszono mnie kilka lat temu jako eksperta. Chodziło o realizację pewnych jego koncepcji. Bynajmniej niegłupich, choć wymagających oczywiście fachowego opracowania. I muszę przyznać, że chociaż to czarny, zrobił na mnie zupełnie dobre wrażenie. Tylko ci, którzy go nie widzieli, robią z niego dzikusa, zwyrodnialca czy wręcz debila. A jest to inteligentny, zręczny gracz. Ma zresztą wyższe, europejskie wykształcenie. Ukończył Sorbonę.

–Pol Pot też – wtrąca Quinta. – A Salazar był nawet profesorem uniwersytetu...

–To nie ma nic do rzeczy – mówi Pratt z wyraźnym niezadowoleniem. – Trzeba brać pod uwagę konkretne warunki... Lepsza już taka dyktatura niż komunistyczna. Powiem szczerze: moim zdaniem jest to jeden z najwartościowszych polityków czarnej Afryki!

–Inaczej mówiąc, Numę można by nazwać mężem opatrnościowym... – stwierdza Quinta z powagą, ale chyba nikt nie wątpi, że kpi.

–Dla „Alconu” na pewno! – śmieje się senator.

–Nie jest to aż tak oczywiste, jeśli spojrzeć perspektywicznie, a nie szukać tylko chwilowych, łatwych korzyści – mówi Quinta. – Tyrania jest tylko z pozoru stabilnym układem. Nie rozładowuje lecz wzmaga napięcia społeczne. I to ukryte, nie mogące się ujawnić, tym groźniejsze, że wymykające się obserwacji i sterowaniu. A im większe napięcia tym większa groźba niekontrolowanego wyładowania.

–To tylko teoria doktorze – oponuje pułkownik. – Życie dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Rządy w demokracjach parlamentarnych zmieniają się nieustannie, niemal za każdym gwałtowniejszym powiewem w polityce czy ekonomice, gdy dziesięcioletnie, dwudziestoletnie, a nawet trzydziestoletnie dyktatury nie są rzadkością. Jeśli to nie są rządy stabilne, to ja nie jestem Pratt! Dopiero śmierć dyktatora lub klęska wojenna z wrogiem zewnętrznym uaktywnia siły destabilizujące system. Mussolini, Hitler, Salazar, Franco, Amin... Oto przykłady! A w wielu przypadkach nawet śmierć dyktatora nie załamuje systemu, gdyż rządy przejmuje następny. To są fakty.

Argumenty pułkownika są przekonujące, choć z pewnością nie podzielam jego poglądów politycznych. Ciekawa jestem, co powie teraz Quinta. Przecież nie zaprzeczy faktom. Wszyscy teraz patrzą na niego.

–Mógłbym się z panem zgodzić – Quinta kiwa głową, jakby przytakiwał Prattowi – gdyby dowodem stabilności organizmu społecznego, jakim jest państwo, było sprawowanie władzy przez tych samych ludzi, tę samą klikę czy to samo ugrupowanie polityczne.

–A nie jest? – dziwi się Swart. – Stałość władzy to chyba najlepsze kryterium stabilności?

–Czego stabilności? – pyta Quinta i ku memu rozczarowaniu nie atakuje Pratta. – Zdaje się, że jak to często bywa, podłożem sporu jest nieporozumienie terminologiczne. Słowo „stabilność” używane jest w dwóch znaczeniach. Starsze, przyjęte w potocznym języku, oznacza stan trwały, niezmienny. I to miał pan chyba na myśli, pułkowniku, mówiąc o stabilności tyranii, prawda?

–Oczywiście – godzi się Pratt, lecz zachowuje czujność.

–Miałem tu jednak na myśli nie tylko układy personalne, ale przede wszystkim

trwałość systemu.

–I w tym miejscu zaczyna się nieporozumienie – podejmuje Quinta. – Gdy mówimy o systemach, a w szczególności wielkich systemach jakimi są organizmy biologiczne i społeczne, używamy słowa „stabilność” w nieco innym znaczeniu. Trudno tu mówić o trwałości i niezmienności. Bardziej użyteczne jest tu pojęcie stabilności używane w nowoczesnej technice, w mechanice, aerodynamice, elektronice. Zresztą, nie tylko w technice... W tym nowoczesnym znaczeniu stabilność to zdolność powrotu do stanu równowagi w razie jej zakłócenia. Jak na przykład stateczność jachtu... a także równowaga gospodarcza.

Jeszcze nie bardzo rozumiem do czego zmierza, ale Pratt z pewnością już wie i próbuje od razu atakować.

–Wielkie demokracje nie zapobiegły kryzysowi światowemu i bezrobociu. A Hitler wyprowadził Niemcy z kryzysu i bezrobocia. Chyba nie powie pan, że sytuacja gospodarcza Niemiec była stabilniejsza w okresie republiki weimarskiej niż za Hitlera? Rządy silnej ręki mogą przeciwdziałać zakłóceniom równowagi ekonomicznej. Znam wiele przykładów...

–A ja nie znam ani jednego przykładu – przerywa mu gniewnie senator – by dyktatura wojskowa lub policyjna zapewniła jakiemuś krajowi rozkwit gospodarczy i kulturalny porównywalny z tym, co osiągnęliśmy u nas w Dusklandzie. Pan głosi dziwne teorie, pułkowniku.

Pratt patrzy niepewnie na senatora i z miejsca zaczyna się usprawiedliwiać.

–Wcale nie chciałem powiedzieć, że rządy silnej ręki potrzebne są każdemu krajowi. Pan mnie źle zrozumiał, senatorze. Wydaje mi się tylko, że w krajach zacofanych ekonomicznie i

kulturalnie, lub tam gdzie grozi anarchia i komunizm, system rządów autorytarnych może lepiej służyć stabilności niż swobodna gra sił politycznych. Czy nie mam racji, panie doktorze? – zwraca się do Quinty, ale ten przecież go nie widzi.

–Pan mówi do mnie, pułkowniku? – pyta po chwilowej ciszy.

–Tak jest, panie doktorze – potwierdza Pratt. – Pańskie przekonania liberała i demokracji są nam wszystkim dobrze znane i cenione. Podzielam też osobiście pańskie poglądy dotyczące nowoczesnych metod sterowania w polityce i ekonomice. Wydaje mi się tylko, że w krajach zacofanych cywilizacyjnie, a zwłaszcza w warunkach zagrożenia dyktaturą komunistyczną, nie zawsze nas stać na stosowanie tak subtelnych metod. Po prostu zmuszeni jesteśmy stosować działania szybkie i skuteczne. Ale w pełni zdaję sobie sprawę, że jest to tylko chwilowe odstępstwo od zasad, o których słuszności jesteśmy przekonani, że jest to zło konieczne, przejściowo tolerowane. Czy nie mam racji, panie doktorze?

Quinta znów kiwa głową, jakby podzielał poglądy Pratta, aż mnie to zaczyna denerwować. Znów wszyscy czekają co powie.

–Zło konieczne... – powtarza Quinta. – Być może... Być może... Jeśli nie nudzą państwa semantyczne kwestie, to proponuję zastanowić się nad tymi dwoma słowami. Zło i konieczność. A więc najpierw: co to jest zło. Czy w ogóle mogą istnieć obiektywne kryteria zła? Wiemy, co to jest subiektywne odczuwanie zła. Jest to taki stan naszego organizmu, a przede wszystkim jego sieci nerwowej z mózgiem na czele, w którym działania zmierzające do przywrócenia równowagi wewnątrzustrojowej okazują się nieskuteczne. Oczywiście, należałoby wcześniej wyjaśnić, co rozumiem pod pojęciem równowaga wewnątrzustrojowa. No i muszę przeprosić, że odwołuję się do biologii i teorii systemów, ale myślę, że biologia jest kluczem do wszystkiego co ludzkie i żywe, a teoria wielkich systemów to, jak państwo wiecie, moje hobby. Otóż, wracając do równowagi wewnątrzustrojowej, przez biologów zwanej homeostazą, w wielkim uproszczeniu można ją określić, jako zdolność organizmu do przeciwdziałania zaburzeniom wewnętrznym w jego funkcjonowaniu. Zdolność ta wyraża się w przeciwdziałaniu odchyleniom różnych parametrów biofizycznych i biochemicznych od wartości zapewniających optymalne funkcjonowanie tego organizmu. Optymalne to znaczy, oczywiście, najkorzystniejsze dla istnienia i rozwoju tego organizmu w danych warunkach. Inaczej mówiąc: zespół bardzo złożonych reakcji przebiegających niemal z reguły w sposób automatyczny, zmierza do przystosowania organizmu do zmieniających się warunków zewnętrznych i wewnętrznych w ten sposób, aby nie powodowały szkodliwych dla istnienia i rozwoju tego organizmu zaburzeń. Oczywiście złem jest to, co utrudnia nam utrzymanie stanu równowagi wewnętrznej, ale nie znaczy to wcale, że zawsze

potrafimy zidentyfikować rzeczywiste źródło zaburzeń czyli źródło zła.

Widzę, że senator okazuje coraz większe znudzenie, Swart poczyną się niecierpliwić, a Pratt bębni delikatnie palcami po kolanie. Jedynie milczący „Anglik” nadal zachowuje chłodne zainteresowanie.

–Przepraszam, że przerywam – wtrąca Swart. – Bardzo to ciekawe, co pan mówi, ale nie bardzo chwytam związek...

–Z polityką? – podsuwa Quinta.

–No właśnie... I czy w ogóle w tym ujęciu... biologicznym jest miejsce na... zło moralne? Pan wybaczy doktorze te wątpliwości laika.

–Trafne pytanie to połowa odpowiedzi – chwali go Quinta. – Środowisko, w którym żyje i rozwija się człowiek, to przede wszystkim społeczeństwo. Do niego, do warunków w nim występujących, do zasad, do obyczajów, do obowiązujących praw przystosowuje się nasza osobowość, nasz mózg. Kanony moralne to nic innego tylko stereotypy, szablony, algorytmy postępowania, wytworzone drogą doświadczenia społecznego. Postępowanie sprzeczne z nimi, nawet jeśli bezpośrednio w nas nie uderza, zakłóca naszą równowagę wewnętrzną, a więc odczuwamy je jako zło. Jeśli, rzecz jasna, owe kanony są silnie utrwalone w naszej psychice.

–I stąd wiedzie droga do zrozumienia zasad zachowania się społeczeństwa... – podchwytuje domyślnie Swart. – To ciekawe... Lecz jakie może być praktyczne zastosowanie pańskiej teorii?

–Ani moja, ani teoria – śmieje się niewidomy. – To tylko biologiczna, a raczej psychologiczna interpretacja pojęcia zła. A ściślej: tylko mała i bardzo trywialna próbka interpretacji. Użyteczna jednak o tyle, że posłużyć może za model ułatwiający uświadomienie sobie, czym jest zło społeczne i równowaga wewnętrzna w państwie. Sądzę bowiem, że istnieje niemała analogia między zasadami funkcjonowania wielkich systemów biologicznych i społecznych, organizmem żywym, ludzkim i państwem. Wszystko co tu mówiłem na temat homeostazy, zaburzeniu równowagi wewnątrzustrojowej, reakcji przystosowawczych, a nawet identyfikacji źródła zaburzeń odnosi się, moim zdaniem, w pełni do procesów społeczno-politycznych. Powiedział pan, pułkowniku, „zło konieczne”. Próbuję głośno zastanowić się, co to oznacza. „Konieczne” to znaczy nieuniknione, zdeterminowane warunkami, czy też niezbędne do osiągnięcia zamierzonego celu? Otóż w przeznaczenie nie wierzę, skrajny determinizm ma sens tylko jako kategoria filozoficzna, a z celami to różnie bywa...

–Sam pan mówił o optymalnych, najkorzystniejszych warunkach istnienia i rozwoju... – wtrąca Pratt. – To jest właśnie celem, dla którego warto nieraz zrezygnować z ideałów demokracji, wolności, a nawet czasem suwerenności państwowej i politycznej. Bądźmy zresztą szczerzy: wszystkie te ideały, zasady, wielkie ogólnoludzkie czy narodowe cele to utopia, niemożliwa do realizacji i tumaniąca niepotrzebnie umysły, to puste słowa, nic w istocie nie znaczące znaki, które każdy, kto ma władzę, jak chce interpretuje. Czy nie uczciwiej jest postawić sprawę otwarcie, niż łudzić ludzi lub uczyć zakłamania?

Znów wydaje mi się, że pułkownik jest górą. Quinta z pewnością ma rację, ale niepotrzebnie próbuje wszystko uzasadnić teoretycznie, podejmuje każdy narzucony przez Pratta temat i niełatwo zorientować się do czego zmierza. I teraz też daje się ponieść polemice.

–Twierdzi pan, pułkowniku, że wolność, demokracja, suwerenność to utopie? – podchwytuje z ożywieniem. – Być może każdy ideał jest utopią. Ale to wcale nie znaczy, że jeśli nawet cel nie jest w pełni osiągalny, nie można się do niego próbować zbliżyć. Przecież samo dążenie do optymalizacji funkcjonowania układu, w danych warunkach realizującego określone zadanie, ma nie tylko sens, lecz jest kardynalną zasadą każdego sprawnego działania. Nie wątpię, że się pan z tym zgodzi.

–Oczywiście.

–O ile dobrze pamiętam, próbował pan zakwestionować moją tezę, że tyrania jest z pozoru stabilnym układem, powołując się na różne, dość znane przykłady, wskazujące, że demokracja parlamentarna nie potrafi zapewnić stabilności swemu systemowi. Potem, po uwadze pana senatora, słusznie zwrócił pan uwagę na fakt, że różne bywają czynniki warunkujące uznanie takiego czy innego systemu za dobrze spełniającego swe zadania. Obawiam się jednak, iż być może na skutek różnic w terminologii, w definiowaniu poszczególnych systemów i nie uzgodnienia kryteriów optymalizacji, nie znajdujemy wspólnego języka. A więc: czym przede wszystkim różni się tyrania od demokracji? Stopniem scentralizowania struktury? Chyba nie. Tyrania może być zdecentralizowana jak w feudalizmie, a nawet przybierać postać zbliżoną do anarchii, zaś system demokratycznych organów władzy może mieć formę bardzo scentralizowaną. Nie stanowi też istotnego kryterium skład społeczny organizmu państwowego ani nawet ustrój. Przykładem demokracja ateńska i Chiny Mao... A więc co decyduje? Pozwólcie państwo, że znów się odwołam do modelu społeczeństwa jako systemu, którego najistotniejszą właściwością jest zdolność przeciwdziałania zakłóceniom równowagi wewnątrzustrojowej. Znają z pewnością państwo pojęcie sprzężenia zwrotnego, jego kluczową rolę w procesach regulacyjnych, a więc utrzymywania równowagi lub jej niweczenia. Już zresztą Wiener, jeszcze przed narodzinami cybernetyki, wykazał, iż cel, zachowanie się celowe jest po prostu przejawem działania ujemnego sprzężenia zwrotnego. Otóż tu chyba właśnie jest pies pogrze-

bany. Tyrania i demokracja różnią się systemem sprzężeń, a w konsekwencji – sposobem regulacji. Moim zdaniem nie jest ważne nawet to, czy w danym organizmie społecznym istnieje czy nie istnieje system przedstawicielski. Decyduje system kontroli. Oczywiście ideałem systemu demokratycznego byłaby bezpośrednia kontrola rządzących przez rządzonych, ale wiemy, że jest to w praktyce nierealne. Muszą więc wystarczyć przedstawicielskie lub instytucjonalne formy sprawowania kontroli. Gdy jej brak, gdy rządzący kontrolują sami siebie lub sterują kontrolującymi, taki system stwarza nieuniknione niebezpieczeństwo najpierw niedoinformowania, a potem blokowania a nawet fałszowania informacji niezbędnej do prawidłowego sterowania organizmem. A to prowadzi nie tylko do błędnych decyzji i niepotrzebnych kosztów ich prostowania, lecz – co gorsza – sprzyja tworzeniu się struktur, których jedynym celem jest ochrona wadliwie działających regulatorów, co jeszcze bardziej potęguje napięcia wewnątrz systemu. Rządy Numy są rzeczywiście złem, ale czy koniecznym?

– Nawet z punktu widzenia „Alconu”? – pyta pułkownik.

– „Alconu” przede wszystkim!

– Szczerze mówiąc, dziwię się trochę słysząc to z pańskich ust, doktorze – ożywia się senator. – Jeśli jest pan doradcą Magnusena...

– Informacje, jakie pan otrzymuje, widać nie są zbyt ściśle.

– Ale prezes „Alconu” zasięgał pańskiej rady?

Quinta ściska delikatnie moją dłoń: „Obserwuj Pratta”.

– Nie pracuję dla „Alconu”, a prezes Magnusen nie prosił mnie o radę na temat polityki w Patope – oświadcza oschle.

– Ale interesuje się pan sytuacją na tym terenie! – nie ustępuje senator. – I zapewne rozmawiał pan z prezesem na ten temat. Czy pańskim zdaniem, doktorze, można spodziewać się jakichś zasadniczych zmian w tej materii?

– A pan co sądzi?

– Zdaniem pułkownika Pratta marszałek umocnił swą pozycję. Ale pułkownik może się mylić...

Senator patrzy na Pratta, który nie wydaje się dotknięty uwagą.

–A pana zdaniem? – pyta Quinta.

–No, cóż... – mówi senator z ociąganiem. – Trudno się jeszcze zorientować. Po zamachu na Numę wiele jest niewiadomych...

–Moglibyśmy wspólnie rozważyć niektóre warianty sytuacyjne – spieszy mu z pomocą Swart. – Oczywiście, jeśli to państwu odpowiada...

–Bardzo chętnie – zgadza się Quinta. – Kto z państwa podejmuje się scharakteryzować wstępnie sytuację przed zamachem? Jak najbardziej szkicowo.

–Może pan sam, doktorze... – proponuje skwapliwie senator.

–Najlepiej zorientowany wydaje się pan, pułkowniku – uśmiecha się Quinta.

Brzmi to trochę jak przytyk, ale Pratt udaje, że tego nie zauważa. Oświadcza, że „pozwole sobie” przypomnieć niektóre fakty historyczne. Jeśli idzie o mnie, to wiele z tego co mówi pułkownik, słyszę po raz pierwszy. Okazuje się, że Claude Numa objął władzę trzynaście lat temu, drogą legalną, w wyniku desygnacji parlamentarnej na stanowisko prezydenta Wolnej Republiki Patope. Poprzedni prezydent Bastia zrezygnował ze stanowiska po nieudanej próbie rozwiązania Gwardii Republikańskiej, której zwierzchnikiem w rządzie Bastii był Numa, pełniący jednocześnie rolę czołowego bossa związków zawodowych. Konflikt między Numą i Bastią nie miał jednak wyłącznie podłoża wewnątrzpolitycznego. Bastia próbował wygrać koncert „Mafo” przeciw „Alconowi”. Rozwiązanie gwardii miało być pierwszym krokiem do ograniczenia wpływów „Alconu”. Gwardia była bowiem szkolona i dowodzona przez specjalistów wojskowych, ściągniętych do Patope z pomocą „Alconu”. Zresztą sam Bastia zawdzięczał władzę „Alconowi”, gdyż wygrał wybory niezbyt uczciwymi metodami i tylko dzięki poparciu Gwardii Republikańskiej, która rozprawiła się z opozycją plemion Kivu i Magogo,

nie zakwestionowano ogłoszonych wyników. Przez pierwsze dwa lata „Alcon” nie miał zresztą nic do zarzucenia Bastii, a Numa uchodził raczej za niezbyt pewnego politycznie demagoga, któremu nie należy ufać, lecz trzeba tolerować dla zachowania demokratycznej fasady.

Quinta pyta, czy „Mafo” przekazywał jakieś większe sumy Bastii. Przez twarz pułkownika przebiega jakby cień, o czym sygnalizuję memu „szefowi”. Pratt potwierdza, lecz jednocześnie zastrzega, że nie chciałby nazywać Bastii sprzedajnym politykiem.

–Tu, w Afryce inaczej na to się patrzy – mówi niechętnie. – To był zresztą dość naiwny pod tym względem czarnuch. Wyobrażał chyba sobie, że przechytrzy i „Alcon” i „Mafo”. Niewykluczone, że myślał nawet o nacjonalizacji. Nie zdawał sobie sprawy, że bez „Alconu” czy „Mafo” byłby co najwyżej kacykiem plemiennym.

Quinta wtrąca, że Bastia został internowany na terenie Dusklandu i zamordowany w dość niejasnych okolicznościach, ale Pratt zaraz zastrzega, że to były porachunki plemienne i władze rezerwatu nie miały z tym nic wspólnego. Dodaje też, że co prawda niektórzy współplemieńcy a wrogowie Numy robią z Bastii bohatera narodowego i męczennika, ale jest przekonany, że gdyby Numa wpadł w niełaskę i został przez „Alcon” usunięty i jego po paru latach ogłoszono by bohaterem narodowym.

–Mimo pańskich zastrzeżeń, doktorze Quinta, gotów jestem bronić tezy, iż Numie rzeczywiście chodzi o zapewnienie Patope możliwie najkorzystniejszych warunków istnienia i rozwoju – kończy pułkownik swe wywody.

–A wie pan, że w tym punkcie gotów jestem z panem się zgodzić – mówi Quinta z westchnieniem. – Numa już dostatecznie długo sprawuje władzę, aby uwierzyć w swoje posłannictwo...

Dyskusja dotyczy teraz oceny trzynastu lat rządów Numy i sprawia wrażenie beznamietnego sporu historyków o chronologię, periodyzację i interpretację omawianych wydarzeń. Profesor Henderson wyodrębnia trzy okresy, Pratt widzi cztery, Quinta pięć.

Henderson, z miną urzędnika zakładu pogrzebowego, oświadcza na wstępie, że nie jest z zawodu historykiem ani politologiem, ale swego czasu interesował się teorią państwa i prawa. Dwuletni okres od objęcia funkcji prezydenta do wyborów, w których kandydatów zatwierdzał Numa i Gwardia Republikańska, nazywa „parlamentarnym”. Następny – trzyletni – do przyjęcia przez Numę tytułu „ojca narodu”, rozwiązania parlamentu i powołania „rady prezydenckiej” – to okres

„autorytarny”. Trzeci – „patriarchalno-totalitarny” – trwa według Hendersona do dziś.

Podział przyjęty przez Hendersona, uzasadniony przez niego dość nudnymi wywodami, nie budzi większego zainteresowania. Co prawda pułkownik Pratt, zabierając głos jako drugi, wyraża się z uznaniem o periodyzacji Hendersona i zaznacza, iż „w zasadzie” zgadza się z profesorem, gdyż taki podział odpowiada w istocie ewolucji metod sprawowania władzy przez marszałka, lecz koncepcja, którą nam zaprezentował ma niewiele punktów stycznych z tym, co przedstawił „Anglik”.

Dla Pratta pierwszy, sześcioletni okres, nazywany przez niego „kombatancim”, charakteryzuje szukanie przez Numę sojuszników, którzy byliby dla niego oparciem w umacnianiu władzy i pozycji Patope na kontynencie afrykańskim. Trade-uniony, parlament, Gwardia Republikańska... Wszędzie jednak napotyka na długie ręce „Alconu” i coraz lepiej zdaje sobie sprawę, że może podzielić los Bastii. Nie może już, niestety, szukać oparcia w „Mafo”, które musiało wycofać się z terenu Patope. Próbuje więc zabezpieczyć swą pozycję poprzez centralizację władzy. Temu służy likwidacja gwardii spenetrowanej przez „Alcon” i powołanie instytucji ściśle i bezpośrednio mu podporządkowanej – zwanej Żandarmerią Narodową. Z tym momentem rozpoczyna się drugi okres rządów Numy, trwający przez cztery lata – aż do ogłoszenia stanu wyjątkowego, wobec zagrożenia kraju przez partyzantów wspomaganych z zewnątrz. Ten drugi okres nazywa Pratt „okresem stabilizacji”, twierdząc, iż w tym czasie na-

stępuje znaczne przyspieszenie rozwoju gospodarczego i wzmocnienie sił militarnych Patope. Dzięki temu właśnie udaje się Numie pokrzyżować plany wrogów wewnętrznych i zewnętrznych. Trzeci rozdział historii Patope pod rządami Numy, kończy się po dwóch latach rozgromieniem partyzantów, których niedobitki schroniły się w Górach Żółtych. Kolejny, czwarty okres, trwający do tej chwili, trudny jest jeszcze do scharakteryzowania. Brakuje wielu elementów, niektóre kwestie wymagają odrębnego, wnikliwego przedyskutowania i pułkownik proponuje omówienie go łącznie z analizą możliwych konsekwencji ostatniego zamachu. O vortexie Pratt w ogóle nie wspomina.

Zupełnie inny podział chronologiczny proponuje Quinta. Jego zdaniem, pierwszy „quasi-liberalny” okres trwał niespełna rok i kończy go wykupienie gazety „Patope Observateur” przez agenta „Alconu” nazwiskiem Musso. Quinta twierdzi, że co prawda analfabetyzm bardzo ograniczał wpływ słowa drukowanego na szersze kręgi społeczne, a utrzymująca się struktura plemienna ułatwia politykę „dziel i rządź” stosowaną przez „Alcon”, niemniej było to ostateczne zakneblowanie ust opozycji. W tym miejscu Pratt zastrzega, iż „Patope Observateur” głosiła wywrotowe, wręcz socjalistyczne poglądy i w ówczesnej sytuacji sposób załatwienia tej kwestii przez „Alcon” uratował gazetę i jej pracowników. Quinta oponuje, twierdząc, że co prawda „Patope Observateur” wychodzi nadal, lecz niemal wszyscy dawni jej współpracownicy nie żyją bądź uciekli z kraju. Z kolei Pratt protestuje, że zna dziennikarza z dawnego „Observateur”, który za rządów Numy zrobił karierę i jest czołowym komentatorem rządowym... Dopiero senator kładzie kres tej jałowej polemice.

Drugi etap, według Quinty, zamyka porozumienie zawarte między „Alconem” i „Mafo”, w pięć lat po upadku Bastii. Zbiega się to z przyjęciem przez Numę tytułu „ojca narodu”, ale zdaniem Quinty ten akt i rozwiązanie pseudoparlamentu, podobnie jak spreparowane wybory były zwykłą formalnością i miały tylko ratować twarz Numy i „Alconu” wobec światowej opinii. Znacznie większy wpływ na sytuację wewnętrzną miała likwidacja Gwardii Republikańskiej i powołanie Żandarmerii Narodowej, podlegającej bezpośrednio „marszałkowi” Numie i postawionej w ten sposób nad armią i cywilnym aparatem administracyjnym. Quinta nie zgadza się z Pratem, że Numa chciał w ten sposób osłabić swą zależność od „Alconu”. Nigdy by nie odważył się na ten krok bez zgody koncernu. Być może nawet próbował uratować gwardię, która dawała mu jakąś formę oparcia i pozory samodzielności. Faktem jest, że dopiero w rok po porozumieniu „Alcon-Mafo” i podziale stref wpływów, co jeszcze bardziej ograniczało pole manewru Numy, zdecydował się na rozwiązanie gwardii. To, iż poprzedziła je czystka i likwidacja kilku bliskich współpracowników i przyjaciół Numy wcale nie znaczy, że walczył z gwardią lub miał dowody, że jego koledzy spiskują przeciw niemu. Po prostu wiedział, że inaczej nie

wykona polecenia, że może dojść do buntu, próby usunięcia białych doradców i „Alcon” zagra natychmiast na innych klawiszach. Bastia jeszcze wówczas żył, a nastroje wśród niechętnego Numie plemienia Magogo nie były najlepsze. Plemię to, bardzo bojowe i liczne, było zdaniem Quinty od wielu lat, jeszcze przed proklamowaniem niepodległości Patope, obiektem manipulacji politycznej ze strony władz kolonialnych, a później również „mieszanych” przedsiębiorstw górniczych, co w dużej mierze ułatwiło „Alconowi” i „Mafo” osadzenie się mocno w patopańskim siodle.

Powołanie żandarmerii ułatwiło, rzecz jasna, „Alconowi” i Numie kontrolę nad całym życiem kraju i stosowanie częściej polityki kija niż marchewki, lecz jak to zwykle bywa z aparatem niekontrolowanym, począł on stawać się państwem w państwie. Quinta twierdzi, że Numa długi czas nie bardzo zdawał sobie sprawę czym to grozi. Inaczej „Alcon” – mając tam swoich zaufanych ludzi, trzymał rękę na pulsie i nie miał zamiaru przyglądać się spokojnie niekorzystnemu dla koncernu rozwojowi sytuacji. Lecz „Alcon” nigdy nie ujawnia swej strategii, działa z reguły w sposób okrężny, pośredni, najczęściej z ukrycia sterując biegiem wydarzeń, tak aby stwarzały wrażenie spontanicznych.

Trzeci etap trwał blisko pięć lat. Czwarty, zdaniem Quinty, otwiera pojawienie się na widowni partyzantów Magogo. Ogłoszenie stanu wyjątkowego nie stanowi żadnego przełomowego momentu – aresztowania, egzekucje i pacyfikacje „wrogich” osiedli nie były niczym nowym. Ucieczki, próby organizowania samoobrony i zbrojny opór zdarzały się już w ubiegłych latach, ale dominowała postawa bierna i rezygnacja, nawet wśród członków plemienia Magogo. Czy nagle ożywienie i umasowanie ruchu partyzanckiego było tylko odruchem rozpacz? Quinta zgadza się tu z Pratem, że ruch był inspirowany i być może nawet kierowany przez agentów działających w terenie, a co najmniej celowo stworzono warunki mu sprzyjające. Daje jednak przy tym do zrozumienia, że należy też rozważyć możliwość prowokacji ze strony tajnych służb specjalnych Patope czy... Dusklandu.

Wyprowadza to z równowagi senatora. Oświadcza on, że są to wrogie Dusklandowi insynuacje, obliczone na zaognienie stosunków między obu krajami, i dziwi się, że doktor je powtarza. Zabiera też głos pułkownik, stwierdzając, iż zdobyta na partyzantach broń nie była produkowana w Cameo, lecz w Europie wschodniej i nie ulega wątpliwości, że dostarczono ją przez granicę z Matavi, która po cichu sprzyja partyzantom. Quinta, niestety, widać nie dysponuje żadnymi konkretnymi faktami mogącymi poprzeć jego podejrzenia, bo pozostawia kwestię otwartą. Twierdzi tylko, iż ożywienie się partyzantki mogło być na rękę niektórym ludziom w żandarmerii Nummy, gdyż w ten sposób wzrastała ich pozycja i nie potrzebowali tak bardzo obawiać się „Alconu”. Tu z kolei Swart ma wątpliwości, czy możliwe, aby „Alcon” nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Quinta mówi, że to nie ma większego znaczenia, co mnie wydaje się trochę dziwne.

Koniec czwartego „partyzanckiego” etapu to dla Quinty wycofanie się partyzantów w Góry Żółte. Klęska pacyfikacyjnych oddziałów „marszałka” w buszu, potem kontrofensywa z udziałem lotnictwa i dywizji pancernej aż po tereny podgórskie i nagłe wycofanie się oddziałów, potem szumnie zapowiadana „wielka operacja oczyszczająca”, kierowana ponoć przez samego „marszałka”, ciągnąca się blisko pół roku ze zmiennym szczęściem, duże straty w helikopterach i wozach pancernych oraz poważne zakłócenia w wydobywaniu miedzi, chromu i antymonu spowodowane zbyt gorliwie przeprowadzanymi pacyfikacjami w osiedlach górniczych – wszystko to z pozoru nie jest korzystne ani dla Nummy, ani dla „Alconu”. W rzeczywistości koncern nic na tym nie traci, a nawet zyskuje: giełda światowa reaguje na te trudności zwykłą ceń na miedź, antymon i chrom, „marszałek” potrzebuje więcej nowoczesnej broni, zaś jego bliscy doradcy wojskowi zyskują na znaczeniu. I oto nagle kończą się niepowodzenia. Partyzanci Magogo zostają wyparci w góry i gdyby nie nadejście pory deszczowej, rebelia zostałaby ostatecznie zlikwidowana. Niemniej „operacja oczyszczająca” ma być wznowiona po ustaniu deszczów.

Do tego momentu, zdaniem Quinty, sytuacja jest jasna. Początek etapu piątego, który – jak słusznie zauważył pułkownik Pratt – zawiera szereg elementów niewyjaśnionych, przypada prawdopodobnie na koniec pory deszczowej. Od tego czasu aż do dnia dzisiejszego sytuacja w Patope uległa jakby zamrożeniu. Produkcja antymonu i chromu nie osiągnęła nadal poziomu sprzed „wojny partyzanckiej”, klan Numy zajmuje kluczowe pozycje w państwie, żandarmeria „robi swoje”, armia „czuwa”, lecz o wznowieniu operacji nikt nic nie mówi...

Ciekawe, że Quinta również nie wspomina ani słowem o Vortexie P. Wszyscy wiedzą przecież o co chodzi, lecz zachowują się tak, jakby zawarli milczące porozumienie. Naszych gospodarzy można od biedy zrozumieć: nie bardzo im wypada zaprzeczać wersji oficjalnej, a powtarzanie bzdur o „epidemii żółtej febry” w poważnej i – w założeniu – szczerzej wymianie poglądów byłoby nietaktem. Być może również Quinta uważa, iż wypada mu uszanować zasadę przyjętą przez gospodarzy, lecz jak na mój gust za bardzo się z nimi cacka, manifestując zbyt przesadnie dobrą wolę i szczerłość. Z drugiej strony, nie bardzo chce mi się wierzyć, aby jego wypowiedzi, zwłaszcza te niechętne „Alconowi”, mogły być szczerze i z pewnością gospodarze to czują, jak wynika choćby z niektórych, „zagrań” senatora.

Tymczasem Quinta, zachęcony przez pułkownika przechodzi do prognoz. Tu czuje się w swoim żywiole. Trudno wręcz uwierzyć, iż o zamachu na Numę dowiedział się dopiero tu w cocktail-barze, niespełna dwie godziny temu, a nie pracował nad tematem od dawna. Przedstawia trzy „dendryty” możliwego rozwoju sytuacji w Patope w ciągu najbliższych godzin, przy czym z każdego można wyprowadzić co najmniej kilkanaście „scenariuszy” szczegółowych.

Punktem wyjścia pierwszego „drzewa gry” jest założenie, że zamach był wynikiem spisku nie inspirowanego przez „Alcon”, „pniem” drugiego – że „Alcon” maczał w tym palce. Trzeci zakładał, że to... w ogóle nie był spisek, lecz „zagrywka” samego Numy. Brak inspiracji „Al-conu” rozpatruje Quinta w dwóch wariantach: „Alcon” wiedział – nie wiedział o spisku. Jeśli zaś wiedział – w jaki sposób wykorzystał informacje. Wersji, iż wiedział i nie wykorzystał, Quinta w ogóle nie rozpatruje, jako zbyt mało prawdopodobnej. W przypadku spisku inspirowanego przez „Alcon” rozpatruje przede wszystkim dwie hipotezy: zamach w założeniu miał się udać – nie miał się udać, przyjmując pierwszą z nich za znacznie prawdopodobniejszą. Jeśli z kolei Numa sam zorganizował zamach na siebie, mógł to robić w porozumieniu z „Alconem”, z ukrytej inspiracji „Alconu” lub też bez jego wiedzy. Zdaniem Quinty druga hipoteza jest najprawdopodobniejsza. Analizuje także cel zamachu z punktu widzenia spiskowców, inspiratorów (np. „Alconu”), rolę państw ościennych itp. itp.

Dyskusja, w której biorą udział Pratt i Henderson, dotyczy przede wszystkim oceny prawdopodobieństwa poszczególnych hipotez i całych scenariuszy. Pułkownik wychodzi kilkakrotnie do telefonu przynosząc nowiny i brakujące dane. Potwierdzają się wiadomości o nieudanym ataku na więzienie centralne w Inuto. Okazuje się, że atakujący nie zdołali nawet sforsować bramy i zostali zmasakrowani ogniem karabinów maszynowych. Większość z nich to członkowie plemienia Magogo, a więc prawdopodobnie partyzanci.

Znacznie poważniejsze reperkusje, zdaniem Pratta, mogą mieć wydarzenia w szkole kadetów w Hotebe. Wkrótce po zamachu otrzymano tam telefoniczną wiadomość, że Numa został zabity. Wywołała ona entuzjazm wśród młodzieży, poczęto wiwatować na cześć zamachowców, pobito wnuka Numy i paru jego kumpli, którzy dobrze zaszli za skórę kolegom. Dowódca szkoły nie potrafił, czy może nie chciał opanować sytuacji, przeciwdziałając tylko drastyczniejszym formom samosądów i nie dopuszczając nikogo do magazynu z bronią. W dwie godziny po telefonie na teren szkoły wjechał duży zmotoryzowany oddział żandarmerii. Całkowicie zaskoczeni kadeci nie stawiali oporu, tylko kilkunastu chłopców zabarykadowało się w jakiejś sali. Tych od razu wybito wrzucanymi przez okna granatami. Potem rzekomo miało się odbyć coś w rodzaju sądu polowego, zakończonego masową masakrą „winnych zdrady”, ale inna wersja wydarzeń mówi, iż żadnego „sądu” nie było, tyle że

„winnych” wskazywał wnuk Numy i jego kumple. Zamordowano w ten sposób podobno blisko stu uczniów, wraz z dowódcą i kilku oficerami-wychowawcami. Zginęło również dwóch białych wykładowców, którzy próbowali przerwać masakrę. Informacje, zdaniem Pratta, są dość pewne, gdyż pochodzą z kręgów dowództwa żandarmerii.

Stamtąd też pochodzi zupełnie nowa wiadomość, iż schwytano jednego z zamachowców, który zeznał, iż jest członkiem organizacji Akos, zaś inicjatorem akcji jest emigracyjne ugrupowanie BAGRA.

Na razie brak wiadomości na temat sytuacji w innych ośrodkach miejskich i zagłębiu górniczym. Niejasne jest też stanowisko „Alconu” wobec zamachu i masakry w Hotebe. Rozgłoszenia rządowa w Inuto podała wiadomość o zamachu w sześć godzin po radiostacjach zagranicznych. O krwawych wydarzeniach w Hotebe nie wspomina ona w ogóle, zaś rozgłoszenia zagraniczne mówią tylko o „nie potwierdzonych doniesieniach dotyczących antyrządowej demonstracji dzieci”, nie wymieniając w ogóle nazwy miejscowości ani rodzaju uczelni.

Pułkownik i politolog dyskutują przede wszystkim o złożonej sytuacji wewnętrznej w Pa-tope, a zwłaszcza rosnącym niezadowoleniu w armii. Najbardziej sporna jest rola „Alconu” i

jego stosunek do Nummy, przy czym doktor, moim zdaniem, zbyt demonizuje wpływy tego koncernu, a zwłaszcza stojącej za nią korporacji.

Za najprawdopodobniejsze uznaje Quintera dwa scenariusze pierwszego „dendrytu” oraz po jednym – drugiego i trzeciego. Oto ich najważniejsze elementy:

Scenariusz 1. Zamach przygotowany został z inicjatywy emigracyjnej grupy BAGRA, łączącej członków zlikwidowanej Gwardii Republikańskiej i byłych towarzyszy Bastii, którzy znaleźli schronienie na terenie Matavi. Niewykluczone, iż spotkanie Numa – Tabote mogłoby mieć dla nich fatalne następstwa i przyspieszyło niedostatecznie jeszcze przygotowaną akcję. Bowiemy poza atakiem na więzienie, i to źle zaplanowanym, nic nie wiadomo o jakichś poważniejszych akcjach partyzanckich. Sam zamach od strony technicznej był dziełem „komandosów” Akosu – tajnej międzynarodowej organizacji do walki z neokolonializmem, wykonanym na zlecenie BAGRA. Niewykluczone, iż Akos ma swoich ludzi w armii Patope a nawet w żandarmerii.

Od kilku miesięcy narasta w Patope niebezpieczne napięcie. Przyczyną jego nie jest jednak działalność partyzantów czy agentów BAGRA. Jego źródłem jest armia, a ściślej – rosnący antagonizm między armią i żandarmerią. Zaostrza go jeszcze przedłużający się stan zamrożenia działań przeciwko partyzantom, ukrywającym się w Górach Żółtych i różnorodne plotki na temat przyczyn niewznawiania operacji. Szkolona i wyposażona w nową broń armia, stanowiąca znaczną siłę jak na warunki afrykańskie, czuje się oszukana i lekceważona przez „marszałka”, faworyzującego żandarmerię. Szczególnie niechętni Numie są młodzi oficerowie i kadeci. Być może zresztą antagonizm ten podsycany jest przez „Alcon”, stanowiąc jeden z elementów polityki „dziel i rządź”. „Alcon” nie wiedział jednak o planach zamachu, lub podsunięto mu fałszywe informacje.

Masakra w Hotebe musi nieuniknienie doprowadzić ten antagonizm do stanu wrzenia i przed wojną domową może Patope uratować tylko rezygnacja Nummy lub co najmniej rozwiązanie Żandarmerii Narodowej, na co oczywiście marszałek nie pójdzie. Wojsko zyska przy tym sojuszników w partyzantach i BAGRA, a Numa nie bardzo może liczyć nawet na „Al-con”, który – zdaniem Quintera – już ma kogoś na jego miejsce. „Alcon” bowiem nie może sobie pozwolić na wymknięcie mu się z rąk sytuacji. Szybki upadek Nummy jest więc nieunikniony.

Scenariusz 2. Inicjatywa i realizacja zamachu podobnie jak w scenariuszu 1, z tym iż „Al-con” ma dokładne informacje, lecz ich nie ujawnia, czekając na rozwój wydarzeń. Przyczyną tego są różnice zdań w kierownictwie koncernu dotyczące rozwoju sytuacji w Patope, ujawniające się w ostrzejszy sposób po uprowadzeniu

Magnusena. Co prawda, za utrzymaniem Numy u władzy przemawia jego dotychczasowe posłuszeństwo i lojalność, jednak w obecnej sytuacji jest postacią zbyt kontrowersyjną wśród przywódców państw afrykańskich i znienawidzoną we własnym kraju. Panoszenie się klanu Numy zaczyna być zresztą denerwujące nawet dla „Alconu”. Nie ma więc szczególnych powodów, aby nadal chronić „marszałka” i najlepiej będzie pozostawić w tym zakresie swobodę „naturalnemu biegowi wydarzeń”. Należy być tylko dobrze przygotowanym na wszelkie ewentualności.

Antagonizm między wojskiem i żandarmerią nie tylko dogadza „Alconowi”, ale również w pewnym stopniu odzwierciedla różnice zdań i układy personalne co najmniej w patopańskiej filii koncernu. Masakra kadetów, jeśli nawet odbyła się za czymś cichym zezwoleniem, grozi przerodzeniem się antagonizmu w niebezpieczną dla „Alconu” wojnę domową. Otwarta działalność mediacyjna nie wchodzi w rachubę, trzeba więc będzie poświęcić Numę jako „kozła ofiarnego”, szybko deklarując swe oburzenie. Nie należy wykluczać, iż upadek Numy będzie wykorzystany przez niechętnych mu członków kierownictwa filii w wewnętrznych rozgrywkach personalnych i będziemy świadkami jakichś istotnych zmian, zwłaszcza jeśli nie uda się w najbliższym czasie uwolnić Magnusena lub okaże się, że nie żyje.

Scenariusz 3. Penetracja BAGRA przez „Alcon” sięga ośrodków kierowniczych tej organizacji. Można przyjąć, iż stara się on przeniknąć do wszystkich ważniejszych ośrodków aktywności politycznej i ekonomicznej w jego strefie zainteresowania, co zabezpiecza koncern przed wszelkimi niespodziankami i umożliwia sterowanie otoczeniem w taki sposób, aby nie zdawało ono sobie sprawy, że jest obiektem manipulacji.

Numa już zbyt długo pozostaje u władzy i zaczyna być niewygodny dla „Alconu” z powodów przedstawionych w poprzednim scenariuszu. Petryfikacja struktury aparatu władzy, rola żandarmerii jako nie tylko pretorianów „ojca narodu”, ale czynnika, kształtującego w coraz większym stopniu jego opinie i decyzje, wreszcie rosnąca pozycja ekonomiczna rodziny „marszałka” uniemożliwia usunięcie Numa drogą legalną, a zamach stanu jest zbyt ryzykowny i trudno znaleźć odpowiedniego kandydata. Pozostaje więc zabójstwo. Nad zawodowym płatnym mordercą lub zabójcą z najbliższego otoczenia niewątpliwie wyższy walor ma zamachowiec ideowy – członek organizacji opozycyjnej lub terrorysta. Kierownictwo BAGRA może zresztą nie zdawać sobie zupełnie sprawy, że jest inspirowane przez „Alcon”, a idea zgładzenia tyraństwa jest jak najbardziej zgodna z celami działania organizacji.

Fiasko zamachu komplikuje sytuację. Wydaje się wątpliwe, aby masakra w Hotebe była z góry zaplanowana, lecz nie należy wykluczyć, iż próbowano podsycić nastrój euforii fałszywymi wieściami o śmierci Numa w celu zaostrenia antagonizmu między wojskiem i żandarmerią. Być może zresztą w samym kierownictwie filii komuś zależało na stworzeniu faktów dokonanych. Oczywiście w tym scenariuszu perspektywy stojące przed Numą są szczególnie ponure.

Scenariusz 4. Numa zdaje sobie sprawę z niechętnych mu nastrojów w armii, lecz nie jest w stanie ich rozładować z różnych przyczyn. Quinta wymienia tylko niektóre z nich, jak na przykład uzależnienie się od „pretorianów”, ale nie wymienia najważniejszego, jakim jest Vortex P. „Alcon” poprzez swoich ludzi w żandarmerii i służbach specjalnych, z tych samych powodów, co w scenariuszu 3 podsuwa Numie pomysł zainscenizowania „zamachu”, który stanie się „papierkiem lakmusowym”, pozwalającym na bezbłędne rozpoznanie kto jest rzeczywiście przyjacielem, a kto wrogiem „marszałka”. Stąd zwłoka w ogłoszeniu komunikatu i fałszywe telefoniczne informacje o śmierci Numa. Oczywiście ci, którzy okażą się wrogami, muszą być szybko usunięci ze stanowisk w administracji i armii. Śledztwo wykaże, iż byli w zмовie ze spiskowcami, a może nawet agentami państw kolonialnych. Będą skazani i straceni „zgodnie z prawem”. Wątpliwe, aby Numa poszedł na otwartą akcję pacyfikacyjną w wojsku, gdyż oznaczałoby to niebezpieczną dla „Alconu” i klanu „marszałka” wojnę domową.

W tym świetle nie wydaje się prawdopodobne, aby masakra w Hotebe mogła być zaplanowana przez Numę. Nie ryzykowałby zresztą życia wnuka. Tu wyraźnie żandarmi zostali podpuszczeni, podobnie jak partyzanci atakujący więzienie. Być może pewną rolę odegrał przypadek, który został odpowiednio wykorzystany. Światło na tę ponurą sprawę może rzucić stwierdzenie, kto zawiadomił szkołę kadetów o rzekomej śmierci Numy.

Przebieg zamachu nie odpowiadał prawdopodobnie ustalonemu harmonogramowi i nie należy wykluczyć, iż fikcyjny zamach miał przekształcić się w prawdziwy. Wątpliwe wydaje się, aby Numa zgodził się na odpalenie ładunków tak blisko jego wozu. To powinno wzmocnić jego czujność w stosunku do służb specjalnych i z pewnością będą one objęte czystką, jeśli Numa utrzyma się u władzy, co wcale nie jest pewne, choć nieco prawdopodobniejsze niż w poprzednich scenariuszach. Może on bowiem dokonać gwałtownej wolty, traktując zajścia w Hotebe jako prowokację i szukać porozumienia z armią „w celu wykrycia i ukarania winnych”. Nie będzie to łatwe, jeśli „Alcon” odwróci się do niego plecami.

Wskazówką co do słuszności hipotez zawartych w tym scenariuszu mogą być dalsze konsekwencje komunikatu o sprawcach zamachu. Jeśli BAGRA i Akos wyprą się udziału w spisku – a można uznać, że nie mają powodu kłamać – przemawiać to będzie zdecydowanie za scenariuszem 4. Jeśli potwierdzą – należy go odrzucić. Na zakończenie Quinta zaznacza, przy

bardzo niewyraźnych minach gospodarzy, iż wszystkie prognozy zawarte w omawianych scenariuszach są niewiele warte, gdyż nie uwzględniają bardzo istotnego elementu, jakim jest udział Dusklandu w grze jaka toczy się w Patope... Temat nie zostaje podjęty.

Obiad jemy na tarasie, w tym samym towarzystwie, powiększonym tylko o osobę major-domusa Helly'ego. Wieczór nie jest gorący ani parny, zaś orzeźwiający powiew idący od fontann, zamykających po obu stronach taras, może konkurować z pałacową klimatyzacją. Nadal ani śladu komarów i natrętnych muszek. Aż trudno uwierzyć, że jestem w sercu Afryki.

Rozmowa się nie klei. Jesteśmy wszyscy zmęczeni sześciogodzinną dyskusją i porządnie głodni po lekkim lunchu. W głowie mam chaos i nie bardzo potrafię przestawić się na tory swobodnej, towarzyskiej pogawędki. Oczywiście, muszę jakoś przestrzegać zasad dobrego wychowania, odpowiadać dowcipnie i z uśmiechem na komplementy siedzącego obok mnie senatora, ale wiem, że nie jest to dowcip najwyższego lotu.

Po obiedzie senator proponuje mi spacer po parku. Pytam Quintę czy nie będę mu potrzebna, nie wiedząc, jak mam postąpić. Wyraża zgodę bez wahania i wydaje mi się, że jest szczerze kontent z propozycji senatora. Swart, Helly i Henderson również chcą się przejść i na tarasie pozostają tylko Quinta i Pratt. Czyżby właśnie o to chodziło?

Początkowo idziemy w piątkę – ja z senatorem na przedzie, tuż za nami reszta. Ale już za drugim zakrętem szerokiej ścieżki, wysadzonej jakimiś drzewiastymi roślinami o wielkich pofałdowanych liściach, inni pozostają daleko w tyle i gdzieś się gubią.

W parku nie jest ciemno. Co kilkadziesiąt metrów mijamy latarnie rzucające dyskretne światło na ścieżkę. Nawet w ich pobliżu nie dostrzegam owadów i pytam senatora, jakimi środkami udało się zlikwidować te plagę. Okazuje się, że tak znakomicie działają „straszaki” elektroniczne, które stosuje się tu zresztą nie tylko do walki z komarami.

–Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami wojny chemicznej nawet z owadami – oświadcza senator. – Biologia uczy wielkiej sztuki kierowania pragnieniami. I na tym polega prawdziwy humanitaryzm. Nieprawdaż?

–Nie bardzo rozumiem... – mówię, zastanawiając się do czego zmierza. – Owady, pragnienia, humanitaryzm?

–Tak, ma pani rację. To, co powiedziałem, z pozoru brzmi trochę dziwnie. W stosunku do owadów należy mówić o instynktach i popędach. Chociaż... pod wpływem pewnych bodźców ludzie i owady mogą zachowywać się podobnie. Oczywiście, bodźców specyficznych, różnych dla ludzi i owadów. Na przykład potrafimy już władać motylami, działając na sferę ich odczuć miłosnych sygnałami o określonej częstotliwości i modulacji, lecz na tak pięknego motyla jak pani te sygnały nie działają. Chociaż nie wątpię, że znajdę sposób...

–Jest pan niebezpieczny – mówię ze śmiechem.

–To raczej pani. Nie wiem nawet do jakiego rodzaju można panią zaliczyć...

–Może do os? Niech pan będzie ostrożny!

–Nie wygląda pani na osę.

–Pozory mylą. A może jestem modliszką...

–Pani mnie przeraża. Na szczęście nie ma ani os ani modliszek przypominających motyle...

–A mnie się zdawało, że pan lubi wszystkie owady.

–Wcale tego nie powiedziałem. Odwrotnie. Wszystkie owady, tak jak wszystkie stawonogi budzą we mnie niepokój, a większość także odrazę. Nawet motyli trochę się boję, choć podziwiam ich piękno. Być może jest to uraz sięgający dzieciństwa.

–Miał pan jakieś przykre doświadczenie...

–Właśnie... Gdy miałem pięć lat ukąsił mnie jadowity wij parecznik. Ukrywał się pod dywanem w pokoju. Miał chyba kilkanaście centymetrów długości...

Czuję jak przechodzi mnie dreszcz.

–Pan jest okrutny, opowiadając mi takie historie.

–Bardzo przepraszam – wydaje się szczerze zmartwiony. – Na szczęście teraz to już tylko gra wyobraźni. Nic tu nam nie grozi. Znamy i stosujemy u nas powszechnie urządzenia odstraszające wije, skorpiony, osy i innych niebezpiecznych gości – mówi z nieukrywaną dumą.

–Widzę, że władza nad tego rodzaju przeciwnikami bardzo pana pasjonuje. Czy nad kobietami również?

–Również. Zwłaszcza gdy są młode i piękne... – znów próbuje „czarować”, biorąc mnie pod ramię.

–Traktuje pan to jako pewną odmianę polowania...

–Nie nazwałbym tego polowaniem. Nie ściga się tu zwierzyny, ani nie czatuje na nią, tylko przyciąga, budząc pożądanie, lub odstrasza iluzją zagrożenia. Po prostu, oddziaływanie odpowiednimi bodźcami.

–A więc znów biologia.

–Oczywiście. Biologia pozwala zrozumieć mechanizm władzy.

–Czytał pan doktora Quintę...

–Oczywiście. To znakomity uczoney. Jestem jego zagorzałym wielbicielem.

–Słowem: walka z owadami i ludźmi metodami doktora Quinty...

–Jeśli chodzi o stawonogi, interesowałem się tym problemem od dawna. Doktor otworzył mi oczy na inne sprawy... Oczywiście, wszystko to nie jest takie proste, wymaga badań, studiów, eksperymentów... Ale klucz to biologia. Nie tylko do poznania, ale i władania przyrodą. Po co zabijać wrogów, gdy można wyzwalać w nich lęk i instynkt ucieczki lub wabić w określone miejsca sygnałem godowym czy łatwej zdobyczy. To humanitarniejsze, godniejsze człowieka.

–Jest pan biologiem?

–Niezupełnie... Raczej socjologiem. Jest jednak wiele analogii... Prawda?

–Między biologią i socjologią? – pytam, jakby nie wyczuwając aluzji.

–Człowiek jest częścią przyrody. Najwyższym szczeblem jej ewolucji. Inteligencja, wiedza, rozum. Tylko to odróżnia człowieka od zwierzęcia.

–Czy wszyscy u was tak sądzą?

Przechodzimy obok ławki. Senator zatrzymuje się, jakby sobie coś przypomniał.

–Usiądźmy – proponuje.

Siadam i czekam co powie. Dłuższą chwilę siedzi w milczeniu, patrząc w ziemię, widać zastanawia się co odpowiedzieć.

–Pytała pani czy wszyscy u nas myślą to samo co ja? Raczej nie... Niejeden uznałby to nawet za herezję. Tradycja, wiara, biblia, a może i polityka każe nam widzieć miejsce i rolę człowieka, i to przede wszystkim człowieka pochodzenia europejskiego, europida pod względem rasowym, w wymiarach nadnaturalnych, niemal charyzmatycznych. Każe widzieć nadrzędność jego pozycji ponad wszelkim stworzeniem, wypływającą z boskich przeznaczeń, z misji jaką ma do spełnienia. Ale nie każdemu wystarczy taka świadomość. Elita intelektualna zawsze potrzebuje rozumowego, racjonalnego fundamentu swych przekonań. To co powiedziałem o podstawowym i jedynym wyróżniku człowieczeństwa nie pozostaje jednak w sprzeczności z tezą o wyższości i posłannictwie człowieka pochodzenia europejskiego. Należy ją tylko rozumieć w sposób nowoczesny – statystycznie i relatywnie. Ludzie pochodzenia europejskiego w decydującym stopniu nadali kształt cywilizacji i kulturze. Gdybyśmy zsumowali wszystkie odkrycia, wynalazki, nowe kierunki w literaturze, muzyce, sztukach plastycznych, będące dziełem Europejczyków i Amerykanów białej rasy i porównali z osiągnię-

ciami innych ludów, już to by wystarczyło za dowód jaka odmiana człowieka znajduje się na szczycie drabiny ewolucji. I wcale to nie znaczy, że nie doceniam znaczenia prochu wynalezionej przez Chińczyków, piękna architektury indyjskiej czy talentu organizacyjnego Inków. Niech pani nie myśli, że jestem zaślepionym, krótkowzrocznym rasistą. Ale potrafię wyciągać wnioski z faktów. A one potwierdzają starą prawdę, że ludzie nie są i nie mogą być równi, a właściwości fizyczne i umysłowe są dziedziczne i podlegają prawom doboru naturalnego lub eugeniki. A jeśli ktoś mówi, że jest inaczej to albo jest durniem i nieukiem, albo kłamie, aby się przypodobać czarnej, żółtej i kolorowej większości.

Widać nieświadomie dotknęłam drażliwej w Dusklandzie kwestii będącej przedmiotem sporów między „tradycjonalistami” i „postępowcami”, do których zalicza siebie senator, bowiem wyraźnie daje się ponieść potrzebie obrony swych poglądów. To może dostarczyć cennych dla mnie i Quinty wskazówek, próbuję więc ciągnąć go za język.

–Czy pułkownik Pratt podziela pana poglądy? Jego stosunek do Numa jest chyba mniej krytyczny od pańskiego?

Senator wydaje się trochę zaskoczony.

–Sądzę, że pułkownik Pratt myśli to samo co ja. Numa ma pewne zalety, których i ja nie kwestionuję, ale ma również sporo wad, typowych dla Afrykańczyków, które widzi też pułkownik. Jeśli bronił Numa to przede wszystkim dlatego, że układ sił politycznych w Patope w okresie jego rządów nie był niekorzystny dla Dusklandu, a jego odejście stwarza sytuację pełną niewiadomych. Ja podzielam jego obawy. Jeśli istnieje między nami różnica zdań to dotyczy ona tylko metody sprawowania władzy w takich krajach jak Patope. Pułkownik sądzi, że jedynie twarde rządy mogą tam zapewnić stabilność i względnie rozsądne postępowanie w polityce. Ja, jak to mogła pani zauważyć, czuję wstręt do wszelkiej przemocy. Nawet stosowanej wobec stawonogów... Jestem głęboko przekonany, że przyszłość należy do takich metod sterowania ludźmi, które zapewniają osiągnięcie celu nie tylko bez użycia siły czy choćby groźby jej użycia, ale nawet bez jakichkolwiek dostrzegalnych dla sterowanego form nacisku i przymusu. Jeśli stanie przed alternatywą, będzie dokonywał prawidłowego wyboru w pełnym przekonaniu, iż czyni to zgodnie z własną nieprzymuszoną niczym wolą.

–Na przykład głosując na pana, senatorze – wtrącam zaczepnie.

–A jednak chyba jest w pani coś z osy – śmieje się grożąc mi palcem. – Ale ma pani rację – zmienia ton na poważny. – Kwestia komu czy czemu mają służyć nowoczesne

techniki sterowania systemami żywymi to kluczowy problem naszych czasów. Czy w tych nowych warunkach ostaną się stare, zachodnie systemy demokracji? Czy hasło „niech zwycięży lepszy” nie będzie znaczyło „zwycięży ten kto dysponuje lepszą techniką, bio, psycho i socjo”? Powie ktoś, że nic w tym nowego, że zawsze w wolnej grze sił większe szanse ma ten, kto dysponuje lepszą propagandą, reklamą wyborczą, lepszą techniką... Ale pani pracuje z doktorem Quintą i wie, że to nie tak, że coś się w tym świecie zmienia... że szansa jaką nam daje współczesna biologia i socjopsychologia w powiązaniu z techniką stymulacji stawia w ogóle znak zapytania przed wolną grą sił. I chociaż fascynują mnie te osiągnięcia nauki, niektóre fakty budzą we mnie niepokój... – urywa wyczekująco.

–Co pan ma na myśli?

Senator podnosi się z ławki.

–Może się trochę przejdziemy – w głosie jego wyczuwam napięcie. – Chyba jednak robi się chłodno.

Czyżby obawiał się podsłuchu? Wstaję bez słowa i ruszamy w głąb parku.

Senator chwilę milczy, potem rozpoczyna jakby z góry ułożoną przemowę:

–Widzi pani... Technika stymulacji stwarza wielką szansę humanizacji władzy. Wielką szansę dla całej ludzkości. Dla europidów zaś to szansa ostatnia, nim pochłonie ich żółta i czarna masa. Musimy z tej szansy skorzystać. Ale oczywiście to kosztuje. Mam na myśli nie tylko i nie tyle nakłady finansowe, bo tu środki muszą się znaleźć, ale przede wszystkim ko-

nieczność rezygnacji z wielu instytucji i praw uświęconych tradycją, wypróbowanych przez wieki, dla wielu z nas niemal świętych. Trzeba po prostu, jakby to powiedział doktor Quinta, przebudować strukturę systemu. Ale to „po prostu” w praktyce nie jest proste. Wymaga studiów, fachowców najwyższej klasy i... rozsądku politycznego. Łatwo o katastrofalne błędy... A czas ucieka. Monopolu na żadną broń, na żadną technikę nie da się długo utrzymać. Słowem, sytuacja jest zła, jeśli nie powiedzieć groźna. Nawet wśród tych, którzy dobrze wiedzą co jest stawką w tej grze, jest wiele niejasności i niepotrzebnych intryg. Wykorzystują je, a może nawet podsycają nasi wspólni wrogowie. I ci jawni, i ci ukryci... Brak zaufania, posunięcia bez uprzedzenia, mogące wydawać się nawet aktem wrogim wobec sojuszników, czy zawołowanym szantażem, nieuczciwa konkurencja gospodarcza, fałszywe informacje i nasyłanie szpiegów, wszystko to może przekreślić szansę o której mówiłem. A przecież jeśli nie chcemy, aby na Ziemi zapanowała czerwona, czarna lub żółta tyrania musimy być zjednoczeni jak nigdy. Musimy skupić swe siły!

Patrzę na niego i zaczynam domyślać się do czego zmierza.

–Dlaczego mówi pan to mnie?

–Liczę na pani pomoc.

–Moją pomoc? – udaję zdziwienie. – Pan żartuje, senatorze. Jestem nikomu nieznaną sekretarką i przewodniczką niewidomego naukowca...

–Oczywiście... – senator ścisza głos – ale... ja wiem wiele o celu waszej podróży... i o pani także. Może więcej nawet niż pani bezpośredni szef.

Czuję wzrastający niepokój.

–O czym pan mówi? – pytam, jakbym nic nie rozumiała.

–O tym o czym ja i pani wiemy, a nie wie chyba doktor Quinta...

–Nie wiem o co panu chodzi, ale to brzmi jak szantaż! – mówię z oburzeniem.

Senator przystaje raptownie. Czuje, że przeholował.

–Co za okropne posądzenie! – protestuje gwałtownie. – Pani źle zrozumiała. Chciałem tylko powiedzieć, że wiem, iż jest pani kimś więcej niż sekretarką czy pielęgniarką...

–Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką i sekretarką! Co pan chce mi wmówić? –

stwierdzam obrażonym tonem, ale obawiam się, że wyszło to niezbyt naturalnie.

–Ach nic, nic oczywiście. Dwie tak różne specjalności... Dość rzadkie połączenie. Którą uważa pani za swe powołanie? – wyraźnie stara się złagodzić napięcie.

–Medyczną. Dzięki doktorowi Quincie wznowiłam nawet studia – udaję, że chcę zapomnieć o incydencie. – Nim zaczęłam pracować u niego, trudno mi było znaleźć czas. Byłam pielęgniarką w klinice profesora Turnera. Tam pięć lat temu poznałam Toma, to znaczy doktora Quintę – poprawiam się, aby wyrecytowana „lekcja” nie wypadła zbyt sztucznie.

–Profesor Turner jest, o ile się nie mylę, neurologiem?

–Neurochirurgiem. Światowej sławy – podkreślam z dumą. – Dwukrotnie operował doktora. Miała być jeszcze trzecia operacja, lecz profesor się waha. To trudny zabieg.

–Długo pani pracowała z profesorem?

Teraz muszę zmyślać, bo o tym chyba nic mi Quinta nie sygnalizował.

–Dwa lata. Przedtem pracowałam w szpitalu stanowym w Bostonie.

–Trudno uwierzyć. Pani taka młoda... Więc doktora Quintę po tym tragicznym wypadku, leczył profesor Turner...

–Tak. I tam się poznaliśmy. Opuściłam klinikę razem z doktorem.

–Wiem. Polecił panią profesor.

–Niezupełnie – mówię wymijająco, gdyż nie wiem jak było naprawdę i natychmiast zmieniam temat przystępując do natarcia. – Ale może powie mi pan wreszcie o co chodzi, a nie tak krąży wokoło? Przecież od samego początku tego spaceru, chce mi pan coś powiedzieć, czy zaproponować i ciągle nie może się zdecydować.

Senator jest wyraźnie zakłopotany. Nie spodziewał się tak otwartego postawienia sprawy i próbuje potraktować pytanie jako zachętę do wyznań... miłosnych.

–Panno Ellen – rozpoczyna nieśmiało. – Czy pani mówi poważnie? Już od pierwszej chwili gdy panią poznałem, odczuwałem dziwne wrażenie, że nasze losy jakoś ze sobą się wiążą. Powiem szczerze, pani mi się ogromnie podoba. Wręcz fascynuje mnie pani uroda, a jednocześnie... niepokoi.

–Jak niektóre owady... – śmieję się z nieporozumienia. – Pan chyba, senatorze, źle mnie zrozumiał. Chciałam tylko wiedzieć, dlaczego wam tak bardzo na mnie zależy? Nic więcej.

–Rozumiem – senator spuszcza głowę. – Rzeczywiście zależy nam na pani. Po prostu, chcielibyśmy, aby pani była po naszej stronie...

–To znaczy? – pytam oschle.

–Od pani wiele zależy... Mogłaby pani wpłynąć na doktora, aby nam pomógł.

–W grze o Patope?

–Nie tylko...

–Vortex – stawiam sprawę otwarcie.

–Właśnie...

–A jeśli doktor odmówi współpracy? – idę, jak to mówią, „za ciosem”.

–Trudno... Pozostanie nam pani pomoc.

Zastanawiam się, co odpowiedzieć. Czuję, że nie powinnam przeciągać struny, odmawiając z miejsca.

–Zobaczymy, co powie doktor i... zastanowię się – muszę grać na zwłokę.

Senator patrzy na mnie z uwagą. Stoimy w pobliżu latarni. Moja twarz jest oświetlona, jego pozostaje w cieniu.

–Może byłoby lepiej, gdyby pani nie relacjonowała zbyt szczegółowo doktorowi naszej rozmowy – mówi senator niezbyt pewnym tonem.

–Tego ode mnie nie może pan wymagać – odpowiadam hardo. – Przekażę doktorowi

to, co uznaję za stosowne.

–Rozumiem – zgadza się senator.

Idziemy teraz wolno w kierunku pałacu. Senator milczy, zamyślony. Ja nie mam zamiaru inicjować rozmowy.

Już z daleka widzę, że na tarasie nie ma nikogo. Idziemy więc z senatorem do baru. Zastajemy tam Pratta ze Swartem popijających whisky. Nie ulega wątpliwości, iż są na lekkim rauszu.

–Panno Ellen! Panie senatorze! – wola Swart na nasz widok. – Prosimy do nas! Toczmy zaciekły spór, który tylko pani może rozstrzygnąć.

–Gdzie doktor Quinta? – pytam trochę niespokojna.

–Doktor z profesorem poszli zaczerpnąć balsamicznego powietrza Knox-Benedict...
– Swart przesadnym gestem wskazuje w górę. – Proszę się nimi nie przejmować. Co państwu nalać?

–A jutro chciałbym z panią porozmawiać! – pułkownik Pratt kiwa w moim kierunku palcem, jakby mi groził.

–Bardzo proszę. Nawet dziś – odpowiadam skwapliwie, chociaż perspektywa tej rozmowy napęla mnie niepokojem.

–Dzisiaj, pani wybaczy, ale nie. Za wiele wypilem. Porozmawiamy jutro, zgoda? – i nie czekając na moją odpowiedź dodaje: – A ten pani szef to trudny człowiek...

–Daj spokój – hamuje go Swart i zwraca się do mnie. – Musi pani rozstrzygnąć nasz spór!

Senator wręcza mi szklankę napełnioną do połowy jakimś złocistym płynem, w którym pływają kawałki lodu.

–Niech pani spróbuje. To bardzo dobre.

Maczam usta. Rzeczywiście trunk jest wspaniały w smaku, lecz zdaję sobie sprawę, że muszę być trzeźwa.

–Cóż to za spór mam rozstrzygnąć? – pytam Swarta.

–Mówiliśmy o waszym porwaniu – rozpoczyna Swart, a ja znów czuję przyływ lęku.
– Ja twierdzę, że uprowadzenie doktora Quinty i pani było zwykłym zbiegiem okoliczności. To znaczy zabrali was, bo byliście razem z Magnusenem. A pułkownik upiera się, że to było przez terrorystów zamierzone. Kto ma rację?

Oddycham z ulgą. Ten temat nie grozi mi żadną wpadką.

–Wydaje mi się, że to był przypadek – mówię, zgodnie zresztą z własnym przekonaniem. – Chodziło przede wszystkim o Magnusena. Doktorem Quintą prawie wcale się nie interesowali. Początkowo nie wiedzieli nawet, że jest niewidomy. Później, rzecz jasna, sytuacja się zmieniła...

–Nie byłbym tego tak pewny – oponuje Pratt. – To mogła być mistyfikacja. Nic pani nie zauważyła? Może jednak? Przecież chyba musieli mieć dobry wywiad. To nie żadne szczeniaki. Ten żółtek to nie byle kto.

–Nasz przylot nie był awizowany – stwierdzam, choć nie jestem pewna czy mam rację.

–Powiedzmy, że jest tak, jak pani mówi – podejmuje pułkownik. – Wobec tego dlaczego was nie zwolniono. Niewidomy to kłopotliwy zakładnik. Mam podstawy, aby podejrzewać, że dowódca bandy, ten Japończyk, znał doktora Quintę, a tylko udawał...

Jestem zaskoczona tym stwierdzeniem. Pratt na pewno nie blefuje.

–Dlaczego miałby udawać? – wyręcza mnie Swart.

–Doktor Quinta nic pani nie mówił? – pyta Pratt, a ja wiem, że jest w tej chwili niemal zupełnie trzeźwy.

–Co miałby mówić?

Niepotrzebnie to powiedziałam. Pułkownik patrzy na mnie jakoś dziwnie.

–Pani, oczywiście, zna okoliczności, w których doktor Quinta stracił wzrok?

–Znam – kłamię i czuję coraz większy niepokój. Lada chwila mogę popełnić fatalną pomyłkę.

–No i...? Nic się pani nie kojarzy...?

–Ach! Oczywiście! – udaję nagle olśnienie. Jednocześnie próbuję wymyślić jakiś pretekst, aby jak najszybciej przerwać kłopotliwą rozmowę, lecz nic rozsądnego nie przychodzi mi do głowy.

–No, właśnie... – Pratt uśmiecha się lekko, chyba ironicznie i nadal patrzy mi w oczy.

Nie wiem zupełnie, co odpowiedzieć, jak zareagować. Senator też na mnie patrzy, jakby ze złośliwą satysfakcją, ale mogę się mylić. Na szczęście Swart wtrąca się

znów do rozmowy, próbując z uporem bronić swego zdania.

–Dlaczego mieliby polować na Quintę?

Pułkownik spogląda z ukosa na Swarta. Jest wyraźnie niezadowolony z towarzysza.

–Nie zadawaj naiwnych pytań! – mówi takim tonem, jakby strofował szeregowca.

–Pytanie wcale nie jest naiwne – bronię doktora Swarta. – Jestem bardzo ciekawa pańskich argumentów, pułkowniku.

–A widzisz, Ray – dorzuca Swart. – Wyłóż swoje argumenty!

Pratt bierze stojącą przed nim szklankę i podnosi do ust. Widać zastanawia się, co powiedzieć.

Jestem rzeczywiście bardzo zainteresowana tym, co odpowie. I to nie tylko dlatego, że być może pozwoli mi to zorientować się nieco w tej zawilej grze, w której zmuszona jestem uczestniczyć, mimo że niewiele z niej rozumiem. Chodzi o to, że w ostatnich dniach coraz więcej pojawia się faktów rzucających jakieś dziwne, niepokojące światło na naszą akcję, na Zielony Płomień, na moich najbliższych towarzyszy, a może nawet na Martina. A jak można sądzić, właśnie o tym będzie mówił Pratt.

Nie dane mi jest jednak tego usłyszeć. W barze pojawia się Henderson, tak samo sztywny jak w czasie dyskusji, z kamiennym wyrazem twarzy przedsiębiorcy pogrzebowego.

–Panowie wybaczą – zwraca się z nieznacznym ukłonem do senatora, Swarta i Pratta. Potem obraca się w moją stronę, podchodzi i „komunikuje” niemal urzędowym tonem: – Panno Parker! Doktor panią prosi. Jest w swoim pokoju.

–Czy coś się stało? – pytam zaniepokojona.

–Nie – odpowiada Henderson krótko.

Odstawiam szklankę na bufet i wychodzę.

–Niech pani jeszcze wróci! – woła za mną doktor Swart.

–Postaram się! – odkrzykuję. – Ale to nie ode mnie zależy.

Quintę zastaję przy biurku. W prawej ręce trzyma ołówek. Zdaje się pisać, ale gdy podchodzę bliżej, stwierdzam że leżące przed nim kartki papieru listowego są czyste.

–Jesteś, Ellen! To dobrze – woła, słysząc moje kroki. Widzę, że kciuk lewej ręki, opartej o blat biurka, ma wzniesiony do góry. Według kodu ostrzegawczego znaczy to, iż prawdopodobnie jesteśmy obserwowani.

–Czy trzeba ci w czymś pomóc? – zapytuję w taki sposób, jak to często czyniła Ellen.

–Usiądź tu przy mnie. Musimy się naradzić – mówi ściszym głosem, ale kciuk jest nadal podniesiony.

Przysuwam sobie krzesło i siadam. Widzę, że zaczyna kreślić jakieś znaki na papierze. Nic z tego nie rozumiem. Przypomina to trochę stenografię, lecz jest dla mnie zupełnie nieczytelne.

Quinta przerywa kreślenie i bierze mnie za rękę, jakby chciał, abym wstała i zobaczyła co nabazgrał. Jednocześnie sygnalizuje:

„Udawaj, że czytasz. To nic nie znaczy. Później wytłumaczę”.

Wykonuję polecenie. Quinta zgniata kartkę i chowa do kieszeni.

–O czym rozmawialiście na spacerze? – pyta, unosząc kciuk. Potem szybko kładzie go i poczyną bębnić palcami po blacie. Mam odpowiadać zgodnie z prawdą, rzecz jasna z wyczuciem sytuacji.

Składam więc dość wierną relację z tego, co usłyszałam od senatora, nie

wspominając tylko o aluzjach, iż rzekomo ukrywam coś przed Quintą. Mówię obszernie o prośbie o pomoc w nakłonieniu doktora do współpracy, dodając parę złośliwych uwag na temat prób „poderwania” mnie przez senatora.

Quinta słucha w milczeniu i raz po raz się uśmiecha. Nawet gdy skończyłam, nie komentuje niczego, tylko zaraz, mimo iż o nic nie pytam, zaczyna mówić o swych rozmowach z Pratem i Hendersonem. Widać zależy mu na tym, aby podsłuchujący wiedzieli, iż wtajemniczył mnie w pewne szczegóły rozmów i jaki jest jego pogląd na niektóre kwestie.

Rozmowy z Pratem i Hendersonem odbywały się prawdopodobnie bez świadków i dotyczyły przede wszystkim spraw VP. Pułkownik dał doktorowi do zrozumienia, iż wie z czyjego polecenia wybrał się do Afryki i dlaczego fatalnego dnia spotkał się w Casablance z prezesem „Alconu”. Quinta twierdzi, że to co powiedział pułkownik było „dość bliskie prawdy”, co rzecz jasna, nic mi nie mówi, ale stanowi określony przekaz adresowany do podsłuchu.

Badania nad vortexem prowadzi w Dusklandzie zespół naukowców różnych specjalności kierowany przez wiceministra obrony pułkownika Chameau, o czym Quinta wiedział już przed przybyciem do Afryki. Zastępcą Chameau jest profesor Henderson. Pratt twierdzi, że zespół składa się z wybitnych fachowców, a pomagają im inżynierowie bionicy z zakładów „Palbio” „ewakuowani” z Cameo. Ale choć zgromadzono sporo faktów, etiologicznie zjawisko jest nadal niejasne, zaś próby opracowania skutecznej metody obrony człowieka przed oddziaływaniem anomalii są jak dotąd niezadowalające.

Co gorsza, 23 listopada, a więc w dniu poprzedzającym akcję w Casablance płk Chameau nie wrócił z kolejnego rajdu na teren Cameo. Zdaniem Pratta, Chameau był o krok od odkrycia metody bezpiecznego poruszania się na terenie anomalii.

W zakładach „Palbio”, produkujących aparaturę do walki z owadami, było również tajne laboratorium zajmujące się falową stymulacją popędów i emocji u ludzi, jednak z tego co mówi Pratt, wynika, że badania tam prowadzone nie wyszły jeszcze poza stadium wstępnych studiów i przypuszczenia, że VP jest dziełem „Palbio” są śmieszne. Duskland jest główną ofiarą anomalii i panuje tu dość powszechna opinia, że „ktoś chce sprzedać nasz dorobek czarnym i to za dobrą cenę”. Pratt modyfikuje tę opinię w ten sposób, że Afrykanów, oczywiście, nie stać na „kupienie” Dusklandu, ale negroidami łatwiej sterować niż europidami i ci, którzy stoją za czarnymi myślą, że w ten sposób umocnią swą pozycję w Afryce.

Według Pratta, kluczem do zrozumienia gry, jaka się tu toczy są wydarzenia w Patope. Co prawda, istnieją wiarygodne informacje, że ani Numa, ani nikt z dowódców żandarmerii, nie mówiąc już o armii, nie był uprzedzony o wytworzeniu anomalii, a już na pewno o jej rozmiarach i natężeniu, ale w okresie poprzedzającym „erupcję” wśród wyższych funkcjonariuszy tajnych służb mówiono coś o „nowej broni” przeciw partyzantom. Termin „erupcja” nie był zresztą pozbawiony sensu – w tym samym dniu, w którym pojawił się vortex, widziano rzekomo nad górami „latający spodek”, zaś w Cameo słyszano echo silnej detonacji, które wzięto za grzmot poprzedzający burzę. W dniu tym nie było jednak żadnych działań militarnych ani w Górach Żółtych, ani w buszu. Nie ma też dowodów, iż w tym rejonie nastąpiła jakaś eksplozja, a nie najzwyczajniejsze wyładowanie atmosferyczne. W serwisie satelitów meteorologicznych, na zdjęciach tego obszaru, nie stwierdzono jakichkolwiek zmian w atmosferze charakterystycznych dla wybuchu i rozpylenia substancji. Brak dowodów, aby VP był spowodowany działaniem czegoś w rodzaju bomby chemicznej, bakteriologicznej czy radiacyjnej. Pratt przypuszcza więc, iż anomalię wywołuje urządzenie naziemne lub kosmiczne o działaniu ciągłym. Pułkownik wykazał jednak zadziwiającą powściągliwość w formułowaniu oskarżeń w stosunku do konkretnych państw czy organizacji.

Pytam Quintę, czy Pratt dał mu do zrozumienia, że w sprawę vortexu zamieszany jest „Al-con”. Przez chwilę boję się, że nie jest to najfortunniejsza „odzywka”, ale doktor uderza kilkakrotnie kciukiem w blat, co oznacza akceptację. Zaraz też odpowiada, iż pułkownik twierdzi, że w kierownictwie filii pojawienie się anomalii wywołało duże zaskoczenie, chociaż i tu krążyły wcześniej wieści o jakiejś nowej broni, którą rzekomo ma wykorzystać Numa. Podejrzenia może budzić fakt, iż „Alcon” nic nie stracił, jak dotąd, na działaniu vortexu. Napięcie polityczne spowodowane jego utworzeniem i zamrożeniem operacji przeciw partyzantom, jest niekorzystne tylko dla Numy. Jego przeciwnicy, a jest wśród nich wielu szamanów z pacyfikowanych plemion, rozsiewają wieści, że to duchy ludzi pomordowanych przez Numę domagają się w ten sposób zemsty na dyktatorze, wspomagając partyzantów Magogo. „Potwierdzeniem” tego jest bezradność wojska i żandarmerii wobec

vortexu i uaktywnienie się polowej radiostacji „Głos Wolności” zlokalizowanej namiarem w Kotlinie Timu.

Opanowanie przez partyzantów tej kotliny, położonej blisko dusklandzkich kopalń uranu w Dolinie Mkavo i elektrowni jądrowej w Nomo, które objęte są pierścieniem vortexu, bardzo komplikuje sytuację. Partyzanci bowiem grożą zniszczeniem elektrowni w przypadku artyleryjskiego ostrzału kotliny. Zdaniem Pratta znamienne jest, że partyzancka krótkofalówka nie wspomina nic o vortexie, jeśli nie liczyć powtarzającego się od czasu do czasu poetyckiego zwrotu, iż „zbliża się dzień, w którym Numa stanie przed sądem żywych i umarłych”, zaś wyrok będzie „straszny”. Język komunikatów wskazuje, że redagują je ludzie wykształceni, o poglądach lewicowych, lecz unikający komunistycznego żargonu. Prawdopodobnie są to biali doradcy partyzantów Magogo, a może i fachowcy obsługujący generatory VP. Być może wśród tych ludzi są również technicy z elektrowni nuklearnej, którzy uciekli z terenu objętego vortexem, chociaż fakt, iż zakłady te działają nadal bez awarii, zdaje się świadczyć, że natężenie anomalii jest tam słabsze i elektrownia nie jest całkowicie pozbawiona obsługi. Niestety, łączność telefoniczna i radiotelefoniczna z zakładami jest zerwana. Pratt sądzi, iż nie jest to awaria układów elektronicznych spowodowana pojawieniem się vortexu, lecz celowe

uszkodzenie, prawdopodobnie przez grupę techniczną, która generuje VP. Podejrzenia, że ośrodek sterujący anomalią znajduje się na terenie Kotliny Timu, zdaje się potwierdzać fakt, iż partyzancka krótkofalówka nadaje bez przeszkód swe komunikaty, jedynie jej moc ulega cyklicznym wahaniom. Tymczasem nadajniki zwiadowców płk. Chameau milkną, gdy wchodzą oni głębiej w vortex.

Pratt wiąże ściśle akcję w Casablance z problemem VP i to nie tylko z uwagi na osobę Barleya. Okazuje się, że w czasie swego pobytu w Dusklandzie Martin był pod dyskretną obserwacją, a nawet ułatwiono mu wyprawę do Cameo. Niestety, niemal wszyscy agenci wmieszani w bandę pijaków i złodziejasków nie wytrzymali nerwowo halucynacji i wrócili, zaś dwóch ludzi w ogóle zaginęło, w tym młody biolog z zespołu Chameau. Planowane „zdjęcie” Barleya, gdy wróci, nie doszło do skutku, gdyż prawdopodobnie przeszedł on granicę na terenie anomalii, a wkrótce potem aresztowano go w Inuto.

Zdaniem pułkownika Barley zgromadził nie tylko cenne materiały naukowe dotyczące anomalii, które umożliwiły mu przebywanie na jej terenie, ale prawdopodobnie jest w posiadaniu jakichś tajnych informacji na temat ośrodka sterującego vortexem. Żandarmom Numy nie udało się wiele wycisnąć z Barleya, co Pratta dziwi, lecz tłumaczy to „zahartowaniem” Martina w vortexie, lub wręcz jego „nietypowością” umożliwiającą mu bezkarne przekraczanie bariery VP.

O życie Barleya toczyła się walka nie tylko oficjalna, dyplomatyczna, ale również skryta, z udziałem różnych tajnych służb i organizacji. Można przyjąć, iż terroryści nie działali tu wyłącznie z własnej inicjatywy, a fakt, że Barley miał z nimi „jakieś powiązania osobiste”, tylko ułatwiał sytuację, gdyż maskował rzeczywistych zleceniodawców, nawet przed wykonawcami zadania.

Zważywszy jak ogromne znaczenie dla przyszłości Dusklandu ma sprawa vortexu, Pratt i jego zwierzchnicy „zmuszeni są” prosić Quintę o pomoc, zarówno w formie bezpośredniej współpracy, jak i pośrednictwa w kontaktach z „pewną bardzo wysoko postawioną osobistością”. Quinta oświadczył w odpowiedzi, że przede wszystkim musi nawiązać kontakt z ambasadą amerykańską w Dusk i zapytał kiedy to wreszcie będzie możliwe. Na to Pratt odpowiedział, że Quinta jako wytrawny znawca dyplomacji z pewnością rozumie, że dopóki nie wyklaruje się sytuacja w Patope, nie byłoby dobrze ujawniać okoliczności uwolnienia doktora i jego sekretarki. Pratt „prosił” też, aby Quinta podjął decyzję przed jutrzejszym wieczorem, kiedy prezes Knox będzie już prawdopodobnie wolny i przyjedzie, aby osobiście powitać doktora w swoim domu.

Pytam Quintę, czy pułkownik interesował się Hansem Oriento i jego „chłopcami”,

ale nie jestem pewna, czy postępuję słusznie, bo Quinta mówi krótko, że nie i unosi palec przypominając o podsłuchu. Zaraz też przechodzi do relacjonowania rozmowy z profesorem Hendersonem, którą określa jako „zachęcającą”. Trudno powiedzieć, co ma na myśli i chyba mu o to idzie.

Tematem rozmowy z Hendersonem była również anomalia. Profesor zapoznał Quintę z wynikami badań prowadzonych przez zespół Chameau, co niewątpliwie miało go zachęcić do współpracy, a przynajmniej skłonić do szczerości.

Informacje przekazane przez profesora Quinta ocenia jako „niezbyt rewelacyjne”, jeśli idzie o wyniki badań prowadzonych na terenie anomalii. Za interesujące uznaje poszukiwania sposobów obrony przed działaniem pola VP, stwierdzając, że różnią się one znacznie od „technik dotąd stosowanych”. Henderson jest elektrofizjologiem i głównie mówił o swych próbach oddziaływania bodźcami elektrycznymi na ośrodki mózgowie zawiadujące emocjami. Niestety, czynniki powodujące zaburzenia psychiczne nie zostały dotąd przez zespół Chame-au zidentyfikowane i chociaż wysunięto kilka hipotez na ten temat, żadna nie jest zadowalająca. W tych warunkach obrona przed polem VP polega na zwalczaniu skutków, a nie usuwaniu przyczyn.

Na początku stosowano coś w rodzaju psychiatrycznego leczenia objawowego, podając różne leki neuroleptyczne. Chociaż łagodziły one lęk, nie tłumiły jednak halucynacji, a ich ubocznym działaniem było ograniczenie sprawności intelektualnej i fizycznej. Wkrótce więc zaniechano tych metod i próbowano wysłać do Cameo ludzi wybranych drogą selekcji – odpornych na stany lękowe i halucynacje. W tym właśnie czasie pojawił się w Dusklądzie Martin i jego przykład wzmocnił wiarę w realność tej metody. Ale nadzieje okazały się przedwczesne. Najbardziej odporni i wytrenowani ginęli w Cameo i to całymi grupami. Zaproszono wówczas do zespołu profesora Hendersona. Z jego też inicjatywy podjęto prace nad stymulatorami elektromagnetycznymi i infradźwiękowymi, korzystając z osiągnięć laboratoriów „Palbio”, a przede wszystkim zespołu wybitnych specjalistów „ewakuowanych” z Cameo. Metoda Hendersona polega na stymulacji wiązkami fal elektromagnetycznych i infra-dźwięków niektórych obszarów mózgowia, zwłaszcza układu rąbkowego. Skonstruowano specjalne hełmy z emiterami i zdawały one nieźle egzamin na zewnętrznych obszarach VP. W głębi anomalii, niestety, zawodziły, jak wszystkie urządzenia elektroniczne, a procent zaginionych był jeszcze większy niż w przypadku zwiadowców nie wyposażonych w tę aparaturę.

Zdaniem Quinty, Henderson dość obiektywnie ocenia sytuację. Mówił on, iż aparatura jest kłopotliwa w obsłudze, zwłaszcza w czasie wielogodzinnych wypraw, gdyż wymaga żmudnej regulacji dla dostosowania częstotliwości i modulacji do powolnych, lecz nieustannych zmian oddziaływania vortexu nie tylko na mózg, ale i układy elektroniczne emitera. Konieczne więc są dalsze badania zmierzające do wykrycia złożonych prawidłowości w cyklicznych zmianach pola VP i opracowania odpowiednich programów. Co gorsza, ostatnio obserwuje się jakby wzrost amplitudy owych oscylacji i aparatura może powodować zaburzenia psychiczne, a nie je wygaszać. Już po zaginięciu płk. Chameau, wysłano jeszcze dwóch ludzi w hełmach ochronnych, na poszukiwanie pułkownika. Brali oni udział już w kilku poprzednich rajdach i znali dobrze teren. Obaj nie wrócili...

Henderson powiedział Quincie, że nie traci nadziei, iż jego metodą uda się w końcu stworzyć skutecznie działający hełm, lecz wymaga to długich badań, a czas ucieka. Stąd wymiana informacji między wszystkimi zespołami prowadzącymi badania byłaby nad wyraz pożądana.

Nie obeszło się też bez oryginalnej próby „kupienia” doktora. Przed odejściem profesor wspomniał, że chętnie by zbadał Quintę, a być może znalazłby sposób przywrócenia mu wzroku, choćby w ograniczonym stopniu. Operację mogliby wspólnie przeprowadzić z profesorem Turnerem, który jest jego kolegą z czasów studiów.

–Czy naprawdę mógłby ci pomóc? – pytam, gdyż sądząc po sposobie, w jaki mi o tym mówi, propozycji musiał wysłuchać z mieszanymi uczuciami.

–Nie wiem – odpowiada z wahaniem, chyba szczerym. – Przed kilkunastu laty Henderson zajmował się wszczepianiem elektrod do pól projekcyjnych ośrodków wzrokowych. Wiesz chyba... Daje to w efekcie odbiór sygnałów wysłanych ze specjalnej kamery tv. Niewidomy, jeśli ośrodki nie są porażone i operacja udana, może widzieć, w najlepszym razie, punkty czy plamy świetlne odpowiadające rozmieszczeniu przestrzennemu rzeczywistych, oświetlonych jasno obiektów. Henderson przeprowadził podobno kilka udanych zabiegów. Bardzo mnie to wówczas interesowało ze zrozumiałych względów. Ale ciągle jeszcze liczyłem, że uda się wydobyć ten fatalny odłamek. Potem dość nagle o Hendersonie przestano pisać i mówić. Były nawet plotki, że się wycofał z praktyki, gdyż popełnił w czasie jakiejś operacji tragiczną w skutkach pomyłkę. Ale chyba to nie była prawda. Prawdopodobnie wtedy właśnie zaczął pracować w „Palbio” nad stymulacją falową.

–Zgodziłbyś się teraz na operację?

Nie odpowiada. Dłuższą chwilę nad czymś się zastanawia, potem wyciąga do mnie lewą rękę, zaś wskazującym palcem prawej poczyną kreślić jakieś tajemnicze znaki na blacie biurka. Wstaję i biorę go za rękę, przyglądając się jego ruchom. Nic, oczywiście, nie rozumiem.

„Udawaj, że czytasz” – poczyna sygnalizować. – „H. mówił, że chce nam pomóc w nawiązaniu kontaktu z kimś z zewnątrz. Możemy przesłać gryps. Rano mam mu przekazać”.

„Naiwna sztuczka”.

„Bardzo prawdopodobne. Ale trzeba spróbować. Podyktuję ci w nocy”.

„Co znaczą te znaki? Nic nie rozumiem”.

„Blef. Jeśli H. to szpicel, czekają, jak przekażę ci nowinę. Niech myślą, że to szyfr. Jeśli H. naprawdę chce nam pomóc, nie można go zdradzić. Będą się głowić, co ci przekazałem”.

„H. to prowokator”.

„Pewności nie ma. Ostrzegaliśmy też, że P. ma jakieś wątpliwości dotyczące mnie i ciebie”.

Znów zaczynam się denerwować.

„Wie kim jestem?”

„Coś podejrzewa, ale nie jest pewny”.

„Jutro rano chce ze mną rozmawiać”.

Quinta poczyna kreślić jakieś elipsy i trójkąty. Twarz ma skupioną i poważną. Jest wyraźnie zaniepokojony wiadomością.

„Boję się – sygnalizuję coraz bardziej przestraszona. – Co mam robić? Może udać chorą?”

„Niebezpieczne. Łatwo dać zastrzyk prawdy” – odpowiada natychmiast.

„To okropne. Co zrobimy?”

Przestaje kreślić „znaki” i powoli wstaje z krzesła, ciągle trzymając mnie za rękę, ale nic nie sygnalizując. Nagle – jakby z lekka się uśmiechnął. Niespodzianie podnosi moją dłoń do ust i całuje.

„Odegramy komedię miłosną. Dziś w nocy” – nadaje znów spokojnie i wolno. Widzę teraz wyraźnie, że się uśmiecha, jak uczeń płatający figle.

Propozycja jest zaskakująca i nie wiem jak zareagować. Rozumiem – sytuacja wyjątkowa, musimy Pratta wprowadzić w błąd, aby nie miał wątpliwości, że jestem Ellen Parker. Ale czy mogę mieć pewność, że zamiary Quinty są uczciwe? Czy nie będzie próbował wykorzystać sytuacji? Co prawda nie wygląda na Casanovę, ale kto go wie? Może Henderson nic na mój temat nie mówił, a doktor sam wymyślił „ostrzeżenie”? Może chce się zabawić? Prawdę mówiąc, to do niego nie pasuje. Martin, Bob, może nawet senator to co innego. To się czuje na odległość... Ale Quinta? Trzeba sprawę postawić otwarcie:

„Tylko jako gra. Na nic nie licz”.

Jeszcze raz się uśmiecha, ale jak gdyby z melancholią.

„Wiem, że nie mogę liczyć”.

Przechodzę do rzeczy:

„Praktycznie, jak sobie to wyobrażasz?”

„Jak najprościej i normalniej. Jesteśmy aktorami. Nic więcej”.

„Czy często sypiałeś z Ellen?”

Przestaje się uśmiechać i puszcza moją dłoń. Za późno uświadamiam sobie brutalność pytania. Przecież od śmierci Ellen minęły zaledwie dwa dni. Powinnam jakoś rozładować sytuację.

–Czy nie masz zamiaru wrócić jeszcze do baru? – pytam, aby jakoś przerwać zbyt już długotrwałą ciszę. – Tam oni jeszcze piją i gadają. Prosili, abym jeszcze przyszła...

Idzie wolno w kierunku tapczana, z rzadka tylko kontrolując położenie mebli. Nie zatrzymując się mówi:

–Jeśli masz chęć, możesz do nich wrócić. Ja jestem już zmęczony dyskusjami. Wolę posłuchać radia i pójść wcześniej; spać. Tobie też radzę to samo.

Te ostatnie słowa to z pewnością polecenie. Mnie zresztą również nie odpowiada zupełnie perspektywa rozmowy z Pratem, Swartem i senatorem. Zwłaszcza, że z pewnością chcieliby mnie upić i pociągnąć za język.

Muszę też, przed jutrzejszą rozmową, wyjaśnić wiele ważnych kwestii z Quintą. Głowę mam tak wypełnioną pytaniami, że najchętniej usiadłabym z nim gdzieś na ławce w parku, gdzie można dyskretnie wymieniać sygnały.

–Przygotuj mi kąpiel – prosi niewidomy i wiem, że już nie ma sensu proponować spaceru. Może to i lepiej, bo czy dano by nam posiedzieć na ławce bez świadków?

–Wobec tego ja też zostaję – oświadczam i idę do łazienki, aby nalać wody i ingrediencji kąpielowych do wanny. Myślę teraz nieustannie o pytaniach, jakie powinnam zadać doktorowi. Jest tego tak wiele, że na pewno zajęłoby to całą noc, zważywszy powolne tempo przekazu alfabetem Morse’a. Już to samo wyklucza zajmowanie się „czymś innym”... Kiedy więc, po przygotowaniu kąpeli, wracam do pokoju Quinty, mówię do niego:

–Nie bardzo chce mi się spać. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wpadnę jeszcze do ciebie na trochę...

Wstaje z tapczana. Widzę, że znów się uśmiecha. Znaczy to, że już nie ma do mnie żalu, za to nietaktowne pytanie. Idzie dość pewnie w kierunku łazienki, świetnie pamiętając rozkład przestrzenny pokoju. Dopiero w samych drzwiach zatrzymuje się i oświadcza, jakby trochę zażenowany:

–Ellen! Nie, nie przychodź. Połóż się. To ja przyjdę.

Zamyka za sobą drzwi, a ja stoję w pustym pokoju i zastanawiam się, czy to co zamierzamy zrobić, całe to przedstawienie ma rzeczywiście jakiś sens. Coś mi się nie podoba w jego zachowaniu. Oczywiście, to co powiedział, a co brzmi dość niedwuznacznie, adresowane było do podsłuchu. Ale skąd wiem, czy rzeczywiście nasze rozmowy są podsłuchiwane i nagrywane. Może on po prostu mi to wmawia? Dlaczego tak dziwnie się uśmiechał? A może wyobraża sobie, że gotowa jestem wejść całkowicie w rolę Ellen? To się grubo pomyli. Rozumiem, że jest to jedyna droga udowodnienia, że jesteśmy „małżeństwem”, a także dobry sposób maskowania sygnalizacji, nawet jeśli działają tu gdzieś ukryte kamery. Ale jest to również wymarzona okazja do nawiązania bardziej intymnego kontaktu. Jeśli na to liczy to się przeliczy.

Rzecz jasna do pewnych granic muszę grać rolę „sekretarki do wszystkiego” i być może za mało jak dotąd okazywałam zewnętrznych przejawów zażyłości i uczuć świadczących o czymś więcej niż szacunku, oddaniu czy przywiązaniu. Może to właśnie, że byłam zbyt powściągliwa, chłodna i poprawna wobec Quinty, że nie mówiłam do niego „Tom”, nie stwarzałam pozorów intymnych związków, wzbudziło podejrzenia pułkownika. Ale przecież Ellen zachowywała się podobnie, a ja tylko ją

naśladowałam. Ellen była jednak prawdziwą Ellen Parker – sekretarką, opiekunką i kochanką doktora Quinty.

Teraz ja mam zagrać jej rolę tak, aby Pratt i senator uwierzyli, że już od lat między mną a Quintą utrzymuje się coś na kształt pożycia małżeńskiego. Wynika stąd, że nie powinniśmy zachowywać się jak para kochanków ogarniętych nagłą namiętnością. Nie wiem doprawdy, czy to ułatwia czy utrudnia grę. A w ogóle sytuacja staje się zabawna, jakby żywcem wzięta z filmowej czy teatralnej farsy. Przechodzę do swojego pokoju, rozbieram się, idę do łazienki i biorę prysznic. Ciągłe mi stają w pamięci podobne sytuacje w oglądanych dawno komediach. Tam jednak kończyły się one niemal z reguły małżeństwem... Głupia jestem... Myślę w tej chwili o Martinie i czuję jakbym czemuś była winna... To nonsens. A gdyby zamiast Quinty był tu Bob?

Czy rzeczywiście ten niewidomy doktor budzi we mnie niechęć czy wstręt? Na pewno nie! Nie mam, co prawda, zbyt wielkiego do niego zaufania, ale muszę przyznać, że mi imponuje, a nawet trochę go ostatnio polubiłam. Tom... Niebrzydkie imię... Jako mężczyzna może się zresztą podobać. Jednak nie jest w moim guście i trochę za stary... Ale Martin też jest znacznie ode mnie starszy. Tak czy inaczej nie powinien na nic liczyć...

Ubieram się w piżamę i ścielę łóżko. Już nie odczuwam niepokoju, a sytuacja śmieszy mnie coraz bardziej. Łapię się nawet na tym, że zaczynam chichotać.

Przywołuję się sama do porządku i próbuję zastanowić się nad pytaniami, na jakie powinnam otrzymać odpowiedź przed rozmową z Pratem. Leżę na łóżku i patrząc w sufit, liczę odruchowo drewniane, pięknie rzeźbione kasetony. Czy w którymś z nich kryje się kamera? I gdzie mogą być mikrofony? Chyba nie w łóżku... A zaraz na początku powinnam Quincie zasygnalizować, iż liczę, że będzie zachowywał się przyzwoicie...

I oto staje już w drzwiach.

–Ellen! – słyszę jego szept. – Czy światło się pali?

–Już gaszę – odpowiadam i naciskam wyłącznik. A więc zaczyna się gra.

Widzę w półmroku jak podchodzi po omacku do mojego łóżka, przesuwa dłonią po pościeli i siada obok mnie. Teraz jego palce dotykają mego boku, biegną do ramienia, piersi, potem do szyi i przesuwają się po twarzy. Chwytam go za rękę i sygnalizuję:

„Nie zapominaj kim jestem”.

Słyszę stłumiony śmiech.

„Mam prawo wiedzieć jak wyglądasz” – ściska rytmicznie palcami moją dłoń. – Podobno jesteś ładna”.

Mam chęć powiedzieć coś złośliwego, ale nic mi do głowy nie przychodzi.

„Czy Ellen mówiłaś to samo?”

Jest to tak głupie i banalne pytanie, że jestem na siebie wściekła. Po co ciągle przypominani mu tę Ellen?

Chyba myśli to samo, bo wypuszcza moją rękę i siedzi nieruchomo, jakby się zastanawiał, czy wstać i odejść. To wszystko nie ma sensu.

Chwytam go za ramię dając znak, aby się położył obok mnie. Kładzie się, ale na samym skraju łóżka, tak że zupełnie mnie nie dotyka. Czuję się idiotycznie.

Tak upływa parę minut. Decyduję się wreszcie. Przykrywam go brzegiem pledu i odnajduję jego dłoń.

„Ciągle myślę o Ellen – próbuję się usprawiedliwić. – Za mało o was wiem. Łatwo o jakieś głupstwo”.

„Czy miałaś już kłopoty?”

„Pratt mówił, że cię znał Japończyk”.

Zastanawia się. Potem sygnalizuje, ale na inny temat.

„Muszę cię chociaż objąć. Mogą nas obserwować w podczerwieni”.

Wsuwa rękę pod moje plecy i przyciąga do siebie.

„Pers czyli Toszi Izumo. Maj 1973. Zamach bombowy przed ambasadą francuską w Londynie. Byłem tam. Przypadkowo”.

„Toszi wie?”

„Na pewno”.

„Czy wiedział, że cię spotka u Magnusena?”

„Możliwe”.

„Po co przyleciałeś do Afryki?”

„Vortex. Szukam nici”.

„Magnusen?”

„Ktoś wyżej”.

„Pratt wie kto?”

„Chce się dowiedzieć od nas”.

„Powiesz im?”

„Nie wiem”.

Zastanawiam się co ma na myśli: nie wie kto, czy nie wie jeszcze czy powie? I w jakim stopniu jest uczciwy w rozmowie ze mną?

Może wyczuł moje wahanie albo po prostu przypomniał sobie o „obowiązках”, bo przyciąga mnie silniej ku sobie i poczyną delikatnie muskać wargami mój policzek. Odsuwam

głowę, lecz zaraz uświadamiam sobie, że to wbrew regułom gry, a Quinta może to niesłusznie potraktować jako niepohamowany odruch wyrażający odrazę. I tak chyba

traktuje, bo puszcza mnie i powoli się odsuwa. Po chwili leży już obok, prawie mnie nie dotykając.

Muszę naprawić błąd. Unoszę się na łokciu. Widzę w mroku jego twarz, wydaje się młodszy niż w pełnym świetle i bynajmniej nie budzi odrazy. Nachylam się i całuję go. Cóż mi to szkodzi...

Jest zaskoczony i chyba z lekka drżą mu wargi. Muszę przyznać, że i na mnie to trochę działa...

Odwraca się ku mnie i poczyną gładzić po włosach. Potem obejmuje moją szyję ramieniem, przyciąga do siebie i poczyną całować po twarzy, ramionach, piersiach... Jego palce manipulują przy guzikach piżamy. Widać ma dużą wprawę...

Tego już za wiele! Wyrrywam się z objęć i odpycham go tak gwałtownie, że aż zsuwa się z łóżka na dywan. Z pewnością nie spodziewał się takiej reakcji.

Po chwili wstaje z podłogi i opuszcza mój pokój.

Leżę i patrzę w sufit. Jestem wściekła na niego i na siebie. Znalazłam się w tak idiotycznej sytuacji jak nigdy w życiu. Może traktował to jako aktorską grę, ale ja przecież nie jestem z kamienia. Czy zresztą była to tylko gra? Nie jestem aż tak naiwną, niewinną panienką... Mogłam rzecz jasna zareagować spokojniej, ale na gwałtowność odruchu z pewnością wpłynął stan napięcia i uczucie wstydu spotęgowane świadomością, że możemy być obserwowani.

Ale przecież, na zdrowy rozum, właśnie dlatego powinnam zachowywać się spokojnie. Zważywszy jutrzejszą rozmowę z Pratem zrobiłam wręcz krok samobójczy. Nie tylko cała „komedia miłosna” okazała się niewypałem, ale nawet straciłam szansę naradzenia się nad sytuacją i uzyskania niezbędnych informacji.

Muszę coś zrobić, aby choć częściowo naprawić błąd. On już chyba nie wróci, a więc ja muszę pójść do niego.

Właściwie chyba moje skrupuły są niepotrzebne. Przecież to jest komedia, gra i nic więcej. Muszę po prostu wyobrazić sobie, że jestem aktorką, odtwarzającą napisaną przez kogoś rolę przed widownią czy kamerami filmowymi. Jest to scena miłosna i muszę ją dobrze zagrać. Nic poza tym. Przecież ten mężczyzna, ten aktor-partner jest mi w istocie obojętny. Nigdy mi do głowy nie przyszło, aby mógł być moim kochankiem. A jeśliby próbował posunąć się za daleko i wykorzystać okazję zawsze przecież mogę przeciwdziałać. Mało razy widziałam takie sceny w kinie...

Już jestem zdecydowana. Wstaję i idę do jego pokoju. Leży na tapczanie, ale chyba nie śpi.

–Tom! Ja cię przepraszam – mówię szeptem. – Nie wiem, co mi się stało.

Chyba dobrze zagrałam. Unosi się na łokciu i wyciąga rękę.

–Chodź... – mówi cicho.

Zrzucam piżamę i kładę się obok niego. On i tak nie widzi. A tamci, jeśli podglądają niech mają teatr...

Wyczuwam bliskość jego ciała i jakąś przyjemną podniecającą atmosferę oczekiwania. Po chwili już dotyka ostrożnie palcami mego ramienia. Dłoń jego cofa się, wraca, gładzi po twarzy, szyi, dotyka piersi... Czuję się bardzo niewyraźnie...

Gdy dosięga biodra chwytam jego rękę i pytam:

„Ellen cię kochała?”

„Tak sądzę”.

„Senator mówił, że wie coś o mnie czego ty nie wiesz”.

Nie odpowiada.

„Może miała kogoś o kim nie wiesz?” – stawiam sprawę otwarcie.

„Chyba nie”.

Długo się zastanawia, a ja czekam. Wreszcie poczyna sygnalizować.

„Co jeszcze mówił?”

„Że protegował mnie Turner”.

„Tak było”.

„Dużo wiedzą” – sygnalizuję swe zaniepokojenie.

„Ellen pracowała swego czasu dla CIA. Powiedziała mi – wraca do poprzedniego tematu. – Może o to chodziło”.

„Nie mówiłeś. Za wiele ukrywasz przede mną”.

–Poprawię się – mówi szeptem, a jego dłoń znów rozpoczyna wędrówkę.

Niepokoi mnie to, lecz i sprawia przyjemność. W ogóle czuję się jakoś dziwnie. Trochę tak, jak w czasie moich pierwszych nocy z Martinem, ale zarazem jakby inaczej... Kiedyś dawno już temu, koleżanki namówiły mnie, abym spróbowała „trawki”. Jeden jedyny raz. Wtedy właśnie odczuwałam chyba podobne wrażenie, tyle, że teraz jest nieporównanie słabsze.

Może senator dał mi coś w koktajlu? Co za szczęście, że nie wypiałam więcej! Nie mam się zresztą czym przejmować. Jest to stan nader miły, wręcz rajski, a przy Tomie czuję się bezpieczna. Teraz gdy mnie obejmuje i tuli w ramionach, gdy szuka wargami moich warg, a palce utrwalają w jego pamięci obraz mego ciała, nie dbam już o nic, o niczym nie chcę myśleć.

I ja też zresztą nie pozostaję bierna. Ta gra coraz bardziej mnie wciąga i zaczynam chyba zatracać poczucie granicy między symulacją a rzeczywistym podnieceniem erotycznym. Co gorsza, początkowo działająca na mnie jak zimny prysznic, świadomość, że możemy być obserwowani czy nawet filmowani, teraz jakoś poczyna wywoływać wręcz odwrotny skutek – potęgować owo podniecenie, nadając wstydlowi jakiś rozkoszny smak. Jest w tym z pewnością coś z perwersji i nigdy bym się nie spodziewała, że mogę doznawać takich wrażeń.

Te próby introspekcji to zresztą już ostatnie bariery, które same jakoś się załamują. Zapominam o pułkowniku, o Ellen, o vortexie... Zamiast sygnałów wymieniamy już tylko pocałunki i uściski. Tom z pewnością przeżywa to samo co ja i nie robi nic, aby przeciwdziałać temu szaleństwu, które nas wciąga coraz dalej i dalej, jak motyle w laboratoriach Hendersona...

A więc stało się... Wbrew zamiarom, wbrew wszelkiej logice zdarzeń jestem od sześciu godzin nie fikcyjną, lecz rzeczywistą kochanką doktora Quinty. Zdradziłam Martina i to nie z Bobem, który naprawdę mnie interesował, i – jak się to mówi – „wart był grzechu”, lecz ze starszym od Boba o kilkanaście lat mężczyzną, który aż do wczoraj, mogłabym przysiąc, nie był zupełnie w moim typie. Odwrotnie, długo budził we mnie niechęć i obawę, a jeśli ostatnio trochę zaczęła mnie fascynować jego osobowość to tylko jako naukowca i nie mogło mieć to przecież wpływu na sferę seksu.

Obudziłam się parę minut temu. Już świta. Przez wysokie, pałacowe okno sączy się blade światło. Wczorajszego wieczoru zapomniałam zasunąć story.

Patrzę w okno i rozmyślam o minionej nocy. Słyszę za sobą, tuż przy uchu, miarowy oddech śpiącego. Jestem szczelnie otulona pledem – i muszę stwierdzić, że ten wyraz troskliwości nie jest mi obojętny. Tom jest przykryty tylko do połowy odwiniętym prześcieradłem. Spoglądam na jego opalone, muskularne ramię i mam chęć przytulić się do niego. Wcale nie czuję do Toma żalu, chociaż – tak na zdrowy rozsądek – to, do czego doszło, można by uznać za „świadome nadużycie zaufania”, a co najmniej „wykorzystanie sytuacji”. Ale prawdę mówiąc, chyba i ja nie jestem tu bez winy. Jaki zresztą sens mówić tu o winie? Może tak właśnie „było nam pisane?”

Przecież Oriento przepowiedział mi to jeszcze w Monachium...

Bzdura! Tak właśnie wróżbę podciąga się pod fakty. Niewiele brakuje a zacznę wierzyć, że również Ellen przepowiedział śmierć.

W tej chwili uświadamiam sobie, że za kilka godzin czeka mnie rozmowa z Pratem i muszę koniecznie obudzić Toma, aby wreszcie jakoś rozsądnie przygotować się do tej próby. Nie ma co zwlekać. Przysuwam się do niego, całuję w nieogolony policzek i zarzucam pled na jego gołe plecy. Jednocześnie chwytam pod pledem jego rękę i ściskam mocno.

Czuję, że się ocknął. Odwzajemnia uścisk, chwilę zastanawia się, potem pospiesznie sygnalizuje:

„Agni, jestem świnia”.

Tego nie oczekiwałam i zaczynam krztusić się ze śmiechu.

„Jesteś. Ja też” – odpowiadam bez namysłu.

Chyba zaskakuje go moja reakcja, bo dopiero po dłuższej przerwie nadaje:

„Nie rozumiem sam jak mogłem tak się zachować. Ja naprawdę nie chciałem. Może to bliskość vortexu?”

„To znaczy, że ci się nie podobam” – robię z niego „balona”.

„Przeciwnie. Sam nie wiem, co plotę”.

„Musimy się naradzić” – przechodzę do rzeczy i całuję go w usta.

„Nie gniewasz się?”

Przytulam się do niego.

Chwyta mnie w ramiona. Znow czuję bliskość jego ciała i wszystko inne przestaje być ważne. Nawet rozmowa z Pratem.

On jednak widocznie pomyślał o tym samym i o tyle przytomniejszy jest ode mnie, że pyta:

–Która godzina?

W pierwszej chwili odczuwam pytanie jak afront. Zaraz jednak rozsądek bierze górę. On ma rację, czas ucieka!

W rogu pokoju stoi stary zegar. Jest już dość widno, aby dostrzec położenie wskazówek.

–Dwadzieścia po szóstej. Jeszcze trochę się zdrzemnę.

Dobrze rozumie o co chodzi.

–Ja też – odpowiada i przewraca się na bok.

Kładę dłoń na jego piersi i sygnalizuję:

„Boję się rozmowy z Pratem. Za mało wiem o Ellen. I o tobie też”.

Muszę teraz skupić uwagę i zapamiętać jak najwięcej przekazanych mi przez Toma informacji. Na szczęście, nie czuję zmęczenia ani senności, a Tom potrafi łączyć zwięzłość z przejrzystością przekazu.

Zaczyna od siebie. Okazuje się, że urodził się nie w Stanach lecz w Kanadzie, w Quebec, gdzie ojciec jego założył niewielkie przedsiębiorstwo budowlane. Gdy Tom miał 12 lat przenieśli się do Massachusetts. Tam ukończył studia i rozpoczął pracę w MIT. Specjalizuje się w analizie systemowej. W 1973 r. bierze udział w sympozjum międzynarodowym poświęconym komputerowemu modelowaniu wielkich systemów w Londynie. Odwiedza przy okazji znajomego w ambasadzie francuskiej i staje się ofiarą akcji terrorystycznej. Traci wówczas wzrok. Po wyjściu ze szpitala przeżywa okres załamania, potem podejmuje dalsze studia, tym razem polityczne. W tym okresie nawiązuje też współpracę z IAT i specjalizuje się w zagadnieniach terroryzmu. Jest wykładowcą na Columbia University. Pisze coraz więcej, zdobywając pozycję w świecie naukowym. Zyskuje też kilku wpływowych przyjaciół w świecie polityki i wielkiego biznesu. Przed ośmiu laty poznaje Turnera, który wzbudza w nim nowe nadzieje. W jego klinice w Bostonie poznaje Ellen. Przed tym były w jego życiu jeszcze dwie dziewczyny: jakaś koleżanka ze studiów i asystentka, z którą chciał żenić się, lecz nic z tego nie wyszło i wyjechała na jakąś placówkę do Nigerii czy Ghany. Ta dziewczyna to podobno jego największa dotąd miłość.

Ellen to sprawa bardziej skomplikowana.

„Była moimi oczami, a nieraz i uszami. Potrzebowałem jej i ona wiedziała, że jest mi

niezbędna. Miłość przyszła później” – tak to określa. Po dwóch latach, gdy już była dla Toma nie tylko pielęgniarką i sekretarką, powiedziała mu, że została podstawiona przez CIA, że ma się nim opiekować, ale i donosić o wszystkim, lecz że nigdy nie zrobiła nic, co mogłoby mu szkodzić, zaś okłamywać go dalej nie będzie, bo go naprawdę kocha. Zdaniem Toma mówiła to szczerze i miał prawo jej wierzyć. I zaraz dodaje, że chciałby i mnie wierzyć tak samo.

Nie wiem co odpowiedzieć, a Tom nie domaga się deklaracji. Zaczyna mnie przepytwać z życiorysu Ellen. Muszę zapamiętać dobrze każdy szczegół.

Sygnalizacja pochłania nam wiele czasu. Jest już bardzo późno i lada chwila przyniosą śniadanie. Trzeba byłoby już wstać, umyć się, ubrać... Ciągle się jednak boję, że wiem za mało, aby przekonująco odegrać rolę Ellen.

„Jak zachować się wobec Pratta? – pytam Toma, a on chyba wyczuwa, że jestem coraz bardziej zdenerwowana.

„Staraj się nie okazywać niepokoju – sygnalizuje, jakby to było takie łatwe. – Spokój, powściągliwość, stanowczość. Daj mu do zrozumienia, że kontakt z ambasadą to warunek szczerzej rozmowy. Na kłopotliwe i niebezpieczne pytania odpowiadaj niekonkretnie lub w ogóle nie odpowiadaj. Milczenie naszą bronią”.

„A jeśli będzie groził?”

„Nie sądzę. Zależy im na nas. Obawiaj się raczej pozornie niewinnych pytań”.

„Jeśli zapyta o ośrodek kierujący VP?”

„Odeślij go do mnie. Mów, że nic nie wiesz”.

„Nie uwierzy”.

„To dobrze. Dopóki liczą, że mogą coś zyskać, jesteś bezpieczna”.

„Czy nie powinnam orientować się lepiej, co się za tym kryje?”

„Lepiej, abyś była zielona”.

„Zastrzyk prawdy?”

„Nie sądzę, aby się odważyli”.

„Coś w pozywieniu?”

„Mało skuteczne”.

„A jeśli jednak dowiedzą się kim jestem?”

„Nie ciebie szukają. W razie komplikacji żądaj rozmowy przy mnie”.

„Ty mnie nie wydasz?”

„Co za brednie”.

„A później?”

„Weźmiemy dobrego adwokata. Jest sporo okoliczności łagodzących”.

„Boję się”.

Delikatnie gładzi moje włosy. Przez moment czuję się bezpieczna.

Ciche pukanie do drzwi. Zeskakuję na podłogę, chwytam porzuconą piżamę i pędzę do łazienki.

Gdy wracam, Tom już jest ubrany, a na stole czeka śniadanie. Przechodzę do swego pokoju, aby się ubrać. Na fotelu przy łóżku rzucone w pośpiechu spodnie, bluzka, bielizna... Gdy sięgam po bluzkę widzę, że coś błyszczy. To ukryta w plastikowej pochewce mapa Gór Żółtych. Muszę ją ukryć zanim ktoś spostrzeże. Może się jeszcze przydać.

Pozostawienie w pokoju jest zbyt ryzykowne. Pokoje mogą być dokładnie przeszukiwane w czasie naszej nieobecności. W kieszeni – mogą coś zauważyć. Decyduję się schować „po babsku” na piersiach pod stanikiem. Tam nie pozwolę nikomu zajrzeć.

W czasie śniadania, gdy pomagam Tomowi przy jedzeniu, podsuwa mi serwetkę z napisanym odręcznie grypsem:

„Do Ambasadora USA w Dusk, jesteście uwięzieni w Knox-Benedict. Interweniujcie.

T. Quinta”

Pismo jest nierówne i biegnie krzywo, ale odczytać można.

Tom bierze mnie za rękę, całuje jakby dziękując za pomoc i jednocześnie sygnalizuje:

„Podaj dyskretnie Hendersonowi”.

Chowam zgniecioną serwetkę do kieszeni.

Po śniadaniu Tom mówi, że chętnie przeszedłby się po parku. Rozumiem do czego zmierza: być może uda się mu w jakimś ustronnym miejscu przekazać mi jeszcze trochę rad. W hallu czekają już jednak na nas pułkownik z senatorem. Pytam o Swarta i Hendersona, ale okazuje się, że odlecieli rano do stolicy i wrócą dopiero wieczorem z Knoxem. Przez chwilę łudzę się, że zapowiadana rozmowa odbędzie się w czwórkę, lecz niestety – musimy się rozdzielić: senator bierze Toma na spacer do parku, mnie Pratt „proponuje” rozmowę w cztery oczy w pokoju doktora Swarta, przylegającym do gabinetu gospodarza domu.

W tej części pałacu jeszcze nie byłam i gdyby nie nurtujące mnie obawy przed rozmową z pułkownikiem, na pewno chętnie pomyszkowałabym w apartamentach Knoxa. Znajomość terenu zawsze może się przydać.

Gabinet sekretarza jest nieduży, lecz nowocześnie urządzony w przeciwieństwie do stylowych wnętrz pałacu. Sporo urządzeń technicznych – wbudowany w biurko pulpit z przełącznikami, intercom, telefony. Obok magnetofon, telewizor, radio, telex i mikrokomputer. W ścianach szafy i regały z książkami. Przy niewielkim stoliku wygodny fotel, teraz zwrócony w stronę biurka.

Pułkownik wprowadza mnie do pokoju i prosi, abym „spoczęła” w fotelu. Sam siada na krześle za biurkiem, na którym kładzie niedużą, skórzaną teczkę. Stwarza to z miejsca atmosferę trochę sztywną, urzędową, którą jednak Pratt próbuje rozładować.

–Najpierw muszę panią przeprosić... – zaczyna od usprawiedliwienia.

–Za co?

–Przede wszystkim za wczorajszy wieczór. Doktor Swart nie ma zbyt mocnej głowy, a i ja nie zachowałem się fair...

–Ależ nic się nie stało – staram się być miła. – Mogę być świadkiem, że pan, pułkownik i doktor Swart zachowaliście się jak dżentelmeni.

–Za jeszcze jedno muszę prosić o przebaczenie – ciągnie Pratt. – Podejrzewałem, niesłusznie, że pani nie jest tą osobą, za którą się podaje...

A więc jednak Henderson coś wiedział.

–Ale już nie ma pan wątpliwości? – pytam, siląc się na swobodny ton.

–Nie mam... – patrzy mi w oczy i lekko się uśmiecha. – A wszystko przez to, że moim hobby jest antropologia i eugenika. W pani, panno Parker, nie ma nic z Meksykanki. To właśnie wprowadziło mnie w błąd i proszę o przebaczenie.

–Moim ojcem był Amerykanin pochodzenia anglosaskiego – strzelam śmiało.

–Oczywiście... – przytakuje i sięga po leżącą przed nim teczkę. Otwiera ją, wyjmując jakieś papiery i mówi, jakby się tłumaczył: – Jak z pewnością pani się domyśla, powierzono mi delikatną misję... Muszę, niestety, wyjaśnić z pani pomocą pewne kwestie, związane z wydarzeniami ostatnich dni. Wiem, że może to być dla pani przykre. Wracać do okropnych przeżyć, gdy byliście zdani na łaskę i niełaskę ludzi pozbawionych wszelkich skrupułów... Ale cóż robić?...

–Rozumiem. Proszę, niech pan pyta! – mówię, jakbym rzeczywiście chciała mu pomóc.

–Chodzi mi o okres między wylądowaniem terrorystów w buszu i uwolnieniem państwa przez naszych komandosów.

Na tym gruncie chyba mogę czuć się pewniej. Ciekawe o co mu chodzi?

–Słucham. Co konkretnie jest dla pana niejasne?

–Chodzi o pani spostrzeżenia i wnioski. Na przykład: czy lądowanie w buszu było zamierzone, czy spowodowane jakąś awarią lub brakiem paliwa? To dość istotna sprawa.

–Zamierzone, ale nie przez porywaczy. Silnik stanął, gdyż nasypano czegoś do paliwa.

–Jest pani pewna, że nie była to symulacja? Przecież czekano na was w buszu.

Zastanawiam się, co chce przez to powiedzieć. Muszę być ostrożna.

–Nic na to nie wskazywało. Skąd takie przypuszczenie? – próbuję odbić piłeczkę.

Ale Pratt nie daje się na to złapać.

–Najlepiej będzie, jak mi pani opowie, co się kolejno wydarzyło od chwili wylądowania w buszu. Chodzi mi o wszystko to, co zdołała pani zaobserwować w ciągu tych trzech dni.

Szkoda, że z Tomem nie przewidzieliśmy, iż to właśnie będzie tematem rozmowy z pułkownikiem, gdyż zamiast „wałkować” życiorys Ellen, zajęlibyśmy się szczegółowo treścią relacji, tak aby uniknąć ewentualnych sprzeczności w naszych zeznaniach. Co prawda, ogólna wersja została ustalona, ale czy to wystarczy? Zbyttna skrótowość opowieści może wzbudzić nowe podejrzenia, a rozgadując się stwarzam niebezpieczeństwo wpadki.

–Gdybym chciała szczegółowo wszystko opowiedzieć, zajęłoby to cały dzień – próbuję przygotować grunt.

–Ależ proszę, mamy dużo czasu... – Pratt jakby wyczuł do czego zmierzam.

Nie ma rady – muszę zaczynać. Jedyne sposoby: mówić jak najrozwickiej o sprawach nie budzących wątpliwości lub mało ważnych, zaś krótko i ogólnikowo o istotnych. Nawet początkowo nieźle mi się to udaje. Opowiadam dużo o nocy w buszu, o bezskutecznych próbach nawiązania łączności radiowej, o zasadzce przy ognisku, o ciężkim stanie Barleya i „jakimś konflikcie” między Japończykiem a „dziewczyną Barleya”. Zajmuje mi to blisko godzinę. Następna – to nocne wizyty helikopterów i ranna walka z żandarmami Numy, pojawienie się tajemniczych „komandosów”, którzy okazali się wysłannikami równie tajemniczego „osobnika” nazwiskiem Oriento, o którym ja sama nic niestety nie wiem (to znaczy: proszę pytać Quintę!). Połowę czasu zajął mi tu opis „morderczej” wędrówki poprzez busz, charakterysty-

ka Maksa i jego „dziwny” stosunek do „dziewczyny Barleya”. Oczywiście, poruszenie tego ostatniego tematu, choć uzasadnione taktycznie, świadczy nie najlepiej o mnie. To było po prostu podłe i głupie. Cóż z tego, że mówiłam prawdę? Przecież zdawałam sobie sprawę, że postępuję nikczemnie, mówiąc źle o zamordowanym, i to do morderców.

Pratt przez cały czas słucha w milczeniu. Być może moje zeznanie nagrywane jest na taśmę, ale nie mogę przecież wstać i sprawdzić, czy magnetofon jest włączony.

Przechodzę teraz do relacjonowania naszego pobytu w „bazie naukowej” Hansa Oriento i wydarzeń sprzed dwóch dni. Tu już ograniczam się do opisu wnętrza groty oraz parapsycho-logicznych i kosmicznych pasji gospodarza, nie wspominając nic o vortexie ani próbach wyleczenia Martina. Stosunek Oriento do Quinty określam jako „pełen szacunku”.

Opowiadam z kolei o odlocie Berga do Inuto i nieoczekiwanej wyprawie Oriento z Goldsteinem i Barleyem w góry. Dalej już muszę sporo zmyślać, ale nadal trzymam się pewnych faktów, które mogą być znane Prattowi. Mówię więc, że próbowałam iść za Oriento w góry, lecz zostałam zatrzymana, pobita przez Vogla i przykuta do fotela w grocie. Wspominam, że Maks spodziewał się terrorystów i był chyba zaskoczony pojawieniem się pojazdów z komandosami. Zaznaczam też, że stosunek Vogla do mnie był zupełnie inny niż Hansa Oriento.

W tym momencie, po raz pierwszy od początku mojej opowieści, pułkownik przerywa milczenie, pytając jak Oriento tłumaczył pojawienie się jego ludzi w miejscu lądowania porywaczy. Nie widzę powodu, aby zatajać prawdę, choć zdaję sobie sprawę, że moja odpowiedź zabrzmiała jak kpina.

–Oriento i Goldstein są jasnowidzami, panie pułkowniku – mówię śmiejąc się jak z dobrego żartu.

–A tak naprawdę? – pyta Pratt.

–Naprawdę, według słów samego Oriento, to był „jeszcze jeden dowód realności i spostrzeżenia pozazmysłowego”.

Pratt nie śmieje się jednak.

–O czym najczęściej rozmawiał Oriento z doktorem Quintą? – zapytuje znienacka.

Tu już muszę kontrować.

–O to niech pan zapyta doktora!

Patrzy na mnie zimno.

–No dobrze... – mówi po chwili, – Wobec tego niech mi pan powie, jaki był stosunek Oriento do Barleya.

–Jak najbardziej ludzki, humanitarny – odpowiadam bez zajknięcia.

–Nie o to mi chodziło. Czy nie zauważyła pani czegoś, co świadczyłoby o tym, że znali się i to od dawna?

–Trudno powiedzieć – staram się kluczyć. – Nie pytałam ich o to.

Czuję, że pułkownik jest na mnie wściekły, a tylko się hamuje.

–Czy dziewczyna Barleya miała pełną swobodę ruchu? – zadaje kolejne pytanie, wpatrując się we mnie.

–Co pan przez to rozumie? – odpowiadam pytaniem i niestety odwracam wzrok. Czuję się bardzo nieswojo.

–Czy mogła chodzić swobodnie po grocie, wychodzić na zewnątrz, spacerować gdzie chciała i kiedy chciała? – precyzuje pytanie.

Zastanawiam się jaka odpowiedź będzie najlepsza.

–Raczej nie – mówię po namyśle.

–Czy nie sądzi pani, że Oriento utrzymywał od dawna kontakty z terrorystami i tylko się maskował?

–Za dużo pan ode mnie wymaga – odpowiadam wymijająco.

–Za dużo? Mam powody, aby sądzić, że jest pani dobrze zorientowana w tej materii. Może lepiej niż doktor Quinta.

–Co mi pan próbuje wmówić? – zaczynam ostrzej.

Pratt kładzie dłoń na papierach.

–Po co mamy się oszukiwać? Tu, przede mną leży pani dokładne dossier...

Mam złudzenie, że gorąca fala powietrza uderzyła mi w twarz. Pewno się zaczerwieniłam i on musi to widzieć.

–Ciekawe? – robię dobrą minę do złej gry.

–Bardzo... – mówi z naciskiem i nie spuszcza ze mnie wzroku. – I wiem, że możemy na panią liczyć...

–To znaczy?

–Łatwo znajdziemy wspólny język.

–Mam nadzieję. A konkretnie?

–Potrzebujemy pewnych informacji...

–O Quincie czy Oriento?

–Nie tylko...

–Rozumiem... – kiwam głową, jakbym świetnie pojmowała o co mu chodzi, choć w istocie nawet się nie domyślam. – Ale wszystko ma swoją cenę.

Nie wydaje się zaskoczony.

–Zgadzam się z panią i proszę o podanie swoich warunków. Nie wątpię, że się dogadamy.

–Nie wiem... Jako wstępny warunek wszelkich prób „dogadania się” stawiam umożliwienie nam kontaktu z ambasadorem USA w Dusk.

Widzę błysk gniewu w jego oczach. Opanowuje się jednak szybko.

–Pani nam nie ufa – mówi z żalem.

–Czy to pana dziwi? Jesteśmy waszymi więźniami.

–Jak pani może tak mówić? – oponuje bez przekonania. – Jesteście naszymi gośćmi.

–Prosimy wobec tego o samochód lub helikopter, który przewiózłby nas jeszcze dziś do ambasady USA w Dusk.

–Przecież pani rozumie, jak delikatna to sprawa! – patrzy na mnie z wyrzutem.

–To nie zmienia faktu, że już trzeci dzień nie możemy skontaktować się z nikim z zewnątrz. I dlatego niech pan nie liczy na moją pomoc.

–Stawia mnie pani w bardzo kłopotliwej sytuacji...

–Pan mnie również. Proponuje mi pan współpracę, chce pan, abym złamała zasadę lojalności, a może nawet zdradziła najbliższych przyjaciół, a ja zupełnie nie widzę powodu, dla którego miałabym przyjąć pańskie propozycje.

Pratt wydaje się zaskoczony. Chwilę milczy, bębniąc nerwowo palcami po papierach, wreszcie mówi chłodno, jakby z przymusem:

–To jakieś nieporozumienie. Jestem zdziwiony, że pani w ten sposób stawia sprawę. Nie proponowałem pani współpracy ani tym bardziej zdrady przyjaciół. Prosiłem tylko o pomoc. Chyba się nie rozumiemy?

Ale ja muszę być konsekwentna.

–Bardzo dobrze się rozumiemy! – rzucam cierpko i wstaję z fotela. – I jeśli chce pan nadal rozmawiać na ten temat to tylko w obecności doktora Quinty.

W tym samym momencie odzywa się telefon. Pratt podnosi słuchawkę. Jednocześnie prosi mnie gestem, abym jeszcze nie wychodziła.

–Halo!... Tak... – mówi do słuchawki. Przez chwilę słucha jakiegoś szybko mówiącego męskiego głosu, którego nie potrafię zrozumieć. – Tak... Zaraz przyjdę! – odkłada słuchawkę na widełki i zwraca się do mnie: – Pani wybaczy, muszę na chwilę panią opuścić. Po prostu, pilna służbowa sprawa. A chciałbym koniecznie wyjaśnić to przykre nieporozumienie. Niech pani nie odchodzi. Bardzo proszę!

Siadam w fotelu bez słowa z ostentacyjnie nadąsaną miną.

–Bardzo dziękuję. Zaraz wrócę – pułkownik kłania się i pospiesznie wychodzi. Tak pospiesznie, iż zapomina zabrać lub schować papiery rozłożone na biurku.

Jeśli jestem nawet w tej chwili obserwowana, nikt nie przeszkodzi mi zajrzeć do tych akt, tak dla mnie istotnych. Byłoby głupotą nie skorzystać z tej nieoczekiwanej, może jedynej szansy. Jeśli nawet wejdzie Pratt i zastanie mnie czytającą – cóż mi może zrobić?

Siadam za biurkiem i zaczynam przeglądać papiery. Jest to rzeczywiście dossier Ellen Par-ker. Szczegółowe dane personalne, charakterystyka, bardzo obszerny życiorys – osiem stron gęstego maszynopisu. To groźne ostrzeżenie. Dobrze, iż dotychczas nikt mnie nie wypytywał o konkretne fakty, o których z pewnością nie miałabym zielonego pojęcia. Powinnam to koniecznie przeczytać, lecz z pewnością nie starczy czasu. Szukam więc przede wszystkim w tekście jakichś informacji na temat roli Ellen jako współpracownicy CIA, ale znajduję tylko krótką wzmiankę z odesłaniem do raportu sygnowanego WT/NP-43/5. Muszę więc dalej szperać w stosie papierów. Raportu, niestety, nie znajduję. Uwagę moją przykuwa jednak duża koperta z fotografiami. Na szczęście nie jest zaklejona. Jestem pełna najgorszych przeczuć.

Wyjmuję zdjęcia i robi mi się słabo – są to oczywiście zdjęcia Ellen Parker...

A więc wiedzą, że nie jestem Ellen! Dlaczego jednak mnie nie aresztują, dlaczego zachowują się tak, jakbym naprawdę była panną Parker – sekretarką i przewodniczką doktora Qu-inty? Nic z tego nie rozumiem i wiem tylko, że natychmiast, jeszcze przed dalszą rozmową z Pratem, muszę powiedzieć Tomowi o tym, co odkryłam. Może on potrafi wyjaśnić, o co tu chodzi i wskaże mi, co mam dalej robić.

Na szczęście pułkownik jeszcze nie wrócił. Układam pospiesznie papiery na biurku – może nie zauważy, że przeglądałam – i ostrożnie otwieram drzwi. W korytarzu nikogo nie ma. Miękki chodnik tłumi odgłos kroków.

Drogę pamiętam dobrze i wkrótce dochodzę do schodów, prowadzących w dół, do hallu pierwszego piętra. Stamtąd przez oszklone drzwi na taras. I tu też nie spotykam nikogo. Tom może już być w swoim pokoju, w barze na dole, albo też siedzi jeszcze z senatorem gdzieś na ławce w parku.

W barze pusto, w naszym apartamencie – również. A w ogóle pałac jakby wyludniony. Nie widać nawet służby. Schodzę po marmurowych, rzeźbionych schodach na dół i idę do parku. W dzień wydaje mi się nie tak ponury i tajemniczy jak wczorajszego wieczoru. Cieniste aleje o wysokich przyszczyżonych po angielsku krzewach, bogactwo drzew różnego gatunku, od palm, drzewiastych fikusów i

paproci, aż po rododendrony i parasolowate akacje. Przemierzam szybkim krokiem ścieżki, ale i tu nikogo nie widzę. Wchodzę więc coraz dalej w głąb ogrodu, docierając w końcu do muru otaczającego park.

Mur jest wysoki, nigdzie żadnej furtki. Warto byłoby sprawdzić, co się za tym murem znajduje. Może trzeba będzie jeszcze tej nocy próbować ucieczki? Rozglądam się za jakimś wysokim, lecz łatwym do wspinaczki drzewem. Jest, i to bardzo blisko muru. Baobab. Idealna droga ucieczki. Aż dziw bierze, iż nie zwrócono na to uwagi. A właściwie – czemu się tu dziwić? Przecież mur ma tylko chronić przed nieproszonymi gośćmi z zewnątrz.

Wdrapuję się po rozłożystych konarach niemal na sam szczyt baobabu. Za murem rozciąga się sawanna, porośnięta wysoką trawą i z rzadka rozrzuconymi drzewami. Warto byłoby jeszcze zbadać, co znajduje się tuż przy murze na zewnątrz parku. Konar, sięgający aż nad mur, wręcz zaprasza do tego.

Stąpam ostrożnie po grubym konarze przytrzymując się i górnych gałęzi i dochodzę w ten sposób prawie do samego muru. Konar przy końcu jest obcięty – widać obawiano się, aby ktoś nie zarzucił liny i nie wspiął się na mur. Od strony parku wystarczy jednak nieduży skok i już jestem na szczycie kamiennego ogrodzenia. Powrót będzie jeszcze łatwiejszy: skacząc z muru można chwycić się gałęzi i łagodnie wylądować na trawniku. Teraz jednak powinnam przede wszystkim znaleźć za murem najdogodniejsze miejsce do ewentualnego nocnego skoku.

Pod murem widzę gęste zarośla jakichś kolczastych krzewów. Tu skok byłby ryzykowny. Ale kilkadziesiąt metrów dalej widać nieduży obszar oczyszczony z krzewów i porosły tylko wysoką trawą. Podchodzę do tego miejsca i... martwieję.

–Stać! Nie ruszaj się, bo strzelam! – pada gdzieś z dołu za moimi plecami rozkaz.

Słyszę, że jacyś ludzie idą ku mnie poprzez trawę, ale boję się obejrzeć za siebie. Po chwili zresztą są już w moim polu widzenia: dwóch mężczyzn w mundurach z pistoletami wycelowanymi we mnie. Nie są to mundury wojskowe – to raczej strażnicy lub policjanci. Dochodzą do miejsca, gdzie nie ma już kolczastych krzewów i stają.

–Podejdź bliżej! – rozkazuje jeden z mężczyzn. – Tylko bez kawałów! A teraz skacz! – wskazuje lewą ręką trawę pod murem. – No, już! – ponagla ostro.

Skok z trzymetrowej wysokości w miękką trawę to dla mnie żaden problem. Nie mam zamiaru ryzykować i wykonuję polecenie. I tak zresztą za chwilę, gdy im powiem kim jestem, sytuacja powinna się wyjaśnić. Oczywiście, muszę powołać się na Pratta, gdyż senatora nazwiska nie znam, a Swart i Henderson polecili do stolicy. Jest to niezbyt miła perspektywa, ale cóż robić. Sama jestem sobie winna.

–Panowie! To nieporozumienie. Jestem gościem pana Knoxa – tłumaczę idąc w kierunku strażników.

–Dobra, dobra – przerywa mi starszy, ten, który kazał zeskoczyć z muru. – Idziesz z nami, panienko. Jesteś aresztowana.

–Ależ ja mówię prawdę! To nieporozumienie.

W tym czasie młodszy przyspiesza kroku, podchodzi do mnie i bez słowa podnosi moje ręce w górę. Szybko, z wprawą obmacuje bluzkę i spodnie w poszukiwaniu broni – chyba trochę za gorliwie...

–Co pan wyprawia! Ja nie mam nawet scyzoryka! – próbuję protestować.

–Daj jej spokój – popiera mnie ten starszy.

–Proszę pana, ja naprawdę mieszkam w domu prezesa Knoxa... – usiłuję go przekonać. Ale chyba popełniam błąd.

–Zamknij się! – przerywa mi ze złością. – No, jazda! Idziemy!

Nie ma sensu im tłumaczyć, że to pomyłka, a tym bardziej stawiać opór. Przecież

wkrótce i tak wszystko się wyjaśni.

Kilkadziesiąt metrów dalej, między drzewami, czeka łazik policyjny z kierowcą w mundurze. A więc są to policjanci.

–Proszę mnie zawieźć do pałacu i poprosić pułkownika Pratta – mówię, gdy podchodzimy do samochodu. – On panom wszystko wyjaśni.

–Powiedziałem, zamknij się!

Zostaję ulokowana na tylnym siedzeniu między obu policjantami i łazik rusza. Nie jedziemy jednak w kierunku pałacu, jak się tego spodziewałam, lecz w przeciwnym kierunku, skrajem sawanny, docierając zresztą wkrótce do szerokiej drogi o betonowej nawierzchni. Tu już kierowca rozwija ponad setkę i gnamy poprzez sawannę ku wyłaniającym się powoli zza horyzontu jakimś przemysłowym zakładom i wysokim jak wieże budowlom.

Policjanci milczą, tylko czujnie obserwują każdy mój ruch.

Ja również nie próbuję o nic pytać, chociaż w miarę jak oddalamy się od Knox-Benedict mój niepokój coraz bardziej wzrasta. Najgorsze, że siedzę wciśnięta między dwóch, dość masywnych drabów, tak iż nawet gdyby nie patrzyli mi na ręce, nie byłabym w stanie sięgnąć do kieszeni džinsów i pozbyć się nieszczęsnego grypsu Quinty. Pocięszam się tylko, że gdy wysiądę z wozu, zmięta w kulkę serweta może nie zwrócić uwagi i wraz z chusteczką do nosa uda mi się ją wyjąć i niepostrzeżenie połknąć.

Wiatr świszcząc w otwartym dachu łazika, jest jednak pora południowa i upał coraz bardziej mi dokucza. Pocę się niemiłosiernie, chyba również trochę ze strachu, bo policjanci jakby łatwiej znoszą gorąco. Po dziesięciu minutach takiej jazdy jestem już zupełnie mokra.

Tymczasem budowie przybliżyły się znacznie i przed nami rysuje się wyraźnie panorama przemysłowego miasta o nowoczesnej, wysokościowej zabudowie. Musimy nieco zwolnić, gdyż po obu stronach drogi coraz częściej pojawiają się parterowe lub jednopiętrowe domki w ogrodach – budownictwo jakby żywcem skopiowane z europejskich i amerykańskich, podmiejskich osiedli pracowniczych o wysokim standardzie. Wkrótce też wjeżdżamy w miasto o szerokich ulicach pełnych sklepów, przechodniów i aut. Mijamy kilka przecznic, stając raz po raz pod światłami, wreszcie skręcamy w jakąś mniej uczęszczaną ulicę i wjeżdżamy po chwili w otwartą bramę wysokiego szarego bloku.

Łazik zatrzymuje się na obszernym, prostokątnym podwórku i kierowca wyłącza silnik. Jednocześnie słyszę za sobą zgrzyt zamykanej bramy.

Policjant siedzący po mojej prawej stronie otwiera drzwiczki i wyskakuje z łazika.

–Wysiadać! – rozkazuje ostrym tonem.

Przesuwam się ku drzwiom próbując zarazem sięgnąć do kieszeni, niby to po chusteczkę. Ale siedzący obok mnie milczek jest bardzo czujny i chwyta moją dłoń za przegub, nie odzywając się jednak nadal ani słowem.

Ruszamy teraz poprzez podwórko do uchylonych drzwi. Za nimi długi korytarz z szeregiem pokoi. Na zamkniętych drzwiach kolejne numery, bez żadnych tabliczek czy napisów. Policjanci prowadzą mnie korytarzem, aż do drzwi oznaczonych liczbą „9”. Za nimi typowe biuro policyjne. Długa drewniana balustrada, dwa biurka z telefonami, podcentralą i monitorem telewizyjnym. Za biurkiem, tuż przy ogrodzeniu siedzi szpakowaty, chudy sierżant i pije piwo.

Stajemy przy balustradzie. Sierżant odstawia szklankę i pyta znudzonym tonem:

–Co to za...? – nie kończy i ziewa.

–Chyba złodziejka. Chciała się dostać do Knox-Benedict. Zdjęliśmy ją z muru. Pewnie z tej samej bandy co wczoraj kręciła się koło pałacu.

–To pomyłka. Nieporozumienie! – przerywam gwałtownie. – Jestem gościem pana prezesa Knoxa. Panowie aresztowali mnie przez pomyłkę!

Na twarzy sierżanta pojawia się wyraz zainteresowania.

–Nazwisko? – zadaje stereotypowe pytanie.

–Ellen Parker.

Sierżant bierze długopis i notuje.

–Jakiś dokument potwierdzający tożsamość? – wskazuje na mnie palcem.

–Niestety, nie mam. Ale proszę zadzwonić do pułkownika Pratta do Knox-Benedict. On potwierdzi moją tożsamość.

–Kraj pochodzenia?

–Stany Zjednoczone.

–Biała?

–Czyżby miał pan wątpliwości?

–Nigdy nic nie wiadomo. Nawet czarni potrafią zmieniać skórę. A z mieszającami stale mamy kłopoty. Jeśli taka ma na przykład żółtą babkę i rozjaśnia włosy, to trzeba mieć bardzo dobre oko, aby coś wykryć.

Przypadek czy zna życiorys Ellen? Tak czy inaczej jestem w kłopotliwej sytuacji. „Przyznanie się” do babki Indianki może bardzo pogorszyć moją pozycję w tym kraju, jeśli jednak wiedzą wszystko o Ellen nie ma sensu kłamać.

–Ma pan dobre oko – mówię z odcieniem ironii. – Mam w sobie trochę indiańskiej krwi.

–Wpisuję więc: kolorowa – stwierdza sierżant z zadowoleniem, a stojący obok mnie młodszy glina bierze mnie pod brodę i z zainteresowaniem przygląda się mojej twarzy, jakby próbował ją otaksować.

Uderzam go po łapie i mówię ostro do sierżanta:

–Żądam natychmiast kontaktu z pułkownikiem Pratem!

Sierżant przygląda mi się przez chwilę, potem sięga po słuchawkę i nakręca dwucyfrowy numer.

–Melduje się sierżant Ditte – mówi do słuchawki. – Mamy tu panie inspektorze, taką jedną kolorową... Zdjęliśmy ją z muru, jak próbowała się dostać do Knox-Benedict... Mówi, że nazywa się Parker... Tak, Ellen Parker. Mówi, że ją zna pan pułkownik Pratt. I że jest gościem pana prezesa Knoxa... Ja też tak myślę... Tak jest panie inspektorze, zaraz pana połączę... Rozumiem... Rozkaz, panie inspektorze, zaraz ją doprowadzą... Dobrze, już łączę.

Nie odkłada słuchawki i manipuluje przyciskami podcentrali. Zaczynam czuć się pewniej. Inna sprawa, że czeka mnie jeszcze ciężka przeprawa z Pratem. Na pewno odwiozą mnie do pałacu i będę musiała „być wdzięczna” pułkownikowi, że mnie wyciągnął z tak głupiej historii, w którą nieopatrznie się wplątałam. Ciekawa jestem, czy mi uwierzył, że weszłam na mur tylko dlatego, aby zobaczyć co jest poza nim. Z pewnością pomyśli, że chciałam uciec i będzie dość blisko prawdy.

–Tu prefektura policji w Bosch. Będzie rozmawiał inspektor Klarens! – sierżant wiesz słuchawkę.

–Zaprowadźcie pannę Parker do pokoju „22” – wydaje polecenie mojej eskorcie. Widać, że się asekuje tą „panną”.

Wychodzimy na korytarz, potem schodami na wyższe piętro.

W pokoju „22” siedzi przy biurku brodaty mężczyzna ubrany po cywilnemu. Ma chyba około czterdziestki i twarz budzącą zaufanie. W chwili gdy wchodzimy właśnie odkłada słuchawkę.

–Proszę usiąść! – wskazuje mi krzesło przed biurkiem, a policjantom daje znak gestem, aby poczekali za drzwiami.

–Dziękuję panu inspektorze – uśmiecham się jak mogę najuprzejmiej i siadam.

–Więc pani się nazywa... – nie kończy wpatrując się we mnie pytająco.

–Ellen Parker.

–I mieszka pani w Knox-Benedict?

–Tak, panie inspektorze – potwierdzam skwapliwie.

Patrzy na mnie z troską.

–Jeśli się nie mylę, jest pani sekretarką doktora Tomasza Quinty, porwanego przed sześciu dniami przez terrorystów?

–Tak.

–A co się w tej chwili dzieje z doktorem Quintą?

–Pozostał w pałacu Knox-Benedict.

–Ciekawe... – inspektor nie spuszcza ze mnie wzroku.

–Właśnie przed chwilą rozmawiałem z Knox-Benedict. Tam nikt nic nie wie o Ellen Parker ani tym bardziej o doktorze Quincie. Do tej chwili los ich jest jeszcze nieznany.

Mam wrażenie, iż ziemia zapada się pode mną.

–Czy rozmawiał pan z pułkownikiem Pratterem?

–Nie. Pułkownika Pratta nie ma w Knox-Benedict.

W tej chwili uświadamiam sobie, że to koniec. Złamałam reguły gry i nic mnie nie może już uratować. Spuszczam głowę i zaciskam powieki.

–Czy nadal pani twierdzi, że nazywa się Ellen Parker? – słyszę głos inspektora. – Niech pani spojrzy na to zdjęcie!

Unoszę głowę. Inspektor trzyma w palcach jakąś gazetę. Na pierwszej stronie, pod wielkim tytułem: „Czy oni jeszcze żyją?” trzy zdjęcia. Magnusen, Quinta, Ellen Parker... Jaki jest sens nadal ciągnąć kłamstwa? Zdaję sobie jednak sprawę, że również wyjawienie prawdy w niczym nie polepszy mojej sytuacji, a przeciwnie pograży mnie bez reszty. Nie mówiąc już o tym, że może to być bardzo kłopotliwe dla Toma. Muszę więc dalej grać przyjętą rolę, wbrew wszelkim faktom i logice.

–Jestem Ellen Parker, a to nie jest moje zdjęcie. Nie wiem, kto jest na tym zdjęciu i dlaczego przekazano je prasie.

Inspektor odkłada gazetę.

–Dlaczego pani się upiera? – mówi z żalem. – Wszystko, co pani powiedziała, okazało się nieprawdą i to łatwą do udowodnienia.

–Żądam widzenia z pułkownikiem Pratterem!

Inspektor rozkłada bezradnie ręce.

–Równie dobrze może pani żądać spotkania z prezydentem Republiki... W tej sytuacji, jeśli nie chce mi pani pomóc w wyjaśnieniu sprawy, zmuszony jestem przekazać śledztwo innym czynnikom, być może bardziej kompetentnym... – naciska guzik pod blatem biurka.

W drzwiach pojawia się moja eskorta.

–Przewieziecie aresztowaną do fortu i przekazecie majorowi van Oost! – inspektor mówi do przybyłych, ale wciąż jeszcze patrzy na mnie. W jego oczach dostrzegam coś na kształt współczucia i to jeszcze bardziej potęguje mój niepokój.

Czuję, że powinnam natychmiast podjąć jakąś próbę obrony, a co najmniej odwlec moment przewiezienia mnie do owego „fortu”, prawdopodobnie tutejszego więzienia.

–O co jestem oskarżona? – pytam nie ruszając się z miejsca.

Policjanci już podchodzą do mnie.

–Na razie o wtargnięcie na teren prywatny i podszywanie się pod inną osobę. Śledztwo wykaże, czy chodziło tylko o kradzież, czy może o coś więcej...

–Przecież to śmieszne oskarżenie. Mam chyba prawo wziąć adwokata?

–Oczywiście. Żyjemy w kraju praworządnym. Z tym, że jeśli idzie o kolorowych wybór jest ograniczony.

–Jestem obywatelką amerykańską i proszę zawiadomić ambasadę mego kraju o tym, że zostałam aresztowana.

–Uczynimy to, jeśli rzeczywiście jest pani obywatelką USA. A to właśnie między innymi jest przedmiotem dochodzenia...

Koło się zamyka. Inspektor daje znak policjantom, aby mnie wyprowadzili.

–Nie wyjdę stąd, dopóki nie przybędzie tu przedstawiciel ambasady USA! – oświadczam stanowczym tonem, choć nie liczę, aby to dało jakiś efekt.

–Chce nas pani zmusić do użycia siły? – pyta inspektor z niesmakiem. – Ostrzegam, że nasi chłopcy potrafią sobie świetnie radzić w takich sytuacjach. Zwłaszcza z kolorowymi...

W tej chwili „milczek” kładzie swą ciężką łapę na moim ramieniu.

–No, jazda! – mruczy jego towarzysz.

Stawianie oporu da im z pewnością okazję do poznęcania się nade mną. Muszę więc skapitulować. Demonstracja była jednak chyba potrzebna. Niech się domyślają Bóg wie czego...

–Żądam zawiadomienia ambasady o moim aresztowaniu! – powtarzam jeszcze raz, wstając z krzesła.

–Wszystko w swoim czasie... – stwierdza enigmatycznie inspektor.

Wychodzę z policjantami na korytarz. Starszy idzie po kierowcę, młodszy eskortuje mnie po schodach w dół na podwórko. Tam doprowadza mnie do łazika, otwiera drzwi i wpycha dość brutalnie do wnętrza, siadając obok. Sposób, w jaki się uśmiecha, nie wróży nic dobrego. Odsuwam się, ale to wywołuje u niego jakąś dziką radość. To chyba nie jest człowiek w pełni normalny. Przysiada się bliżej i znów bierze mnie pod brodę.

–Łapy przy sobie! – chwytam jego rękę, próbując jednocześnie otworzyć drugie drzwi samochodu i wydostać się z pułapki.

Jest jednak szybszy i silniejszy. Przyciska mnie do oparcia, chwytając za gardło w taki sposób, abym nie mogła wydobyć głosu. Jednocześnie czuję, że jego druga ręka doбира się do moich piersi.

Nie mam wyjścia. Na szczęście obie dłonie są wolne. Nie jest to może najsilniejszy cios karate na jaki mnie stać, ale wystarczy, aby facet się zwinął. Przydały się ćwiczenia z To-szim...

Teraz ostrożnie otwieram drzwi łazika. Podwórko nadal jest puste. Przy bramie na pewno czuwa strażnik, ale jeśli udałoby mi się dotrzeć niezauważenie do wejścia prowadzącego w głąb gmachu, być może odnalazłabym drogę na ulicę. Nikt mnie tu przecież nie widział poza dyżurnym sierżantem i inspektorem, a więc powinnam być potraktowana jako zwykła intere-santka. Jeśli tylko nie natknę się na „mojego” starszego glinę z kierowcą. Młodszy przez najbliższy kwadrans będzie do niczego.

Zastanawiam się czy wziąć mu pistolet, lecz po krótkim namyśle dochodzę do wniosku, że to zbyt niebezpieczne. Jeśli mnie schwytają z bronią w rękę, dam im argument jednoznacznie mnie pogrążający, a każda próba użycia przeze mnie broni musi skończyć się fatalnie. Jeśli ucieknę nie zabierając policjantowi broni, mogę zawsze, w razie wpadki, twierdzić, że chciałam tylko ukryć się przed drabem, który próbował mnie zgwałcić. To każdy sąd musi uznać za okoliczność łagodzącą.

Do drzwi wejściowych i na korytarz docieram bez przeszkód. Niestety, mam pecha. Za pierwszym zakrętem nadziewam się na „mojego” glinę i kierowcę. Uciekać za późno, atak nie ma sensu. Z dwoma chłopami, i to z pewnością dobrze wyćwiczonymi w karate, nie dam sobie rady. Z tamtym młodszym wygrałam z pewnością tylko dzięki zaskoczeniu. Jeśli zaś schwytają mnie podczas ucieczki – pogorszę tylko swoją sytuację. Mam zresztą przygotowaną „gadkę” na wypadek spotkania.

–Gdzie się pan podziewa! – wołam do policjanta. – Szukam pana, bo pański kolega zasłabł. Chciałam nawet zapytać inspektora, gdzie można was znaleźć, ale sobie pomyślałam, że nie byłby pan zadowolony...

Moje słowa dezorientują go zupełnie. Wybałuszył na mnie oczy i przez chwilę nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa.

–Co ty gadasz, dziewczyno? – odzywa się wreszcie, patrząc na mnie podejrzliwie, ale i niepewnie.

–Niech pan sam zobaczy. Może trzeba będzie wezwać lekarza.

W tej chwili przypominam sobie o grypsie. Zmarnowałam świetną okazję, aby się go pozbyć, muszę teraz wreszcie coś z nim zrobić, dopóki policjanci mają czymś innym zajęte głowy. Wsuwam dłoń do kieszeni. To dziwne, ale niestety, nie mogę go odnaleźć. Jest tylko chusteczka. Może wyleciał, gdy wspinałam się na drzewo albo podczas zeskakiwania z muru?

Znów jesteśmy na podwórku i podchodzimy do samochodu. Drab już odzyskał przytomność i wylazł z łazika, ale nie bardzo może utrzymać się na nogach.

–Co z tobą, Will? – pyta kierowca.

–Trzymaj tę cholerną dziwkę! – mamrocze „poszkodowany” drab, patrząc na mnie z nienawiścią. Są to chyba pierwsze jego słowa wypowiedziane przy mnie.

–Co mu zrobiłaś? – starszy policjant spogląda na mnie groźnie i wyciąga z kieszeni kajdanki. Przypomina mi się Maks...

–Skuj ją, Peter! – ryczy radośnie Will. – Nauczę tę kolorową dziwkę...

To już nie przelewki. Na szczęście jego starszy kolega nie ma zamiaru dopuścić do samosądu. Chowa pospiesznie kajdanki.

–Próbowałaś uciec. Wiesz, co cię czeka za to, coś tu narozrabiała?

–Proszę mnie zaprowadzić do inspektora! – odpowiadam hardo. – Pan i pański kolega wiecie, że nie uciekałam. A jeśli jakiś bydlak wyobraża sobie, że dam się napastować, to niech wie, że oberwie. Choćby był w mundurze i na służbie.

–Kłamie dziwka! – Will sięga do kabury, ale jego kolega chwytą go za rękę.

–Spokojnie, Will. Kto inny się nią zajmie – wyraźnie stara się uspokoić „poszkodowanego”.

–Włóż do wozu!

Nie wiem, czy rozkaz skierowany jest do mnie czy do Willa, ale czuję, że wyjaśnianie incydentu nie jest mu na rękę.

–Proszę mnie zaprowadzić do inspektora! – ponawiam żądanie.

–Zamknij się. Jedziemy! – policjant zaczyna się denerwować.

–Nie usiądę koło tego zwyrodnialca! – protestuję i rzeczywiście jestem zdecydowana stawić opór. Widać starszy policjant dobrze to wyczuwa, bo idzie na ustępstwa:

–Siadaj obok kierowcy. Tylko bez kawałów!

Niestety, dalsza gra na zwłokę jest już niemożliwa. Po chwili ruszamy. Przede mną znów miasto przesycone słońcem. Myślę teraz o Tomie. Czy wie, że mnie aresztowano? Na pewno mu powiedziano, że uciekłam. Pewno uwierzył. Zna mnie przecież tak mało. Jego sytuacja jest z pewnością w tej chwili bardzo trudna, choć nie tak beznadziejna jak moja. Nie ulega też wątpliwości, że będą chcieli się dowiedzieć dlaczego przedstawił mnie jako Ellen. Może w ten sposób chcą ukuć przeciw niemu broń? Rzecz jasna, powinnam milczeć. A jeśli będą mnie torturowali, tak jak Martina w Inuto? Do jakich granic potrafię znieść ból fizyczny?

Kiedyś, dawno temu, kiedy byłam jeszcze mała, dostałam lanie od matki, bo nie chciałam się przyznać do jakiegoś głupiego, dziecinnego kłamstwa... I nie przyznałam się. Ale cóż to znaczyło takie matczyne lanie...? Nie znam siebie. Nigdy nie przeżyłam prawdziwej próby. Boję się, bardzo się boję...

136

5.

Ciężka, kamienna budowla, pamiętająca chyba jeszcze czasy początków panowania królowej Wiktorii, z zewnątrz przypomina starą twierdzę i z pewnością przez turystów jest traktowana jako zabytek architektury z epoki zwycięskiego kolonializmu. Gdy czekaliśmy na otwarcie bramy byłam przekonana, że za chwilę znajdę się w ciemnym, zimnym i ponurym wnętrzu, o nisko sklepionych korytarzach, tonących w mroku wielkich salach, labiryncie lochów i zakamarków. To, co teraz widzę, jest więc dla mnie zaskoczeniem. Budowla została nie tylko adaptowana, lecz aż do przesady zmodernizowana i wyposażona w najnowsze zdobycze techniki śledczej i penitencjarnej.

Od momentu zatrzymania się łazika w bramie „fortu”, wydarzenia poczynają toczyć się z taką szybkością, że nie jestem w stanie nawet myśleć o jakiejś taktyce obronnej. Czuję się tak, jakby pochwytyły mnie tryby jakiejś monstrualnej maszyny, z zegarmistrzowską precyzją wypełniającej przeznaczoną jej funkcję, nie pozostawiając

żadnego miejsca na przypadek czy przejaw wolnej woli. Nie jest to przy tym machina bezmyślna, pozbawiona inteligencji, działająca tylko według jednego, z góry ustalonego schematu. Przeciwnie – jeśli działanie jej wyznaczają opracowane wcześniej algorytmy – ich odpowiedni wariant dobierany jest do aktualnej sytuacji w sposób szatańsko przemyślny tak, aby utrzymywać więźnia w nieustannym stresowym napięciu.

Początkowo wszystko jeszcze przypomina teatralną inscenizację: samochód wjeżdża do mrocznej, długiej bramy, ciężkie, opancerzone wrota zamykają się za nami i robi się jeszcze ciemniej. Konwojujący mnie policjanci wyskakują pospiesznie z łazika. Starszy znika gdzieś w głębi bramy. Will otwiera drzwi przy których siedzę.

–Wyłaź! – rozkazuje i jestem niemal pewna, że chciałby mi jeszcze na koniec dołożyć. Ale i ja jestem zdecydowana dać mu jeszcze jedną nauczkę, jeśli, oczywiście, nie okaże się ode mnie szybszy.

Wysiadam więc z wozu dość wolno, szykując się do błyskawicznej kontrakcji. Ale zaledwie zdołałam stanąć na nogach, zalewa mnie niespodziewanie oślepiające światło. Cztery silne reflektory, umieszczone w rogach bramy, skierowane są wprost na mnie. Jeśli ten drab mnie teraz uderzy, nie potrafię się nawet zasłonić przed ciosem.

Ale cios nie spada. Jakby spod ziemi wyłania się dwóch strażników.

–Ellen Parker?

–Tak, to ja – odpowiadam skwapliwie.

–Proszę za mną! – mówi jeden ze strażników i rusza ku oszklonym drzwiom w bocznej ścianie bramy. To „proszę” jest dla mnie pewnym zaskoczeniem. Może już skomunikowali się z Pratem?

Idę za strażnikiem i zaczynam czuć się trochę pewniej, chociaż drugi depcze mi po piętach. Za drzwiami obszerny, jasno oświetlony hall ze stanowiskiem dyspozytorskim pośrodku. Dziesięć wind, po pięć z każdej strony sali. Trzy kamery telewizyjne pod sufitem – jedna z nich wyraźnie śledzi każdy mój ruch. Podłoga hallu wyłożona miękkim chodnikiem, tłumiącym odgłos kroków. Nigdy bym nie uwierzyła, iż tak może wyglądać wejście do więzienia śledczego.

Strażnicy widocznie już wcześniej otrzymali dokładne instrukcje, gdzie mają mnie zaprowadzić, gdyż w ogóle nie zatrzymujemy się w hallu. Wchodzimy do windy i zjeżdżamy dwa piętra w dół. Znowu wzrasta we mnie niepokój.

Na dole przed drzwiami windy czeka już na mnie jakaś kobieta w białym fartuchu szpitalnym, narzuconym na mundur służby więziennej. Przez ramię ma przewieszoną niedużą, czarną torbę. Nie wygląda na lekarkę, raczej higienistkę. Niezbyt wysoka, lecz silnie zbudowana, o trudnym do określenia wieku – równie dobrze może mieć lat trzydzieści jak ponad czterdzieści. Mimo pięknych, wysoko zaczesanych, jasno blond włosów i dość regularnych rysów ma coś męskiego w twarzy.

Nie podoba mi się ta baba. Przypomina mi pannę Dawson – moją pierwszą nauczycielkę, bardzo sztywną i wymagającą, której bałam się panicznie.

Strażnicy przekazują mnie swej koleżance i wracają do windy. Pozostaję sam na sam z „panną Dawson” i nie powiem, aby mnie to zachwycało.

–Chodź! – uderza mnie wierzchem dłoni lekko w ramię, wskazując kierunek.

Idziemy długim korytarzem. Taki sam miękki chodnik, na zakręcie na wysięgnikach dwie kamery telewizyjne, wywietrzniki klimatyzacyjne, szereg drzwi z numeracją. Nie są to chyba cele – raczej laboratoria i pokoje urzędników. Zza niektórych dochodzą mnie zresztą odgłosy jakichś pracujących urządzeń elektrycznych, a także – w jednym przypadku – stuk maszyny do pisania. Wszystko to przypomina raczej zaplecze administracyjno-techniczne sanatorium niż więzienie śledcze.

Zatrzymujemy się przed drzwiami oznaczonymi liczbą „233”. Kilka metrów dalej, w głębi korytarza, na fotelach stojących pod ścianą siedzi kilku strażników.

„Dawsonka” otwiera drzwi i każe mi wejść do środka. Pokój jest duży, jasno oświetlony i prawie pusty. Jedyne meble – to biurko z obrotowym krzesłem i wysoki drewniany stółek barowy. Stółek stoi na środku podłogi pokrytej jakąś masą plastyczną, w miejscu oznaczonym kołem. Biurko niedaleko drzwi, niemal w rogu pokoju, ustawione tak, iż siedzący za nim ma przed sobą stółek, w odległości około dwóch metrów. Na blacie biurka żadnych przedmiotów. Nie widzę nawet telefonu, ale może być ukryty gdzieś w szufladzie.

Biel ścian, sufitu i podłogi stwarza wrażenie raczej sali operacyjnej niż pokoju biurowego.

–Zdejmij zegarek! Wszystko co masz w kieszeniach wyjmij i połóż na biurku! Również spinki i szpilki z włosów! – rozkazuje umundurowane babsko i przypomina

mi się podobna scena w naszej klasie z autentyczną panną Dawson.

–Rozczaruje się pani – mówię, starając się zachowywać jak najpewniej. – Mam tylko przy sobie grzebyk i chusteczkę do nosa.

Babsko zachowuje się jednak całkowicie obojętnie, czekając cierpliwie aż opróżnię kieszenie. Potem, gdy chusteczka leży już na biurku, bierze ją za róg dwoma palcami i strzepuje w powietrzu.

Patrzę i nogi uginają się pode mną. Z chusteczki wypada na podłogę zgnieciona w kulkę papierowa serwetka... Oto złośliwość przedmiotów martwych.

Oczywiście, „Dawsonka” już dostrzegła, że coś wypadło z chusteczki. Nachyla się, podnosi gryps, rozprostowuje bibułkę, ale nie czyta... Twarz jej jest nadal martwa. Bez słowa otwiera torbę, wyjmuje foliową kopertę i umieszcza w niej serwetkę.

–Rewizja szczegółowa! – oświadcza, patrząc na mnie zimno.

Unoszę ręce nad głowę, przygotowując się psychicznie do nieprzyjemnego zabiegu obmacywania, ale babsko stoi nadal przy biurku i nie rusza się z miejsca.

–No, na co czekasz? – odzywa się po chwili znudzonym tonem. – Rozbieraj się!

Opuszczam wolno ręce. Tego obawiałam się najbardziej. Nie miałam dotąd okazji pozbyć się mapy i jeśli ją znajdą, mogą mnie bez trudu uznać za szpiega.

–Czy może mnie pani zaprowadzić do klozetu? – staram się nadać głosowi jak najnatural-niejsze błagalne brzmienie. – Bardzo panią proszę!

Ale „panna Dawson” nie jest naiwna i z pewnością domyśla się, o co naprawdę mi chodzi.

–Później! – stwierdza krótko i wpatruje się we mnie. – No, jazda! – ponagla.

Nie ma rady, muszę się rozebrać. Może jednak wystarczy zdjąć tylko bluzkę i dżinsy.

Babsko z wprawą przeszukuje każdą część garderoby, obmacuje każdą zaszewkę, co gorsza, pruje scyzorykiem zakładki i odrywa podeszwy od pantofli. Przy tym nieustannie mnie obserwuje, tak że nie jestem w stanie wydobyć mapy spod stanika i ukryć choćby w dłoni.

Krytyczny moment nadchodzi nieuchronnie. Dalsze zwlekanie na nic się nie zda. Kładę nieszczęsną pochewkę z mapą na blacie biurka. Jestem już zupełnie naga i czekam teraz z niecierpliwością kiedy babsko pozwoli mi się ubrać. Niestety, to jeszcze nie koniec.

„Panna Dawson” dokończywszy rewizji odzieży i zbadawszy, co mieści się w plastikowej pochewce, otwiera znów torbę, wyjmując gumowe rękawiczki lekarskie i wolno, z trochę teatralną starannością je nakłada. Nie mam już złudzeń – muszę przejść jeszcze najbardziej odrażającą część rewizji osobistej...

Jestem już bardzo wyczerpana – nerwowo i fizycznie – kiedy ta straszna baba daje mi wreszcie spokój. Oczywiście, poza grypsem i mapą nic już „trefnego” nie znalazła, ale i to wystarczy aż nadto. Niemniej babsko widać jeszcze coś podejrzewa, gdyż wszystkie moje rzeczy pakuje do dużego foliowego worka, przyniesionego w tym celu w torbie.

–Siadaj tu i czekaj! – wskazuje na drewniany stółek i wychodzi, zabierając ze sobą worek.

Taboret jest tak wysoki, że stopami nie dotykam podłogi. Ogarniają mnie najgorsze przeczucia. Czekają na mnie z pewnością długie, wyciskające człowieka jak cytrynę, śledztwo, wielogodzinne przesłuchania, brutalne łamanie woli, a w razie stawiania oporu – bicie i tortury. Najgorsze jest jednak to, że nie wiem zupełnie, o co tym ludziom chodzi, a wątpię, aby mi uwierzyli, że naprawdę nic nie wiem. Mogą, co najwyżej, wymusić moje przyznanie się do udziału w uprowadzeniu Magnusena, ale czy potrafię wyjaśnić fakt chronienia mnie przez Quintę? Będą z pewnością podejrzewać, że był z nami w zмовie, że jestem od dawna jego kochanką, czy Bóg wie jeszcze co. Powinnam właściwie jak najdłużej milczeć, nie dać się złamać, bo to stwarza jeszcze jakąś szansę przeżycia. Nie mówiąc już o tym, że w żadnej sytuacji

nie wolno mi zdradzić tajemnic Zielonego Płomienia. Ale czy zdołam wytrwać, jeśli fizyczny ból stanie się nie do zniesienia?

Już teraz wiercę się na stołku. A przecież to tylko trochę męcząca, niewygodna pozycja, wynikająca stąd, że jest on tak zrobiony, że nie ma na czym oprzeć stóp.

Dlaczego ustawiono taboret w miejscu oznaczonym kołem?

Nie chodzi tu chyba o pole widzenia ukrytej kamery. Należy raczej podejrzewać, iż w miejscu tym ogniskuje się działanie jakichś ukrytych emiterów fal pobudzających czy hamujących czynności określonych ośrodków systemu nerwowego, a przede wszystkim mózgu. Przecież senator, a także Henderson wspominali o prowadzonych w Duskladzle eksperymentach ze stymulacją falową...

Zeskakuję ze stołka i podchodzę do biurka. Na pierwszy rzut oka wygląda ono zupełnie normalnie. Tylko pod blatem, od strony krzesła – kilka kolorowych przycisków.

Idę teraz powoli w kierunku koła, w którym stoi stołek. Przymykam oczy, starając się wyczuć jakieś zmiany w stanie mojej świadomości – w utrzymującym się napięciu nerwowym, w zdolności do logicznego myślenia, w panowaniu nad emocjami. Ale niczego niepokojącego nie spostrzegam. Jeszcze krok, jeszcze krok bliżej...

Jakiś cichy szmer, podobny do głosu ludzkiego, odwraca moją uwagę. W pierwszej chwili jestem przekonana, że ktoś rozmawia za drzwiami i zastanawiam się czy podejść bliżej – może uda się coś podsłuchać. Robię parę kroków w kierunku drzwi, lecz głos milknie. Jeśli za chwilę w drzwiach stanie „Dawsonka”, mogę mieć przykrości. Cofam się więc pospiesznie i zaskoczona stwierdzam, iż znów słyszę głos ludzki i do tego, w miarę jak zbliżam się do stołka, coraz wyraźniejszy. Nie ulega już wątpliwości – koło na podłodze wyznacza miejsce zogniskowania płynących skądś dźwięków.

Wspinam się na taboret i teraz słyszę już zupełnie głośno i wyraźnie: ktoś czyta powoli, z krótkimi przerwami po każdym zdaniu, jakiś referat o tematyce biologicznej. Nie, to nie referat – to po prostu hasła z jakiegoś leksykonu zoologicznego czy czegoś w tym rodzaju.

–... gromada Arachinida – pajęczaki, skorpiony, pająki, kleszcze, roztocza. Na ogół mięsożerne i drapieżne... Skorpion afrykański *Androctonus* – bardzo niebezpieczny dla człowieka – czyta lektor, z wyraźnym wycuciem treści tekstu. – Nogogłaszczki rozrośnięte w potężne kleszcze przypominające szczypce raka. Chwyta nimi ofiarę, zaś kolcem kończącym ostatni człon zaodwłoka zadaje ranę, wprowadzając śmiertelny jad. Powoduje on początkowo silny ból w okolicy rany, potem pojawiają się drgawki, porażenie mięśni krtani, wreszcie następuje śmierć... Karakurt – pająk o odwłoku czarnym w czerwone, jaskrawe plamy. Jego ukąszenie powoduje u człowieka zmiany martwicze w okolicy rany, zaburzenia czynności układu nerwowego, a nierzadko śmierć... Gromada: Chilopoda – pareczniki – stawonogi lądowe z nad-gromady wijów. Ciało wydłużone segmentowane, nie zróżnicowane na tułów i odwłok. Wszystkie segmenty, prócz dwóch końcowych, mają po parze odnóży. Szczękonózki zakończone kolcem i gruczołem jadowym. Głowa wyposażona w narządy gębowe typu gryzącego. Liczba segmentów u niektórych gatunków sięga 180. Biegają szybko, wiodąc przeważnie nocny, drapieżny tryb życia. Największe wije pareczniki to skolopendry, zasiedlające głównie suche okolice tropikalne. Scolopendra gigantea osiąga długość do trzydziestu centymetrów; jej ukąszenie może być dla człowieka śmiertelne... Rodzina: Muscidae – Muchy – należące do rzędu muchówek... Mucha tse-tse – występuje w Afryce tropikalnej i subtropikalnej. Narząd gębowy ma postać długiej, twardej klujki. Owady dorosłe, żywiące się krwią człowieka i innych ssaków, są głównym przenosicielem śpiączki afrykańskiej... Gromada Arachinida – pajęczaki, skorpiony, pająki, kleszcze, roztocza. Na ogół mięsożerne i drapieżne... Skorpion afrykański *Androctonus* – bardzo niebezpieczny dla człowieka...

Tekst czytany jest po raz drugi. Może to jakieś taśmy z konkursu lektorów, puszczane przez pomyłkę? Bo jeśli ma ta wyliczanka mnie przestraszyć to chybiony pomysł. Mogą sobie nadawać. Co najwyżej budzi we mnie lekki niepokój, wywołany przede wszystkim uczuciem wstrętu i to tylko gdy w wyobraźni tworzy się obraz wija parecznika czy pająka karakurta. Właściwie ten pająk też nic szczególnego. Już prawie nie słucham tekstu. Po co ta zabawa?...

–...Wszystkie segmenty, prócz dwóch końcowych, mają po parze odnóży. Szczękonózki zakończone kolcem i gruczołem jadowym...

A jednak słucham tego tekstu. Już po raz trzeci powtarza się ta „gadka” o wijach i

niepotrzebnie się denerwuję. Nawet odruchowo rozglądam się po sali czy gdzieś z kąta, spod biurka nie wybiegnie takie okropieństwo. Nie odważyłabym się teraz zejść z taboretu bosą na podłogę. Co za bzdurny lęk? Czego właściwie się boję? Mogę przecież zatkać sobie uszy dłońmi. Już prawie nie słyszeć. Tak lepiej.

Nagle konstatuje, że wokół mnie panuje zupełna cisza. Czyżby przestano nadawać ten okropny leksykon? Opuszczam ręce. Rzeczywiście nic nie słyszeć. Czuję ogromne odprężenie.

Drzwi otwierają się raptownie, ale zamiast „Dawsonki” do pokoju wchodzi wysoki, barczysty mężczyzna z teczką w ręku. Ma na sobie świetnie dopasowany mundur wojskowy z dystynkcjami majora, a starannie wygolona twarz i równo przystrzyżone wąsiki znamionują dbałość o elegancję.

Major siada za biurkiem, wyjmując jakieś papiery z teczki i dłuższą chwilę w milczeniu przygląda mi się z nieskrywanym zainteresowaniem, a ja kulę się na stołku, bezskutecznie próbując ukryć swą nagość. Upokorzenie i złość mąci zdolność realnej oceny sytuacji.

–Nazwisko? – major przerywa milczenie, zadając pytanie suchym, urzędowym tonem. Ale właśnie to pytanie wyzwala we mnie nagły odruch buntu:

–Nie odpowiem na żadne pytanie, jeśli nie pozwolicie mi się ubrać!

Major nic nie odpowiada, tylko patrzy na mnie z uśmiechem. Potem powoli zbiera papiery, wkłada do teczki, wstaje i bez słowa wychodzi. Znowu zostaję sama i czekam. Czyżby mój sprzeciw odniósł skutek?

Czas płynie, a ja nadal siedzę na stołku i czekam. Mimo upału na dworze, temperatura w podziemiach nie sięga chyba piętnastu stopni i coraz dotkliwiej dokucza mi chłód. Kiedy wreszcie drzwi znowu się otwierają, jestem tak zziębnięta, że szcękam zębami.

W progu pojawia się „Dawsonka”. Tym razem jest bez fartucha i torby. Niestety, nie przyniosła mi żadnego okrycia.

–Idziemy! – mówi – stojąc w drzwiach.

Zeskakuję ze stołka.

–Gdzie moje ubranie? – pytam z niepokojem, podbiegając do drzwi.

–Nie martw się, nie zginęło – śmieje się babsko z własnego dowcipu. – No, chodź już. Pewno przemarzłaś. Zaraz ci będzie cieplej...

Wypycha mnie na korytarz i zatrzaskuje drzwi. Nie mam gdzie uciec przed spojrzeciami siedzących pod ścianą mężczyzn. Na szczęście, zachowują się dość obojętnie – widocznie często oglądają podobne sceny.

–Idziemy! – ponagla „Dawsonka”. Chwyta mnie silnie za ramię i prowadzi korytarzem aż do przedsionka, gdzie zatrzymują się windy. Zjeżdżamy jeszcze dwa piętra w dół.

Tu już nie ma chodników na podłodze, zaś wszystkie drzwi w bocznych ścianach korytarzy zaopatrzone są w judasze. To już prawdziwe więzienie.

Przy otwartych drzwiach w głębi korytarza stoi strażnik i czeka. Widać wszystko tu funkcjonuje jak w zegarku. Cella jest nieduża, jasno oświetlona i pozbawiona wszelkich sprzętów. Tylko pod przeciwległą ścianą leży zwinięta w rulon mata. W rogu przy drzwiach w betonowej podłodze – prymitywny otwór klozetowy. Czy wszystkie cele w tym więzieniu są tak wyposażone, czy też umieszczono mnie w oddziale przeznaczonym dla „kolorowych”?

Metalowe drzwi zamykają się z trzaskiem i znowu jestem sama. Nieprawda. Teraz dopiero dostrzegam pod sufitem obserwującą mnie nieustannie kamerę telewizyjną. Nie mogę się przed nią nigdzie ukryć i to jest w tej chwili najokropniejsze.

„Dawsonka” mówiła prawdę: zimno mi tu już nie dokucza. Jest dość gorąco i trochę duszno, ale można wytrzymać. Nawet betonowa podłoga wydaje się nagrzana. Gdyby nie to „argusowe oko” kamery, mogłabym choć trochę odprężyć nerwy i mięśnie. Czy jednak rzeczywiście nie ma sposobu? Przecież mogę rozłożyć matę i ukryć się za nią. Cóż prostszego?

Podchodzę do rulonu i chcę go obrócić tak, aby łatwiej było rozwinąć. Nachylam się nad matą, podnoszę ją z podłogi i... odskakuję z rozpaczliwym krzykiem aż pod drzwi.

Z maty wybiega na dziesiątkach przerażająco ruchliwych nóg wij parecznik. Jest ogromny – ma chyba z pół metra długości i porusza się tak szybko, iż nie jestem w stanie przewidzieć, gdzie się pojawi za moment w swej szaleńczej wędrówce po podłodze celi.

Ogarnia mnie paniczna trwoga. Walę pięściami w blachę drzwi, błagając, aby mnie wypuszczono z okropnej pułapki. Aż chrypnę z krzyku.

I wtedy – widać dla spotęgowania jeszcze grozy – gaśnie światło.

Całkowita ciemność... Długa, zdająca się trwać bez końca minuta, a może tylko kilka sekund... Oszałała ze strachu wyobraźnia podsuwa koszmarne obrazy czającego się w mroku monstrualnego wielonoga. Świadomość, iż w każdej chwili z niewiadomego kierunku mogę być zaatakowana przez buszującego po celi drapieżnika, że być może już w następnej sekundzie jego szczękonożki wpiją się w moje nagie ciało – paraliżuje mięśnie. To jest nie do zniesienia. Czuję, iż za chwilę zemdleję i bronię się przed tym całą siłą woli, a może raczej jakiegoś pierwotnego instynktu życia...

Drzwi z nagłą ustępują. Podrywam się ostatkiem sił do rozpaczliwego skoku i wpadam na stojącą w korytarzu naprzeciw wejścia do celi „pannę Dawson”. Jestem tak wyczerpana, że osuwam się na kolana, a strach przed tym, co dzieje się za moimi plecami, jest silniejszy od

nienawiści i lęku przed okropną babą, i wbrew wszelkiej logice, szukam u niej ochrony. Zresztą ona chętnie wykorzystuje sytuację wchodząc w rolę życzliwej acz surowej opiekunki. Kładzie więc rękę na mojej głowie i gładzi mnie po włosach, a ja wtulam twarz w jej mundur i... płaczę. Jestem tak roztrzęsiona, że ten prosty przejaw ludzkiego uczucia załamuje mnie do reszty, pozbawiając zdolności krytycznej oceny sytuacji.

Dopiero trzask zamykanych drzwi celi przywraca przytomność memu umysłowi. Przedstawienie skończone. Moja „opiekunka” już przestała mnie uspokajać. Odsuwa się ode mnie, jakby się brzydziła mojej zapłakanej twarzy i rozkazuje oschle:

–Wstawaj! Przestań się mazać! Idziemy!

Rusza w kierunku wind, a ja podnoszę się z klęczek i pokornie idę za nią. Nie myślę już o tym, czy kto patrzy na mnie, ani też dokąd mnie moja „Dawsonka” prowadzi. Najważniejsze, że oddalam się od tej przerażającej celi i, niestety, czuję, iż gotowa jestem zrobić wszystko, aby tam nie wrócić.

Przebywamy teraz tę samą co niedawno drogę – w odwrotnym kierunku. Znow jestem w pokoju „233”, znow siedzę na drewnianym stołku i czekam. Nie mam wątpliwości, że za chwilę zjawi się major-elegant i rozpocznie przesłuchanie. I wiem, że tym razem może liczyć na szczere zeznania...

Nie czekam zresztą długo. Wchodzi, tak jak poprzednio, sprężystym, wojskowym krokiem, siada za biurkiem, wyciąga z teczki papiery i... dwie torebki foliowe – z grypem i z mapą. Wyraźnie widać, iż jest zadowolony.

–Nazwisko? – rzuca pytanie jakby od niechcienia.

–Ellen Parker.

–Prawdziwe nazwisko – zmienia ton na urzędowy.

Czy jest sens nadal udawać Ellen. Przecież oni wiedzą. Prawda zwiększa zresztą szansę ekstradycji.

–Agnieszka Radej.

Major patrzy mi w oczy.

–To już lepiej – mówi po chwili. Zastanawiam się, czy znał wcześniej moje nazwisko, a tym samym co w ogóle mogą o mnie wiedzieć.

–Gdzie i kiedy urodzona? Nazwiska rodziców? Ich pochodzenie.

–W Detroit, 6.4.1966. Ojciec Wacław Radej, urodzony w Polsce. Matka Wanda Grabowski urodzona w USA. Obywatele amerykańscy. Od roku przebywają w Anglii, gdzie ojciec jest przedstawicielem firmy „Atkinson and Co”.

–Rasowo czyści? – pyta nie przerywając notowania. – Chodzi mi nie tylko o Murzynów i Indian, ale także Hindusów, Żydów, Arabów, Azjatów i tak dalej... No więc?

–Jeśli do nieczystych zalicza pan również Słowian to...

–Dość tego – przerywa mi ostro. Ale zaraz się uspokaja.

–A więc rodzice są pochodzenia wschodnio europejskiego?

–Tak. Czy to ma jakieś znaczenie?

–Być może... Kiedy przybyła do Afryki?

–Tydzień temu, 24 listopada.

–Do Casablanki?

A więc wiedzą kim jestem...

–Tak – potwierdzam ze strachem. Jestem pewna, że zaraz zaczną mnie wypytywać o Zielony Płomień. Jeśli będę milczeć z pewnością ponownie każe mnie zamknąć w tej okropnej celi. Ale czy w ogóle jest sens milczeć jeśli wiedzą wszystko lub prawie wszystko?

–Przyleciała tym samym samolotem co doktor Quinta? – pytanie majora jest dla mnie zaskoczeniem. Czuję niepokój, a jednocześnie budzi się nadzieja, że jednak nic konkretnego o mnie nie wiedzą. Bo to chyba nie jest podstęp. Tak czy inaczej trzeba zagrać va banque.

–Tym samym – potwierdzam, starając się nie okazywać rosnącego we mnie napięcia.

Major podnosi wzrok znad papierów.

–Powiedzmy... – mówi wolno i uśmiecha się nieznacznie. – Przyjmijmy, że nie wszystko co zeznałaś w prefekturze było kłamstwem... Dlaczego Ellen Parker nie przyjechała do Afryki?

–Ellen nie żyje – odpowiadam, patrząc mu w oczy.

Chyba jest zaskoczony.

–Tak?... Czy to była śmierć gwałtowna?

Potwierdzam skinieniem głowy i zastanawiam się, co odpowiedzieć, jeśli zapyta o okoliczności śmierci. Ale widać ma ważniejsze kwestie do wyjaśnienia.

–No cóż, tak bywa... – mówi dość obojętnie. – Czy byłyście koleżankami? To znaczy... czy znałaś ją dobrze?

–Nie – zaprzeczam i już niemal jestem pewna, iż uwierzył, że zostałam „podmieniona” jeszcze w Stanach. To znaczy, że nie skojarzyli, iż Agnieszka Radej i „dziewczyna Barleya” to jedna i ta sama osoba. Dziwne, jeśli zważyć jak interesowali się Martinem.

–Sformułuję pytanie inaczej: czy szefowie twoi i Ellen Parker to te same osoby? Nie mam tu na myśli doktora Quinty – zastrzega znacząco.

To już trudniejsza sprawa. Nie wiem, co powinnam na to pytanie odpowiedzieć, aby nie pogorszyć swej sytuacji. Muszę się dobrze zastanowić, a więc trzeba grać na zwłokę.

–Na to pytanie wolałabym nie odpowiadać.

–Nie wątpię – śmieje się major.

–A jeśli odmówię odpowiedzi?

Major poważnieje.

–No cóż, nie będę nalegał. Wrócisz do celi i zastanowisz się... Mamy czas...

Wiem, że nie jest to tylko straszenie i wstrząsa mną dreszcz.

–Jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, to rzeczywiście są to chyba ci sami szefowie –

decyduję się na wersję współpracy z CIA. Niełatwo będzie im sprawdzić. – Jeśli zaś chodzi o konkretne osoby to pewności nie mam. Wie pan chyba, jak to jest...

–Wiem. Pseudonim i numer?

Nie ma rady – muszę blefować.

–„Magda” 522.

–Trzycyfrowy? – dziwi się major, lecz nie kwestionuje. – Telefoniczny numer kontaktowy w Stanach i hasło?

Muszę coś na poczekaniu wymyślić. Mam!

–NY 2727856. „Czy to mieszkanie państwa Wayn”? Odzew: „Nie, to antykwariat braci Albee”.

Mogą sobie sprawdzać. To numer telefonu prawdziwego antykwariatu braci Albee. Często tam dzwoniłam.

–Punkty kontaktowe w Afryce?

Tu już gorzej. Nie wiem zupełnie, co odpowiedzieć, a nie mogę milczeć. Nie wolno za bardzo „bujać”, bo to grozi wpadką. Muszę się raczej jakoś migać.

–To nie takie proste... – próbuję komplikować sprawę. – Nic nie jestem w stanie panu powiedzieć. Miałam czekać na sygnał w hotelach, gdzie mieliśmy się zatrzymać. Telefon lub kartka w recepcji. Hasło: „Czy to pani interesuje się kamieniami półszlachetnymi?”

Chyba połknął haczyk...

–Gdzie mieliście się zatrzymać?

–To nie było dokładnie ustalone. Najpierw oczywiście w Casablance, lecz dalej program podróży zależał od wyników rozmów.

–Z kim?

–Z prezesem Magnusenem. Być może jeszcze z kimś... Ale na ten temat coś konkretniej-szego może tylko powiedzieć doktor Quinta.

–Słowem: nic nie wiesz. Żadnych nazwisk, adresów, terminów spotkań... Dobra z ciebie sekretarka. Jesteś bardzo naiwna, jeśli sądzisz, że ci uwierzę!

Wstaje i zbiera papiery. To zły znak.

–Ja naprawdę nic konkretnego nie jestem w stanie powiedzieć na temat punktów kontaktowych. Niech pan zrozumie: właśnie dlatego, aby nikt ze mnie nie mógł nic wycisnąć, zastosowano taki system łączności.

Chyba jednak trochę moje argumenty trafiają mu do przekonania. Siada ponownie za biurkiem.

–Czy Quinta wie, dla kogo pracujesz? – zmienia temat.

Znów nie bardzo wiem, co odpowiedzieć. Może jednak lepiej niech myślą, że mają mnie w ręku.

–Być może trochę się domyśla – mówię jakby z wahaniem. – To człowiek bardzo inteligentny i podejrzliwy. Niełatwo go oszukać.

–Od jak dawna jesteś jego kochanką? – pyta z nieprzyjemnym uśmiechem.

Spuszczam oczy. A więc rzeczywiście byliśmy obserwowani.

–Czy zaczęło się to jeszcze przed śmiercią Ellen Parker? – dorzuca, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

–Nie – odpowiadam cicho.

–Od kogo otrzymałaś tę mapę? – zmienia znów temat, pokazując mi plastikowy futerał odebrany mi przy rewizji. Tu nie ma potrzeby kłamać.

–Od nikogo. Znalazłam wśród papierów Hansa Oriento, w Dolinie Martwych Kamieni.

–Co to znów za bajeczka?

–Niech pan spyta pułkownika Pratta.

–Pytam w tej chwili ciebie! Szlak i punkty oznaczone czerwonym mazakiem tyś rysowała?

–Nie. Były już na mapie, gdy ją znalazłam.

–Co znaczą punkty?

Jeśli powiem prawdę, będzie pewien, że go oszukałam twierdząc, iż znalazłam mapę przypadkowo.

–Nie wiem.

–Kłamiesz! – uderza pięścią w blat biurka.

Może widzieli, jak wędrowałam wśród złomisk skalnych?

–Znam tylko początek szlaku – próbuję się usprawiedliwić. – Pierwszy z punktów, licząc od grotty, to stanowisko badawcze ekipy Oriento. Dalej nie wiem. Doszłam tylko do lasu...

–Co tam robiłaś?

–Szłam za Oriento, Goldsteinem i Barleyem. Ale zaczęłam mieć przywidzenia i musiałam zawrócić.

–Widziałaś, jak tamci poszli w góry?

–Nie, lecz tak mi powiedział Tom.

–W jaki sposób uodporniają się na działanie anomalii?

–Nie wiem.

–Radzę ci, abys sobie przypomniała. Nie powiesz mi, że cię to nie interesowało.

–Goldstein mówił mi, że ma to coś wspólnego z hipnozą ablacyjną...

–Kto hipnotyzował Barleya?

–Chyba Oriento.

–To znaczy, że Barley kontaktował się z nim jeszcze przed aresztowaniem, a nawet przed przekroczeniem naszej granicy?

Czuję, iż powiedziałam za wiele, ale nie ma już odwrotu.

–Chyba tak.

–Oriento ma na terenie Dusklandu swoich ludzi?

Jestem coraz bardziej przerażona.

–Nie wiem.

–Znów kłamiesz. Nazwiska, adresy? Szybko!

–Ja naprawdę nic nie wiem. Niech mi pan uwierzy...

–Dla kogo przeznaczony był ten świstek? – pokazuje mi gryps.

Ale ja już ułożyłam sobie wiarygodną wersję.

–Przecież pan umie czytać i wie, że to do naszego ambasadora w Dusk.

–Kto miał być „listonoszem”?

–Nie było ustalone. Dlatego próbowałam przejść przez mur w Knox-Benedict, aby znaleźć kogoś, kto przekazałby wiadomość.

–Kłamiesz! – major wstaje gwałtownie z krzesła. – Widzę, że trzeba ci dać czas do spokojnego namysłu...

Bierze teczkę i podchodzi do drzwi. Patrzę na niego z rosnącym strachem, a jednocześnie ciągle jeszcze się łudzę, że to tylko próba sił i jeśli nie załamie się, gotów uwierzyć w to, co powiedziałam. On zresztą też na mnie patrzy wyczekująco, choć już stoi w progu.

Wyszedł. Wpatruję się w zamknięte drzwi i czekam. To już coś więcej niż strach, to paniczny lęk ogarnia mój umysł. Za chwilę wejdzie „Dawsonka”, a ja wiem, że będę ją błagać, aby mnie nie zabierała, aby wezwała majora, gdyż rzeczywiście kłamałam, ale teraz powiem całą prawdę – wszystko co zechce...

Nadal jednak nikt się nie zjawia. Za to znów gdzieś wokół mnie słyszę jakieś szepty. Jakby ktoś wolno obracał pokręteł potencjometru – stopniowo wzrasta siła głosu, słowa stają się wyraźne, zrozumiałe...

Ktoś czyta tym razem jakiś niekończący się szereg oddzielnych, nie powiązanych w zdania wyrazów. Przeważnie są to rzeczowniki, lub czasowniki, czasem nazwiska, nazwy, może kryptonimy, z rzadka poprzedzają je przymiotniki – zbiór chyba układany bez żadnego porządku, czy reguły, w sposób zupełnie przypadkowy.

–... dom... oko... lew... mówić... linia... trębacz... mały... panel... cena... Inuto... kocha... walcownia... księżyc... Cameo... zdrajca... czerwony punkt... biurko... przyjaciel... kamienie... mors... pić... dyspozytornia... znak... kłamstwo... Tom... pałac... Wein... ciszej... prezes... Ekos... wir... słucha... IAT... palce... zielony człowiek... mur... kosmos... Swart... Henderson... Brown... taboret... włosy... dyrekcja... lęk... goryl... łóżko... zabić... szef kuchni... płomienie... Rzym...

kolorowi... pamiętaj... Barley... kod... książka... czerwoni... skorpion... UFO...

Lektor czyta wolno, jednostajnie, bez wyrazu, zupełnie inaczej niż poprzedni, „zoologiczny” tekst. Nie brak słów, zwłaszcza nazwisk i nazw geograficznych, związanych z wydarzeniami ostatnich dni, większość jednak nie kojarzy mi się z niczym szczególnym. Jest to z pewnością rodzaj testu prawdy. Jakieś ukryte przyrządy mierzą zdalnie to, co dzieje się w moim organizmie pod wpływem uczuć i myśli, a komputery analizują wyniki i określają prawdopodobieństwo nieprzypadkowej reakcji na poszczególne słowa... Dziesiątki, setki słów nowych i powtarzających się w różnych układach wzajemnych i kolejności.

A może jednocześnie trwa programowanie mego umysłu? To nie jest wcale przesadna, nieuzasadniona obawa. Jestem pewna, że mój lęk przed skolopendrą został tą drogą wykryty i celowo spotęgowany.

Zeskakuję z taboretu i głos cichnie do szeptu. Czuję jak gdyby odprężenie, lecz oto otwierają się drzwi i pojawia się w nich „Dawsonka”.

–Chodź! W celi będzie ci cieplej! – mówi przymilnie, straszne babsko, a ja znów zaczynam drżeć na całym ciele ze strachu i wydaje mi się, że już za progiem, na korytarzu dostrzegam biegnącego po chodniku ogromnego wija.

–Nie! Błagam, nie! – krzyczę rozpaczliwie, współprzutomna z przerażenia.

Jeśli moja „opiekunka” nie zmieni decyzji, to gotowa jestem paść przed nią znów, tak jak tam w podziemiach, na kolana i skomleć o litość.

–Wracaj na stołek i ani kroku! – rozkazuje „Dawsonka”, a ja przyjmuję to polecenie niemal z wdzięcznością.

Znów zostaję sama i seans trwa nadal. Potok słów wlewa się nieprzerwanie w moje uszy. Jestem już spokojniejsza i chociaż wiem, że nie odważę się już zejść z taboretu, próbuję nie poddawać się i jeśli to tylko możliwe krzyżować domniemane zamiary mych dręczycieli. Staram się więc przede wszystkim nie myśleć o tym co słyszę i skupić uwagę na czymś innym. A jeśli mimo wszystko nie potrafię się „wyłączyć”, dążę do tego, aby słowa niepokojące kojarzyć z sytuacjami obojętnymi emocjonalnie. Wcale to nie łatwe, zwłaszcza, że od czasu do czasu pojawiają się słowa wręcz niepokojąco zestawione jak na przykład „alfabet”, „mors” i „palce”.

Czas płynie, a „lektor” ciągle mówi. Już jest mi niemal wszystko jedno. Odczuwam coraz większe zmęczenie a nawet senność. Monotonny głos działa usypiająco... Chwieję się na stołku i budzę się raptownie w obawie, aby nie spaść. To też zaczyna być swoistą torturą.

Niespodziewanie dostrzegam przed sobą majora. Patrzy na mnie pytająco.

–Namyśliłaś się? No, słucham! – przynagla.

–Tak... Powiem.

Wraca do biurka i siada na jego brzegu.

–Co mi chcesz powiedzieć?

Szukam rozpaczliwie jakiegoś wykrętu, lecz już wiem, że jeżeli będzie chciał wyjść, lub co gorsza otwarcie zagrozi zamknięciem w celi, zrobię wszystko czego zażąda. Wiem, że nic mnie nie uratuje, że coś musieli we mnie zmienić i nie nadaję się już na bohaterkę. Za chwilę powiem wszystko o Zielonym Płomieniu, zdradzę system jakim porozumiewam się z Tomem, zdradzę nazwisko jedyne go człowieka, który mógłby nas uratować.

Gdybyż to była tylko groźba śmierci lub nawet tortur fizycznych...? To mnie nie przeraża. Jeśli mogłabym w tej chwili popełnić samobójstwo, nie wahałabym się ani sekundy. Ale tej szansy mnie pozbawiono.

–Co mi chcesz powiedzieć o profesorze Hendersonie? – major zdaje się czytać w moich myślach. Patrzę na niego z lękiem i nienawiścią.

–No? Czekam!

–Chciałam prosić profesora o pomoc. Ale go nie było – zdobywam się na próbę zamazania roli niefortunnego łącznika, lecz to w istocie tylko oszukiwanie sumienia, bo przecież nie zmieni to faktu, że potwierdziłam podejrzenia majora, że wskazałam na niego. Może zresztą moje skrupuły są niepotrzebne, może propozycja Hendersona to była prowokacja i major tylko sprawdza, czy już „dojrzałam”. To jednak też może być próba szukania z mojej strony usprawiedliwienia i nic więcej...

–Tak już lepiej, choć może niezupełnie ściśle – stwierdza major tonem pochwały, a ja, o zgrozo, czuję się jakby swobodniej.

–Niech pan mi wreszcie da się ubrać! – próbuję wykorzystać okazję. Ale major jest twardy.

–Wykluczone. Musimy jeszcze wyjaśnić parę kwestii.

–O Boże!

–Należy ci się, moja panno, w nagrodę kilka słów wyjaśnienia – ciągnie mój dręczyciel. – Jeśli trzymam cię tu, w tak... poniżającej sytuacji, to winę za to ponosi właśnie profesor Henderson. Twierdzi on bowiem, iż na ubraniu i bieliźnie gromadzą się ładunki elektrostatyczne, zniekształcające pomiar niektórych parametrów... Mówię ci to, abyś wiedziała, że nie jest to moja zła wola, a tym bardziej przejaw jakichś sadystycznych skłonności. Naprawdę, szkoda mi ciebie. Jesteś młoda, ładna, inteligentna...

–Czy długo jeszcze będzie mnie pan tak męczył...?

–Wiem dobrze, kiedy kłamiesz, a kiedy mówisz prawdę. Jeśli chcesz, aby to przesłuchanie szybciej się skończyło, nie próbuj wprowadzać mnie w błąd – ciągnie major niemal ojcow-

skim tonem. – Na nic się to nie zda, a tylko tracimy niepotrzebnie czas. A więc, nie traćmy czasu: co możesz mi powiedzieć o „dyspozytorni”? Wiem, że ten... kryptonim szczególnie cię interesuje. I mnie również!

Teraz wszystko zależy od tego, czy rzeczywiście potrafi odróżnić prawdę od kłamstwa.

–Niestety, nic nie wiem na ten temat – odpowiadam szczerze.

–Ale wiesz, co mam na myśli? – patrzy tak, jakby hipnotyzował mnie wzrokiem.

Tym razem jednak chyba mogę pozwolić sobie na mówienie całej prawdy.

–Chodzi panu o Ośrodek kierujący Vortexem P?

–Właśnie! Co wiesz na ten temat?

–Nic. Niestety, nie udało mi się jeszcze zdobyć żadnych konkretnych informacji. Chyba pan widzi, że nie kłamię?

–Ale coś niecoś dotarło do ciebie? Ktoś ci coś mówił, prawda? Może Quinta, albo twoi szefowie w Stanach? A może i on i oni?

–Wspominał o „dyspozytorni” doktor Martin Barley, w Dolinie Martwych Kamieni. On chyba wpadł na jakiś trop... Ale nie bardzo chciał, a właściwie mógł mówić... Nie trzeba było go wydawać Numie!

Zaczyna mienić się na twarzy i ogarnia mnie obawa, czy potrzebnie poruszyłam tę kwestię. Major opanowuje się jednak.

–Nie wierzę, aby Quinta nic ci nigdy nie mówił na temat ośrodka sterującego vortexem – mówi gniewnie.

–Nic konkretnego. Gdy pytałam, unikał wyraźnie tego tematu. Mówił, że dla mnie lepiej, jeśli będę w tej sprawie „zielona”.

–Ale chyba wie sporo?

–Z pewnością – potwierdzam, wykonując instrukcję Toma. Zaraz jednak ogarniają mnie wątpliwości, czy nie pogarszam jego sytuacji. Przecież i on jest w ich rękach. Może nawet w tym samym więzieniu śledczym?

Major milczy. Ta cisza wydaje mi się bardzo niepokojąca. Jakie będzie następne

pytanie?

Nagle gdzieś od drzwi dobiega mnie brzęczek dzwonka. Major naciska guzik ukryty pod blatem biurka i w drzwiach staje strażnik.

–Panie majorze, pan pułkownik Pratt przy telefonie!

Major wstaje, zbiera papiery i bez słowa wychodzi. Znow zostaję sama. Jestem już niemal skostniała z chłodu, więc zaraz wstaję i próbuję rozgrzać ciało ćwiczeniami gimnastycznymi. Z pewnością mnie obserwują, ale jest już mi wszystko jedno...

Pratt telefonuje, to znaczy, że w ciągu najbliższego kwadransa będę wiedziała, jaki mnie los czeka. Jeśli będą mnie nadal tu przesłuchiwać lub ogolą głowę, dadzą więzienną koszulę i zamkną w celi już „normalnej”, będzie to oznaczało, że wszystko dzieje się za wiedzą Pratta i nie ma dla mnie żadnej nadziei. Jeśli zaczną traktować mnie inaczej, oddadzą odzież, a może nawet zjawi się sam pułkownik – będę wiedziała, że jeszcze nie wszystko stracone. O zwolnieniu nie śmiem nawet myśleć – za wiele już powiedziałam.

Nie upłynęło pięć minut od wyjścia majora, gdy znow drzwi się otwierają i wchodzi „Dawsonka”. W ręku trzyma worek, na którego dnie widać równo ułożone „w kostkę” moje dżinsy, bluzkę i bieliznę, a także w osobnych plastikowych torebkach chusteczka, grzebień i nowe buty.

–Może się pani ubrać – mówi stawiając worek na biurku. Minę ma nadal nadąsaną, ale zachowuje się grzecznie.

Oczywiście, nie trzeba dwa razy powtarzać tej „propozycji”. Ubieram się jak mogę najszybciej, stwierdzając z radością, że wszystkie poprute w czasie rewizji fragmenty odzieży zostały fachowo naprawione i odprasowane, zaś buty pasują jak ulał. Jest to trochę zastanawiające i rodzi się we mnie podejrzenie, iż cały przebieg dochodzeń, od aresztowania aż po telefon Pratta, był tylko wyreżyserowanym spektaklem. Nie wiem, co się dalej ze mną stanie,

ale zaczynam być dobrej myśli. Nawet „panna Dawson” nie budzi już we mnie takiego jak poprzednio lęku i nienawiści. Czeka w milczeniu cierpliwie, aż się ubiorę i uczeszę, a potem otwiera drzwi i gestem wskazuje kierunek ku windom.

–Proszę! – przepuszcza mnie przodem. Przy drzwiach w fotelu siedzi tylko jeden strażnik. Jedziemy windą dwa piętra w górę i znów jestem w hallu wejściowym. Przed windą czeka na mnie major z jakimś cywilem. Znów czuję gwałtowny przyływ niepokoju, lecz okazuje się, że obawy są nieuzasadnione.

–Chciałbym panią pożegnać – mówi major tonem światowca, prężąc się przede mną w swym eleganckim mundurze, jakbym była damą na oficjalnym przyjęciu, a nie przesłuchiwaną przez niego jeszcze przed dwudziestoma minutami doprowadzoną do pełnego poniżenia i załamania „podejrzaną”. – Byłoby oczywiście nietaktem, gdybym wyraził nadzieję, że się jeszcze spotkamy... Ale chciałbym panią prosić o zrozumienie i wybaczenie...

Patrzę na niego zimno i nic się nie odzywam.

–Pani pozwoli – przerywa kłopotliwe milczenie cywil. – Pułkownik Pratt czeka w samochodzie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-26

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/